

Mary Balogh

Pojedynek

Przekład
Bogumiła Nawrot

Rozdział 1

Owego wiosennego poranka dwaj dżentelmeni - w samych koszulach mimo rześkiego porannego powietrza - stanęli, by się nawzajem powystrzelać. Przynajmniej taki mieli zamiar. Stali naprzeciw siebie na mokrej od rosy murawie w ustronnym zakątku londyńskiego Hyde Parku i patrzyli w różne strony ignorując obecność przeciwnika, póki nie nadejdzie chwila, by wycelować pistolety i wypalić.

Nie byli sami, brali bowiem udział w pojedynku honorowym i zgodnie z kodeksem przestrzegali obowiązujących reguł. Rękawica została rzucona, choć nie w dosłownym tego słowa znaczeniu, i sekundanci obu stron ustalili warunki spotkania o świcie. Oprócz sekundantów stawiał się również lekarz i grupka mężczyzn, którzy tego dnia wcześniej wstali z łóżek - albo jeszcze nie położyli się spać po hulankach nocy - specjalnie po to, aby być świadkami, jak dwaj dżentelmeni spróbują nawzajem położyć kres swemu życiu.

Jeden z pojedynkujących się, ten, który zażądał satysfakcji, niższy i bardziej krępy, przytupywał nogami, poruszał palcami i oblizywał spierzchnięte usta. Zaszło mu w gardle i był niemal tak biały, jak jego koszula.

- Tak, możesz go spytać - rzucił sekundantowi przez zaciśnięte zęby na próżno starając się powstrzymać ich szczęknięcie. - Nie

przypuszczam, że się zgodzi, ale w takich sprawach trzeba się zachować jak należy.

Jego sekundant energicznym krokiem podszedł do drugiego sekundanta, by mu przekazać pytanie, a ten z kolei zwrócił się do drugiego z pojedynkujących się. Wysoki, elegancki dżentelmen korzystnie wyglądał bez fraka. Pod nieskazitelnie białą koszulą wyraźnie rysowały się silne ramiona i tors, a obcisłe spodnie i buty z cholewami podkreślały smukłość długich nóg. Wypiełgnowanymi dłońmi o cienkich palcach z nonszalancją gładził koronki mankietów, prowadząc jednocześnie zdawkową rozmowę z przyjaciółmi.

- Oliver trzęsie się jak liść osiki - zauważył baron Pottier, spoglądając przez monokl. - Z trzydziestu kroków nie trafi nawet w stodołę, Tresham.

- I dzwoni zębami tak, że aż echo niesie - dodał wicehrabia Kimble.

- Zamierzasz go zabić, Tresham? - spytał młody Maddox, ściągając na siebie zimne, aroganckie spojrzenie zagadniętego.

- Chyba po to staje się do pojedynku, prawda? - odparł.

- Potem jak zwykle śniadanie w klubie White'a, Tresh? - zagadnął wicehrabia Kimble. - Może później odwiedzimy stadninę Tattersalla? - zaproponował. - Mam na oku nową parę siwków do karykla.

- Jak tylko się z tym uporam. - Mężczyzna przestał poprawiać mankiety i przerwał rozmowę na widok sekundanta. - No i jak tam,

Conan? - zapytał z lekkim zniecierpliwieniem. - Co jest powodem opóźnienia? Muszę wyznać, że już zgłodniałem i nie mogę się doczekać śniadania.

Sir Conan Brougham przywykł do niezachwianej pewności siebie przyjaciela. Był jego sekundantem podczas trzech poprzednich pojedynków. Ze wszystkich Tresham wyszedł bez najmniejszego zdraśnięcia, po czym jakby nigdy nic udawał się na obfite śniadanie, tak opanowany, jakby rano odbył tylko przejażdżkę po parku.

- Lord Oliver jest gotów zadowolić się odpowiednio sformułowanymi przeprosinami - powiedział.

Rozległy się szydercze okrzyki znajomych Treshama.

Oczami tak ciemnymi, że wiele osób brało je za czarne, książe spojrzął na sir Conana. Żadne emocje nie odbiły się na pociągłej, aroganckiej, przystojnej twarzy, jedynie jedna brew lekko się uniosła.

- Wyzwał mnie na pojedynek, bo przyprawilem mu rogi, ale gotów jest zadowolić się przeprosinami? - spytał. - Chyba nie potrzebujesz mojej odpowiedzi? Czy w ogóle musiałeś się do mnie zwracać z tym pytaniem?

- Może warto rozważyć tę propozycję - poradził przyjaciel. - Niesumiennie wywiązałbym się ze swoich obowiązków sekundanta, gdybym ci tego nie zalecał, Tresham. Oliver całkiem przyzwoicie strzela.

- Więc niech tego dowiedzie, zabijając mnie - odparł bez troski

Tresham. - I niech to nastąpi w ciągu kilku minut, a nie godzin, mój drogi przyjacielu. Widzowie okazują wyraźne oznaki znudzenia.

Sir Conan pokręcił głową, wzruszył ramionami i oddalił się, by poinformować wicehrabiego Russella, sekundanta lorda Olivera, że jego książęca mość księżę Tresham nie widzi potrzeby przeproszenia lorda Olivera.

Nie pozostało więc nic innego, jak przystąpić do pojedynku. Wicehrabiemu Russellowi szczególnie zależało na tym, by jak najszybciej zakończyć awanturę. Nawet ten ustronny zakątek Hyde Parku był zbyt uczęszczanym miejscem, by staczać w nim pojedynki zabronione prawem. Powinni raczej rozstrzygnąć ten zatarg w Wimbledonie. Ale lord Oliver nalegał, by rzecz odbyła się w parku.

Naładowano pistolety i obaj sekundanci starannie je sprawdzili. Widzowie zamilkli, przeciwnicy wzięli broń, unikając nawzajem swojego wzroku. Stanęli plecami do siebie i na uzgodniony znak ruszyli przed siebie, by odmierzyć krokami wymaganą odległość, po czym wykonali półobrót. Starannie wycelowali i czekali, aż wicehrabia Russell opuści białą chusteczkę, co stanowiło sygnał do oddania strzału.

Cisza była niemal namacalna.

A potem dwie rzeczy wydarzyły się jednocześnie.

Wicehrabia opuścił chusteczkę.

I rozległ się czyjś krzyk.

- Stać! - zawołał ktoś. - Stać!

Głos kobiety dobiegł od strony kępy drzew, rosnących w pewnej odległości. Dały się słyszeć pełne oburzenia komentarze zebranych, którzy przed chwilą stali cicho i bez ruchu, by nie rozpraszać przeciwników.

Książę Tresham, zaskoczony i zły, opuścił prawą rękę i odwrócił się, by spiorunować wzrokiem osobę, która w takiej chwili śmiała zakłócić ciszę.

Lord Oliver, który też zawahał się na chwilę, szybko wycelował i strzelił.

Kobieta znów krzyknęła przeraźliwie.

Jego książęca mość nie upadł. W pierwszej chwili nawet nie zauważono, że został trafiony. Ale potem na spodniach, trzy, cztery centymetry nad idealnie wyglansowanym butem pojawiła się jasnoczerwona plama jakby wymalowana długim pędzlem przez czyjąś niewidzialną rękę.

- Skandal! - zawołał baron Pottier, stojący z boku. - Wstydz się, Oliver!

Również pozostali potępiali człowieka, który w niegodny sposób wykorzystał chwilę nieuwagi przeciwnika.

Sir Conan ruszył w stronę księcia. Purpurowa plama rosła, lekarz sięgnął po torbę. Ale jego książęca mość dał znak lewą ręką, by powstrzymać wszystkich, a potem podniósł prawą rękę i wycelował.

Pistolet w jego dłoni nawet nie drgnął. Na twarzy mężczyzny nie malowało się nic poza najwyższym skupieniem, gdy zmrużywszy oczy wpatrywał się w przeciwnika, który mógł tylko stać i czekać na śmierć.

Trzeba przyznać, że lord Oliver stał nieruchomo, chociaż opuszczona wzdłuż ciała ręka, w której trzymał pistolet, wyraźnie drżała.

Znów zapadła cisza. Milczała też nieznajoma. Napięcie było wprost nie do zniesienia.

I wtedy książę Tresham, tak jak to robił podczas wszystkich pojedynków, w których brał udział, zgiął rękę w łokciu i wystrzelił w powietrze.

Czerwona plama na spodniach szybko się powiększała.

Trzeba było żelaznej siły woli, by nie upaść. Czuł, jak tysiące igieł wbijają mu się w nogę. Ale chociaż uważał, że lord Oliver wypalił z pistoletu w chwili, gdy prawdziwy dżentelmen czekałby, aż od nowa rozpocznie się przerwany pojedynek, Jocelyn Dudley, książę Tresham, nawet przez chwilę nie miał zamiaru zabić, a nawet ranić przeciwnika. Chciał tylko, żeby Oliver oblał się zimnym potem, żeby całe życie przemknęło mu przed oczami, żeby myślał ze strachem, czy ten jeden jedyny raz książę, słynący z celnego oka, ale również znany z tego, że podczas pojedynków z pogardą strzela w powietrze,

postąpi wbrew swym zasadom.

Ledwie wystrzelił i rzucił pistolet na wilgotną murawę, już w całym ciele czuł ukłucia igiełek. Cierpienie ogarnęło go całego i tylko dlatego utrzymywał się na nogach, że za nic w świecie nie chciał dać Oliverowi podstawy do przechwałek, iż udało mu się doprowadzić do tego, że jego przeciwnik upadł na ziemię.

Był też wciąż zły. Właściwie to mało powiedziane. Był wściekły i wyładowałby zapewne wściekłość na Oliverze, gdyby nie uznał, że może ją wyładować na kimś innym.

Odwrócił głowę i zmrużywszy oczy spojrzał tam, gdzie przed chwilą stała kobieta, która krzyczała. To z pewnością jakaś służąca, której wczesnym rankiem polecono coś załatwić; zapomniała o jednej z podstawowych zasad, obowiązujących służbę - że należy pilnować własnego nosa i nie wtykać go w cudze sprawy. Trzeba dać dziewczynie nauczkę, której nigdy nie zapomni.

Dziewczyna wciąż stała jak sparaliżowana, patrząc na niego. Obie ręce przycisnęła do ust, chociaż już przestała krzyczeć. Szkoda, że to kobieta. Miał ochotę wychłostać intruza, zanim zajmą się jego nogą. Bolała go jak diabli!

Zaledwie przed chwilą wypalił z pistoletu i rzucił go na ziemię. Brougham i lekarz biegli w jego stronę. Świadkowie pojedynku rozmawiali podnieceni. Głos jednego dobiegał go wyraźnie.

- Dobra robota, Tresh - wołał wicehrabia Kimble. - Szkoda było

kuli na łobuza.

Jocelyn, nie odrywając wzroku od kobiety stojącej pod drzewami, znów podniósł lewą rękę, a prawą skinął władczo na nieznajomą.

Gdyby była mądra, odwróciłaby się i uciekła. Nie mógł jej teraz gonić, a wątpił, czy ktokolwiek z obecnych skłonny był pobiec za skromną szaro ubraną służącą.

Okazało się jednak, że nie jest mądra. Ruszyła niepewnie w jego stronę, potem przyspieszyła kroku i podeszła blisko.

- Jest pan głupcem! - krzyknęła gniewnie, nie bacząc na swoją mizerną pozycję społeczną i konsekwencje takiego odezwania się do jednego z panów tego świata. - To zupełna bzdura! Czy nie ma pan za grosz szacunku dla swego życia, by wdawać się w głupi pojedynek? Do tego został pan ranny. Właściwie powinnam powiedzieć, że dobrze panu tak.

Zmrużył oczy, uparcie starając się nie zwracać uwagi na pulsujący ból w nodze, który niemal uniemożliwiał mu dalsze stanie na niej.

- Milcz! - rozkazał zimno. - Gdybym zginął tego ranka, na pewno nie ciebie by za to powieszono. A ty nie masz dość szacunku dla swego życia, by nie mieszać się w nie swoje sprawy?

Na jej policzki wystąpiły rumieńce gniewu, ale usłyszawszy jego słowa, zbladła i wpatrywała się w niego wielkimi oczami, mocno zacisnąwszy usta, tak że utworzyły cienką linię.

- Tresham, zajmijmy się twoją nogą, przyjacielu - powiedział

stojący nieopodal sir Conan. - Tracisz krew. Pozwól, że razem z Kimble'em przeniesiemy cię na koc, który lekarz rozłożył na trawie.

- Przeniesiecie mnie? - Jocelyn roześmiał się drwiąco. Nie spuszczał oczu z nieznajomej. - Ty pomożesz mi dojść na koc - zwrócił się do niej.

- Tresham... - Sir Conan był wyraźnie zirytowany.

- Idę do pracy - powiedziała dziewczyna. - Spóźnię się, jeśli się nie pośpieszę.

Ale Jocelyn już wsparł się na jej ramieniu. I to mocniej, niż zamierzał. Kiedy w końcu zrobił krok i przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, poczuł taki ból, przy którym dotychczasowy wydał się fraszką.

- To wszystko przez ciebie, moja droga - oznajmił ponuro i zrobił kolejny niepewny krok w stronę lekarza. Nagle wydało mu się, że dzieli go od niego ogromna odległość. - I dlatego pomożesz mi i będziesz trzymała język za zębami.

Lord Oliver włożył kamizelkę i frak. Wicehrabia Russell schował jego pistolet i minął Jocelyna, by podnieść z ziemi drugi.

- Byłoby lepiej - zauważyła dziewczyna - gdyby schował pan dumę do kieszeni i pozwolił przyjaciołom pomóc sobie.

Nie zachwiała się pod jego ciężarem. Była dość wysoka i szczupła, ale nie wyglądała na wątłą. Niewątpliwie przywykła do ciężkiej pracy fizycznej i chyba też do szturchańców i razów za zuchwałe zachowanie. Nigdy nie słyszał podobnych słów z ust

służącej.

Niemal zemdłał, nim dotarł na koc, rozłożony przez lekarza na trawie pod dębem.

- Proszę się położyć, wasza książęca mość - polecił doktor. - Zobaczę, jakie odniósł pan obrażenia. Nie podoba mi się ta rana. Stracił pan dużo krwi. Obawiam się, że trzeba będzie amputować nogę.

Lekarz, emerytowany chirurg wojskowy, który przybył na prośbę lorda Olivera, mówił jak golibroda, który znalazł kępkę włosów, różniących się od pozostałych, i zalecał ich wyrwanie. Prawdopodobnie każdą dolegliwość fizyczną leczył puszczeniem krwi i amputowaniem kończyn.

Jocelyn zaklął siarczyście.

- Nie może pan tego ocenić na podstawie pobieżnych oględzin - powiedziała beczelnie służąca - ani głosić takich okropnych twierdzeń.

- Conan, przyprowadź mojego konia. - Jocelyn mocno zacisnął zęby, by zapanować nad bólem, ale nie na wiele się to zdało.

Przyjaciele zebrani wkoło niego zaprotestowali zgodnym chórem.

- Przyprowadzić mu konia? To przecież szaleństwo.

- Tresham, przyjechałem powozem. Wróć nim do domu. Każę woźnicy, żeby tu zajechał.

- Daj spokój, Brougham. Odebrało mu chyba rozum.

- Zuch z ciebie, Tresham. Pokaż im, z jakiej jesteś ulepiony gliny, stary druhu.

- Do kroćset diabłów, przyprowadźcie mojego konia! - wycedził Jocelyn przez zaciśnięte zęby. Tak mocno trzymał się ramienia dziewczyny, że mało nie zmiażdżył jej kości.

- Spóźnię się - denerwowała się nieznajoma. - Z całą pewnością stracę pracę.

- I dobrze ci tak. - W głosie Jocelyna nie było ani cienia współczucia. Jeden z przyjaciół poszedł po konia, choć lekarz zaczął gorąco protestować.

- Dość tego! - rzucił Jocelyn. - Wezwę do Dudley House swojego lekarza. Za bardzo sobie ceni przyszłą karierę, by proponować mi ucinanie nogi. Pomóż mi dosiąść konia, dziewczyno.

Ale nim zdążył się odwrócić, pojawił się przed nim lord Oliver.

- Wiedz, że nie czuję się usatysfakcjonowany, Tresham - powiedział drżącym głosem, jakby to on został ranny - Niewątpliwie wykorzystasz fakt, że dziewczyna odwróciła twoją uwagę, by zniesławić moje dobre imię. I wszyscy będą się ze mnie wyśmiewać, gdy wyjdzie na jaw, że rozmyślnie oddałeś strzał w powietrze.

- To wolałbyś raczej zginąć? - Jocelynowi wydawało się, że śmierć jest czymś jak najbardziej pożądanym. Jeszcze chwila, a straci przytomność, jeśli nie zapanuje nad sobą całą siłą woli.

- W przyszłości trzymaj się z daleka od mojej dziewczyny, jeśli ci

życie miłe - oznajmił lord Oliver. - Następnym razem może nie zgodzę się na pojedynek, ale zastrzelę jak psa, bo tylko na to zasługujesz.

I ruszył, nie czekając na odpowiedź, przy wtórze okrzyków: „Skandal!” wydawanych przez obecnych, z których część niewątpliwie była rozczarowana, że nie zobaczy, jak chirurg da pokaz swoich umiejętności na trawniku w Hyde Parku.

- Mój koń. - Jocelyn znów zacisnął rękę na ramieniu dziewczyny i zrobił kilka kroków w kierunku konia, którego Conan trzymał za uzdę przy samym pysku.

Księżciu z pewnością nie udałoby się dosiąść rumaka, gdyby nie chodziło o jego honor - i gdyby nie pomoc milczącego, ale pełnego dezaprobaty przyjaciela. Jocelyn dziwił się, że jedna mała rana może wywołać tak przejmujący ból. A czekały go gorsze męczarnie. Kula utkwiała w łydce. I mimo tego, co powiedział lekarzowi, wcale nie był pewien, czy nogę da się uratować. Zazgrzytał zębami i wziął od Conana wodze.

- Pojadę z tobą stary durniu - mruknął szorstko przyjaciel.

- A ja pojadę z drugiej strony - zaoferował się wicehrabia Kimble.

- Dzięki temu podtrzymamy cię niezależnie od tego, na którą stronę postanowisz się osunąć. Dobra robota, Tresh, stary druhu. Słusznie przytarłeś nosa temu konowałowi.

Dziewczyna patrzyła uważnie na Jocelyna.

- Spóźniłam się przynajmniej pół godziny - stwierdziła. - A wszystko przez pana, pański głupi zatarg i jeszcze głupszy pojedynek.

Jocelyn sięgnął do kieszeni, ale przypomniał sobie, że wciąż ma na sobie jedynie koszulę, spodnie i buty z cholewami.

- Conan, wyjmij mi z kieszeni fraka suwerena i rzuć go tej pani - powiedział cierpko. - Powinien zawiązką wynagrodzić jej stratę zarobku za pół godziny pracy.

Ale dziewczyna już odwróciła się na pięcie i szła przez trawnik, obruszona.

- Bogu dzięki panny służące nie wyzywają książąt na pojedynki, Tresham - zauważył baron Pottier, spoglądając za nią przez monokl. - Inaczej jutro rano znów musiałbyś się tu zjawić - zachichotał. - I wiesz co, nie postawiłbym na ciebie.

Od tej chwili Jocelyn nie poświęcił jej już ani jednej myśli. Cały skupiony był na sobie - na swym bólu i konieczności dotarcia do domu przy Grosvenor Square, zanim nieprzytomny spadnie z konia.

Jane Ingleby przez dwa tygodnie szukała pracy. Kiedy już pogodziła się z tym, że w całym Londynie nie ma nikogo, do kogo mogłaby zwrócić się o pomoc, i z tym, że nie może wrócić tam, skąd przybyła, gdy dotarło do niej, że niewielka suma pieniędzy, jaką dysponowała, starczy najwyżej na miesiąc, nawet jeśli będzie bardzo oszczędnie gospodarować, zaczęła poszukiwania. Chodziła od sklepu

do sklepu, od agencji do agencji.

W końcu, kiedy szybko topniejące zasoby pieniężne pogłębiły paraliżujący strach, spowodowany innymi przyczynami, znalazła zatrudnienie u modystki. Wiązało się ono z koniecznością wielogodzinnej, nudnej pracy dla grymaśnej pracodawczyni o przykrym usposobieniu, znanej wśród swych klientek jako Madame de Laurent i słynącej z francuskiego akcentu oraz francuskiej skłonności do przesadnej gestykulacji. Prawdę mówiąc, gdy tylko modystka znalazła się w pracowni na zapleczu sklepu, zaczynała się posługiwać najczystszą londyńską gwarą, a wynagrodzenie było żałośnie niskie.

Lecz przynajmniej miała pracę. Co tydzień dostanie dość pieniędzy, by utrzymać się przy życiu i zapłacić czynsz za mały pokój, który znalazła w nędznej dzielnicy.

Pracowała od dwóch dni. A dziś, trzeciego dnia, tak bardzo się spóźniła. Bała się myśleć, co to może oznaczać, chociaż miała przecież usprawiedliwienie. Nie była jednak pewna, czy Madame de Laurent zechce słuchać jakichkolwiek tłumaczeń.

Nie zechciała. W pięć minut po wejściu do sklepu, Jane pospiesznie z niego wyszła.

- Pojedykujący się dżentelmeni - powiedziała Madame, podparłszy się pod boki, kiedy Jane wszystko jej opowiedziała. - Nie urodziłam się wczoraj, kochana. Dżentelmeni już się nie pojedykują

w Hyde Parku. Jadą w tym celu do Wimbledonu.

Jane nie potrafiła podać nazwisk dżentelmenów. Wiedziała jedynie, że ten, który został ranny - ciemnowłosy, arogancki i o przykrym usposobieniu - nazywał się Tresham. I mieszkał w Dudley House.

- Przy Grosvenor Square? Och, Tresham! - wykrzyknęła Madame, wyrzucając ręce w górę. - Cóż, teraz wszystko jasne. Trudno znaleźć większego lekkoducha i ryzykanta od Treshama. To diabeł wcielony.

Jane odetchnęła z ulgą. A więc Madame jednak jej wierzy. Ale pracodawczyni nagle odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się pogardliwie. Rozejrzała się po pracowni i wszystkie dziewczęta, zawsze pragnące się jej przypodobać, wybuchnęły równie pogardliwym śmiechem.

- Chcesz, żebym uwierzyła, że księżę Tresham potrzebował pomocy prostej midinetki, ponieważ dostał kulkę w nogę? - spytała. Pytanie to było czysto retoryczne. Nie czekała na odpowiedź. - Nie rób ze mnie idiotki, złociutka. Zobaczyłaś zbiegowisko, więc przystanęłaś, żeby się pogapić, prawda? Czy zdjęli mu spodnie, by opatrzyć nogę? Nawet rozumiem cię, że się zatrzymałaś, żeby na to popatrzeć.

Dziewczęta znów zachichotały, a Jane zarumieniła się - trochę ze wstydu, a trochę ze złości.

- Uważa pani, że kłamię? - spytała nierozważnie.

Madame de Laurent po prostu zatkało. Przyglądała się jej przez chwilę, nim w końcu powiedziała:

- Tak, panno Mądralińska. Właśnie tak uważam. I nie jesteś mi już potrzebna. Chyba że... - Urwała, by spojrzeć na dziewczęta i uśmiechnęła się kpiąco. - Chyba że przyniesiesz mi liścik, podpisany osobiście przez księcia Tresham, potwierdzający twoją historyjkę.

Dziewczęta roześmiały się, a Jane odwróciła się na pięcie i wyszła z pracowni. Dopiero po kilku krokach uświadomiła sobie, że nawet się nie upomniała o wynagrodzenie za dwa przepracowane dni.

Co teraz? Czy ma wrócić do agencji, dzięki której znalazła zajęcie? Po przepracowaniu zaledwie dwóch dni? Już wcześniej miała trudności ze znalezieniem pracy, nie mogła przecież przedstawić żadnych referencji i pochwalić się doświadczeniem zawodowym. A od braku referencji i doświadczenia jeszcze gorsza jest utrata pracy po dwóch dniach za spóźnienie i kłamstwo.

Ostatnie pieniądze wydała trzy dni temu na jedzenie, które miało jej wystarczyć do dnia wypłaty, i na tanią sukienkę, którą miała na sobie.

Przystanęła nagle na chodniku, ogarnięta paniką i kolana się pod nią ugięły. Co robić? Dokąd iść? Nie miała pieniędzy, nawet gdyby poniewczasie postanowiła odszukać Charlesa. Nie stać jej było nawet na wysłanie listu. I bardzo możliwe, że już jej poszukiwano. Spędziła w Londynie ponad dwa tygodnie, a nie robiła nic, by zatrzeć za sobą

ślady. Ktoś mógł ją śledzić, szczególnie że...

Zbladła na samą myśl o tym.

W każdej chwili spodziewała się ujrzeć znajomą twarz i wypisaną na niej prawdę - że istotnie jest śledzona. W dodatku straciła szansę rozplynięcia się w anonimowym świecie ludzi pracy.

Czy powinna poszukać innej agencji i ukryć to, co robiła przez ostatnich kilka dni? Czy istniały jeszcze jakieś agencje, których nie odwiedziła przynajmniej kilkakrotnie?

Zażywny, spieszący dokądś jegomość wpadł na nią, krzyknął coś ze złością i poszedł dalej. Jane potarła bolące ramię i poczuła, jak wzbiera w niej gniew - nie po raz pierwszy tego dnia. Najpierw rozzłościł ją pojedynkujący się dżentelmen o przykrym usposobieniu - księżę Tresham. Potraktował ją jak przedmiot, jak kogoś, dla którego jedyną racją bytu jest usługiwanie mu. Potem wściekła się na Madame, która zarzuciła jej kłamstwo i boleśnie z niej żartowała.

Czy kobiety z niższych klas są zupełnie bezbronne, nie mają prawa do szacunku?

Ten dżentelmen musi się dowiedzieć, że przez niego straciła zajęcie. Musi się też dowiedzieć, co dla niej znaczy praca - to kwestia życia lub śmierci! A Madame powinna się przekonać, że nie wolno bezpodstawnie oskarżać nikogo o kłamstwo. Cóż to powiedziała kilka minut temu? Że Jane wróci do pracy, jeśli przyniesie liścik, podpisany przez księcia, poświadczający prawdziwość jej opowieści?

No cóż, dostanie swój liścik.

A on go podpisze.

Wiedziała, gdzie mieszka. Przy Grosvenor Square. Wiedziała też, jak tam trafić. Przez pierwsze dni w Londynie, nim zrozumiała swoją samotność, nim ogarnął ją strach, który skłonił ją do poszukiwania kryjówki, niczym ścigane zwierzę, przemierzyła Mayfair wzdłuż i wszerz. Pamiętała, że mieszka w Dudley House przy Grosvenor Square.

Ruszyła przed siebie wielkimi krokami.

Rozdział 2

Hrabia Durbury stawał w hotelu Pulteney Rzadko przyjeżdżał do Londynu i nie miał w mieście domu. Wolałby się zatrzymać w tańszym hotelu, ale trzeba trzymać fason. Miał nadzieję, że jego pobyt w stolicy nie potrwa długo i niebawem znajdzie się w drodze powrotnej do Candleford w Kornwalii.

To, jak długo hrabia zabawi w Londynie, w dużej mierze zależało od stojącego obecnie w saloniku jego apartamentu jegomości, z kapeluszem w ręku, w pozie pełnej uszanowania, ale nie uniżoności. Był to niski, elegancki mężczyzna z wypomadowanymi włosami. Hrabia nie tak wyobrażał sobie detektywa z Bow Street, ale to właśnie jednego z nich miał przed sobą.

- Oczekuję, że wszyscy będą jej szukać - oświadczył hrabia. - Nie powinno to nastęrczyć trudności. Ostatecznie to tylko głupia dziewczyna z prowincji. Nie zna tu nikogo poza lady Webb, która właśnie wyjechała z miasta.

- Za przeproszeniem, sir - zauważył detektyw - zajmujemy się też innymi sprawami. Będę miał jednego albo dwóch pomocników. Zapewniam pana, że znają się na swojej pracy.

- Mam nadzieję, że się znają - powiedział hrabia gderliwym tonem - biorąc pod uwagę, ile im płacę.

Detektyw tylko grzecznie pokiwał głową.

- A teraz proszę mi opisać młodą damę - powiedział.

- Jest wysoka i szczupła - wyjaśnił hrabia. - Ma jasne włosy. I jest za ładna, żeby mogło to służyć jej dobru.

- Ile ma lat?

- Dwadzieścia.

- A więc po prostu uciekła? - Detektyw poczuł się nieco pewniej. - Odniosłem wrażenie, że chodzi o coś poważniejszego.

- I słusznie. - Hrabia zmarszczył brwi. - Ta kobieta to niebezpieczna zbrodniarka. Morderczyni. Zabiła mojego syna - właściwie niemal go zabiła. Jest nieprzytomny i przypuszczalnie umrze. A do tego jest złodziejką. Uciekła, zabierając pieniądze i biżuterię. Musi się znaleźć.

- I stanąć przed sądem - zgodził się detektyw. - A teraz, jeśli można, zadam panu jeszcze kilka pytań o tę młodą kobietę. Czy jest coś szczególnego w jej wyglądzie, jakie ma zwyczaje, gdzie lubi bywać i co lubi robić? Proszę powiedzieć mi wszystko, co mogłoby przyspieszyć poszukiwania.

- Będzie chyba lepiej, jeśli pan usiądzie - odparł hrabia zrzędlawie.

- Jak pana godność?

- Nazywam się Boden - powiedział detektyw. - Mick Boden.

Jocelyn czuł się wystarczająco zamroczony alkoholem. Miał tylko jedno zastrzeżenie - leżał na łóżku, a zwykle wolał pionową pozycję,

gdy był nietrzeźwy - wtedy świat tak bardzo nie wirował wkoło niego.

- Dość! - Uniósł rękę, a przynajmniej tak mu się wydawało, kiedy sir Conan zaproponował mu kolejny kieliszek brandy - Jeśli wyp... wypiję jesz..sze krop...pelkę, stary kon... nował utnie mi nogę, zanim zdążę za... za... protestować. - Miał trudności z mówieniem. I myśleniem.

- Już dałem panu słowo, że bez pańskiej zgody nie amputuję panu nogi, wasza książęca mość - oznajmił sztywno doktor Timothy Raikes, niewątpliwie dotknięty do żywego, że nazwano go konowałem. - Ale zdaje się, że kula utkwiała głęboko. Jeśli uszkodziła kość...

- To ją wy... wy... - Jocelyn skupił się. Gardził birbantami, którym plątał się język. - To ją wyciągnij. - Noga już go tak nie bolała, ale nawet do zamroczonego alkoholem umysłu docierała oczywista prawda, że ilość brandy, którą w siebie wlał, nie uśmierzy bólu podczas wyciągania kuli. Dalsza zwłoka nie miała sensu. - Za... zabieraj się do roboty.

- Zaczekam, aż przyjdzie moja córka - odezwał się niepewnie doktor. - Jest w takich wypadkach niezastąpiona. Posłałem po nią kiedy mnie tu wezwano, ale widocznie wyszła z biblioteki Hookhama, nim dotarł tam posłaniec.

- Do kaduka z twoją córką! - niezbyt grzecznie powiedział

Jocelyn. - Wyciągaj...

Ale Conan mu przerwał.

- A oto i ona. - W jego głosie było słychać wyraźną ulgę.

- Nie, proszę pana - odparł doktor Raikes. - To tylko pokojówka.

Ale musimy się nią zadowolić. Zbliź się tu, dziewczyno. Jesteś wrażliwa? Mdlejesz na widok krwi, jak pokojowiec jego książęcej mości?

- Odpowiedź na obydwie pytania brzmi „nie” - oświadczyła przybyła. - Ale zaszło jakieś nieporo...

- Podejź tu - nie dał jej dokończyć doktor, wyraźnie zniecierpliwiony. - Muszę wyciągnąć kulę z nogi jego książęcej mości. Będziesz mi podawać narzędzia, o które poproszę, i wycierać krew, żebym widział, co robię. Zbliź się. Stań tutaj.

Jocelyn zacisnął obie dłonie na materacu. Przez chwilę mignęła mu pokojówka, która stanęła za Raikesem. Ale zaraz zapomniał o całym świecie, bo poczuł rozdzierający ból. Nie było przed nim ucieczki, kiedy lekarz ciął, macał i coraz głębiej szukał kuli. Conan obydwoma rękami przytrzymał nogę przyjaciela, by nianie poruszył. Jocelyn nie rzucił się jedynie dzięki sile woli. Zacisnął powieki i zęby. Postawił sobie za punkt honoru nie krzyczeć i na tym skupił całą uwagę.

Czas przestał się liczyć. Treshamowi wydawało się, że minęła wieczność, nim usłyszał, jak lekarz oświadczył, że wyjął kulę.

- Mamy ją, Tresham - powiedział Conan takim głosem, jakby właśnie pokonał biegiem dziesięć kilometrów pod górę. - Najgorsze za nami.

- Do kroćset diabłów! - mruknął Jocelyn, wypowiedziawszy wcześniej kilka mniej oględnych uwag. - Raikes, potrzebujesz całego ranka na taką prostą rzecz, jak wyciągnięcie kuli z nogi?

- Starąłem się to zrobić jak najszybciej, wasza książęca mość - odparł lekarz. - Kula utkwiała w ścięgnach. Trudno ocenić uszkodzenia, jakie spowodowała. Ale większy pośpiech z mojej strony z całą pewnością oznaczałby konieczność amputowania nogi.

Jocelyn znów zaklął. A potem poczuł niewysłowioną ulgę, kiedy najpierw do czoła, a potem do obu policzków przyłożono mu zimny, wilgotny okład. Nie wiedział, że jest taki rozpalony. Otworzył oczy.

Natychmiast ją poznał. Ciasno upięte złote włosy, jej usta tworzące cienką linię, jak wtedy w Hyde Parku, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Nie miała teraz na sobie szarej mantylki, jak wtedy, ale to, co nosiła pod nią było równie nieciekawe. Tania, niegustowna szara suknia, wysoko zachodząca na szyję. Mimo wypitego alkoholu, który w znacznym stopniu uśmierzył ból, Jocelyn pamiętał, że leży na swoim łóżku we własnej sypialni w swym londyńskim domu. A dziewczynę widział w Hyde Parku, kiedy szła do pracy.

- Co ty, u diabła, robisz? - spytał ostro.

- Pomagałam tamować krew, a teraz ocieram panu pot -

odpowiedziała i odwróciła się, by wypłukać gałganek w misce z wodą, wyżyć go i ponownie przyłożyć mu do czoła. Zuchwała dziewczucha.

- O, do diaska! - Conan najwyraźniej dopiero teraz ją rozpoznał.

- Kto cię tu wpuścił? - Jocelyn skrzywił się i zaklął, kiedy doktor Raikes posmarował mu czymś ranę.

- Chyba pański kamerdyner - odparła. - Powiedziałam, że przyszedłem do pana, a on przyprowadził mnie tutaj. Dodał jeszcze, że panowie już na mnie czekają. Może powinien mu pan zwrócić uwagę, by bardziej interesował się tym, kogo wpuszcza. Nawet nie spytał, jak się nazywam.

- Nikogo to nie obchodzi! - warknął Jocelyn i mocniej zacisnął rękę na materacu, bo uniesiono mu nogę i poczuł nieznośny ból. Lekarz zaczął bandażować ranę. - Czego, do diabła, chcesz?

- Kimkolwiek pani jest - zaczął nerwowo lekarz - denerwuje pani mojego pacjenta. Może lepiej...

- Chcę - oświadczyła stanowczo, nie zwracając uwagi na doktora - listu z pańskim podpisem, w którym będzie czarno na białym napisane, że dziś rano zatrzymał mnie pan wbrew mojej woli w Hyde Parku, przez co spóźniłam się do pracy.

Jocelyn pomyślał, że musi być bardziej pijany niż mu się wydawało.

- Idź do diabła - powiedział bezczelnej służącej.

- Bardzo prawdopodobne, że tam trafię, jeśli stracę pracę. -
Przyłożyła mu wilgotny gałganek do brody i szyi.

- Może... - odezwał się doktor Raikes.

- Dlaczego mam się przejmować tym, że stracisz pracę i znajdziesz się na ulicy bez środków do życia? - spytał Jocelyn. -
Gdyby nie ty, nie leżałbym tu teraz bezradny jak wieloryb, wyrzucony na brzeg.

- To nie ja celowałam do pana z pistoletu - przypomniała. - To nie ja pociągnęłam za spust. Jeśli pan pamięta, zawołałam, żebyście obaj odłożyli broń.

Jocelyn zaczął się zastanawiać, jak to możliwe, że sprzecza się ze zwykłą panną służącą? We własnym domu? W swojej sypialni?

- Conan, daj jej suwerena, którego nie chciała wcześniej, a potem wyrzuć ją jeśli nie wyjdzie dobrowolnie - zwrócił się szorstko do przyjaciela.

Ale Conan zdążył zrobić tylko jeden krok.

- Z całą pewnością nie wyjdzie dobrowolnie - oznajmiła dziewczyna, prostując się i patrząc gniewnie. Na policzki wystąpiły jej rumieńce. Nie krępowało jej rozzłościć się i okazać złość w jego obecności. - Nie ruszy się stąd, dopóki nie dostanie podpisanego listu.

- Tresham - odezwał się Conan, chyba nieco rozbawiony - zajmie ci to tylko chwilę, stary druhu. Poślę po papier, pióro i kałamarz, a nawet sam napiszę wyjaśnienie, a ty tylko złożysz podpis. Od tego

zależy jej byt.

- Do kroćset diabłów! - krzyknął Jocelyn. - Nawet nie odpowiem na tę propozycję. Może zapuścić korzenie tam, gdzie stoi, póki nie przyjdzie krzepki lokaj i nie wyciągnie jej za uszy. Skończyłeś, Raikes?

Lekarz wyprostował się i zaczął wkładać narzędzia do torby.

- Tak, wasza książęca mość - odparł. - Czuję się w obowiązku ostrzec pana, że kula wyrządziła duże spustoszenia. Mam nadzieję, że przejściowe. Ale z całą pewnością nie miną, jeśli nie będzie pan oszczędzał nogi i przynajmniej przez trzy tygodnie nie będzie leżał, trzymając ją w górze.

Jocelyn patrzył na niego zdumiony. Trzy tygodnie całkowitej bezczynności? Nie wyobrażał sobie niczego gorszego.

- Jeśli nie napisze pan listu z wyjaśnieniem - wtrąciła się dziewczyna - musi mi pan zaproponować pracę w zamian za tę, którą straciłam. Nie mam najmniejszego zamiaru umrzeć z głodu.

Jocelyn odwrócił głowę, by spojrzeć na przyczynę wszystkich swoich niedoli. To był jego czwarty pojedynek. Aż do dziś nie odniósł w żadnym najmniejszego draśnięcia. Oliver spudłowałby, gdyby przez tę dziewczynę Jocelyn się nie odwrócił. Przeciwnik zyskał okazję wycelowania do kogoś, kto nie celował w niego.

- Dobrze - sapnął. - Zatrudnię cię. Na trzy tygodnie. Jako moją pielęgniarkę. Ale wierz mi, nim upłyną te trzy tygodnie, nieraz

będziesz się zastanawiała, czy nie lepiej było głodować, niż przyjąć moją propozycję.

Spojrzała na niego uważnie.

- A jakie dostanę wynagrodzenie? - spytała.

Nazajutrz wczesnym rankiem Jane w pierwszej chwili po przebudzeniu nie wiedziała, gdzie jest. Nie dobiegały jej ryki pijanych mężczyzn, wrzaski kobiet, płacz i kłótnie dzieci. Nie docierał zapach kapusty ani dżinu, do czego już prawie przywykła. Panowała cisza i przyjemny zapach czystości, a ona leżała pod mięciutką kołdrą.

Ale zaraz przypomniała sobie, że jest w Dudley House przy Grosvenor Square. Odrzuciła kołdrę i spuściła nogi na podłogę przykrytą dywanem. Wczoraj zrezygnowała z wynajmowania pokoju i zabrała skromny dobytek, po czym zapukała do drzwi dla służby w Dudley House. Spodziewała się, że trafi do pokoju na poddaszu, gdzie zamieszka razem z innymi służącymi. Ale gospodyni powiedziała, że w domu jest komplet personelu i nie ma ani jednego wolnego łóżka. Dlatego pielęgniarka jego książęcej mości została umieszczona w pokoju gościnnym.

Pokój ten był wprawdzie mały, okna wychodziły na ogród za domem, ale Jane wydał się wprost luksusowy w porównaniu z tym, w którym mieszkała ostatnio. Przynajmniej było tu cicho. I przytulnie.

Nie widziała swego nowego chlebodawcy od wczorajszego ranka, kiedy tak zuchwale - i w odruchu rozpaczny - zażądała, by ją zatrudnił, jeśli nie chce jej pomóc utrzymać dotychczasowego zajęcia. Po jej wyjściu zażył laudanum, które gospodyni ukradkiem i bez jego wiedzy dołąła mu do gorącej herbaty. W połączeniu z morzem wypitego alkoholu lekarstwo wywołało gwałtowne torsje, po czym księżę zapadł w głęboki sen.

Jane przypuszczała, że rano będzie mu dokuczał dotkliwy ból głowy, nie mówiąc już o bólu w nodze. Wiedziała, że tylko wyjątkowym umiejętnościom swego lekarza zawdzięczał to, że dziś nadal miał obie nogi.

Umyła się w zimnej wodzie, pospiesznie ubrała i rozczesała włosy, które następnie splotła i zwinęła w ścisły węzeł z tyłu głowy. Wcisnęła na nie jeden z dwóch białych czepków, kupionych wczoraj za pieniądze zarobione u modystki. Poszła do niej, by złożyć wymówienie i oświadczyć, że została zatrudniona przez księcia Tresham. Madame de Laurent zapłaciła jej za przepracowane dni. Jane podejrzewała, iż modystka zrobiła to tylko dlatego, że była zbyt zdumiona, by odmówić.

Wyszła z pokoju i skierowała się do kuchni, mając nadzieję, że dostanie tam coś do jedzenia, nim zostanie wezwana do pielęgnowania księcia.

Wczoraj zapewnił ją, że pożałuje, iż zgodziła się u niego

pracować. Nie wątpiła, że księżę postara się zrobić wszystko, by jej uprzykrzyć życie. Trudno było spotkać bardziej aroganckiego, kapryśnego i opryskliwego człowieka. Wczoraj można to było jednak usprawiedliwić nadzwyczajnymi okolicznościami. Ze stoickim spokojem znosił ból, tylko nie potrafił zapanować nad językiem. Poniewierał wszystkimi, którzy znaleźli się w zasięgu jego głosu.

Ciekawiło ją co będzie należało do jej obowiązków. Cóż, pomyślała, kiedy wszedłszy do kuchni zorientowała się ku wielkiemu zaskoczeniu, że wstała chyba najpóźniej z całej służby, przynajmniej praca nie będzie tak monotonna, jak u Madame de Laurent. A zarobi dwa razy więcej, nie musząc ani grosza wydawać na jedzenie i zakwaterowanie.

Jedynym minusem było to, że zatrudniono ją tylko na trzy tygodnie.

Po przebudzeniu Jocelyn stwierdził, że z nogi promieniuje pulsujący ból. Półmrok panujący w pokoju wskazywał, że musi być albo wczesny ranek, albo późny zmierzch; Jocelyn stawiał raczej na to pierwsze. Przespał wieczór i noc, dręczony koszmarami sennymi i wcale nie czuł się wypoczęty. Wprost przeciwnie.

Wolałby skoncentrować się tylko na przejmującym bólu w nodze. Nawet nie chciał myśleć o stanie swej głowy. Wydawało mu się, że jest przynajmniej kilkanaście razy większa niż zazwyczaj, a do tego

czuł się tak, jakby ktoś w nią bębnił, i to od środka. Lepiej też w ogóle zignorować żołądek. Jeśli chodzi o usta... równie dobrze mógł w nich mieć watę nasączoną jakąś substancją o ohydny smaku.

Być może jedyną pozytywną stroną tych przygnębiających odczuć było to, że prawdopodobnie nie miał gorączki. Po wszelkich interwencjach chirurgicznych chorzy częściej umierali z powodu wysokiej gorączki niż w wyniku samej rany.

Jocelyn niecierpliwie szarpnął za sznur dzwonka przy łóżku, a potem wyładował złość na pokojowcu, który nie przyniósł wody do golenia.

- Myślałem, że dziś rano wasza książęca mość zechce pozostać w łóżku - próbował się tłumaczyć służący.

- Myślałeś? Czy płacę ci za myślenie, Barnard?

- Nie, wasza książęca mość.

- W takim razie przynieś wodę do golenia - polecił Jocelyn. - Mam brodę jak tarka.

- Tak jest, wasza książęca mość - odparł Barnard. - Pan Quincy chciałby wiedzieć, kiedy może się z panem zobaczyć.

- Quincy? - Jocelyn zmarszczył czoło. Jego sekretarz chciał się z nim zobaczyć? - Tu? W mojej sypialni? A dlaczego miałbym go przyjąć tutaj?

Barnard spojrzał na swego pana wyraźnie zaniepokojony.

- Zalecono waszej książęcej mości oszczędzanie nogi przez trzy

tygodnie - przypomniał.

Czyżby naprawdę spodziewano się, że przez trzy tygodnie pozostanie w łóżku? Czy wszystkim naraz odebrało rozum? Używając barwnych określeń, poinformował nieszczęsnego pokojowca, co myśli o radach lekarzy, lokajów, sekretarzy i służby w ogólności, a także o wtrącaniu się w nie swoje sprawy. Odrzucił kołdrę, spuścił nogi z łóżka - i skrzywił się.

Wtedy przypomniał sobie jeszcze coś.

- Gdzie jest ta przekłeta dziewczyna? - spytał. - Ta, która właśnie lubi wścibiać nos w cudze sprawy? O ile dobrze pamiętam, zatrudniłem ją jako pielęgniarkę. Przypuszczam, że wciąż śpi? Czekaj, aż podadzą jej śniadanie do łóżka?

- Jest w kuchni, wasza książęca mość - oznajmił Barnard - i czeka na rozkazy.

- Chce mnie tu pielęgnować? - Jocelyn roześmiał się krótko. - Myślisz, że czekam, aż mi zaczną przykładać do czoła zimne okłady i działać mi na nerwy niewyparzonym językiem?

Pokojowiec był na tyle rozsądny, by nie odpowiedzieć.

- Niech pójdzie do biblioteki - powiedział Jocelyn. - Przyjdę tam po śniadaniu. A teraz przynieś wodę do golenia. I jak się tu znów pojawisz, nie chcę widzieć tej miny pełnej dezaprobaty.

Pół godziny zajęło mu mycie i golenie, włożenie koszuli i cierpliwe siedzenie przed lustrem, kiedy Barnard wiązał mu na szyi

chustkę tak, jak lubił - skromnie, nie na żadne wymyślne węzły, jakie widziało się u dandysów. Ale musiał pogodzić się z tym, że nie ma mowy o włożeniu spodni. Może gdyby moda nie wymagała, by ta część garderoby była obcisła, rzecz inaczej by się przedstawiała. Ale nie można lekceważyć mody. Nie miał ani jednej pary spodni, które nie opinałyby mu nóg jak druga skóra. Włożył więc długi do kostek szlafrok z jedwabnego brokatu koloru wina i ranne pantofle.

Pozwolił też znieść się po schodach silnemu, młodemu lokajowi, który starał się zachować obojętną minę, tak że można by go wziąć za manekin.

Ale Jocelyn dotkliwie odczuwał własną bezradność. Po śniadaniu, kiedy przejrzał gazety, znów niemal zanesiono go do biblioteki. Usiadł w skórzanym fotelu przed kominkiem, a nie za biurkiem, jak to miał w zwyczaju.

- Michael - powiedział do swego sekretarza - ani słowa na temat tego, gdzie powinienem być i co powinienem robić. Ani słowa, jeśli cenisz sobie swoją posadę.

Lubił Michaela Quincy'ego, młodzieńca dwa lata od niego młodszego, którego zatrudniał od czterech lat. Michael był spokojny, kompetentny i pełen uszanowania, ale nie uniżony. Nawet odważył się uśmiechnąć.

- Poranna poczta leży na biurku, wasza książęca mość - poinformował. - Podam ją panu.

Jocelyn zmrużył oczy.

- A ta dziewczyna - powiedział. - Barnard miał ją tu przysłać. Pora, żeby zapracowała na swoją pensję. Każ jej tu przyjść, Michael. Jestem wystarczająco poirytowany, by rozkoszować się jej towarzystwem.

Sekretarz nie mógł powstrzymać uśmiechu, wychodząc z biblioteki. Jocelyn doszedł do wniosku, że głowa zrobiła mu się jeszcze większa niż wcześniej.

Kiedy dziewczyna weszła do pokoju, od razu stało się oczywiste, że postanowiła tego ranka zachowywać się jak potulna owieczka. Na dole już rozeszła się wieść, że księżę jest dziś w szczególnie drażliwym nastroju. Stała na progu biblioteki, ręce splotła przed sobą i czekała na polecenia, co jeszcze bardziej zirytowało Jocelyna. Przez parę minut udawał, że jej nie widzi, próbując odcyfrować długi, pokreślony list, napisany przez jego siostrę, która okropnie bazgrała. Mieszkała zaledwie dziesięć minut drogi od niego, ale dowiedziawszy się o pojedynku, w stanie wielkiego poruszenia postanowiła napisać list. Zdaje się, że doznała palpacji serca, spazmów i innych dolegliwości, których nazw nie zdołał rozszyfrować. Były jednak na tyle poważne, że wezwano z Izby Lordów Heywarda, jej męża.

Heyward z pewnością nie był z tego zadowolony.

Jocelyn uniósł wzrok. Wyglądała wprost okropnie. Tania, szara suknia, pozbawiona wszelkich ozdób, ta sama, co wczoraj, okrywała

ją szczerze od stóp do głów. Na głowie przypięła dziś biały czepek. Stała wyprostowana. Nie jest wykluczone, pomyślał, taksując ją okiem znawcy, że pod tą suknią wygląda całkiem powabnie, ale trzeba mieć bystry wzrok, by móc się tego domyślić. Przypomniat sobie, że ma złociste włosy, teraz schowane pod czepkiem.

Stała potulnie, ale nie spuściła skromnie wzroku. Przyglądała mu się bacznie.

- Podejdz! - Skinął na nią władczo.

Przeszła przez bibliotekę, aż znalazła się trzy kroki od niego. Nadal śmiało patrzyła zdumiewająco niebieskimi oczami. Jej twarz - stwierdził zaskoczony - odznacza się klasyczną urodą. Nie dostrzegł w niej najmniejszej niedoskonałości. Wczoraj jej usta przypominały cienką linię, dziś były miękkie i ślicznie wykrojone.

- No więc? - odezwał się ostro. - Co mi masz do powiedzenia? Jesteś gotowa mnie przeprosić?

Zastanowiła się chwilę, nim odpowiedziała.

- Nie - powiedziała w końcu. - A czy pan jest gotów przeprosić mnie?

Usiadł prosto w fotelu, starając się nie zwracać uwagi na ból w nodze.

- Wyjašnjmy sobie jedno - oświadczył cichym, niemal miłym głosem, który - o czym dobrze wiedział - sprawiał, że każdy, kto mu służył, z miejsca zaczynał się trząść ze strachu. - Nie jesteśmy pod

żadnym względem ludźmi sobie równymi... - Urwał i zmarszczył czoło. - Jak się właściwie nazywasz?

- Jane Ingleby.

- A więc nie jesteśmy pod żadnym względem ludźmi sobie równymi, Jane - ciągnął. - Ja jestem dżentelmenem, a ty służącą niskiego stanu. Nie oczekuję po tobie, żebyś wszystko, co powiem, kwitowała zuchwałą uwagą. Będziesz się do mnie zwracała z należytych szacunkiem. Każde zdanie będziesz kończyła słowami „wasza książęca mość”. Czy wyrażam się jasno?

- Tak - powiedziała. - Chcę, wasza książęca mość, żeby w mojej obecności wyrażał się pan tak, jak to przystoi w obecności kobiety. Nie lubię, jak ktoś bez przyczyny wzywa imienia Pana Boga albo przeklina.

Wielkie nieba! Jocelyn zacisnął ręce na poręczach fotela.

- Naprawdę? - spytał lodowato. - Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia, Jane?

- Tak - oświadczyła. - Dwie rzeczy. Wolałabym, żeby zwracał się pan do mnie „panno Ingleby”.

Prawą ręką wymacał monokl, wiszący na długiej tasiemce. Uniósł go do oka.

- A ta druga rzecz?

- Dlaczego nie leży pan w łóżku?

Rozdział 3

Jane przyglądała się, jak ksiązę Tresham jedną ręką zakłada na oko monokl, który groteskowo je powiększył, a drugą kładzie na stosie listów, leżących mu na kolanach. Miał bardzo wyniosłą minę, wyraźnie chciał ją onieśmielić. I częściowo mu się to udało. Ale okazanie strachu oznaczałoby koniec wszystkiego.

Cała służba, jak zauważyła Jane podczas śniadania, panicznie bała się księcia, szczególnie kiedy był w złym humorze, jak tego ranka, o czym powiadomił wszystkich jego pokojowiec. Ale ten straszny człowiek prezentował się wspaniale, nawet w rannych pantoflach i szlafroku, spod którego widać było gors białej koszuli i umiejętnie zawiązaną pod brodą chustkę.

Ksiązę był ciemnowłosym mężczyzną o ciemnych oczach, wydatnym nosie, wąskich ustach i pociągłej twarzy, z której zwykle bił cynizm. I arogancja.

Jane doszła do wniosku, że musi mieć jeden ze swych lepszych dni.

Pod biblioteką spotkała pana Quincy'ego, sympatycznego, dobrze wychowanego sekretarza, i postanowiła zachowywać się tak, jak się tego po niej spodziewano - czyli jak cicha, potulna pielęgniarka, szczęśliwa, że ma pracę, nawet jeśli tylko na trzy tygodnie.

Ale trudno nie być sobą - przekonała się o tym prawie miesiąc

temu, płacąc za to wysoką cenę. Poczowała skurcz żołądka, szybko odegnała przykre wspomnienia.

- Słucham? - spytał, wypuszczając monokl z oka.

Pytanie zabrzmiało fałszywie. Była pewna, że księżę nie jest głuchy.

- Lekarz powiedział, że przynajmniej przez trzy tygodnie powinien pan pozostać w łóżku z uniesioną nogą - przypomniała. - A mimo to siedzi pan z opuszczoną nogą która wyraźnie panu dokucza. Świadczy o tym chociażby pańska zacięta mina.

- Moja zacięta mina - powiedział, złowrogo zmrużywszy oczy - jest wynikiem okropnego bólu głowy i pani niesłychanej bezczelności.

Jane puściła te słowa mimo uszu.

- Czy to nie głupota tylko dlatego narażać się na ryzyko - spytała - że leżenie w łóżku byłoby nudne?

Mężczyźni naprawdę są głupcami. W ciągu dwudziestu lat życia poznała kilku takich, jak on - tak bardzo pragnęli uchodzić za prawdziwych mężczyzn, że lekceważyli zdrowie i życie.

Rozsiadł się w fotelu i przyglądał jej w milczeniu, a ona mimo woli poczuła, jak ciarki przechodzą jej po plecach, bo domyślała się, co za chwilę nastąpi. Najprawdopodobniej za dziesięć minut znajdzie się z powrotem na ulicy ze swoim żalonym dobytkiem. A może nawet bez niego.

- Panno Ingleby - Wypowiedział jej nazwisko takim tonem, że zabrzmiało jak najgorsze przekleństwo. - Mam dwadzieścia sześć lat. Od dziewięciu lat, to znaczy od śmierci mego ojca, noszę tytuł księcia i wywiązuję się ze wszelkich obowiązków, jakie on na mnie nakłada. Już dawno nikt nie traktował mnie tak, jakbym był niegrzecznym chłopcem, którego należy skarcić. I jeszcze długo nie pozwolę do siebie mówić takim tonem, jakiego pani użyła przed chwilą.

Nic nie można było na to odpowiedzieć, więc Jane milczała. Złożyła ręce przed sobą i przyglądała się mu uważnie. Doszła do wniosku, że nie jest przystojny. Nic a nic. Ale był niezwykle męski, co czyniło go nieodparcie pociągającym w oczach kobiet, które lubiły być tyranizowane i znieważane. A dobrze wiedziała, że takich kobiet jest wiele.

Ona w każdym razie miała serdecznie dosyć takich mężczyzn. Znowu poczuła lód w żołądku.

- Ale z pewnością ucieszy panią to, że pod jednym względem ma pani rację - ciągnął. - Boli mnie nie tylko głowa. Niewątpliwie siedzenie z opuszczoną nogą, z której dopiero co wyjęto kulę, nie jest wskazane. Ale do kroćset diabłów, nie zamierzam przez trzy tygodnie leżeć plackiem w łóżku tylko dlatego, że podczas pojedynku ktoś odwrócił moją uwagę wystarczająco długo, by mój przeciwnik zrobił mi dziurę w łydce. I prędzej zgniję w piekle, nim pozwolę się znowu upić do nieprzytomności tylko dlatego, żeby ból nie był tak

dokuczliwy. Przed kominkiem w pokoju muzycznym stoi podnózek. Niech go pani przyniesie.

Kiedy się odwróciła, by wyjść z biblioteki, znów zadała sobie pytanie, co będzie należało do jej obowiązków przez najbliższe trzy tygodnie. Zdaje się, że nie miał gorączki. I z całą pewnością nie zamierzał grać roli bezradnego kaleki. Pielęgnowanie go, bieganie i przynoszenie mu różnych rzeczy nie wypełni jej całego dnia. Prawdopodobnie gospodyni zostanie poinstruowana, by znaleźć dla niej jakieś inne zajęcia. Jane nie miała nic przeciwko temu, o ile nie pociągnie to za sobą konieczności pokazywania się gościom, którzy zawitają do domu. Było rzeczą wielce nierozsądną pojawić się w Mayfair, zapukać do drzwi okazałej rezydencji przy Grosvenor Square i zażądać pracy. Nie powinna pokazywać się publicznie.

Ale kiedy otworzyła drzwi do sąsiadującego z biblioteką pokoju muzycznego, musiała przyznać w duchu, że to ogromna przyjemność znów znaleźć się w czystych, eleganckich, przestronnych pomieszczeniach.

Podnózek nie stał przed kominkiem.

Jocelyn obserwował wychodzącą Jane i zauważył, że trzyma się prosto i porusza z wdziękiem. Musiał być wczoraj zupełnie zamroczony pomyślał, żeby wziąć ją za pannę służącą nawet jeśli potem się okazało, że rzeczywiście pracuje u modystki. Niewątpliwie dużą rolę odegrał ubiór, miała na sobie tanią i tandetną suknię. W

dodatku co najmniej o numer za dużą.

Lecz z pewnością nie była służącą. I o ile się na tym znał, nie wychowywano jej, by spędzała dni w pracowni modystki. Wyrażała się jak prawdziwa dama.

Dama, która znalazła się w trudnym położeniu?

Długo nie wracała. Kiedy się w końcu pojawiła, w jednym ręku niosła taboret, a w drugim - dużą poduszkę.

- Czy musiała pani iść na drugi koniec miasta po ten taboret? - spytał ostro. - A potem czekać, aż go zrobią?

- Nie - odparła spokojnie. - Ale nie stał tam, gdzie pan powiedział. W ogóle nie było go w pokoju muzycznym. Przyniosłam też poduszkę, bo taboret jest dość niski.

Postawiła taboret na podłodze, położyła na nim poduszkę i przyklęknęła na jedno kolano, by unieść księciu nogę. Bał się, że jeszcze bardziej zacznie go boleć. Ale chociaż dziewczyna miała silne ręce, potrafiła też być delikatna. Prawie nie poczuł dodatkowego bólu. Może, pomyślał, powinien też oddać głowę w jej ręce. Zacisnął usta, żeby się nie roześmiać.

Rozchylone poły szlafroka ukazały bandaż, wpijający się w zaczerwienioną łydkę. Księżę zmarszczył czoło.

- Widzi pan? - powiedziała Jane Ingleby, uśmiechając się lekko. - Noga spuchła i na pewno boli dwa razy więcej, niż musi. Naprawdę powinien ją pan trzymać w górze, jak zalecono, bez względu na to,

jakie to dla pana niewygodne i irytujące. Przypuszczam, że uważa pan za niemęskie okazywanie wszelkiej słabości. Mężczyźni potrafią być takimi głuptasami.

- Czyżby? - spytał lodowato, patrząc z niesmakiem na jej nowiutki czepek. Nie wiedział, dlaczego już dziesięć minut temu na dobre nie odprawił bezczelnej dziewczyny. Nie miał pojęcia, dlaczego w ogóle ją zatrudnił, przecież uważał, że właśnie przez nią stało się to, co się stało. Była okropna i zanim miną trzy tygodnie, zadreczy go na śmierć, bawiąc się nim jak kot myszką.

Ale poza nią mógł go pielęgnować tylko Barnard, blednąc jak prześcieradło za każdym razem, kiedy jego wzrok padnie na bandaż, którym owinięta była noga jego pana.

Poza tym, doszedł do wniosku Jocelyn, przyda mu się jakaś podnieta dla umysłu, kiedy będzie uwięziony we własnym domu. Nie mógł wymagać od przyjaciół i rodziny, by koczowali w jego salonie, stale dotrzymując mu towarzystwa.

- Tak.

- Wyprostowała się i spojrzała na niego z góry. Zauważył, że ma nie tylko śliczne niebieskie oczy, ale że okalają je grube, długie rzęsy, kilka odcieni ciemniejsze od niemal całkowicie schowanych włosów. Były to oczy, w których każdy mężczyzna chętnie by utonął, gdyby nie okropny charakter dziewczyny i jej mało pociągający wygląd. Usta jej się chyba nigdy nie zamykają.

- Należy zmienić bandaż - stwierdziła Jane. - Ten opatrunek założył wczoraj rano doktor Raikes. O ile się nie mylę, powiedział, że przyjdzie dopiero jutro. Nie można tak długo trzymać jednego opatrunku, nawet gdyby noga nie spuchła. Opatrzę panu ranę.

Nie chciał, by ktokolwiek zbliżał się do jego nogi i dotykał bandaża. Ale wiedział, że to tchórzostwo. Poza tym opatrunek naprawdę go uciskał. No i ostatecznie zatrudnił ją jako pielęgniarkę. Niech więc zapracuje na swoje wynagrodzenie.

- Na co pani czeka? - spytał z irytacją. - Na pozwolenie? Czyżby uznała pani za konieczne uzyskać moją zgodę na zastąpienie jednego z najwybitniejszych londyńskich lekarzy i znęcanie się nad moją nogą panno Ingleby? - Był zły, że nie postawił na swoim i nie zwraca się do niej po imieniu. Jane to takie niewinne imię. Zupełnie nie pasuje do tego potwora o niebieskich oczach, który patrzy na niego ze stoickim spokojem.

- Nie zamierzam znęcać się nad pańską nogą wasza książęca mość - oznajmiła - a jedynie zadbać, by lepiej się pan poczuł. Nie sprawię panu bólu. Obiecuję.

Położył głowę na oparciu fotela i zamknął oczy. Szybko je zaraz otworzył. Ból głowy - przynajmniej ten, który go męczył, odkąd parę godzin temu się obudził - nasilał się, kiedy zaciskał powieki.

Zauważył, że cicho zamknęła za sobą drzwi, tak jak wtedy, kiedy wyszła na poszukiwanie podnóżka. Dzięki Bogu i za to. Gdyby

jeszcze powstrzymała się od mówienia...

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Jane poczuła, że robi to, na czym się zna. Wolno i ostrożnie odwinęła bandaż. Rana początkowo trochę krwawiła i opatrunek się przykleił. Jane spojrzała na księcia, odrywając gazę.

Nawet się nie skrzywił, chociaż musiało go zboleć. Siedział pochylony w fotelu, podparłszy głowę ręką, i przyglądał się jej spod na pół przymkniętych powiek.

- Przepraszam - powiedziała. - Opatrunek przykleił się do rany.

Lekko skinął głową, a ona zaczęła przemywać ranę ciepłą wodą.

Następnie zasypała ją środkiem przeciwbólowym, znalezionym w apteczce gospodyni.

Pielęgnowała swego ojca podczas długiej choroby. Zmarł półtora roku temu. Biedny tatuś. Nigdy nie cieszył się dobrym zdrowiem, a po śmierci żony stracił wolę życia, bez walki poddał się chorobie. Pod koniec Jane wyręczała go we wszystkim. Bardzo wychudł. Księżę natomiast był zdrowy i silny.

- Jest pani w Londynie od niedawna, prawda? - spytał niespodziewanie.

Spojrzała na niego. Miała nadzieję, że księżę nie zacznie się zabawiać, wypytyując ją o przeszłość. Niestety nadzieja ta okazała się płonna.

- Skąd pani przyjechała? - spytał.

Co powinna powiedzieć? Brzydziła się kłamstwem, ale nie mogła wyznaczyć prawdy.

- Z daleka.

Skrzywił się, kiedy zasypywała ranę. Ale było to konieczne, żeby zapobiec zakażeniu, które mogłoby w rezultacie doprowadzić do amputowania nogi. Opuchlizna niepokoiła Jane.

- Jest pani damą - powiedział i było to stwierdzenie, nie pytanie.

Próbowała wcześniej mówić z akcentem prostych ludzi, ale efekt był groteskowy. Próbowała używać potocznego języka, żeby brano ją za przedstawicielkę niższych klas. Ale chociaż wyraźnie słyszała ich akcent, nie potrafiła go naśladować. W końcu zaniechała prób.

- Nie - zaprzeczyła. - Odebrałam jedynie staranne wychowanie.

- Gdzie?

Już wcześniej posłużyła się tym kłamstwem. Posłuży się nim i teraz, bo z miejsca ucinano dalsze pytania.

- W sierocińcu - odparła. - Dobrym. Przypuszczam, że byłam córką człowieka, który nie mógł mnie uznać za swoje dziecko, ale stać go było, by mi zapewnić odpowiednie wychowanie.

Och, tatusiu, pomyślała. I mamusiu. Darzyli ją, jedynaczkę, bezgraniczną miłością, i przez szesnaście lat dorastała w kochającej się, szczęśliwej rodzinie. Dołożyliby wszelkich starań, by wydać ją za mąż za jakiegoś miłego dżentelmena, gdyby śmierć nie zabrała ich z

tego świata.

- Hmm - mruknął jedynie książę Tresham.

Miała nadzieję, że więcej nie wróci do tego tematu. Owinęła mu nogę świeżym bandażem starannie, ale na tyle luźno, by nie wpijał mu się w ciało.

- Ten taboret jest za niski nawet z poduszką. - Ściągnęła brwi i rozejrzała się wkoło. W kącie biblioteki dostrzegła szezlong. - Spodziewam się, że strasznie mnie pan zbeszta, jeśli zaproponuję, by położył się pan na nim - powiedziała, wskazując mebel. - Zachowałby pan swoją męską dumę, pozostając w bibliotece, ale mógłby pan wyciągnąć nogę i trzymać ją lekko uniesioną gdybym podłożyła pod nią poduszkę.

- Chce mnie pani postawić do kąta, panno Ingleby? - spytał. - Może jeszcze twarzą do ściany?

- Przypuszczam, że szezlong nie jest na stałe przymocowany do podłogi - stwierdziła. - Chyba można go postawić tam, gdzie to panu odpowiada. Może blisko kominka?

- Niech diabli wezmą kominek - odparł. - Każę go przysunąć bliżej okna. Komuś silniejszemu od pani. Nie chcę, żeby przeze mnie cierpiała pani na kręgosłup, nawet jeśli można by to uznać za sprawiedliwość losu. Koło kominka jest sznur od dzwonka. Niech go pani pociągnie.

Lokaj przepchnął mebel pod okno. Ale to na ramieniu Jane wsparł

się księżę, by kuśtykając przejść od fotela do szezlonga. Oczywiście kategorycznie się nie zgodził, by go przeniesiono.

- Nawet nie chcę o tym słyszeć - oznajmił, kiedy to zaproponowała. - Pozwolę się nieść dopiero w trumnie, panno Ingleby. Do tego czasu o własnych siłach będę się przemieszczał z miejsca na miejsce, nawet jeśli muszę korzystać z czyjejś pomocy.

- Zawsze był pan taki uparty? - spytała Jane. Lokaj otworzył usta ze zdumienia i patrzył się na nią tak, jakby się spodziewał, że za chwilę razi ją grom.

- Należę do rodu Dudleyów - oświadczył księżę Tresham, co miało stanowić wystarczające wytłumaczenie. - Jesteśmy uparci od chwili poczęcia. Podobno już w brzuchu matki kopiemy wyjątkowo silnie, a przychodząc na świat, sprawiamy jej wiele cierpienia. Ale to dopiero początek.

Jane zrozumiała, że księżę stara się ją zaszokować. Wpatrywał się w nią ciemnymi oczami, które z bliska okazały się ciemnobrązowe. Głupiec. Odkąd skończyła czternaście lat, asystowała przy narodzinach wielu dzieci. Matka od maleńkości wpajała jej, że służenie innym stanowi nieodłączną część życia ludzi uprzywilejowanych.

Było mu znacznie wygodniej, kiedy już się ułożył, a pod nogę wsunięto mu poduszkę. Jane cofnęła się, oczekując, że zostanie zwolniona, a przynajmniej odesłana do gospodyni, by czekać na

dalsze polecenia.

Lokaj już został odprawiony. Ale księżę nadal przyglądał jej się bardzo uważnie.

- A więc, panno Ingleby jak zamierza mnie pani zabawiać przez najbliższe trzy tygodnie? - spytał.

Jane ogarnął niepokój. Mężczyzna był unieruchomiony i w tonie jego głosu nie wyczuła niczego podejrzanego. Ale miała powody by nie ufać nudzącym się dżentelmenom.

Na szczęście nim zdążyła zastanowić się nad odpowiedzią drzwi do biblioteki otworzyły się. I bynajmniej nie cicho, jak wtedy, kiedy wchodził pokojowiec czy pan Quincy Prawdę powiedziawszy, ich otwarcia nie poprzedziło nawet grzeczne pukanie. Drzwi zostały pchnięte tak gwałtownie, że uderzyły w stojącą za nimi szafkę. Do środka weszła kobieta.

Jane ogarnęła panika. Ujrzała młodą i niezwykle modnie ubraną damę, choć można było mieć zastrzeżenia do jej gustu. Jane nie znała jej, ale i tak w jednej chwili zrozumiała, jaką lekkomyślnością jest jej pobyt w tym miejscu. Gdyby gość został zapowiedziany, zdążyłaby się niepostrzeżenie wyślizgnąć. Ale teraz nie pozostawało jej nic innego, jak tylko zostać tam, gdzie stała, najwyżej nieco usunąć się na bok i mieć nadzieję, że nie zwróci na siebie uwagi, stojąc w kącie na lewo od okna.

Młoda dama wtargnęła do pokoju niczym gwałtowny podmuch

wiatru.

- Zdaje się, że poleciłem, by dziś rano nikt mnie nie niepokoił - mruknął książę.

Ale przybyłej nie zraziła ta uwaga.

- Tresham! - wykrzyknęła. - Żyjesz! Nie mogłam uwierzyć, dopóki nie przekonam się na własne oczy. Gdybyś wiedział, co wycierpiałam wczoraj, nigdy byś tego nie zrobił. Dziś rano Heyward udał się do Izby Lordów, nie zważając na stan moich nerwów. Zapewniam cię, że przez całą noc ani na chwilę nie zmrużyłam oka. Uważam, że lord Oliver zachował się wielce niestosownie, strzelając do ciebie. Skoro lady Oliver okazała się na tyle niedyskretna, by pozwolić mu się zorientować, że jest twoją kochanką a on jest na tyle głupi, by wyzwać cię na pojedynek, i to do tego w Hyde Parku, co jest jednoznaczne z obwieszczeniem całemu światu, że jest rogaczem, to jemu należała się kulka. Ale mówią że ty strzeliłeś w powietrze, co świadczy o tym, że jesteś dżentelmenem. Chociaż twój przeciwnik zasłużył sobie na śmierć. Wtedy oczywiście by cię powiesili, gdybyś nie był księciem. Musiałbyś uciekać do Francji, a Heyward miał czelność oświadczyć mi, że nie pozwoliłby mi pojechać do Paryża, by cię tam odwiedzić. A przecież każdy wie, że to najmodniejsza stolica świata. Czasem się zastanawiam, dlaczego właściwie za niego wyszłam.

Książę Tresham podparł głowę jedną ręką Podniósł drugą kiedy

kobieta urwała, by zaczerpnąć tchu.

- Wyszłaś za niego, Angelino - powiedział - ponieważ ci się podoba, jest hrabią a przy tym człowiekiem niemal tak bogatym, jak ja. Ale głównie dlatego, że ci się spodobał.

- Tak. - Uśmiechnęła się i wtedy okazało się, że jest uroczą młodą damą mimo swego podobieństwa do księcia. - To prawda. Jak się czujesz, Treshamie?

- Mimo pulsującego bólu w nodze i wrażenia, że za chwilę pęknie mi głowa, wyjątkowo dobrze, Angelino - oświadczył. - Usiądź, proszę.

Ostatnie słowa wypowiedział z wyraźną ironią ponieważ już siedziała na krześle, stojącym w pobliżu szeslonga.

- Zanim wyjdę - powiedziała - polecę służbie, żeby nie wpuszczala nikogo poza rodziną. Z całą pewnością twój stan nie pozwala ci przyjmować gości, którzy zamęczaliby cię swoim gadaniem, moje biedactwo.

- Hmm - mruknął i Jane zauważyła, że założył monokl na oko. Nagle zrobił jeszcze bardziej obolałą minę niż wcześniej. - Cóż za szkaradny kapelusz - powiedział. - W musztardowym kolorze? Do tego z różowym odcieniem? Jeśli w przyszłym tygodniu masz zamiar iść w nim na śniadanie do lady Lovatt, pragnę cię poinformować, że nie będę ci mógł towarzyszyć, co mi sprawia niewysłowioną ulgę.

- Heyward powiedział - ciągnęła młoda dama, pochyliwszy się do

przodu i puszczając mimo uszu opinię o złym guście, jeśli chodzi o dobór kapeluszy - że lord Oliver ogłasza wszystkim, iż nie czuje się usatysfakcjonowany, ponieważ nawet nie próbowałeś do niego strzelać. Potrafisz sobie wyobrazić coś tak idiotycznego? Bracia lady Oliver też nie czują się usatysfakcjonowani, a wiesz, jacy oni są. Mówią chociaż o ile mi wiadomo, żaden z nich przy tym nie był, że nie stałeś bez ruchu, uniemożliwiając lordowi Oliverowi zabicie ciebie. Ale jeśli cię wyzwą na pojedynek, nie wolno ci się na to zgodzić. Miej wzgląd na moje nerwy.

- W tej chwili, Angelino, myślę przede wszystkim o własnych nerwach - zapewnił księżę.

- Cóż, może ucieszy cię to, że i tak całe miasto mówi o tobie - oświadczyła. - Podobno okazałeś się dzielny, wracając do domu na koniu, chociaż zostałeś trafiony w nogę. Szkoda, że tego nie widziałam. Przynajmniej przestali gadać o tej nudnej sprawie Hailshama i tym zdarzeniu w Kornwalii. Czy to prawda, że jakaś żebraczka zaczęła krzyczeć i odwróciła twoją uwagę?

- Niezupełnie żebraczka - powiedział. - Stoi tam pod oknem. Poznaj pannę Jane Ingleby.

Lady Heyward obróciła się na krześle i ze zdumieniem spojrzała na Jane. Najwyraźniej nie zauważyła, że w pokoju jest jeszcze ktoś poza nią i jej bratem. Zasłony nie stanowiły wprawdzie wystarczającej kryjówki, ale Jane ubrana była jak służąca. Dopiero

teraz uświadomiła sobie, że dzięki temu stawiała się niemal niewidoczna.

- To ty, dziewczyno? - spytała lady Heyward tonem takiej wyższości, że jeszcze bardziej stała się podobna do księcia. Jane przypuszczała, że nie mogła być starsza od niej więcej niż o rok, dwa.

- Dlaczego tu stoisz? Tresham, kazałeś ją wychłostać?

- Jest moją pielęgniarką - wyjaśnił. - I woli, jak się do niej zwracać „panno Ingleby”, a nie „dziewczyno”. - W jego głosie przebijała pozorna potulność.

- Naprawdę? - Młoda dama nie kryła zdumienia. - Dziwne. Ale muszę lecieć. Dwadzieścia minut temu miałam się spotkać w bibliotece z Marthą Griddles. Ale najpierw musiałam przyjść tutaj, żeby cię trochę pocieszyć.

- Ostatecznie, od czego są siostry? - mruknął książę.

- No właśnie. - Pochyliła się nad nim i pocałowała powietrze obok jego lewego policzka. - Prawdopodobnie później wpadnie do ciebie Fer-die. Był oburzony tym, że bracia lady Oliver próbowali cię wczoraj oczernić. Zamierzał sam wyzwać ich na pojedynek - wszystkich po kolei. Ale Heyward powiedział, że tylko zrobiłby z siebie durnia - przysięgam, Tresham, że dokładnie tak się wyraził. Nie rozumie zapalczywości Dudleyów - Westchnęła i opuściła pokój równie gwałtownie, jak się w nim pojawiła, zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi.

Jane nie ruszyła się ze swojego miejsca. Bała się i czuła się bardzo samotna.

O czym to plotkowano w salonach, o czym siostra księcia Tresham wspomniała mimochodem? Przynajmniej przestali gadać o... o tym zdarzeniu w Kornwalii.

O jakim zdarzeniu w Kornwalii?

- Zdaje mi się - oświadczył książę - że pilnie potrzebuję karafki z brandy, panno Ingleby. I nie rękę za siebie, jeśli zwróci mi pani uwagę, że alkohol tylko wzmoże już i tak nieznośny ból głowy. Niech pani przyniesie karafkę.

- Tak jest, wasza książęca mość. - Jane nie była w nastroju do sprzeciwiania się komukolwiek.

Rozdział 4

Lord Ferdynand Dudley przyszedł niespełna godzinę po wyjściu lady Heyward. Tak jak siostra gwałtownie pchnął drzwi do biblioteki, aż uderzyły w stojącą w pobliżu szafę na książki, i niezapowiedziany wtargnął do środka.

Jocelyn skrzywił się i na widok brata pożałował, że kazał już zabrać karafkę z brandy. Właśnie skończył pić gorącą czekoladę, która według zapewnień Jane Ingleby miała dobroczynnie podzielać na jego podrażniony żołądek i bolącą głowę. Jak na razie nie wywarła zbawionego wpływu ani na jedno, ani na drugie.

Zauważył, że Jane znów cofnęła się pod ścianę.

- A niech to wszyscy diabli! - powiedział młodszy brat księcia na powitanie. - Stary Mruk próbował mnie powstrzymać przed wejściem tutaj, Tresham. Potrafisz to sobie wyobrazić? Skąd służącym przychodzą do tych zakutych łbów takie pomysły?

- Zwykle biorą się one z naśladowania chlebodawców - stwierdził Jocelyn.

- Wielki Boże! - Brat zatrzymał się w miejscu. - Naprawdę udajesz ciężko rannego. Mama kładła się na tym szezlongu zawsze, kiedy spędziwszy trzy noce z rzędu na tańcach i grze w karty, uznawała, że jest o krok od śmierci. Chyba nie ma za grosz prawdy w tych plotkach, które krążą?

- Przeważnie dzieje się tak w przypadku wszystkich plotek - odparł od niechcienia Jocelyn. - A które konkretnie masz na myśli?

- Że już nigdy nie będziesz mógł chodzić - oznajmił brat księcia, opadając na krzesło, na którym wcześniej siedziała Angelina. - Że musiałeś stoczyć prawdziwą walkę ze starym Raikesem, żeby nie uciał ci nogi. Naprawdę, Tresham, w dzisiejszych czasach lekarze wolą sięgnąć do torby po piłkę do cięcia kości, niż tracić czas na szukanie kuli w ranie.

- Pragnę cię uspokoić - wyjaśnił mu Jocelyn - że wczoraj nie byłem w stanie z kimkolwiek się mocować, może z wyjątkiem tego półgłówka chirurga, którego Oliver zabrał do Hyde Parku. Raikes wspaniale wywiązał się ze swojego zadania i z całą pewnością będę chodził.

- Właśnie tak powiedziałem - oznajmił Ferdynand, rozpromieniony. - I zapisano to w księdze zakładów w klubie White'a. Postawiłem pięćdziesiąt funtów, że nim minie miesiąc, będziesz walcował u Almacka.

- Przegrasz. - Jocelyn uniósł monokl do oka. - Nigdy nie tańczę walca. I nigdy nie pokazuję się u Almacka. Wszystkie matki natychmiast pomyślałyby, że jestem kawalerem do wzięcia. Ferdynandzie, kiedy zamierzasz zwolnić tego nędznika, mieniącego się twoim pokojowcem, i zatrudnisz kogoś, kto nie będzie cię zaciął przy każdym goleniu? Ferdynand dotknął palcem małej ranki na

brodzie.

- A, o to ci chodzi - odparł. - To moja wina, Tresham. Bez uprzedzenia odwróciłem głowę. Bracia Forbes są żądni twojej krwi. Trzej są wmieście.

Można się było tego spodziewać. Bracia lady Oliver cieszyli się opinią nie mniej krewkich od księcia i jego rodzeństwa. A ponieważ lady Oliver była jedyną siostrą pięciu braci, nawet teraz, trzy lata po jej ślubie z lordem Oliverem, zazdrośnie pilnowali jej honoru.

- Wobec tego będą musieli tutaj przyjść - powiedział Jocelyn. - Nie powinno im to sprawić większych kłopotów, bo zdaje się, że mój kamerdyner wpuszcza do domu każdego bez wyjątku, kto stanie na progu i zastuka kołatką.

- Och, wypraszam sobie! - Ferdynand poczuł się dotknięty. - Nie jestem byle kim, Tresham. I muszę zaprotestować, że nie poprosiłeś mnie na swojego sekundanta ani nawet nie powiedziałeś mi o pojedynku. À propos, słyszałem, że jakaś panna służąca spowodowała całe zamieszanie? Brougham mówi, że potem pojawiła się u ciebie, wdarła się do sypialni i zwymyślała cię, ponieważ straciła pracę. - Zachichotał. - Przypuszczam, że nie ma w tej historyjce za grosz prawdy, ale jest bardzo zabawna.

- Stoi tam, pod oknem - oznajmił Jocelyn i kiwnął głową w kierunku Jane, która od pojawienia się brata księcia stała nieruchomo jak posąg.

- A niech mnie! - Ferdynand zerwał się na równe nogi i spojrzał na nią z najwyższym zainteresowaniem. - Co, u diabła, tu robi? Zrozum, dziewczyno, nie należy się wtrącać do zatargów honorowych. Dżentelmeni załatwiają je między sobą. Mogłaś przyczynić się do śmierci Tre-shama i wtedy z pewnością zawisłabyś na stryczku.

Jocelyn zauważył, że Jane patrzy na Ferdynanda tak, jak zwykle patrzyła na niego. Jeszcze bardziej wyprostowała swoje i tak już proste plecy, zacisnęła usta i spoglądała mu prosto w oczy. Z pewną satysfakcją czekał, aż do niego przemówi.

- Gdyby zginął, to od kuli mężczyzny, z którym się pojedykował - oświadczyła. - I cóż to za głupota nazywać to załatwianiem zatargów honorowych. Chociaż słusznie pan zauważył, że zajmują się tym dżentelmeni. Kobiety są zbyt rozsądne, by bawić się w takie rzeczy.

Lord Ferdynand Dudley, kompletnie zaskoczony, wysłuchał reprimendy udzielonej przez okropnie ubraną służącą.

- Jak widzisz, Ferdynandzie - wyjaśnił Jocelyn z udawanym znudzeniem - ma głowę na karku i na dodatek cięty język.

- A niech mnie! - Brat księcia odwrócił głowę i spojrzał zdumiony na Jocelyna. - Co ona tu robi?

- Conan nie opowiedział ci wszystkiego? - spytał Jocelyn. - Zatrudniłem ją jako pielęgniarkę. Nie widzę potrzeby, żeby reszta

służby musiała znosić moje humory przez najbliższe trzy tygodnie, kiedy będę skazany na siedzenie w domu.

- Do diabła! - wykrzyknął Ferdynand. - Myślałem, że Conan żartuje!

- Nie, nie. - Jocelyn od niechcienia skinął ręką. - Ferdynandzie, przedstawiam ci Jane Ingleby Ale miej się na baczności, gdybyś jeszcze kiedyś w przyszłości miał jej coś do powiedzenia. Nalega, by mówić do niej „panno Ingleby”, a nie „Jane” czy „dziewczyno”. Zgodziłem się na to, by przestała zwracać się do mnie bezosobowo i zaczęła od czasu do czasu tytułować „waszą księżącą mością”. Mój młodszy brat, lord Ferdynand Dudley, panna Ingleby.

Spodziewał się, że dziewczyna dygnie i niemal czekał na to, że Ferdynand wybuchnie. Z pewnością pierwszy raz w życiu przedstawiono go służącej.

Jane Ingleby z wdziękiem skłoniła głowę, a Ferdynand zaczerwienił się, lekko się uklonił i zrobił głupią minę.

- Słuchaj no, Tresham - powiedział - czy rana odebrała ci rozum?

- Zdawało mi się, że już wychodzisz, Ferdynandzie? - spytał Jocelyn, unosząc rękę do czoła. - Mój drogi, chciałbym ci dać kilka rad, chociaż nie wiem, czemu tracę czas, bo Dudleyowie słyną z tego, że nie słuchają niczyich rad. Zostaw braci Forbes mnie. To ze mną mają na pieńku, nie z tobą.

- Przeklęte łotry i zbóje! - Ferdynand najeżył się. - Raczej powinni

sprawić porządne manto swojej siostrze. Nie rozumiem, dlaczego zainteresowałaś się tą głupią gęsią. Gdybym...

- Dosyć! - przerwał mu ostro Jocelyn. - Jesteśmy w obecności... - Już chciał powiedzieć, że są w obecności damy, ale w porę się powstrzymał. - Nie muszę ci się tłumaczyć ze swoich czynów. A teraz bądź tak dobry i zabieraj się stąd. Przy okazji poproś, żeby przyszedł do mnie Hawkins. Spróbuję mu wbić do tępej głowy, że jego dalsza kariera w tym domu zależy od tego, by do końca dnia nie wpuszczał nikogo za próg. Będę bardzo zdziwiony, jeśli przed zapadnięciem zmroku nie pęknie mi głowa.

Lord Ferdynand wyszedł, a minutę czy dwie później do biblioteki wszedł zaniepokojony kamerdyner.

- Najmocniej przepraszam, wasza książęca mość... - zaczął, ale Jocelyn uciszył go podniesieniem ręki.

- Przypuszczalnie potrzebny byłby pułk gwardzistów i bateria artyleryjska, by nie wpuścić lorda Ferdynanda i lady Heyward, kiedy postanowią gdzieś wejść - powiedział. - Ale na dziś już żadnych więcej wizyt, Hawkins. Nawet gdyby sam książę regent raczył mnie odwiedzić. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno?

- Tak, wasza książęca mość. - Kamerdyner skłonił się z szacunkiem i wyszedł, cichutko zamykając za sobą drzwi.

Jocelyn westchnął głośno.

- A teraz, panno Ingleby, niech pani usiądzie koło mnie i powie

mi, jak zamierza mnie pani zabawiać przez najbliższe trzy tygodnie. Miała pani dość czasu, by zastanowić się nad odpowiedzią.

- Owszem, znam najpopularniejsze gry w karty, ale nie gram na pieniądze - powiedziała Jane. Była to jedna z zasad, wpojona jej przez rodziców. W ich domu grając w karty można było stawiać tylko pensy. I przerywano grę, jeśli ktoś przegrał pół korony, czyli dwa szylingi i sześć pensów. - Zresztą i tak nie mam pieniędzy - dodała. - A przypuszczam, że nie sprawia panu przyjemności gra, jeśli stawka nie jest wysoka.

- Jestem zachwycony pani przekonaniem, iż tak dobrze mnie zna - odparł. - A czy gra pani w szachy?

- Nie. - Pokręciła głową. Jej ojciec grywał w szachy, ale miał staroświeckie poglądy, jeśli chodzi o kobiety. Szachy to gra dla mężczyzn, powtarzał z pobłażaniem za każdym razem, gdy prosiła, żeby ją nauczył grać. Jego odmowy odniosły jedynie taki skutek, że jeszcze bardziej pragnęła poznać zasady gry. - Nigdy się nie nauczyłam.

Spojrzał na nią ponuro.

- Zapewne nie umie też pani czytać.

- Ależ naturalnie, że umiem. - Czyżby uważał ją za zupełną ignorantkę? Zbyt późno przypomniała sobie, za kogo chce uchodzić.

- Ależ naturalnie - powtórzył cicho, zmrużywszy oczy. - I

zapewne ma pani ładny charakter pisma. Cóż to był za sierociniec, panno Ingleby?

- Już powiedziałam - odparła. - Z tych lepszych. Spojrzał na nią twardo, ale nie drążył dłużej tematu.

- Co jeszcze pani umie, by móc mnie zabawiać?

- Czy mam rozumieć, że zabawianie pana należy do obowiązków pielęgniarki? - spytała.

- Moja pielęgniarka ma robić wszystko, co każe. - Patrzył na nią tak, jakby widział wszystko, co skrywało ubranie. Stwierdziła, że to spojrzenie ją onieśmiela. - Chyba nie zajmie pani codziennie dwudziestu czterech godzin zmienianie bandażu i podkładanie mi poduszki pod nogę, prawda?

- Nie, wasza książęca mość - przyznała.

- A jednak je i żyje pani za moje pieniądze - przypomniał. - A uważam, że płacę pani całkiem przyzwoicie. Żałuje mi pani odrobiny rozrywki?

- Obawiam się, że bardzo szybko śmiertelnie znudzi pana to, co mam do zaproponowania.

Uśmiechnął się lekko, ale jego rysy nie tylko nie złagodniały, ale stały się jeszcze bardziej złowrogie. Zauważyła, że trzyma w ręku monokl, ale nie uniósł go do oka.

- Zobaczymy - stwierdził. - Niech pani zdejmie ten czepek, panno Ingleby Denerwuje mnie. Jest obrzydliwy i postarza panią

przynajmniej o dziesięć lat. Ile ma pani lat?

- Nie wydaje mi się, wasza książęca mość, żeby mój wiek mógł pana interesować - oświadczyła. - I wolałabym nosić czepek podczas pracy.

- Wolałaby pani? - Nagle stał się wyniosły, ale wcale nie wyglądał groźnie z uniesionymi brwiami. Kiedy znów się odezwał, jego głos zabrzmiał łagodniej. - Niech go pani zdejmie.

Opór był daremny. Ostatecznie aż do wczoraj nie nosiła czepka. Uznała, że to dobry sposób, by nieco odmienić swój wygląd. Pod czepkiem mogła się chociaż częściowo ukryć. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że jej włosy to najbardziej rzucająca się cecha jej wyglądu. Niechętnie rozwiązała wstążkę pod brodą i zdjęła czepek. Ścisnęła go w obu dłoniach, kiedy książę patrzył na jej włosy.

- Można by powiedzieć, panno Ingleby - stwierdził - że to pani największa ozdoba. Jeszcze gdyby nie splatała ich pani tak mocno i nie związała w węzeł... Dlaczego tak bardzo pragnie je pani ukryć? Boi się pani mnie i mojej reputacji?

- Nie wiem, jaką się pan cieszy reputacją - odparła, chociaż nie trzeba było specjalnie wysilać wyobraźni, żeby się tego domyślić.

- Wczoraj wyzwano mnie na pojedynek za romans z mężatką - oznajmił. - To nie pierwszy pojedynek, w którym brałem udział. Słynę z tego, że jestem niebezpiecznym, pozbawionym skrupułów człowiekiem.

- Mówi pan to z taką dumą? - Uniosła brwi.

Usta mu drgnęły, ale trudno powiedzieć, z rozbawienia czy ze złości.

- Mam pewne zasady - oświadczył. - Nigdy nie uwodzę służących. Ani żadnej kobiety, która przebywa pod moim dachem. I nie sypiam z kobietą wbrew jej woli. Czy teraz jest już pani spokojna?

- Całkowicie - powiedziała. - Ponieważ do mnie musi pan zastosować każdą z tych zasad.

- Ale wiele bym dał za to - dodał cicho - żeby zobaczyć panią z rozpuszczonymi włosami.

- Lilipuci uwijali się wokół człowieka-góry przemyślnie go przytwierdzając - nie wyłączając jego długich włosów - do ziemi.

Czytała mu *Podróże Guliwera* i nie mógł się temu sprzeciwić, bo jej pozostawił wybór lektury. Przez pół godziny chodziła wzdłuż półek bibliotecznych, oglądała grzbiety książek, przesuwając po nich palcami, czasem którąś wyciągała i otwierała. Odnosiła się do nich z pietyzmem, jakby je kochała. W końcu pokazała mu tom, który teraz czytała.

- Może być ta? - spytała. - *Podróże Guliwera*? To jedna z tych książek, które zawsze chciałam przeczytać.

- Jak sobie pani życzy. - Wzruszył ramionami. Mógł poczytać cicho, ale nie chciał być sam. Nigdy nie przepadał za swoim

towarzystwem. Nie, to nieprawda. Dopiero przez ostatnie dziesięć lat.

Odczuwał coraz większą irytację w miarę, jak wraz z upływem dnia coraz lepiej zdawał sobie sprawę, w jakim się znalazł położeniu. Zawsze prowadził czynny tryb życia, nie potrafił długo usiedzieć w jednym miejscu. Codziennie oddawał się sportom, większość z nich wymagała wysiłku fizycznego, jak jazda konno, boks czy szermierka. Lubił też tańczyć, ale nigdy walca i nigdy w tym beznadziejnym klubie Almacka. Romanse też były jego ulubioną rozrywką, czasem bardzo wyczerpującą fizycznie.

Teraz przez trzy tygodnie, jeśli zdoła tak długo znieść te tortury, będzie zmuszony do bezczynności i towarzystwa jedynie gości i krewnych. No i sztywnej, bezczelnej Jane Ingleby I do znoszenia bólu.

Po południu odesłał pielęgniarkę, by spędzić trochę czasu z Michaeliem Quincym. Rano nadeszły comiesięczne sprawozdania z Acton Park, jego wiejskiej posiadłości. Zawsze skrupulatnie się z nimi zapoznawał, ale jeszcze nigdy nie studiował ich tak drobiazgowo.

Ale i tak miał wrażenie, że wieczór nigdy się nie skończy. O tej porze bywał zwykle najbardziej aktywny. Najpierw szedł do teatru, opery albo na ten bal czy wieczorek, na który ściągają największe tłumy, potem jechał do jednego z klubów, których był członkiem, lub do łóżka, jeśli ta czynność zapowiadała się na tyle interesująco, by

warto było dla niej zrezygnować z towarzystwa przyjaciół.

- Czy mam czytać dalej? - Jane Ingleby przerwała lekturę i uniosła wzrok znad książki.

- Tak, tak. - Skinął jej ręką a ona pochyliła głowę i znów zaczęła czytać.

Zauważył, że plecami nie dotyka oparcia krzesła, a mimo to siedzi lekko i z wdziękiem. Czytała dobrze, ani za szybko, ani za wolno, ani zbyt monotonicznie, ani ze zbyt dużą emfazą. Miała przyjemny głos. Długie rzęsy ocieniały jej policzki, gdy patrzyła na książkę, trzymaną w obu dłoniach nad kolanami. Miała długą, łabędią szyję.

Jej włosy przypominały szczerze złoto. Nie udało się natrudzić, żeby ukryć ich wspaniałość, ale udało jej się to całkowicie tylko wtedy, gdyby je zgoliła do gołej skóry. Już rano zauważył, jaką ma urodziwą twarz i jak piękne są jej oczy. Ale dopiero kiedy zdjęła czepek, zobaczył, do jakiego stopnia rzeczywistość przewyższa budzące się w nim przeczucie, że ma do czynienia z wyjątkowo piękną kobietą.

Obserwował ją jak czyta, jednocześnie mocno masując ręką udo, żeby zmniejszyć ból w łydce. Była służącą, zależną od niego i bez wątplenia cnotliwą. Jak powiedziała rano na swój zadziorny sposób, mogła się czuć potrójnie przed nim zabezpieczona. Ale wiele by dał, żeby zobaczyć te włosy bez szpilek, rozplecione i rozpuszczone.

Nie miałby też nic przeciwko temu, by ją zobaczyć bez okropnej,

taniej, za luźnej sukni i wszystkiego, co mogła mieć pod spodem.

Westchnął, a ona znów przestała czytać i spojrzała na niego.

- Czy chciałby pan już iść do łóżka? - spytała.

Pomyślał, że umie zręcznie przywrócić właściwe proporcje każdej sytuacji. W jej pytaniu nie było ani cienia dwuznaczności.

Spojrzał na zegar na kominku. Wielki Boże, nie było nawet jedenastej. Wieczór dopiero się zaczął.

- Ponieważ ani pani, ani Guliwer nie jesteście szczególnie porywającymi towarzyszami, panno Ingleby - powiedział bez ogródek - przypuszczam, że to najlepsze wyjście. Ciekaw jestem, czy zauważyła pani, jaki stałem się posłuszny.

Nazajutrz wczesnym rankiem Jane się przekonała, że noc, spędzona bez alkoholu i laudanum, uśmierającego nieco ból, nie wpłynęła na poprawę nastroju księcia Tresham. Przyszedł lekarz i oderwano ją od śniadania, które jadła w kuchni, nakazując, by natychmiast udała się do sypialni księcia.

- Niezbyt się pani spieszyła - powiedział zamiast powitania, kiedy weszła do pokoju, zapukawszy do drzwi w niespełna minutę po tym, jak została wezwana. - Domyślam się, że była pani zajęta wyjadaniem zapasów ze spiżarni.

- Skończyłam śniadanie, dziękuję, wasza książęca mość - oświadczyła. - Dzień dobry panu, doktorze Raikes.

- Dzień dobry pani. - Lekarz grzecznie skłonił głowę.

- Niech pani zdejmie to szkaradzieństwo! - rozkazał książę, wskazując na czepek Jane. - Jeśli jeszcze raz go zobaczę, własnoręcznie potnę go na cienkie paseczki.

Jane zdjęła czepek, złożyła go starannie i schowała do kieszeni sukni. Jej chlebodawca zwrócił się do doktora.

- To panna Ingleby zmieniła mi bandaż - wyjaśnił, widocznie odpowiadając na pytanie, zadane przed jej przybyciem - i opatrzyła ranę.

- Dokonała pani rzeczy godnej największej pochwały - oznajmił lekarz. - Ani śladu zakażenia czy procesu gnilnego. Ma pani pewne doświadczenie w opiece nad chorymi, prawda?

- Tak, panie doktorze - przyznała Jane.

- Zapewne dawała na przeczyszczenie wszystkim przeklętym sierotom, które się przejadły - mruknął z irytacją książę. - Ale ja nie jestem chory. Mam dziurę w nodze. I uważam, że więcej dobrego dałoby mi trochę ruchu niż całe to cackanie się. Dlatego zamierzam poćwiczyć.

Doktor Raikes zrobił przerażoną minę.

- Z całym należyty szacunkiem, wasza książęca mość, stanowczo to odradzam - powiedział. - Uszkodzone mięśnie i ścięgna muszą się zrosnąć, zanim zostaną narażone choćby na najmniejszy wysiłek.

Książę wybuchnął stekiem przekleństw.

- Uważam, że doktorowi Raikesowi należą się przeprosiny - oświadczyła Jane. - Udzielił panu jedynie właściwej rady. Po to go pan wezwał i za to mu pan płaci. Nie na miejscu jest chyba takie zachowanie.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią zdumieni, a ona splotła ręce przed sobą. Książę opadł na poduszkę i wybuchnął głośnym śmiechem.

- Jestem pewien, Raikes, że jakiś odłamek kuli, którą oberwałem w nogę, musiał uszkodzić mi mózg - oznajmił. - Uwierzysz, że bez słowa sprzeciwu znosiłem to przez cały wczorajszy dzień?

Doktor Raikes najwyraźniej niczego nie rozumiał.

- Jestem pewien, łaskawa pani, że jego książęca mość nie jest mi winien żadnych przeprosin - powiedział szybko. - To zrozumiałe, że taka rana wywołuje rozdrażnienie.

Ale ona za nic nie mogła tej sprawy zostawić własnemu biegowi.

- Nic nie usprawiedliwia obelżywego traktowania bliźnich - odparła. - A już szczególnie ludzi zależnych od nas.

- Raikes - zwrócił się książę do lekarza - gdybym mógł paść przed panem na kolana i pokornie przeprosić za zniewagę, jakiej się dopuściłem, być może zrobiłbym to. Ale wszelki wysiłek jest mi zabroniony, prawda?

- Z całą pewnością wasza książęca mość. - Lekarz skończył

bandażować książęcą łydkę i wyglądał na wyraźnie zmieszanego.

To oczywiście wszystko moja wina, pomyślała Jane. Ale dorastałam w domu, w którym służących zawsze traktowano jak ludzi, i gdzie grzeczność wobec innych była czymś naturalnym. Naprawdę muszę się nauczyć powściągać swój język, jeśli chcę pracować tu przez trzy tygodnie, a zarobione pieniądze przeznaczyć na przyszłe wydatki. Nie wiedziała, co ją czeka dalej.

Książę Tresham zgodził się, by go zniesiono na dół, ale najpierw odprawił Jane i przykazał jej, żeby nie pojawiała się, póki jej nie wezwie. Uczynił to pół godziny później. Tym razem leżał na kanapie w salonie na parterze.

- Dziś rano moja głowa odzyskała chyba swoją normalną wielkość - powiedział. - Z pewnością ucieszy panią, że nie będę dziś od pani wymagał, by wykorzystywała pani swoje rozliczne talenty, żeby mnie zabawiać. Pozwoliłem Hawkinsowi wpuszczać wszystkich, którzy zechcą mnie odwiedzić, oczywiście w granicach rozsądku. Wyraźnie przykazałem, żeby nie wpuszczał za próg pomocnic modystek i im podobnych, które zapukają do drzwi.

Jane zeszywniała na samą myśl o gościach.

- Przepraszę i wyjdę, wasza książęca mość, kiedy ktoś przyjdzie z wizytą - oznajmiła.

- Naprawdę? - Zmrużył oczy. - A czemuż to?

- Przypuszczam, że przede wszystkim będą pana odwiedzali

przyjaciele - powiedziała. - Moja obecność tylko panom przeszkodzi.

Zaskoczył ją, niespodziewanie uśmiechając się do niej figlarnie. Od razu wydał się znacznie młodszy. I niemal przystojny.

- Panno Ingleby, nie wiedziałem, że jest pani taka wstydliva - oświadczył.

- Tak, wasza książęca mość - przystała z ochotą. - Jestem wstydliva.

- Niech pani pójdzie do biblioteki i przyniesie poduszkę - polecił.
- A potem podłóż mi ją pod nogę.

- Mógłby pan od czasu do czasu powiedzieć „proszę” - zauważyła, kierując się ku drzwiom.

- Mógłbym - odparł. - Ale dlaczego mam to robić? Wydaję polecenia. Dlaczego mam udawać, że to prośby?

- Może przez szacunek dla samego siebie - stwierdziła, patrząc na niego. - Może przez wzgląd na uczucia innych. Większość ludzi chętniej spełnia prośby, niż wykonuje polecenia.

- A jednak słucha pani moich poleceń, panno Ingleby - powiedział cicho.

- Ale buntuję się w głębi serca - odparła i wyszła z pokoju, żeby ostatnie słowo jak zwykle należało do niej.

Parę minut później wróciła z poduszką, w milczeniu przeszła przez pokój i nie patrząc na księcia, delikatnie podłożyła mu ją pod nogę. Już wcześniej, w sypialni, zobaczyła, że wczorajsza opuchlizna

zeszła. Ale zauważyła również, że księżę często pociera udo i od czasu do czasu zaciska zęby, co niechybnie świadczyło o tym, że bardzo cierpi. Oczywiście jako dumny mężczyzna nie mógł się przyznać do tego, że odczuwa jakikolwiek ból.

- Gdyby nie pani zaciśnięte usta - powiedział - nawet bym nie zauważył, że nie cieszę się pani życzliwością panno Ingleby. Spodziewałem się co najmniej, że z całej siły złapie mnie pani za nogę i ciśnie ją na poduszkę. Już się przygotowałem, jak sobie poradzić z takim przejawem braku opanowania. Ale pozbawiła mnie pani okazji wygłoszenia mojej starannie obmyślanej przemowy.

- Zatrudnił mnie pan jako swoją pielęgniarkę, wasza księżęca mość - przypomniała. - Mam panu przynosić ulgę, a nie sprawiać ból. Poza tym, jeśli coś mi się nie podoba, znam odpowiednie słowa, by to wyrazić. Nie muszę się uciekać do przemocy.

Co jest największym kłamstwem, jakie kiedykolwiek padło z moich ust, pomyślała, zanim jeszcze skończyła mówić. Przez chwilę poczuła dreszcze i ogarnęły ją mdłości. Były to dobrze znane objawy ogarniającej ją paniki.

- Panno Ingleby - odezwał się potulnie księżę Tresham - dziękuję pani za przyniesienie poduszki.

Tym zamknął jej usta.

- Odniosłem wrażenie, że tymi słowami skłoniłem panią niemal do uśmiechu. Czy kiedykolwiek się pani śmieje?

- Tak, kiedy coś mnie rozbawi albo gdy jestem szczęśliwa, wasza książęca mość.

- Co w moim towarzystwie jeszcze się nie zdarzyło - zauważył. - Widocznie tracę cały swój wdzięk. Niech pani wie, że słynę z tego, iż potrafię zabawiać i uszczęśliwiać kobiety.

Przedtem, dopóki nie powiedział tego i nie spojrzał na nią, mrużąc oczy, właściwie nie uświadamiała sobie w pełni jego męskiego uroku. Nagle wszystko się zmieniło. Poczowała nieznane sobie do tej pory czysto fizyczne pożądanie, pod wpływem którego w jej piersiach i łonie zaszły jakieś niepokojące reakcje.

- Nie wątpię - odparła cierpko. - Ale zapewne w tym miesiącu wykorzystał pan cały urok osobisty na uwiedzenie lady Oliver.

- Jane, Jane - przemówił łagodnie. - To zabrzmiało wyjątkowo złośliwie. Odszukaj Quincy'ego i przynieś poranną pocztę. Proszę - dodał, kiedy ruszyła ku drzwiom.

Odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego.

- Aha - mruknął pod nosem.

Rozdział 5

Angelina przyszła późnym rankiem. Tym razem towarzyszył jej Heyward, który chciał osobiście zapytać szwagra o zdrowie. Jeszcze nim wyszli, pojawił się Ferdynand, ale raczej po to, by mówić o sobie, a nie z troski o samopoczucie brata. Założył się z lordem Berriwetherem, słynącym z umiejętności powożenia, że zwycięży w wyścigu karykli do Brighton. Ale Berriwether był niepokonany, dorównywał mu w tej sztuce jedynie Jocelyn.

- Przegrasz, Ferdynandzie - powiedział bez ogródek Heyward.

- Skręcisz sobie kark, Ferdie - stwierdziła Angelina - a moje nerwy nie uspokoją się tak szybko, jak po przygodzie Treshama. Ale będziesz szykownie wyglądał, pędząc drogą do Brighton szybko jak wiatr. Czy z tej okazji sprawisz sobie nowy frak?

- Tajemnica powodzenia polega na popuszczaniu koniom cugli na każdym prostym odcinku drogi - zauważył Jocelyn - a nie na nadmiernym ekscytowaniu się i ryzykowaniu niepotrzebnie na ostrych zakrętach, jakby się było artystą cyrkowym. A ty słyniesz z jednego i z drugiego, Ferdynandzie. Jednak skoro już zgodziłeś się ścigać, dobrze by było, gdybyś wygrał. Nigdy się nie przechwalaj ani nie przyjmuj wyzwań, których nie możesz poprzeć czynem. Szczególnie, jeśli jesteś Dudleyem. A śmiem twierdzić, że się przechwalałeś.

- Pomyślałem sobie, że mógłbyś mi pożyczyć swój nowy powóz, Tresham - rzucił od niechcienia brat księcia.

- Nie ma mowy - oznajmił Jocelyn. - Wykluczone. Dziwię się, że w ogóle zwracasz się z tym do mnie. Chyba uznałeś, że rana w nodze odebrała mi rozum.

- Jesteś moim bratem - powiedział Ferdynand.

- Bratem, który potrafi myśleć i ma zdrowy rozsądek - odparł Jocelyn. - Kiedy ostatnio widziałem twój powóz, niczego mu nie brakowało. To człowiek, a nie wóz wygrywa albo przegrywa wyścig, Ferdynandzie. Kiedy ma się to odbyć?

- Za dwa tygodnie.

A niech to! - pomyślał Jocelyn. Nie będzie mógł tego obejrzeć, jeśli posłucha tego przekłętego konowała Raikesa. Ale jeśli jeszcze przez dwa tygodnie będzie skazany na leżenie na kanapie, zwariuje.

Jocelyn mógłby przysiąc, że Jane Ingleby, która cichutko stała z boku, czyta w jego myślach. Zauważył, że znów zacisnęła usta tak mocno, że tworzyły cienką linię. Ciekawe, co zamierza zrobić? Przywiązać go do łóżka, póki nie upłyną całe trzy tygodnie?

Nie pozwolił jej wychodzić z salonu, kiedy wizytę składają mu członkowie rodziny. Odmówił też później, kiedy zapowiedzieli się kolejni goście. Przeglądał akurat pocztę i podawał jej po jednym liście. Zgodnie z jego poleceniami rozkładała je na trzy stosiki - zaproszenia, z których nie skorzysta, zaproszenia, które przyjmuje, i

listy, na które odpowiedź podyktuje później sekretarzowi. Większość zaproszeń, z wyjątkiem tych, które dotyczyły przyjęć dość odległych w czasie, trzeba było odrzucić.

- Zostawię pana teraz samego, wasza książęca mość - oznajmiła, wstając, kiedy pojawił się Hawkins, dziś znacznie już lepiej panujący nad swym królestwem w holu, by zapowiedzieć przybycie kilku przyjaciół księcia.

- Nie - oświadczył krótko, unosząc brwi. - Zostanie pani tutaj.

- Bardzo pana proszę, wasza książęca mość - nalegała. - Na nic się panu nie przydam, kiedy będzie pan miał towarzystwo.

Pomyślał, że wygląda na wylęknioną. Czyżby się bała, że razem ze swymi przyjaciółmi urządzi sobie orgię w jej obecności? Najprawdopodobniej sam odprawiłby swoją pielęgniarkę, gdyby go nie poprosiła, by pozwolił jej wyjść. Teraz, przez czysty upór, nie chciał jej puścić.

- Być może podniecenie wywoła u mnie atak waporów i będę potrzebował natychmiastowej pomocy pielęgniarce, panno Ingleby - oświadczył chłodno.

Zapewne dalej by go prosiła, gdyby nie weszli goście. Na ich widok skryła się w najdalszym kącie. Nadal tam stała, kiedy kilka minut później spojrzał w tamtym kierunku. Idealnie zlewała się z tłem. Znów miała na głowie czepek, pod który schowała każdy, nawet najmniejszy kosmyk włosów.

Pojawili się w komplecie, wszyscy jego najbliżsi przyjaciele - Conan Brougham, Pottier, Kimble, Thomas Garrick, Boris Tuttleford - wnosząc ze sobą hałaśliwą wesołość. Było dużo szumu, kiedy go witali, zadawali pytania o zdrowie, nie czekając na odpowiedź, drwili z jego szlafroka i rannych pantofli, oglądali obandażowaną nogę, w końcu rozsiedli się wokół sofy.

- Gdzie twoje bordo, Tresham? - spytał Garrick, rozglądając się.

- Panna Ingleby zaraz je przyniesie - powiedział Jocelyn. Właśnie wtedy dostrzegł ją w najdalszym kącie. - Panowie, oto pielęgniarka, która mi służy, ponieważ nie mogę dosięgnąć dzwonka z łoża, do którego jestem przykuty. A także strofuje mnie i denerwuje. Panno Ingleby, proszę powiedzieć Hawkinsowi, żeby przyniósł wino i brandy, a lokaja przysłał z kieliszkami.

- Proszę, Tresh? - Kimble zachichotał. - To nowy wyraz w twoim słowniku?

- Panna Ingleby każe mi go używać - odparł potulnie Jocelyn, patrząc, jak Jane wychodzi z pokoju, odwróciwszy twarz. - Łaje mnie, kiedy o tym zapomnę.

Zebrani przyjaciele wybuchnęli głośnym śmiechem.

- Ach, rozumiem - odezwał się Tuttleford, opanowawszy wesołość. - Czy to nie ona piszcziała, Tresham, właśnie wtedy, kiedy celowałaś Oliverowi z pistoletu prosto w nos, aż obleciał go strach?

- Zatrudnił ją jako pielęgniarkę - wyjaśnił Conan z uśmiechem. - I

zagroził, że jeszcze pożałuje, że się urodziła czy coś takiego. Czy już żałuje, Tresham? A może ty żałujesz?

Jocelyn bawił się monoklem, wiszącym na tasiemce. Zacisnął usta.

- Ma diabelnie irytujący zwyczaj odpowiadania, a ja odczuwam potrzebę pobudzania umysłu, ponieważ jestem zamknięty, unieruchomiony i uwięziony, co potrwa przynajmniej dwa tygodnie - wyjaśnił.

- Pobudzania umysłu, tak? - Pottier uderzył się w udo i ryknął śmiechem, ubawiony, a reszta poszła za jego przykładem. - Odkąd to potrzebujesz kobiety do pobudzenia umysłu, Tresham?

- Na Boga! - Kimble wywijał monoklem. - Trudno to sobie wyobrazić! Co jeszcze ci pobudza oprócz umysłu, Tresh? Oto jest pytanie. No dalej, przyszedł czas spowiedzi.

- Nasz przyjaciel ma jedną nogę unieruchomioną. - Tuttleford znów się roześmiał. - Ale założę się, że w najmniejszym stopniu nie przeszkadza mu to w pobudzaniu, prawda, Tresham? Czy cię dosiada? I sama odwala całą robotę, żebyś mógł nie nadwierać chorej nogi?

Tym razem ich śmiech był zdecydowanie ordynarny. Wszyscy doskonale się bawili - z każdą chwilą coraz lepiej. Jocelyn uniósł monokl do oka.

- Zwracam ci uwagę - powiedział cicho - że kobieta, o której

mowa, została przeze mnie zatrudniona i mieszka pod moim dachem, Tuttleford. Nawet ja mam pewne zasady.

- Coś mi się wydaje, panowie - zauważył Conan Brougham, bardziej spostrzegawczy od innych - że księcia wcale to nie bawi.

Co było błędem, pomyślał w chwilę później Jocelyn, kiedy drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Jane, niosąc na tacy dwie karafki. Za nią kroczył lokaj z kieliszkami. Z miejsca skupiła na sobie uwagę obecnych, co powinno go rozbawić, a ją z pewnością speszyć. Ale czuł jedynie irytację, że któryś z jego przyjaciół mógł choć przez chwilę pomyśleć, iż jest zdolny do romansu z własną służącą co zdecydowanie było w złym tonie.

Mogła wyjść razem z lokajem, ale nie zrobiła tego. Ze spuszczonym wzrokiem udała się do swego kącika. Bardziej niż zwykle nacisnęła czepek na czoło.

Wicehrabia Kimble gwizdnął cicho.

- Tajemnicza piękność, Tresh? - mruknął pod nosem, żeby go nie usłyszała.

Kimble miał bystre oko i z miejsca poznał się na urodzie Jane. Jasnowłosy młodzieniec o wyglądzie młodego boga, był znanym bawidamkiem i nie gorszym znawcą kobiecej urody niż Jocelyn.

- To służąca - odparł Jocelyn - mieszkająca pod moim dachem, Kimble.

Przyjaciel zrozumiał go. Uśmiechnął się i puścił perskie oko. Nie

odważy się na umizgi do Jane Ingleby Jocelyn przez moment pomyślał, że wcale go to nie powinno obchodzić.

Rozmowa szybko przeszła na inne tematy, ponieważ przy Jane nie mogli mówić o niej. Ale nikt nie uznał za niestosowne opowiadać w jej obecności o tym, jak lady Oliver z wyraźnym upodobaniem flirtowała wczoraj w teatrze z całym zastępem wielbicieli. Siedziała w loży ze swymi trzema braćmi i z mężem. Goście mówili, że jej bracia postanowili wyzwać Treshama na pojedynek za uwiedzenie ich siostry, kiedy tylko znów stanie na nogi. Mówiono też o tym, że Hailsham kompromituje się, próbując udowodnić, że jego najstarszy syn, liczący sobie teraz dziewięć lat i podobno niedorozwinięty umysłowo, jest bastardecem, by w ten sposób poprzeć roszczenia do dziedzictwa drugiego, ukochanego syna. Przyjaciele zapoznali go też z ostatnimi, sensacyjnymi szczegółami skandalu w Kornwalii.

- Mówi się teraz, że Jardine nie żyje - oznajmił Brougham. - Że nigdy nie odzyskał przytomności po tym, jak go napadnięto.

- Musiał potężnie oberwać w głowę - dodał Kimble. - Według najbardziej sensacyjnych relacji przez włosy i krew widać było mózg. Ostatnio w londyńskich salonach pełno jest mdlejących kobiet. Co jest interesujące dla tych, którzy znajdują się wystarczająco blisko, kiedy coś takiego się akurat wydarzy. Wielka szkoda, że jesteś uwiązany w domu, Tresh. - Zachichotał.

- O ile dobrze pamiętam - powiedział Pottier - Jardine nie miał za

wiele włosów. Ani mózgu.

- Nigdy nie odzyskał przytomności. - Jocelyn zdrętwiał i próbując zmienić pozycję ciała, niechcący zrzucił poduszkę na podłogę. - Proszę ją podnieść i podłożyć mi ją pod nogę, panno Ingleby Nigdy nie odzyskał przytomności, a jednak - według niektórych - jasno i wyczerpująco opowiedział, jak został zaatakowany, a także jak odważnie się bronił. Opisał kobietę, która na niego napadła, i wyjaśnił, czym się kierowała, pragnąc mu roztrzaskać czaszkę. Dziwny przypadek utraty przytomności.

Jane pochyliła się nad księciem i położyła poduszkę na kanapie. Delikatnie jak zawsze uniosła mu nogę i umieściła ją na poduszce, a następnie poprawiła zsunięty bandaż. Ale kiedy Jocelyn spojrział na nią zauważył, że jest biała jak ściana, nawet usta jej pobladły.

Niemal pożałował, że uparł się, by pozostała w pokoju. Widocznie źle się czuła w obecności mężczyzn, i słuchając ich rozmów. Chociaż okazywała takie opanowanie, opatrując jego ranę, być może rozmowa o włosach, krwi i mózgu to za dużo.

- Wieści o jego śmierci mogą być przesadzone - powiedział cynicznie Garrick, wstając i dolewając sobie wina. - Zapewne wstydzi się pokazać, skoro pokonała go słaba dziewczyna, która włamała się do domu.

- Czyżby nie trzymała pistoletu w każdej ręce? - spytał Jocelyn. - Zgodnie z tym, co utrzymuje mężczyzna, który ponoć nie odzyskał

przytomności od chwili, odkąd uderzyła go aż do śmierci? Ale dość o tych bzdurach. W co takiego dał się wciągnąć Ferdynand? Wyścig z Berriwe-therem! Czyj to był pomysł?

- Twojego brata - powiedział Conan. - Berriwether zaczął się przechwalać, że teraz będziesz musiał spuścić z tonu, gdy znów zaczniesz brać udział w zawodach sportowych, ale kulejąc na jedną nogę. Twierdził, że nigdy już nazwisko Dudleyów nie będzie wymawiane z podziwem i szacunkiem.

- Mówił tak w obecności Ferdynanda? - Jocelyn pokręcił głową. - Zdecydowanie to nie było zbyt mądre.

- Niezupełnie w obecności Ferdynanda - wyjaśnił przyjaciel. - Doszło to jednak do uszu twojego brata, który pojawił się w klubie White'a, blady z wściekłości. Przez chwilę myślałem, że wyzwie Berriwethera, ale on jedynie zapytał najgrzeczniej, jak tylko można, w czym według Berriwethera się wyróżniasz poza niezwykłą biegłością we władaniu bronią. Oczywiście usłyszał, że w powożeniu. I tak doszło do zakładu.

- A ile postawił Ferdynand na swoje zwycięstwo? - spytał Jocelyn.

- Tysiąc gwinei - odpowiedział mu Garrick.

- Hmm. - Jocelyn wolno pokiwał głową. - Honor rodziny wart jest tysiąc gwinei. No, no.

Zauważył, że Jane Ingleby już nie stoi w kącie. Siedziała wyprostowana na niskim taborecie, odwrócona tyłem do wszystkich.

Nie poruszyła się przez ponad godzinę, póki nie wyszli jego przyjaciele.

- Daj mi to szkaradzieństwo! - Księżę Tresham wyciągnął władczo rękę.

Jane stała przy kanapie, bo księżę kazał jej podejść, kiedy tylko zamknęły się drzwi za gośćmi. Rozwiązała wstążkę pod brodą i zdjęła czepek, który tak go denerwował. Ale trzymała go w rękach.

- Co pan chce z nim zrobić? - spytała.

- Mam zamiar wysłać panią po najostrzejsze nożyczki, jakie są w tym domu - odparł poirytowany. - A potem każę się pani przyglądać, jak będę ciął to okropieństwo na drobne kawałki. Nie, zmieniłem zdanie. To pani potnie go na kawałki.

- To mój czepek - oświadczyła. - Zapłaciłam za niego. Nie ma pan żadnego prawa niszczyć mojej własności.

- Bzdury! - odpowiedział.

Ku swemu przerażeniu Jane zorientowała się, dlaczego twarz księcia nagle rozmazała się jej przed oczami. Z jej ust wyrwał się zduszony szloch, a do oczu napłynęły łzy.

- Wielki Boże! - wykrzyknął wyraźnie zbulwersowany. - Czy to paskudztwo tak dużo dla pani znaczy?

- To mój czepek! - powiedziała żarliwie, chociaż łamiącym się głosem. - Kupiłam dwa takie same czepki. Dałam za nie wszystkie pieniądze, jakie miałam. Nie pozwolę, żeby je pan zniszczył dla

własnej przyjemności. Jest pan pozbawionym serca okrutnikiem.

Chociaż z jej ust padały gniewne słowa, płakała i łkała jak rozżalone dziecko. Uniosła czepek do mokrych policzków i spojrzała groźnie na Jocelyna.

Przez kilka chwil przyglądał się jej w milczeniu.

- Wcale pani nie chodzi o czepek, prawda? - spytał w końcu. - To dlatego, że zmusiłem panią do pozostania w pokoju z czeredą moich przyjaciół. Pogwałciłem pani poczucie delikatności, Jane. Przypuszczam, że w sierocińcu chłopcy i dziewczynki przebywają osobno. Czy tak?

- Tak - powiedziała.

- Jestem zmęczony - oświadczył niespodziewanie. - Chyba spróbuję zasnąć. Nie musi mi pani dotrzymywać towarzystwa, żeby słuchać, jak chrapię. Proszę iść do swego pokoju i zostać tam do kolacji. Oczekuję pani wieczorem.

- Dobrze, wasza książęca mość - powiedziała i odwróciła się. Nie mogła się zmusić do podziękowania, chociaż wiedziała, że zdobył się na szlachetny gest. Nie uwierzyła, że chce się przespać. Po prostu zorientował się, że Jane pragnie choć trochę pobyć sama.

- Panno Ingleby - usłyszała jego głos, kiedy była już przy drzwiach. Nie odwróciła się. - Proszę mnie więcej nie prowokować. Póki panią zatrudniam, nie wolno pani nosić czepka.

Cicho wyszła, a potem pobiegła na górę do swojego pokoju.

Zamknęła za sobą drzwi i rzuciła się na łóżko. Wciąż ścisnęła w rękę czepek.

A więc nie żył.

Sidney Jardine umarł i nikt na świecie nie uwierzy, że go nie zamordowała.

Kurczowo ścisnęła narzutę i wtuliła twarz w materac.

Nie żył.

Był podły i nienawidziła go bardziej, niż można kogokolwiek nienawidzić. Ale wcale nie pragnęła jego śmierci. Nie chciała mu nawet zrobić krzywdy. Odruchowo złapała tamtą ciężką książkę i bez zastanowienia uderzyła go w głowę w obronie własnej. Tyle tylko, że grube tomisko było ciężkie, więc zamachnęła się, a nie uniosła go, żeby uderzyć na płask. Oстрыm rogiem trafiła w skroń Sidneya.

Nie upadł, tylko dotknął rany, spojrział na zakrwawione palce, roześmiał się, nazwał ją złośnicą i ruszył w jej stronę. Ale odskoczyła na bok. Stracił równowagę, kiedy chciał ją złapać, i upadając uderzył głową w marmurowy komin. Nie podniósł się.

Było kilku świadków tej obrzydliwej sceny, ale Jane nie mogła liczyć, by ktokolwiek z nich powiedział, co wydarzyło się naprawdę. Wszyscy natomiast ochoczo popełniliby krzywoprzysięstwo zeznając, że przyłapano ją na kradzieży. Na dnie jej torby wciąż leżała złota, wysadzana drogimi kamieniami bransoletka, która mogła świadczyć o jej winie. Ci ludzie byli przyjaciółmi Sidneya. Charles - sir Charles

Fortescue, jej sąsiad, przyjaciel i adorator - był nieobecny. Nikt zresztą nie miał zamiaru zaprosić go na to szczególne przyjęcie.

Sidney nie umarł gwałtownie, choć wszyscy obecni tak myśleli. To ona podeszła do niego, choć nogi się pod nią uginały i ogarnęły ją mdłości. Tętno miał miarowe. To ona wezwała służących i kazała go zanieść na górę, gdzie sama obmyła mu ranę i czuwała nad nim, póki nie przybył wezwany przez nią lekarz.

Ale nie odzyskał przytomności. I był tak blady, że jeszcze kilka razy sprawdzała mu puls zimnymi, drżącymi palcami.

- Wiesz, że morderców się wiesz - powiedział ktoś lekko rozbawionym tonem, stojąc na progu sypialni.

- Tak, czeka ich śmierć na szubienicy - dodał drugi z wyraźnym zadowoleniem w głosie.

Uciekła w nocy, biorąc ze sobą tylko trochę rzeczy, tyle ile potrzebowała na podróż do Londynu. Wzięła też bransoletkę oraz trochę pieniędzy, które wyciągnęła z biurka hrabiego. Nie obawiała się tego, że Sidney umrze i zostanie oskarżona o morderstwo. Uciekła dlatego, że... och, miała liczne powody.

Czuła się taka samotna. Hrabia, kuzyn Jane, który po śmierci jej ojca odziedziczył tytuł, razem z hrabiną przebywał poza domem. Zresztą nie darzyli jej miłością. W Candleford nie miała nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc. A Charlesa nie było w domu. Pojechał z dłuższą wizytą do starszej siostry w hrabstwie Somerset.

Jane wyjechała do Londynu. Początkowo wcale nie chciała się ukrywać, pragnęła jedynie dotrzeć do kogoś, kto okazałby jej zrozumienie. Postanowiła więc skierować kroki do domu lady Webb przy Portland Place. Lady Webb była najbliższą przyjaciółką jej matki od czasów, gdy obie były małymi dziewczynkami. Często odwiedzała ich w Candleford. Była też chrzestną matką Jane. Jane mówiła na nią "ciociu Harriet". Ale lady Webb wyjechała z miasta i nie spodziewano się jej w najbliższym czasie.

Od ponad trzech tygodni Jane paraliżował strach, że Sidney umarł, że zostanie oskarżona o morderstwo, że nazwą ją złodziejką że będą jej szukać. Naturalnie domyśla się, że wyjechała do Londynu. Nawet nie próbowała zacierać za sobą śladów.

Najgorsza była niepewność. Odczuła niemal ulgę, kiedy w końcu dowiedziała się, że Sidney nie żyje.

Podobno go zabiła, kiedy przyłapał ją na kradzieży. Uważano ją za zabójczynię.

Nie, jednak wcale nie przyniosło jej to ulgi.

Gwałtownie usiadła na łóżku i potarła twarz dłońmi. Sprawdziły się jej najgorsze obawy. Najlepsze, co mogła zrobić, to zniknąć w anonimowym tłumie londyńczyków. Ale cały plan legł w gruzach, gdy tak nierozważnie wtrąciła się do pojedynku w Hyde Parku. Cóż mogło ją obchodzić, że dwóch dżentelmenów nie ma nic lepszego do roboty, tylko zabawia się strzelaniem do siebie?

I w ten sposób znalazła się w Mayfair, w jednej z okazałych rezydencji przy Grosvenor Square, w charakterze ni to pielęgniarki, ni to damy do towarzystwa człowieka, który odczuwał swego rodzaju zadowolenie, przedstawiając ją wszystkim przyjaciołom. Szczęśliwie żaden z nich jej nie znał. Prowadziła spokojne życie na prowincji w dalekiej Kornwalii. Istniało więc duże prawdopodobieństwo, że żaden z gości, którzy pojawią się w Dudley House w ciągu najbliższych trzech tygodni, jej nie rozpozna. Ale nie mogła być tego pewna.

Niewątpliwie to tylko kwestia czasu...

Wstała i na uginających się nogach podeszła do umywalki. Na szczęście w dzbanku była woda. Wlała trochę do miednicy, nabrała odrobinę w dłonie i obmyła w niej twarz.

Wiedziała, co trzeba było zrobić, i to od razu: po prostu oddać się w ręce władz i wierzyć w prawo i sprawiedliwość. Ale kim są te władze? Gdzie ich szukać? Zresztą jej ucieczka i zniknięcie przez ponad trzy tygodnie ściągnęły na nią podejrzenia, że jest winna.

Księżę Tresham wiedziałby, co powinna zrobić i do kogo się zwrócić. Mogła powiedzieć mu wszystko i zdać się na jego decyzję. Ale wzdrygnęła się na samą myśl o jego arogancji i nieliczeniu się z jej uczuciami.

Czy ją powieszą? Czy mogą ją powiesić za morderstwo lub za kradzież? Nie wiedziała. Musiała uchwycić się skraju umywalki, żeby nie upaść, tak się jej zakręciło w głowie.

Jak uwierzyć w sprawiedliwy osąd, skoro wszyscy świadkowie mogą zeznawać przeciwko niej?

Jeden z dżentelmenów powiedział, że być może Sidney wcale nie umarł. Jane dobrze wiedziała, jak często plotki mijają się z prawdą. Mówiono na przykład, że w obu dłoniach trzymała pistolety! Może wiadomość o śmierci Sidneya krążyła tylko dlatego, że takie rewelacje rozpalają wyobraźnię tych, którzy zawsze lubią wierzyć w najgorsze.

Może wciąż jest tylko nieprzytomny.

Może wraca do zdrowia.

A może jednak nie żyje.

Wytarła wciąż palące policzki ręcznikiem i usiadła na twardym krześle obok umywalki. Postanowiła, że zaczeka, póki nie dowie prawdy. I dopiero wtedy zadecyduje, co zrobić. Ręce wciąż jej drżały.

Ciekawe, czy jest poszukiwana. Przycisnęła palce do ust i zamknęła oczy. Na wszelki wypadek nie powinna się więcej pokazywać gościom księcia. Musi jak najwięcej czasu spędzać w pokoju.

Gdyby tylko nadal mogła nosić czepek...

Nigdy nie była tchórzliwa. Nie uciekała przed problemami i nie kryła się po kątach. Wprost przeciwnie. Ale nagle gdzieś zniknęła cała jej odwaga.

Z drugiej strony, nigdy wcześniej nie oskarżono jej o morderstwo.

Rozdział 6

Mick Boden, detektyw z Bow Street, znów pojawił się w saloniku w apartamencie hrabiego Durbury w hotelu Pulteney. Od jego poprzedniego spotkania z hrabią minął tydzień. Właściwie nie miał mu do zakomunikowania nic nowego poza tym, że nie trafił na ślad lady Sary Illingsworth. Ta porażka męczyła go. Nie znosił takich zleceń. Gdyby wezwano go do Kornwalii, by przeprowadzić śledztwo w sprawie próby zabójstwa Sidneya Jardine'a, wykorzystałby wszystkie swoje umiejętności zawodowe, by ustalić tożsamość niedoszłej zabójczyni i ją odszukać. Ale tam wszystko było jasne. Młoda dama okradała hrabiego pod jego nieobecność i została przyłapana przez Jardine'a. Uderzyła go w głowę jakimś twardym przedmiotem, niewątpliwie wykorzystując element zaskoczenia, ponieważ znał ją i nie zdawał sobie w pełni sprawy z tego, co zamierza zrobić. Potem uciekła z łupem. Świadkiem całej sceny był pokojowiec Jardine'a - w ocenie Micka wyjątkowo tchórzliwy osobnik, ponieważ złodziejką była dziewczyna, która mogła co najwyżej rzucić w niego jakimś ciężkim przedmiotem.

- Jeśli jest w Londynie, odnajdziemy ją - powiedział.

- Jeśli jest w Londynie? Jeśli? - Hrabia był wściekły. - Ależ naturalnie, że jest w Londynie, człowieku. Gdzie jeszcze mogłaby być?

Mick bez specjalnego wysiłku mógłby wymienić mnóstwo takich miejsc, ale jedynie pociągnął się za ucho.

- Prawdopodobnie nigdzie indziej - przyznał. - I jeśli nie wyjechała z miasta tydzień temu, teraz będzie jej znacznie trudniej. Przesłuchaliśmy wszystkich właścicieli zajazdów i woźniców. Nikt nie pamięta kobiety, odpowiadającej jej rysopisowi, z wyjątkiem tego, który ją tu przywiózł.

- Wielce to chwalebne - powiedział z ironią lord. - Ale co robicie, żeby ją odszukać? Tydzień to chyba dość czasu, nawet jeśli przez pierwszych pięć czy sześć dni siedzieliście z założonymi rękami.

- Nie pojawiła się ponownie w domu lady Webb, proszę pana - zaczął wyliczać Mick. - Sprawdziliśmy to. Znaleźliśmy hotel, w którym spędziła dwie pierwsze noce po przyjeździe, ale nikt nie wie, dokąd się później przeniosła. Według pana słów, nie zna tu nikogo. Gdyby miała przy sobie znaczną kwotę pieniędzy, wynajęłaby pokój w innym hotelu w lepszej dzielnicy. Ale nie natrafiliśmy na najmniejszy ślad.

- Czy nie przyszło panu do głowy - powiedział hrabia, bębniąc palcami w parapet okienny - że może nie chce zwracać na siebie uwagi, szastając pieniędzmi?

Mick Boden uznałby za coś wielce osobliwego, gdyby ktoś skradł okazałą fortunę, a potem nie chciał z niej korzystać. Dlaczego młoda dama w ogóle miałaby dopuścić się kradzieży, skoro mieszkała w

Candleford, opływając w dostatki jako córka zmarłego hrabiego i krewna obecnego? Wedle hrabiego miała dwadzieścia lat i była śliczna, powinna więc raczej rozglądać się za jakimś młodym i bogatym kawalerem.

Mick nie po raz pierwszy pomyślał, że za tym wszystkim kryje się coś więcej, niż to widać na pierwszy rzut oka.

- Uważa pan, że mogła poszukać sobie pracy? - spytał.

- Taka myśl przyszła mi do głowy. - Lord wciąż bębnił w parapet, wyglądając przez okno.

Mick ciekaw był, ile pieniędzy skradziono. Z całą pewnością musiała to być pokaźna kwota, jeśli dziewczyna gotowa była zabić. No i biżuteria. Trzeba spróbować wyśledzić dziewczynę, wykorzystując tę wiedzę.

- Wspólnie z moimi pomocnikami zacznę wypytywać w biurach pośrednictwa pracy - powiedział. - Od tego zaczniemy. I odwiedzimy wszystkich właścicieli lombardów oraz jubilerów, którzy mogli kupić od niej biżuterię. Potrzebny mi będzie opis skradzionych klejnotów.

- Szkoda czasu - oświadczył zimno hrabia. - Niczego z tego, co zabrała, nie zastawi. Lepiej sprawdźcie w biurach pośrednictwa pracy. Znajdźcie ją!

- Z całą pewnością nie chcemy, żeby jakiś niczego niepodejrzewający pracodawca zatrudnił groźną kryminalistkę - zgodził się Mick. - Jakim nazwiskiem może się posługiwać?

Hrabia odwrócił się do detektywa.

- Słucham?

- W domu lady Webb przedstawiła się swym prawdziwym nazwiskiem - wyjaśnił Mick. - I w hotelu, w którym spędziła dwie pierwsze noce. Potem zniknęła. Pewnie uświadomiła sobie, że lepiej ukryć prawdziwe nazwisko. Jakim nazwiskiem mogła się posłużyć? Czy miała drugie imię? Jak brzmiało nazwisko panięskie jej matki? Nazwisko pokojówki? Starej niani? Jakiegokolwiek, o które mogę zapytać w biurach, jeśli nie ma tam śladu Sary Illingsworth.

- Rodzice zawsze mówili na nią Jane. - Hrabia podrapał się w głowę i zmarszczył czoło. - Niech pomyślę. Jej matka była z domu Donningsford. Jej pokojówka...

Mick zapisywał wymieniane nazwiska.

- Znajdziemy ją - zapewnił hrabiego Durbury, kiedy kilka minut później się z nim zegnał.

Cała ta sprawa była jakaś dziwna. Jedyne dziecko hrabiego leżało nieprzytomne jedną nogą w grobie. Być może już nie żył. A jednak ojciec zostawił go, by szukać kobiety, która próbowała go zabić. Mick wiedział jednak, że ani na chwilę nie opuszczał hotelu. Niedoszła zabójczyni skradła fortunę, a jednak hrabia przypuszcza, że szuka pracy. Skradła biżuterię, jednak jego lordowska mość nie chce opisać klejnotów ani szukać ich w lombardach.

Naprawdę, bardzo dziwna sprawa.

Po tygodniu, spędzonym w łóżku we własnej sypialni, na kanapie w salonie albo na szeszlengu w bibliotece, Jocelyn czuł się znudzony jak mops. Często odwiedzali go przyjaciele - właściwie codziennie - i znosili mu najświeższe wiadomości i ploteczki. Brat mówił prawie wyłącznie o wyścigu. Jocelyn oddałby majątek, żeby móc wziąć w nim udział. Siostra księcia pojawiała się, by rozprawiać o tak frapujących sprawach, jak kapelusze i stan jej nerwów. Szwagier złożył mu kilka kurtuazyjnych wizyt, podczas których dyskutowali o polityce.

Dni były długie, wieczory jeszcze dłuższe, noce nie miały końca.

Jane Ingleby towarzyszyła mu prawie stale. Śmieszyło go to, a zarazem irytowało. Zaczynał się czuć jak stara matrona, zatrudniająca damę do towarzystwa, której zadaniem jest rozpraszenie nudy.

Raz dziennie zmieniała mu opatrunek. Jeden raz pozwolił jej wymasować sobie udo, ale tylko raz, chociaż dotyk jej rąk wpłynął na niego cudownie kojąco. I niepokojąco go podniecił. Ofuknął ją, że jest taka wstydliva, a ona zarumieniła się. Zlecał jej różne sprawy. Dzielila przejrzaną przez niego pocztę, którą następnie zanosila Quincy'emu, przekazując mu instrukcje księcia. Czytała mu i grała z nim w karty.

Pewnego wieczoru poprosił Quincy'ego, by zagrał z nim w szachy a jej kazał siedzieć i się przyglądać. Gra w szachy z Michaeliem była

równie pasjonująca, jak gra w krykieta z trzylatkiem. Wprawdzie sekretarz umiał grać, lecz pokonanie go nigdy nie wymagało zbytniego wysiłku. Przyjemnie jest wygrywać, ale trudno nazwać pasjonującym przewidywanie wygranej przynajmniej dziesięć ruchów wcześniej.

Potem spróbował gry z Jane. Za pierwszym razem grała beznadziejnie. To, że następnego dnia znów jej zaproponował partię, świadczyło o tym, jak bardzo był znudzony. Za drugim razem grała prawie tak, jak Michael. Kiedy zagrali piąty raz, pokonała go.

Roześmiała się i klasnęła w dłonie.

- Tak to jest - powiedziała mu - kiedy się jest znudzonym, wyniosłym, ziewa się ukradkiem i patrzy na kogoś, jakby ten ktoś był tylko pyłkiem na rękawie. Nie skupił się pan wystarczająco.

I była to prawda.

- Przyznaje pani, że wygrałbym, gdybym się skupił na grze, Jane?
- spytał.

- Och, z całą pewnością - powiedziała. - Ale pan był roztargniony, więc przegrał pan sromotnie.

Od tamtej pory zawsze uważał na grę.

Czasami ze sobą rozmawiali. Do tej pory sądził, że prowadzenie rozmów z kobietą jest czymś osobliwym. Był mistrzem w prowadzeniu konwersacji salonowej, bawił się dwuznacznym flirtem z kurtyzanami. Ale nie przypominał sobie, by kiedykolwiek

zwyczajnie rozmawiał z kobietą.

Pewnego wieczoru, kiedy mu czytała, a on patrzył na nią z rozbawieniem stwierdził, że bezlitośnie ściągnięte do tyłu włosy sprawiają że jej oczy stają się lekko skośne. Mała buntowniczka postanowiła nosić jak najmniej atrakcyjne fryzury, skoro nie pozwolił jej wkładać czepka. Miał nadzieję, że mocno ściągnięte włosy przyprawiają ją o ból głowy.

- Panno Ingleby, nie mogę dłużej tego słuchać - powiedział z westchnieniem, przerywając jej w pół zdania. - Moim zdaniem, z czym może się pani nie zgodzić, Guliwer to osioł.

Tak jak się spodziewał, mocno zacisnęła usta. Prowokowanie jej stało się w ciągu ostatniego tygodnia jedną z jego ulubionych rozrywek. Zamknęła książkę.

- Domyślam się, że według pana powinien wdeptać liliputy w ziemię, ponieważ był od nich większy i silniejszy.

- Jest pani niezastąpiona, panno Ingleby. Wyjmuje mi pani z ust słowa, które chcę powiedzieć, w ten sposób zwalniając mnie z konieczności myślenia i wypowiedania własnych sądów.

- Czy mam wybrać inną książkę?

- Prawdopodobnie wybierze pani zbiór kazań. Nie, lepiej porozmawiajmy.

- O czym? - spytała po chwili milczenia.

- Niech mi pani opowie o sierocińcu. Jakie życie pani tam wiodła?

Wzruszyła ramionami.

- Nie ma o czym mówić.

Z całą pewnością nie był to zwyczajny sierociniec. Ale i tak sierociniec to sierociniec.

- Doskwierała pani samotność? - spytał. - Czy teraz czuje się pani samotna?

- Nie.

Spostrzegł, że Jane nie ma zamiaru rozwodzić się na swój temat. Różniła się pod tym względem od wielu kobiet - a także mężczyzn - którym wystarczyła najmniejsza zachęta, by z wielkim zapałem zacząć opowiadać o swoim życiu, nie pomijając najmniejszych szczegółów.

- Dlaczego nie? - spytał, patrząc na nią zmrużonymi oczami. - Dorastała pani bez matki i ojca, siostry czy brata. Przyjechała pani do Londynu w wieku dwudziestu lat, jeśli dobrze się domyślam, niewątpliwie marząc o znalezieniu tu szczęścia, ale nie znając nikogo. Jak to możliwe, by nie czuła się pani samotna?

Odłożyła książkę na stoliczek i splotła dłonie.

- Być samemu to nie zawsze to samo, co odczuwać samotność - powiedziała. - Nie jest tak, jeśli ktoś nauczy się lubić siebie i swoje towarzystwo. Przypuszczam, że można się czuć samotnym nawet, kiedy się ma ojca i matkę, braci i siostry, jeśli ktoś nie lubi samego siebie. Jeśli inni starają się człowiekowi dowieść, że nie jest wart

miłości.

- Ma pani całkowitą rację! - wykrzyknął, nagle poirytowany. Zauważył, że bacznie go obserwuje para bardzo niebieskich oczu.

- I właśnie tak było w pana przypadku? - spytała.

Kiedy pojął, jak osobiste jest to pytanie, ogarnęła go wściekłość. Jej bezczelność nie znała granic. Ale do rozmowy potrzeba dwojga, a to on zaczął dyskusję na ten temat.

Nigdy się nie zwierzał, nawet przyjaciółom. Nigdy nie mówił o sobie.

Czy właśnie tak było w jego przypadku?

- Zawsze lubiłem Angelinę i Ferdynanda - powiedział, wzruszając ramionami. - Wiecznie się ze sobą kłóciliśmy, jak każde rodzeństwo, chociaż fakt, że jesteśmy Dudleyami, niewątpliwie przyczynił się do tego, że byliśmy bardziej porywczy i skłonni do sprzeczek. Razem się bawiliśmy i psociliśmy. Czasem Ferdynand i ja byliśmy nawet tak szlachetni, że braliśmy na siebie winę i karę za to, co zrobiła Angelina, chociaż potem to my wymierzaliśmy jej karę.

- Dlaczego bycie Dudleyem musi oznaczać, że trzeba być bardziej niegrzecznym, złośliwym i groźniejszym od innych? - spytała.

- Gdyby znała pani mojego ojca i dziadka - powiedział - nie zadałaby pani tego pytania.

- Musi im pan dorównać? - spytała. - Czy robi pan to z własnego wyboru? A może ta rola została panu narzucona jako najstarszemu

synowi, dziedzicowi i przyszłemu księciu Tresham?

Zachichotał cicho.

- Gdyby znała pani opinię, jaką się cieszę, panno Ingleby, nie musiałaby mi pani zadawać i tego pytania. Zapewniam, że nie spocząłem na laurach, zadowolając się tym, co osiągnęli moi przodkowie. Sam też mam niemałe zasługi.

- Wiem, że uważa się pana za bardzo biegłego w posługiwaniu się różnymi rodzajami broni. Wiem też, że nie był to pierwszy pojedynek w pańskim życiu. Domyślam się, że zawsze chodziło o kobietę?

Pokiwał głową.

- Romansuje pan z mężatkami, nie zważając na święty związek małżeński ani na uczucia męża, którego pan krzywdzi.

- Wydaje się pani, że dużo o mnie wie - zauważył kpiąco.

- Musiałabym być głucha i ślepa, żeby nie wiedzieć. Wiem, że patrzy pan z góry na tych, którzy zajmują niższą pozycję społeczną od pana - czyli prawie na wszystkich - i traktuje ich pan jak poddanych, którzy muszą być na każde pańskie skinienie i bez szemrania wykonywać pańskie polecenia.

- I to bez „proszę” i „dziękuję” - dodał.

- Przypuszczam, że lubi pan przyjmować najbardziej niebezpieczne zakłady - ciągnęła. - Wcale się pan nie przejął tym, że lord Ferdynand weźmie udział w wyścigu karykli z Londynu do

Brighton. A przecież może skrócić sobie kark.

- Ferdynand? Nigdy! - zapewnił. - Jak ja, ma kark ze stali.

- Interesuje pana tylko jedno: żeby wygrał wyścig. Wydaje mi się, że żal panu tylko tego, iż nie może pan go zastąpić, by samemu skrócić kark.

- Nie ma sensu stawać do wyścigu, jeśli nie zamierza się go wygrać, panno Ingleby. Chociaż trzeba też umieć przegrywać jak dżentelmen. Czyżby mnie pani łąjała? Czy to niewinna tyrada przeciwko moim manierom i zasadom?

- To nie jest moja sprawa, wasza książęca mość - odparła. - Mówię tylko to, co zaobserwowałam.

- Ma pani o mnie bardzo niskie mniemanie - zauważył z przekąsem.

- Ale przypuszczam, że moje zdanie znaczy dla pana nie więcej niż pstryknięcie palcami - odcięła się.

- Kiedyś byłem inny - powiedział. - Uratował mnie mój ojciec. Zadbał o to, żebym dokończył edukacji i stał się takim dżentelmenem, jak tego chciał. Może ma pani szczęście, panno Ingleby, że nigdy nie poznała pani swojego ojca ani matki.

- Pańscy rodzice musieli pana kochać - upierała się.

- Miłość. - Roześmiał się. - Nigdy pani nie zaznała miłości i ma pani wyidealizowany obraz tego uczucia albo tego, co czasem za to uczucie uchodzi. Jeśli miłość to bezinteresowne oddanie ukochanej

osobie, Jane, to rzeczywiście nie istnieje nic takiego. Jest tylko egoizm, pragnienie własnej wygody, wykorzystywanie tych, których się kocha. Uzależnienie to nie miłość. Dominacja to nie miłość. Pożądanie też z pewnością nie, chociaż czasem może stanowić dobrą jej namiastkę.

- Biedny z pana człowiek - powiedziała.

Założył monokl na oko i spojrzał na nią. Wytrzymała jego spojrzenie, pozornie zupełnie opanowana. Większość kobiet, z którymi zetknął się do tej pory, albo się wdzięczyła, albo zaczynała się czuć nieswojo, kiedy im się bacznie przyglądał. Zresztą teraz była to jedynie poza z jego strony. Miał na tyle dobry wzrok, że doskonale ją widział i bez monokla.

- Moja matka i ojciec tworzyli bardzo szczęśliwą parę. Nigdy nie słyszałem, żeby się kłócili, ani nie widziałem, żeby się na siebie boczyli. Urodziła im się trójka dzieci, niechybny dowód ich wzajemnego oddania.

- W ten sposób zadał pan kłam swojej własnej teorii - zauważyła Jane.

- Może działało się tak dlatego, że widywali się tylko przez parę minut trzy, cztery razy do roku - wyjaśnił. - Kiedy mój ojciec przyjeżdżał do domu w Acton Park, moja matka udawała się do Londynu. Kiedy ona wracała na wieś, on wyjeżdżał. Jak pani widzi, to wielce dogodne rozwiązanie. - Kiedyś uważał taką sytuację za coś

najnormalniejszego pod słońcem. Dziwne, jak dzieci potrafią się dostosować niemal do wszystkiego.

Jane nic nie powiedziała. Siedziała bez ruchu.

- Byli również nadzwyczaj dyskretni - stwierdził. - Jak każda idealna para, która chce utrzymać harmonię w małżeństwie. Do Acton nigdy nie docierało ani słówko o licznych kochankach mojej matki. Nic o nich nie wiedziałem, dopóki sam nie pojechałem do Londynu w wieku szesnastu lat. Na szczęście przypominam ojca zewnątrz. Ferdynand i Angelina też. Niedobrze by było, gdyby ktoś podejrzewał, że jesteśmy bękartami, prawda?

Nie mówił tego, by sprawić jej przykrość. Za późno sobie przypomniał, że Jane Ingleby nie znała swoich rodziców. Ciekaw był, kto jej nadał nazwisko. Dlaczego nie zdecydowano się na Smith albo Jones? Może w lepszych sierocińcach obowiązywała zasada nadawania bardziej wymyślnych nazwisk wychowankom, by się wyróżniali od reszty sierot.

- Tak, to przykre - zgodziła się. - Żadne dziecko nie powinno się czuć zdradzone, nawet kiedy jest wystarczająco duże, by poradzić sobie ze świadomością tej zdrady. To musiał być dla pana wielki cios. Ale przypuszczam, że pana kochała.

- Jeśli mierzyć to liczbą i okazałością prezentów, które przywoziła nam z Londynu, to miała bzika na naszym punkcie. Mój ojciec nie szukał przyjemności podczas miesięcy spędzanych w Londynie. W

odległym zakątku Acton Park jest malowniczy domek, Jane. W pobliżu przepływa rzeka, wkoło wznoszą się zalesione wzgórza. To naprawdę idylliczna sceneria. Podczas kilku lat, kiedy byłem dzieckiem, mieszkała w tym domku uboga krewna, kobieta niezwyklej urody i czaru. Miałem szesnaście lat, kiedy zrozumiałem, kim jest naprawdę.

Tresham od dawna zamierzał polecić, by rozebrano domek. Ale jakoś dotąd tego nie zrobił. Lecz dom stał teraz pusty, a on wyraźnie zabronił swemu zarządcy wydać chociaż pensa na jego konserwację. Z czasem sam rozsypie się ze starości.

- Przykro mi - powiedziała, jakby była osobiście odpowiedzialna za brak taktu jego ojca, który trzymał kochankę we własnej posiadłości, gdzie mieszkały dzieci. Ale Jane nie poznała nawet połowy prawdy, a on nie zamierzał jej w nią wtajemniczać.

- Jak pani widzi, postawiono przede mną wysokie wymagania - podsumował. - Ale ufam, że staram się jak najlepiej podtrzymywać opinię, jaką się cieszy moja rodzina.

- Przeszłość do niczego pana nie zobowiązuje - zauważyła. - Nikomu nie wiąże rąk. Wpływa na nas, owszem, może kusi nas, byśmy żyli tak samo. Ale nic nas do tego nie zmusza. Każdy ma wolną wolę, a pan w większym stopniu niż inni. Ma pan pozycję, majątek, możliwości ku temu, by przeżyć życie po swojemu.

- I właśnie, moja mała moralizatorko - powiedział cicho, patrząc

na nią spod przymkniętych powiek - to robię. Ma się rozumieć, nie teraz. Bezczyność to dla mnie przekleństwo. Ale może to odpowiednia kara za zabawianie się w łóżku z mężatką nie uważa pani?

Zaczerwieniła się i spuściła wzrok.

- Sięgają do pasa? - spytał. - Czy są jeszcze dłuższe?

- Moje włosy? - Spojrzała na niego zaskoczona. - Och, to tylko włosy. Są dłuższe niż do pasa.

- Tylko włosy - mruknął. - Tylko czyste złoto. Tylko magiczna pajęczyna, w którą każdy mężczyzna chętnie by wpadł i dał się omotać, Jane.

- Nie pozwoliłam panu na takie spoufalanie się, wasza książęca mość - oświadczyła sztywno.

Roześmiał się.

- Dlaczego znoszę pani bezczelne uwagi? Jest pani moją służącą.

- Ale nie niewolnicą - odparła. - Kiedy tylko zechcę, mogę wstać, wyjść przez te drzwi i nigdy nie wrócić. Tych kilka funtów, które mi pan płaci za trzy tygodnie pracy u pana, nie daje panu prawa własności. Ani nie usprawiedliwia pańskiej impertynencji, kiedy mówi pan z taką lu-bieżnością o moich włosach. A nie może pan zaprzeczyć, że było coś dwuznacznego w sposobie, w jaki pan o nich mówił i na nie patrzył.

- Z całą pewnością nie zaprzeczę - zgodził się. - Zawsze staram

się mówić prawdę, panno Ingleby. Proszę przynieść szachy z biblioteki. Przekonamy się, czy będzie dziś pani dla mnie godnym przeciwnikiem. I przy okazji proszę powiedzieć Hawkinsowi, żeby przyniósł brandy. Zupełnie mi zaschło w gardle.

- Dobrze, wasza książęca mość. - Wstała.

- I radzę pani - dodał - by nigdy więcej nie nazywała mnie pani impertynentem. Moja cierpliwość też ma swoje granice.

- Ale jest pan przykuty do kanapy - zauważyła - a ja w każdej chwili mogę wyjść. To daje mi pewną przewagę.

Choć raz, pomyślał, gdy zniknęła za drzwiami - przynajmniej jeden raz przez następne dwa tygodnie, kiedy będzie u niego pracowała - postara się, by to do niego należało ostatnie słowo w rozmowie. Nie przypominał sobie, by w ciągu ostatnich dziesięciu lat nie do niego należało ostatnie słowo, bez względu na to, z kim rozmawiał - z kobietą czy mężczyzną.

Ale poczuł ulgę, że zanim wyszła, ich rozmowa przybrała normalny ton. Nie wiedział, jak Jane udało się tak zręcznie zmienić temat, że zamiast wyciągnąć z niej cokolwiek o jej życiu, opowiedział jej takie rzeczy o swym dzieciństwie, o których nie chciał myśleć, nie mówiąc już o tym, by komuś się z nich zwierzać.

Był bardzo bliski otworzenia przed nią serca.

A przecież wolał uważać, że go nie ma.

Rozdział 7

Podejź tutaj - powiedział książę Tresham do Jane kilka dni później, kiedy skończyli partię szachów. Wprawdzie wygrał, ale musiał się nieźle nagłowić nad kolejnymi ruchami. Zarzucił Jane, że próbuje go rozproszyć swoją paplaniną, choć w czasie gry prawie się nie odzywała. Jane odłożyła szachy na miejsce.

Nie podobał jej się ton jego głosu. Właściwie, kiedy się nad tym zastanowiła, wcale mu nie ufała. Od kilku dni stosunki między nimi stały się napięte. Co mogło być tego powodem, z łatwością domyśliłby się nawet ktoś tak mało doświadczony, jak ona. Widział w niej kobietę, a ona - niech Bóg jama w swej opiece - świadoma była jego męskości. Podchodząc do kanapy, dziękowała Bogu, że Jocelyn nadal jest unieruchomiony. Prawdę mówiąc, gdyby było inaczej, dawno straciłaby zajęcie.

Coraz bardziej przygnębiała ją myśl, że za półtora tygodnia będzie musiała pożegnać się z pracą w Dudley House. W beztróskich rozmowach jego przyjaciele kilkakrotnie wspominali, że kuzyn jej ojca, hrabia Durbury, jest w Londynie, i że wynajął słynnych i groźnych detektywów z Bow Street, by jej szukali. Odniosła wrażenie, że książę i jego przyjaciele są po jej stronie. Wyśmiewali się niecierzącego się ich sympatią Sidneya, że dał się pokonać dziewczynie. Ale ich postawa uległaby radykalnej zmianie, gdyby się

dowiedzieli, że Sara Illingsworth i Jane Ingleby to ta sama osoba.

- Pokaż mi swoje ręce - odezwał się książę. Było to oczywiście polecenie, a nie prośba.

- Dlaczego? - spytała, ale on tylko uniósł brwi w charakterystyczny dla siebie, arogancki sposób, i utkwiał w niej wzrok.

Z wahaniem wyciągnęła ręce wewnętrzną stroną do dołu. Ujął je w dłonie i odwrócił.

Była to jedna z najbardziej krępujących chwil w życiu Jane. W porównaniu z jego rękami jej dłonie wydawały się bardzo małe. Mogła je z łatwością cofnąć i coś jej podpowiadało, żeby to zrobić. Ale wtedy przyznałaby się do skrępowania i zdradziła, co jest jego źródłem. Nie potrafiła się oprzeć jego męskiemu urokowi. Zaparło jej dech w piersiach.

- Nie masz odcisków - stwierdził. - Nie pracowała pani fizycznie, Jane? Wolałaby, gdyby nie zwracał się do niej tak, jak rodzice.

- Tak, wasza książęca mość - powiedziała.

- Śliczne dłonie - ciągnął - jak należałoby się spodziewać. Pasują do pani. Delikatnie zmienia pani nimi bandażę, nie powodując zbędnego bólu. Ciekawe, do czego jeszcze są zdolne. Gdyby pani tylko chciała, mogłaby pani zostać najbardziej pożądaną kurtyzaną w Anglii.

Chciała cofnąć dłonie, ale on był szybszy i przytrzymał je.

- Przecież powiedziałem „gdyby pani chciała” - zauważył z

figlarnym błyskiem w oku. - Ciekaw jestem, co jeszcze potrafią? Gra pani na jakimś instrumencie? Może na fortepianie?

- Trochę - przyznała. W przeciwieństwie do matki, była tylko przeciętną pianistką.

Nadal nie puszczając jej rąk, przeszywał ją ciemnymi oczami. To, co niedawno mówiła, że może od niego uciec po prostu wychodząc za drzwi, wydawało się teraz śmieszne. Gdyby tylko lekko ją przyciągnął, przywarłaby do niego całym ciałem.

Patrzyła gniewnie, za nic nie chcąc zdradzić swego lęku i niepewności.

- Niech mi pani coś zagra. - Puścił jej ręce i wskazał fortepian, stojący w głębi salonu. Już wcześniej zauważyła, że to piękny instrument, chociaż nie tak okazały jak ten w pokoju muzycznym.

- Wyszłam z wprawy - bąknęła.

- Na litość boską, panno Ingleby proszę się tak nie krygować - zawołał. - Zawsze spiesznie uciekam do gabinetu karcianego, gdy na przyjęciu jakieś panienki z dobrych domów zamierzają się popisywać swoją grą. Ale tak nisko upadłem, że niemal pragnę posłuchać kogoś, kto otwarcie przyznaje, że umie grać tylko trochę, a do tego wyszedł z wprawy. Więc proszę iść i zagrać, zanim postanowię zabawić się w inny sposób, a mam panią w zasięgu rąk.

Podeszła do fortepianu.

Zagrała jeden z utworów, którego kiedyś nauczyła się na pamięć,

fugę Bacha. Na szczęście pomyliła się tylko dwa razy, i to na samym początku.

Księżę przywołał ją do siebie, kiedy skończyła. Przeszła przez pokój, usiadła na swoim krześle i spojrzała mu prosto w oczy. Wiedziała z doświadczenia, że to powstrzymuje go od dokuczania jej. Jakby dawała mu do zrozumienia, że jest zdolna odpłacić pięknym za nadobne.

- Miała pani rację - powiedział opryskliwie. - Słabo pani gra. Bardzo słabo. Bez polotu. Każdą nutę osobno, jakby stanowiła odrębną całość, niepowiązaną z tym, co było wcześniej i co nastąpi potem. Uderza pani w klawisze tak, jakby to był kawałek kości słoniowej, jakby nie wierzyła pani, żeby można z niego wydobyć melodyjny dźwięk. Musiała pani mieć kiepskiego nauczyciela.

Z całkowitym spokojem zniosła krytyczne uwagi o sobie, nie miała żadnych złudzeń co do swojej umiejętności gry na fortepianie. Ale najeżyła się, słysząc, jak rzuca kalumnie na jej matkę.

- Nieprawda! - zawołała. - Jak pan śmie oceniać nauczycielkę wedle mojej gry. Miała więcej talentu w małym palcu, niż ja we wszystkich dziesięciu. Grała tak, że wydawało się, iż źródłem muzyki jest ona, a nie instrument. Albo jakby muzyka spływała przez nią z jakiegoś... z jakiegoś boskiego źródła. - Patrzyła na niego oburzona, brakowało jej słów, którymi mogłaby wyrazić to, co czuje.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, w jego oczach ujrzała

dziwny, nieznanym sobie błysk.

- Aha - powiedział w końcu. - A więc rozumie to pani? Rzecz nie w tym, że jest pani niemuzykalna, tylko brak pani talentu. Ale czemuż to taki ideał uczył w sierocińcu?

- Była aniołem - oświadczyła Jane i otarła łzy, które lada moment potoczyłyby się jej po policzkach. Co się z nią dzieje? Nigdy dotąd nie była taką beksą.

- Biedna Jane - powiedział łagodnie. - Czy zastępowała pani matkę?

Mało brakowało, a wysłałaby go do wszystkich diabłów Ładne rzeczy niemal zniżyła się do jego poziomu.

- Mniejsza o to - powiedziała słabym głosem. - Nie ma pan prawa do moich wspomnień, wasza książęca mość. Ani do mnie.

- Jest pani zła jak osa - zauważył. - Czyżbym dotknął czulego punktu? Może pani teraz odejść i zająć się tym, czym ma pani zwyczaj się zajmować w wolnych chwilach. Proszę przysłać do mnie Quincy'ego. Muszę mu podyktować kilka listów.

Zeszła do ogrodu, jak każdego popołudnia, chyba że padał deszcz. Wiosenne kwiaty rozkwitały, powietrze pachniało słodko. Brakowało jej ruchu na świeżym powietrzu, przyzwyczała się do tego w Kornwalii. Ale coraz większy strach nie pozwalał jej wyjść z Dudley House na ulicę.

Bała się, że ją złapią że jej nie uwierzą i skazą za morderstwo.

Czasami mało brakowało, by wyznała całą prawdę księciu Tresham. Coś jej mówiło, że stanąłby po jej stronie. Ale przecież głupotą byłoby zaufać komuś, kto sływał z bezwzględności.

Po dwóch tygodniach Jocelyn doszedł do wniosku, że jeszcze jeden tydzień bezczynności doprowadzi go do szaleństwa. Co nie znaczy, że Raikes nie miał racji, niech go wszyscy diabli. Było za wcześnie, by Jocelyn mógł chodzić. Ale istnieje szereg możliwości między normalnym poruszaniem się a leżeniem z jedną nogą uniesioną w górę.

Postanowił sprawić sobie kule.

Umocnił się w swoim zamiarze, by dłużej z tym nie zwlekać, po dwóch popołudniowych wizytach. Najpierw przyszedł wielce podniecony Ferdynand i przekazał mu ostatnie szczegóły na temat wyścigu karykli, który miał się odbyć za trzy dni. W klubie przyjęto dużo zakładów, prawie wszyscy stawiali na zwycięstwo lorda Berriwethera. Ale to w najmniejszym stopniu nie zniechęciło Ferdynanda. Poruszył też jeszcze jeden temat.

- Bracia Forbesowie są coraz bezczelniejsi - oświadczył. - Dają do zrozumienia, że ukrywasz się tutaj, udając inwalidę, bo na myśl o ich zemście zaczynasz trząść portkami. Gdyby powiedzieli to w mojej obecności, spoliczkowałbym każdego po kolei tak mocno, że spuchłyby im gęby.

- Nie mieszaj się do moich spraw - nakazał mu ostro Jocelyn. - Jeśli mają coś do powiedzenia na mój temat, niech zwrócą się do mnie. Nie będą już długo czekać.

- Twoje sprawy są moimi sprawami, Tresham - obruszył się brat. - Jeśli ktoś znieważy jednego członka naszej rodziny, to tak, jakby znieważył nas wszystkich. Mam tylko nadzieję, że lady Oliver jest tego warta. Śmiem twierdzić, że tak. Nigdy nie spotkałem kobiety o tak szczupłej kibici i tak wydatnym... - Urwał niespodziewanie i zmieszany obejrzał się przez ramię na Jane Ingleby, jak zwykle siedzącą w milczeniu w głębi pokoju.

Ferdynand, podobnie jak Angelina i przyjaciele Jocelyna, nie wiedział, jak traktować pielęgniarkę księcia Tresham.

Zanosi się na kłopoty, pomyślał niespokojnie Jocelyn po wyjściu brata. Jak zwykle. Tyle tylko, że normalnie mógł im stawić czoło. Zawsze się tym upajał. A ostatnio przyłapywał się na myśli, że jest coś wyjątkowo głupiego i bezsensownego w całym jego dotychczasowym stylu życia.

Im szybciej wróci do zwykłych zajęć, tym lepiej. Jeśli jutro Barnard nie dostarczy mu kul, o które prosił, spyta go o powód zwłoki.

A potem pojawił się drugi gość. Hawkins zapowiedział go z miną pełną dezaprobaty. Jane Ingleby zamknęła książkę, którą właśnie czytała, i wycofała się do kąta, w którym zawsze się chowała, kiedy

książę przyjmował gości.

- Wasza książęca mość, lady Oliver pragnie porozmawiać z panem na osobności - powiedział Hawkins. - Poinformowałem ją, że nie wiem, czy czuje się pan wystarczająco dobrze, by przyjmować.

- Ty skończony durniu! - krzyknął Jocelyn. - Powinieneś wiedzieć, że ona nie ma prawa przestąpić progu tego domu. Wyrzuć ją!

Nie pierwszy raz przyszła do Dudley House. Lady Oliver zdawała się nie rozumieć, że damie nie wypada odwiedzać samotnego mężczyzny w jego domu. W dodatku przyszła w porze składania wizyt. Ktoś mógłby ją przypadkowo zobaczyć.

- Zapewne przyjechała powozem lorda Olivera, który czeka na nią przed domem? - zadał pytanie, na które dobrze znał odpowiedź.

- Tak jest, wasza książęca mość.

Zanim Jocelyn zdołał powtórzyć, by natychmiast wyprosić lady Oliver, pojawiła się w drzwiach. Jocelyn pomyślał ponuro, że Hawkins będzie miał dużo szczęścia, jeśli przed końcem dnia nie zostanie zdegradowany do pozycji pomocnika czyścibuta.

- Tresham - powiedziała lady Oliver swoim słodkim, lekko zachrypniętym głosem. Uniosła do ust obszytą koronką chusteczkę, co było widowym znakiem cierpienia wrażliwych kobiet.

Rzeczywiście była uosobieniem kobiecości. Różne odcienie zieleni podkreślały jej rude włosy. Chociaż była niska, szczupła i

filigranowa, miała wydatny biust, który wzbudzał taki zachwyt u Ferdynanda.

Jocelyn spojrział na nią gniewnie, kiedy weszła do pokoju. Jej orzechowe oczy pełne były troski.

- Nie powinna pani tu przychodzić.

- Jak mogłam nie przyjść? - Przebiegła przez pokój, osunęła się u stóp szezlonga i ujęła w obie dłonie jego rękę. Zbliżyła ją do swych ust.

Hawkins wycofał się i zamknął drzwi za sobą.

- Tresham - powtórzyła - moje biedactwo! Podobno strzełeś w powietrze, chociaż z łatwością mogłeś zabić Edwarda. Wszyscy wiedzą, że jesteś znakomitym strzelcem. A potem pozwoliłeś się postrzelić w nogę jak prawdziwy bohater.

- Odbyło się to w odwrotnej kolejności - poprawił ją szorstko. - I nie było w tym żadnego bohaterstwa. Ktoś odwrócił moją uwagę.

- Jakaś kobieta krzyknęła - powiedziała, znów całując jego dłoń, po czym przycisnęła ją do chłodnego, upudrowanego policzka. - Nie mam do niej pretensji, chociaż gdybym sama się tam znalazła, natychmiast bym zemdląła. Mój biedny bohaterze! Mało brakowało, by cię zabił.

- Noga jest daleko od serca - zauważył i uwolnił rękę z jej dłoni. - Proszę wstać. Nie proponuję, żeby pani usiadła i czegoś się napiła, bo wyjdzie pani, i to zaraz. Panna Ingleby odprowadzi panią do

drzwi.

- Panna Ingleby? - Nagle na jej policzkach pojawiły się rumieńce, gniewnie błysnęła oczami.

- Panno Ingleby, przedstawiam pani lady Oliver, która właśnie wychodzi.

Zazdrość i oburzenie lady Oliver szybko zmieniły się w obojętność i lekceważenie, kiedy zobaczyła, że Jane jest zwykłą służącą.

- Jesteś okrutny, Tresham - powiedziała. - O mało nie umarłam, zamartwiając się o ciebie. Tęskniłam za tobą.

- Już mnie pani zobaczyła - stwierdził. - Żegnam panią.

- Powiedz, że też za mną tęskniłeś - poprosiła. - To okrutne, że każesz mi zebrać o jedno dobre słowo.

Spojrzał na nią z wyraźną niechęcią.

- Prawdę mówiąc, prawie o pani nie myślałem od czasu, kiedy widzieliśmy się ostatni raz, w kawiarni George'a czy też na Bond Street? Nie pamiętam. I zapewne gdy tylko pani wyjdzie, nie poświęcę pani ani chwili uwagi.

Znów przyłożyła chusteczkę do ust, patrząc na niego z wyrzutem.

- Gniewasz się na mnie - powiedziała.

- Zapewniam panią że nie czuję nic poza irytacją - odparł.

- Gdybyś pozwolił mi wytłumaczyć... - zaczęła.

- Proszę mi tego oszczędzić.

- Przyszłam tu, żeby cię ostrzec. Moi bracia, Anthony, Wesley i Joseph, chcą cię zabić. W obronie mojego honoru, bo uważają, że Edward nie zrobił tego dość przekonująco. A jeśli cię nie zabiją, znajdą inny sposób, by ci zaszkodzić. Wiesz, że są do tego zdolni.

Zachowanie świadczące o absolutnym braku honoru musi być zatem cechą rodzinną pomyślał Jocelyn.

- Panno Ingleby - zwrócił się do Jane. - Czy byłaby pani tak dobra i odprowadziła lady Oliver do drzwi? I proszę powiedzieć Hawkinsowi, że chcę z nim mówić.

Lady Oliver wybuchnęła płaczem.

- Masz serce z kamienia, Tresham, wszyscy mnie o tym uprzedzali - oznajmiła, łkając. - Myślałam, że znam cię lepiej. Myślałam, że mnie kochasz. Żadna pokojówka nie musi odprowadzać mnie do drzwi. Sama trafię, dziękuję.

I zrobiła to tak wspaniale, że gdyby była na scenie, z widowni rozległyby się okrzyki i wołania o bis.

- A więc, panno Ingleby, co pani myśli o mojej ukochanej? - spytał Jocelyn, kiedy czyjaś niewidzialna ręka zamknęła drzwi do biblioteki. - Czy można mieć do mnie pretensje, że nie wzgardziłem jej wdziękami, nie bacząc na to, czy jest mężatką czy nie?

- Jest prześliczna - przyznała Jane.

- A jak brzmi pani odpowiedź na moje drugie pytanie? - Patrzył na nią gniewnie, jakby to ona odpowiadała za nietakt lady Oliver.

Prawdę mówiąc, spodziewał się, że będzie go unikała jak ognia.

- Nie jestem pańskim sędzią wasza książęca mość - oświadczyła z powagą Jane.

- A więc wybacza pani cudzołóstwo? - spytał, patrząc na nią spod oka.

- Ależ nie - zaprzeczyła gorąco. - To zawsze jest czymś nagannym. Ale teraz potraktował ją pan okrutnie. Mówił pan do niej tak, jakby nią gardził.

- Bo nią gardzę. Dlaczego miałbym udawać, że jest inaczej?

- A jednak dzielił pan z nią łożę i rozkochał ją pan w sobie - przypomniała. - A teraz odtrącił ją pan, kiedy łamiąc konwenanse przyszła, by pana ostrzec.

Uśmiechnął się.

- Czy naprawdę można być aż tak naiwnym? - spytał. - Rozkochałem w sobie lady Oliver, Jane? Jediną osobą którą kocha lady Oliver, jest lady Oliver. A złamała konwenanse, żeby *beau monde* uwierzył, że ona i ja wciąż jesteśmy razem, nie zważając na zasady i niebezpieczeństwo. Ta kobieta jest ekshibicjonistką. Sprawia jej przyjemność afiszowanie się, szczególnie z kimś takim, jak ja. Nie posiadałaby się z zachwytem, gdyby zaczęto mówić, że udało jej się poskromić Dudleya - i to samego księcia Tresham. Niczego nie pragnie bardziej, niż widzieć mnie zmuszonym do wystrzelenia w powietrze jeszcze trzy razy, podczas gdy jej bracia zrobią ze mnie

tarczę strzelniczą. A nawet pięć razy, jeśli pozostali bracia zjadą do miasta.

- Nie docenia pan wrażliwości tej kobiety - powiedziała Jane.

- Myślałem, że nie jest pani moim sędzią - zwrócił jej łagodnie uwagę.

- Nawet święty nie oparłby się pokusie - oświadczyła cierpko.

- Mam nadzieję. - Uśmiechnął się. - Niech mi pani powie, dlaczego uznała pani, że dzieliłem łóżce z lady Oliver?

Przez kilka chwil patrzyła na niego zaskoczona.

- Wszyscy o tym wiedzą - stwierdziła w końcu. - Przecież dlatego jej mąż wyzwał pana na pojedynek. Sam mi pan o tym mówił.

- Czyżby? - spytał. - A może tylko pozwoliłem, by doszła pani do takiego wniosku?

- Przypuszczam, że teraz pan temu zaprzeczy - zauważyła z oburzeniem.

Zacisnął usta i nie odpowiedział od razu.

- Nie sądzę - odparł. - Widzisz, Jane, gdybym temu zaprzeczył, mogłaby pani odnieść wrażenie, że zależy mi na pani dobrej opinii. A nie chcę, żeby pani tak uważała, prawda?

Podeszła bliżej i znów usiadła na swoim krześle. Położyła na kolanach książkę, nie przykładając zbytnio wagi do tego, czy otworzyła ją na odpowiedniej stronie. Położyła dłonie płasko na stronicach. Zmarszczyła czoło.

- Jeśli to nieprawda, dlaczego pan nie zaprzeczył? - spytała. -
Dlaczego stoczył pan pojedynek, ryzykując życie?

- Och, Jane, Jane - westchnął. - Czy dżentelmen może publicznie
zarzucić damie kłamstwo?

- Przecież pan nią gardzi.

- Ale nadal jestem dżentelmenem - przypomniał - a ona damą.

- To śmieszne! - Ściągnęła brwi. - Pozwolił pan, żeby jej mąż
uwierzył w najgorsze o panu i o niej, nie mówiąc mu prawdy?
Pozwolił pan, żeby cały elegancki świat miał o panu tak złe
mniemanie?

- Przeciwnie - odparł - właśnie za to mnie kochają, Jane. Jestem
złym, niebezpiecznym księciem Tresham. Rozczarowałbym
wszystkich, gdybym zaczął twierdzić, że tym razem jestem niewinny
jak baranek. Oczywiście to nie do końca prawda. Flirtowałem z lady
Oliver. Często flirtuję z mężatkami. Tego się ode mnie oczekuje.

- Co to za wierutne bzdury! - wykrzyknęła zagniewana. - I nie
wierzę panu. Mówi mi pan to tylko dlatego, żeby później się ze mnie
wyśmiewać i powtarzać, jaka jestem głupiutka, że uwierzyłam w
pańską niewinność.

- Przypominam pani, panno Ingleby, że jak powiedziałem, w
ogóle nie obchodzi mnie pani zdanie o mnie.

- Jest pan nikczemny. Nie wiem, dlaczego godzę się być pańską
pielęgniarką.

- Może dlatego, Jane, że potrzebuje pani dachu nad głową i jedzenia, by nie umrzeć z głodu. A może dlatego, że sprawia pani przyjemność strofowanie mnie i chłostanie ciętym językiem? Może dlatego, że trochę mnie pani polubiła? - Powiedział to przymilnym tonem.

Zacisnęła usta i spojrzała na niego ponuro.

- Proszę zapamiętać jedno - oznajmił. - Ja nie kłamię, Jane. Nie prostuję kłamstw innych, ale sam nie kłamię. Może mi pani wierzyć albo nie. A teraz niech pani odłoży tę książkę i przyniesie mi kawy. I pocztę od Michaela Quincy'ego. I szachy.

- Proszę nie mówić do mnie „Jane” - powiedziała, wstając. - Pewnego dnia pokonam pana w szachy, mimo że będzie pan skupiony na grze. I przestanie być pan taki zadufany w sobie.

Uśmiechnął się.

- Proszę iść i zrobić to, co kazałem. Dobrze, panno Ingleby?

- Już idę, wasza książęca mość - powiedziała butnie.

A po jej wyjściu Jocelyn zastanawiał się, dlaczego uznał za takie ważne, chociaż temu zaprzeczył, by Jane poznała prawdę o nim i lady Oliver? Nie dbał o to, co inni o nim myślą. Prawdę mówiąc, zawsze chlubił się swoją złą reputacją nawet w tych rzadkich przypadkach, kiedy sobie na nią nie zasłużył.

Lady Oliver, prawdopodobnie w czasie kłótni, pochwaliła się mężowi, że książę Tresham jest jej kochankiem. A mąż, głęboko

urazony, wyzwiał go na pojedynek. Jak Jocelyn mógł zarzucić damie kłamstwo?

Dlaczego jednak chciał, by Jane Ingleby wiedziała, że nigdy nie dzielił łoża z lady Oliver? Ani z żadną mężatką?

Jeśli do jutra Barnard nie dostarczy mu kul, pomyślał niespodziewanie, połamię mu je na plecach, kiedy tylko dostanie je w swoje ręce.

Rozdział 8

Co pan najlepszego robi? - Jane rano weszła do biblioteki i zobaczyła wspartego na kulach księcia Tresham stojącego przy oknie.

- Chyba stoję w oknie biblioteki - odparł, oglądając się przez ramię i wyniośle unosząc brwi. - Jestem u siebie i łaskawie odpowiadam na impertynenckie pytanie impertynenckiej służącej. Niech pani pójdzie po narzutkę i kapelusz. Wyjdziemy razem do ogrodu.

- Ma pan leżeć z nogą uniesioną do góry - powiedziała i szybko podeszła do niego. Nie pamiętała, że jest wysoki.

- Panno Ingleby - powtórzył - proszę pójść po narzutkę i kapelusz.

Początkowo niezgrabnie posługiwał się kulami, ale nie powstrzymało go to przed półgodzinną przechadzką. W końcu usiedli obok siebie na ławeczce z kutego żelaza. Prawie dotykali się ramionami. Jane siedziała bez ruchu, a on powoli i głośno oddychał.

- Człowiek zbyt wiele rzeczy uważa za oczywiste - powiedział bardziej do siebie niż do niej. - Na przykład świeże powietrze i woń przyrody. Własne zdrowie. Możliwość swobodnego poruszania się.

- Cierpienie i brak czegoś z całą pewnością pozwalają nam sobie to uprzytomnić - zgodziła się. - Przypominają nam, żebyśmy przestali trwonić życie nieświadomie, zajmując się błahostkami. - Jeśli kiedyś znów będzie wolna...

Jej matka zmarła po krótkiej chorobie, kiedy Jane miała zaledwie siedemnaście lat, a ojciec - załamany tą stratą - rok później. Zostały jej wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa i bezpiecznego życia. Była na tyle młoda i niewinna, by wierzyć, że tak będzie zawsze. Kuzyn ojca odziedziczył tytuł hrabiowski i wprowadził się do Candleford. Nie ukrywał niechęci do Jane, a zarazem zabiegał o jej względy, snuł plany dotyczące jej przyszłości, odpowiadające jemu, ale nie jej. Gdyby mogła chociaż na jeden dzień wrócić do tych beztroskich czasów...

- Przypuszczam, że powinienem teraz zacząć nowy rozdział życia, prawda, panno Ingleby? - powiedział książę, odwróciwszy głowę, by na nią spojrzeć. - Zostać najrzadszym ze wszystkich fenomenów, nawróconym grzesznikiem? Porzucić dotychczasowy styl życia? Poślubić jakąś świętą i przenieść się do wiejskiej posiadłości, by stać się wzorowym właścicielem ziemskim? Spłodzić gromadkę wzorowych dzieci i wychować je na wzorowych obywateli? Żyć długo i szczęśliwie w monogamicznym związku?

Mówił to tak skruszonym tonem, że roześmiała się.

- Jestem pewna, że przyjemnie byłoby na to popatrzeć - odparła. - Czy udowodnił pan sobie to, co chciał pan udowodnić? Boli pana noga, prawda? Znów masuje pan udo. Wracajmy do domu, ułożę pana wygodnie.

- Jak to jest, Jane, że kiedy mówi pani do mnie, zapominam o

nowym życiu i mam ochotę dalej grzeszyć?

Lekko przechylił się na bok. Dotykał ją ramieniem, a ona nie znalazła miejsca, żeby się odsunąć. Wstała.

To niemal nieznośne napięcie ogarniało ją stanowczo za często. Oczywiście celowo tak postępował. Uważała, że dziką przyjemność sprawiało mu robienie dwuznacznych uwag i spoglądanie na nią spod na wpół przymkniętych powiek. Zawsze bawiło go drażnienie Jane i aż nadto dobrze wiedział, jak to na nią wpływa.

Nie mogła zaprzeczyć, że jego widok - nawet sama myśl o nim - sprawiały, że krew szybciej krążyła w żyłach. Każdy dotyk jego ręki sprawiał, że pragnęła czegoś więcej.

- W takim razie proszę mnie zabrać do domu - powiedział, wstając bez jej pomocy - i zrobić wszystko, co uzna pani za stosowne, bym poczuł się lepiej. Widzi pani, jestem potulny, bo nie jest pani w nastroju do flirtu.

- I nigdy nie będę, wasza książęca mość - zapewniła go gorąco. Ale jeszcze tego wieczoru jej postanowienie miało zostać wystawione na ciężką próbę.

Jocelyn nie mógł spać. Od tygodnia cierpiał na bezsenność, co było zrozumiałe, skoro po jedenastej - czasem już po dziesiątej - nie miał nic innego do roboty, jak iść do łóżka i wyobrażać sobie wszystkie bale i rauty, i to, jak jego przyjaciele udają się po nich do

klubu, by wrócić do domu dopiero o świcie.

Tego dnia nie tylko męczyła go bezsenność. Nie mógł usiedzieć na miejscu, czuł, jak narasta w nim pokusa - tego rodzaju pokusa, przez którą jako chłopiec często miewał kłopoty, dopóki nie nauczył się nad nią panować, szczególnie kiedy ojciec przebywał w Acton. W końcu udało mu się całkowicie ją przewyciężyć - teraz tylko czasami pokonywała wszystkie linie obrony i nie dawała mu spokoju.

Zazwyczaj wtedy umawiał się z kobietą i zostawał z nią tak długo, aż nie miał sił na nic, i zapadał w sen. Potem wracał do normalnego życia.

Przez chwilę tęsknie pomyślał o Jane Ingleby, ale szybko odpędził te myśli. Lubił się z nią przekomarzać, flirtować, denerwować ją. Była śliczna i atrakcyjna, ale poza jego zasięgiem. To przecież tylko służąca, mieszkająca w jego domu.

W końcu, nieco po północy, nie mógł już wytrzymać. Odrzucił kołdrę, wstał i podpierając się kulami, pokuśtykał do garderoby. Włożył koszulę, spodnie i ranne pantofle, ale dał sobie spokój z kamizelką i frakiem. Nie wziął świecy, bo nie miał trzeciej ręki, w której mógłby ją trzymać. Zapali jakąś na dole.

Wolno i niezgrabnie zszedł na parter.

Jane nie mogła spać.

Księżę Tresham nie musiał już nosić opatrunku. Rana się zagoiła.

Chodził o kulach. Był rozdrażniony, nie mógł długo usiedzieć w jednym miejscu, wkrótce zacznie wychodzić z domu. Przystanie mu być potrzebna.

Właściwie nigdy nie była mu potrzebna.

Prawdopodobnie zwolni ją nim miną umówione trzy tygodnie. A nawet jeśli tego nie zrobi, został już tylko tydzień.

Świat poza progiem Dudley House stał się miejscem budzącym lęk i bała się do niego wrócić. Codziennie jakiś gość wspominał o sprawie, znanej teraz jako wypadek w Kornwalii. Dziś księżę i jego przyjaciele też beztrąsko rozmawiali na ten temat.

- Zastanawiam się - powiedział jasnowłosy i bardzo przystojny wicehrabia Kimble - dlaczego Durbury cały czas siedzi w hotelu Pulteney zamiast zwrócić się do nas o pomoc w odnalezieniu swej bratanicy, kuzynki czy też kim dla niego jest ta kobieta. Po co przyjechał do miasta, by jej szukać, skoro sam nie wychodzi z domu i zlecił to zadanie detektywom?

- Może opłakuje syna - zauważył sir Conan Brougham, młodzieniec o sympatycznej twarzy i brązowych włosach. - Chociaż nie nosi żałoby. Czy to możliwe, że Jardine jednak nie umarł, tylko z rozbitą głową przyczaił się w Kornwalii?

- To do niego podobne - stwierdził cierpko księżę.

- Gdyby ktoś chciał znać moje zdanie - odezwał się wicehrabia Kimble - ta kobieta zasłużyła raczej na medal niż na stryczek, nawet

jeśli Jardine rzeczywiście nie żyje. Świat tylko by na tym zyskał.

- Ale lepiej miejmy się wszyscy na baczności. Ty też, Tresham, kiedy już opuścisz azyl, jakim jest ten dom - dodał sir Conan żartobliwie. - Wypatrujemy zapalczącej jędry, wymachującej pistoletami albo ciężkim toporem. Różnie o tym mówią i nie wiadomo, czym się posłużyła, dopuszczając się tego haniebnego czynu.

- A czy wiadomo, jak wygląda? - spytał książę. - Żebym mógł uciec, gdy ją zobaczę.

- Czarnowłosa, czarnooka jędra, brzydka jak Baba Jaga - odparł sir Conan. - Albo jasnowłosa syrena, piękna jak anioł. Możesz wybierać. Słyszałem oba te opisy i kilka innych, pośrednich. Chyba nikt nigdy jej nie widział poza Durburym, który milczy jak grób. Słyszałeś o nowym nabytku Ferdynanda? Pewnie tak, i to z pierwszej ręki, że się tak wyrażę. Jak sądzisz, ruszą cwałem na północ, kiedy da im znak, by pobiegły na południe?

- Nie, jeśli jest naprawdę moim bratem - powiedział książę. - Domyślam się, że kupił narowistą parę, którą trzeba będzie obłaskawiać przez rok?

Rozmowa zeszła na konie.

Teraz Jane nie mogła spać ani nawet leżeć spokojnie. Wciąż stała jej przed oczami biała jak pergamin twarz Sidneya i krew na jego skroni. Nie mogła przestać myśleć o hrabi, który przyjechał do

Londynu, by jej szukać. I o detektywach, przeczesujących ulice i wypytyjących o nią. Wyobrażała sobie, jak bierze los w swoje ręce i opuszcza Dudley House, by spotkać się z hrabią w hotelu Pulteney.

Cóż by to była za ulga wyjść z ukrycia, ujawnić wszystko.

Trafić do więzienia. Być publicznie osądzoną. I powieszoną. Czy córkę hrabiego można skazać na śmierć przez powieszenie? Hrabiego nie można. A jego córkę? Nie wiedziała.

Dlaczego kuzyn jej ojca nie nosił żałoby? Czy to możliwe, że Sidney jednak nie umarł? Ale głupotą byłoby ludzi się nadzieją.

Odrzuciła kołdrę i nawet przestała udawać, że próbuje usnąć. Zapaliła świecę, zarzuciła szlafrok na ramiona i wyszła bosą z pokoju. Może znajdzie w bibliotece jakąś książkę. Będzie tak długo czytać, aż się uspokoi.

Kiedy znalazła się na schodach, dobiegły ją jakieś dźwięki. Nim zesłała na dół, nie miała wątpliwości, co to takiego.

Słyszała muzykę.

Dźwięki fortepianu dobiegały z pokoju muzycznego.

Ale któż mógł grać o tej porze? Było o wiele za późno na przyjmowanie gości. Musi być już dobrze po północy, poza tym w holu było ciemno. Cała służba udała się na nocny spoczynek. W szparze między drzwiami do pokoju muzycznego a podłogą zobaczyła ciekawą smugę światła.

Ostrożnie podeszła do drzwi i przez kilka chwil trzymała rękę na

gałce, nim ją przekreśliła.

To grał księżę Tresham.

Siedział przy fortepianie, kule leżały obok na podłodze. Zgarbiony, z zamkniętymi oczami, z jakimś bolesnym wyrazem na twarzy uderzał w klawisze. Grał coś urzekająco pięknego, coś, czego Jane nigdy wcześniej nie słyszała.

Stała jak zahipnotyzowana i słuchała ze ściśniętym sercem. Bo znów odniosła wrażenie, że źródłem tej muzyki nie jest instrument, ani nawet wykonawca, lecz pochodzi ona od jakiejś boskiej istoty. Nie wierzyła, że może istnieć ktoś jeszcze tak utalentowany, jak jej matka.

I oto miała przed sobą kogoś takiego.

Po kilku minutach muzyka umilkła. Księżę siedział z dłońmi uniesionymi nad klawiaturą z pochyloną głową oczy miał wciąż zamknięte. Dopiero wtedy do Jane dotarło, że jest tu intruzem.

Ale było za późno. Kiedy pomyślała, żeby wycofać się i cicho zamknąć za sobą drzwi, odwrócił głowę i otworzył oczy. Przez chwilę przyglądał się jej nieprzytomnym wzrokiem. A potem wybuchnął.

- Co pani tu robi, u diabła? - krzyknął.

Po raz pierwszy naprawdę się go przestraszyła. Jego gniew różnił się od tego, który widywała u niego wcześniej. Niemal się spodziewała, że księżę wstanie i podejdzie do niej.

- Przepraszam - szepnęła. - Zeszłam po książkę i usłyszałam muzykę. Gdzie się pan nauczył tak grać?

- To znaczy jak? - spytał, mrużąc oczy. Widziała, że mija mu pierwszy gniew i zaczyna bardziej przypominać siebie. - Brzdąkam sobie tylko, panno Ingleby Zabawiałem się, nieświadomy, że mam słuchaczkę.

I wtedy zrozumiała, że znów skrył się za maską którą zawsze nosił. Nigdy wcześniej nie pomyślała, że jest człowiekiem, który odczuwa potrzebę nakładania maski. Nie przyszło jej do głowy, że książę ma również takie oblicze, którego nigdy nie pokazuje ani jej, ani żadnemu ze swych gości.

- O, nie - odparła, wiedząc, że być może rozsądniej byłoby milczeć. Weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. - To nie było takie sobie brzdąkanie, wasza książęca mość. Jest pan obdarzony wielkim i rzadko spotykanym talentem. I wcale nie zabawiał się pan brzdąkaniem. Pański talent wprost emanował z pana gry.

- Bzdury! - powiedział szorstko po chwili milczenia. - Jane, nigdy nie brałem lekcji muzyki, nie potrafię nawet czytać nut. Oto, ile jest warta pani teoria.

Ale ona wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Nigdy nie brał pan lekcji muzyki? W takim razie co pan grał? Gdzie się pan tego nauczył?

Uświadomiła sobie, że zna odpowiedź, jeszcze zanim skończyła

pytać. Nie odpowiedział.

- Nie rozplata ich pani nawet na noc? - spytał po chwili.

Jej włosy, splecione w gruby warkocz, opadały na plecy. Ale nie pozwoliła mu zakończyć rozmowy.

- To pańska kompozycja. Prawda? Wzruszył ramionami.

- Jak powiedziałem, brzdąkam sobie.

- Dlaczego wstydzi się pan swojego talentu? - spytała. - Dlaczego chce go pan pomniejszyć, a nawet zaprzeczyć jego istnieniu?

Uśmiechnął się.

- Naprawdę nie zna pani mojej rodziny.

- Domyślam się, że gra na fortepianie, komponowanie muzyki, miłość do niej, to rzeczy niegodne mężczyzny z rodu Dudleyów - powiedziała.

- Graniczące ze zniewieściałością - zgodził się.

- Bach był mężczyzną - podeszła do księcia i postawiła świecznik na fortepianie obok lichtarza, rzucającego krąg światła. - Czy wszyscy sławni kompozytorzy są zniewieściali?

- Byliby, gdyby urodzili się Dudleyami. - Uśmiechnął się do niej, udając zgorszenie. - Gołe stopy, Jane? Cóż za szokujący negliż!

- Kto tak uważał? Pan? Czy pański ojciec i dziadek?

- Wszyscy tworzymy jedność - odparł. - Jak Trójca, Jane.

- To bluźnierstwo. Pański ojciec musiał sobie zdawać sprawę z pana talentu. Czegoś takiego nie można ukrywać w nieskończoność.

Kiedyś musi się ujawnić, jak tej nocy. Nie zachęcał pana do jego rozwijania?

- Szybko nauczyłem się, żeby nigdy nie grać, kiedy był w domu - odparł. - Przyłapał mnie dwa razy, a ja zbytnio nie przepadałem za spaniem na brzuchu przez całą noc z powodu obolałego tyłka.

Jane była zbyt wzburzona, żeby coś odpowiedzieć. Więc tylko patrzyła na niego z zaciśniętymi ustami - na tego twardego, cynicznego, niebezpiecznego łobuza, w którym wszelkie ślady wrażliwej, artystycznej duszy zniszczył ojciec na tyle słaby, by bać się wszystkiego, co kobiece. Dlaczego ludzie tego pokroju nie rozumieją że dojrzały, zrównoważony człowiek, bez względu na płeć, posiada w sobie cechy zarówno kobiece, jak i męskie? I oto miała przed sobą głupca, próbującego dorównać ideałowi, wymyślonemu przez ignoranta. I na ogół mu się to udawało.

Znów odwrócił się do fortepianu i zaczął coś cicho grać. Tym razem była to znajoma jej melodia.

- Zna pani to? - spytał, nie patrząc na nią.

- Tak - powiedziała. - To *Barbara Allen*. Jedna z ładniejszych i smutniejszych piosenek ludowych.

- Śpiewa pani? - spytał.

- Tak - przyznała cicho. - Zna pani słowa? - Tak.

- Więc niech pani zaśpiewa. - Przestał grać i spojrzał na nią. - Niech pani usiądzie przy mnie i zaśpiewa. Skoro już pani przysła,

niech mam z pani jakiś pożytek. Spróbuję grać tak, jakbym nie miał dwóch lewych rąk.

Patrzyła na jego dłonie, kiedy grał pierwsze takty. Już wcześniej zwróciła uwagę na to, jakie ma długie palce. Był jednak księciem Tresham i nie przyszło jej do głowy, że to ręce artysty. Teraz widziała to jasno. Wprost pieścił nimi klawisze.

Zaśpiewała piosenkę od początku do końca, chociaż utwór był długi. Zapomniała o skrępowaniu, które czuła na początku. Wszystko przestało się liczyć poza muzyką i smutną historią Barbary Allen. Śpiew zawsze sprawiał jej ogromną przyjemność.

Kiedy skończyła, zapadła cisza. Jane siedziała wyprostowana przy fortepianie, splecione dłonie trzymała na kolanach. Książkę trzymał ręce na klawiaturze. Pomyślała - nie rozumiejąc do końca, co to znaczy - że to jedna z najszcześniejszych chwil w jej życiu.

- Mój Boże! - powiedział w końcu. Ale nie zabrzmiało to jak bluźnierstwo. - Kontralt. Spodziewałem się, że śpiewa pani sopranem.

Chwila minęła i do Jane dotarło, że oto siedzi w pokoju muzycznym obok księcia Tresham, jest w koszuli nocnej, na którą narzuciła tylko szlafrok, a włosy splecione w warkocz opadają jej na plecy. W dodatku jest bosa. On miał na sobie obcisłe spodnie i białą koszulę, rozpiętą pod szyją.

Nie wiedziała, jak wstać i wyjść niepostrzeżenie z pokoju.

- Nigdy w życiu nie słyszałem tak pięknego głosu - powiedział

nagle. - I to takiego, który idealnie dopasowuje się do muzyki i nastroju piosenki.

Było jej miło, choć czuła się skrepowana.

- Dlaczego mi pani o tym nie powiedziała, kiedy kazałem pani coś zagrać i szczerze oceniłem pani umiejętności? - spytał. - Dlaczego mi pani nie powiedziała, że pani śpiewa?

- Bo pan nie pytał - odparła.

- Do licha, Jane! - wykrzyknął. - Jak może pani tak się ukrywać? Pani talent należy pokazywać, a nie chować przed całym światem.

- To jesteśmy kwita - powiedziała cicho.

Przez jakiś czas siedzieli obok siebie w milczeniu. A potem ujął jej dłoń i nagle w pokoju jakby zabrakło powietrza.

- Nie powinna pani schodzić na dół. Albo trzeba było wślizgnąć się do biblioteki, wybrać jakąś książkę i nie dać się ponieść ciekawości. Przyłapała mnie pani w złym momencie.

Zrozumiała, co miał na myśli. Dla niej to też była zła chwila. Znaleźli się oboje w sytuacji dla siebie obcej. W łagodnym, nieco melancholijnym nastroju. Sam na sam. Często bywali sam na sam, ale tym razem za drzwiami nie kręciła się służba. Była noc.

- Tak - powiedziała, bo nic innego nie przyszło jej do głowy. Wstała i uwolniła dłoń z uścisku. Chociaż wszystko, oprócz zdrowego rozsądku, mówiło jej, żeby zostać.

- Nie odchodź - poprosił, jego głos był dziwnie chropawy. Obrócił

się na taborecie plecami do fortepianu. - Zostań jeszcze.

Miała chwilę - krótką chwilę - na podjęcie decyzji. Mogła posłuchać zdrowego rozsądku, powiedzieć stanowczo „dobranoc” i wyjść z pokoju. Nie mógł jej zatrzymać i nie zrobiłby tego. Ale mogła też zostać, chociaż w pokoju panowało napięcie, przed którym nie miała siły się bronić. Nie miała czasu na rozważania. Zrobiła parę kroków i znalazła się tuż obok niego.

Uniosła obie ręce i położyła mu na głowie, jakby w geście błogosławieństwa. Czowała pod swymi dłońmi jego jedwabiste włosy. Ujął ją w talii i przyciągnął do siebie. Westchnął i pochylił się, by wtulić twarz w jej piersi.

Ale jesteś głupia, powiedziała sobie, kiedy zamknęła oczy i napawała się dotykiem rąk księcia, bijącym od niego ciepłem, zapachem wody kolońskiej. Jesteś głupia! Ale nie czuła się przekonana.

Kiedy w końcu uniósł głowę i spojrzał na nią ciemnymi, niezgłębionymi oczami, uklękła na podłodze między jego nogami. Nie wiedziała, czemu to zrobiła, czy sprawiły to jego ręce, czy zrobiła to machinalnie, bez zastanowienia. Położyła mu ręce na udach, czując pod materiałem twarde mięśnie, i uniosła głowę.

Pochylał się nad nią, palce, którymi muskał jej twarz, były delikatne jak piórko i tak gorące, że aż parzyły. Nim ją pocałował, ujął jej twarz w obie dłonie.

Nigdy nikt jej tak nie całował. Charles był jej wielbicielem od czterech lat, a najdroższym przyjacielem od zawsze. Kilka razy była z nim sam na sam i pozwoliła mu się pocałować. Lubiła jego pocałunki.

Ale nikt nigdy nie całował jej w taki sposób.

Ich usta ledwie się dotykały. Obydwoje mieli otwarte oczy. Niemożliwością było zatracić się w czysto zmysłowej rozkoszy, chociaż czuła mrowienie w całym ciele i aż płonęła z pożądania. W pełni zdawała sobie sprawę z tego, co robi i z kim. Nie będzie sobie mogła później tłumaczyć, że nieświadomie uległa nastrojowi chwili.

To wcale nie było nieświadome.

Obsypywał pocałunkami jej policzki, oczy skronie, nos, brodę. A potem znów musnął jej usta, lekko, przekornie, nakłaniając ją, by całowała go tak samo.

Z rosnącym niedowierzaniem odkrywała, że pocałunek niekoniecznie oznacza wargi przyciśnięte do warg. Językiem dotykał jej gorących, wilgotnych dziąseł. Ona też przesunęła lekko językiem najpierw po jego górnej wardze, a potem - dolnej. A później poczuła, jak Jocelyn sięga w głąb jej ust. Z ich gardeł wydobywały się ciche jęki, mieszając się ze sobą.

Potem objął ją pochylił się jeszcze bardziej i niemal ją uniósł, a ona z całych sił przywarła do twardego, muskularnego torsu.

W końcu znów znalazła się na klęczkach. Położył ręce na jej dłoniach, które trzymała mu na udach, i patrzył na nią ciemnymi

oczami.

- Jane, rano będziemy musieli się nawzajem za to ukarać - powiedział. - Nie uwierzysz, jak inaczej będzie to wtedy wyglądało. Jak coś zakazanego, odrażającego.

Pokręciła głową.

- Ależ tak - upierał się. - Jestem tylko rozpustnikiem, moja miła, który myśli tylko o położeniu się na tobie na tej twardej podłodze i czerpaniu grzesznej przyjemności z odbierania ci dziewictwa. A ty jesteś niewinną gołąbką o wielkich oczach. Moją służącą, zależną ode mnie. To nie do pomyślenia. I zdecydowanie odrażające. Myślisz, stało się coś pięknego. Widzę to w twoich oczach. Ale wcale tak nie jest, Jane. Tylko doświadczony rozpustnik potrafi sprawić, żeby kobieta tak myślała. W rzeczywistości to zwykłe, grzeszne pożądanie. Pragnienie połączenia ciał. Idź teraz do łóżka. Sama.

Jego słowa i wyraz twarzy były okrutne. Wstała i cofnęła się o kilka kroków. Ale nie odeszła. Znow widziała przed sobą nieprzeniknioną maskę. Na ustach igrał mu ironiczny uśmiezek.

Miał rację. To, co się stało, było czysto fizycznym pożądaniem. Bardzo nieprzyzwoitym.

Ale zarazem się mylił. Jeszcze nie do końca potrafiła pojąć, gdzie tkwił błąd w jego rozumowaniu. Ale tkwił. Nie miał racji.

Chociaż niewątpliwie rano ujrzą to w zupełnie innym świetle. Nie będzie mogła rano patrzeć na niego tak spokojnie, jak teraz.

- Dobranoc, wasza książęca mość - powiedziała.

- Dobranoc, Jane.

Odwrócił się do fortepianu, zanim wzięła świecę, wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Grał coś pełnego melancholii.

Była w połowie schodów, kiedy przypomniała sobie, że zeszła po książkę. Nie zawróciła po nią.

Rozdział 9

Tak, taboret będzie w sam raz - powiedział Jocelyn, niedbale skinąwszy służącemu ręką.

Przyjechał do klubu ekwipażem, nie konno, ale powinien wziąć kule, zamiast podpierać się jedynie grubą laską Wysoki but mocno uciskał łydkę, w którą został postrzelony przed dwoma tygodniami. Pomyślał, że jeśli będzie zbyt szarżował, trzeba będzie rozciąć cholewę po powrocie do domu. W ten sposób w dniu pojedynku stracił już jedną ulubioną parę butów.

- I przynieś mi poranne gazety - polecił służącemu, kładąc nogę na taborecie pozornie bez wysiłku, ale w głębi duszy z ulgą.

Specjalnie wyszedł z domu wcześniej, żeby nie natknąć się na Jane, która była rannym ptaszkiem. Wziął „Morning Post” i zaczął przeglądać pierwszą stronę. Zmarszczył czoło. Cóż to za pomysł uciec skoro świt z własnego domu, by odsunąć chwilę, kiedy znajdzie się twarzą w twarz ze służącą?

Nie wiedział, czego się bardziej wstydzi - jeśli wstyd był odpowiednim słowem. Może raczej zakłopotanie. Tak czy owak, ani z jednym, ani z drugim uczuciem nie miał ostatnio zbyt często do czynienia.

Przyłapała go, jak grał na fortepianie jedną z własnych kompozycji. Pocałował ją. Rzecz godna potępienia, ale zbyt długo był

sam, zmuszony do bezczynności. Złamał jedną ze swych kardynalnych zasad i we własnej opinii upadł jeszcze niżej niż dotychczas. Gdyby nie ból nogi, tak silny, że go rozpraszał, prawdopodobnie ostatniej nocy w pokoju muzycznym odebrałby Jane skarb, który ukrywała pod cienką koszulą nocną. Nie powstrzymałaby go, niewinna gąska.

- Tresham? Na Boga, to ty! Jak się masz, stary druhu?

Jocelyn był rad, że może opuścić gazetę. I tak jej nie czytał. Miło było powitać znajomych, którzy zaczęli ściągać na poranne ploteczki i gazety.

- Jestem zdrów i cały, a kuśtykam prawie tak szybko, jakbym normalnie się poruszał - odparł.

Kilka minut zajęły radosne powitania i żartobliwe uwagi o nodze księcia Tresham i eleganckim taborecie, na którym ją położył, oraz grubej lasce, opartej o fotel.

- Już zaczęliśmy myśleć, że spodobało ci się siedzenie w Dudley House, Tresham - powiedział wicehrabia Kimble - i nawet zaczęliśmy się do tego przyzwyczajać.

- Z uroczą panną Ingleby, zaspokajającą twoje potrzeby - dodał baron Pottier. - Znów nosisz buty z cholewami, Tresham?

- Czy przyszedłbym do klubu w trzewikach do tańca? - Jocelyn uniósł brwi.

Ale sir Isaac Wallman wyłowił z potoku słów interesujący

szczegół.

- Uroczą panną Ingleby? - spytał. - Pielęgniarka? Ta, która krzyknęła podczas pojedynku? Ach, Tresham, ty swawolniku. Czy mógłbyś nam wyjaśnić dokładnie, jak zaspokajają twoje potrzeby?

Jocelyn założył monokl na oko i od stóp do głów zmierzył wzrokiem małego dandysa.

- Powiedz mi, Wallman - odezwał się swym najbardziej znudzonym tonem - o której musiałeś wstać, by twój pokojowiec miał dość czasu na takie dzieło sztuki jak twój fular? - Chustka zawiązana była zbyt ozdobnie nawet jak na wielką galę. Chociaż może nie na wieczorek z regentem, księciem dandysów.

- Zajęło mu to całą godzinę - odpowiedział nie bez pewnej dumy sir Isaac, z miejsca zapomniawszy o swym pytaniu. - I zniszczył osiem chustek, nim w końcu tę udało mu się zawiązać jak należy.

Jocelyn wypuścił monokl z oka, a wicehrabia Kimble prychnął drwiąco.

Skończywszy wymieniać uprzejmości, zebrani zajęli się rozmową o wyścigu karykli z Londynu do Brighton, który miał się odbyć za dwa dni, i pobycie w Londynie hrabiego Durbury, który przyjechał do miasta w poszukiwaniu zabójczyni swego syna, ale dziwnie unikał towarzystwa. Kilku obecnych dżentelmenów było wyraźnie rozczarowanych, że hrabia zamknął się w hotelu, zamiast raczyć znudzone towarzystwo makabrycznymi szczegółami całego

wydarzenia.

Sidney Jardine został dziedzicem tytułu hrabiowskiego po tym, jak rok temu tytuł ten przypadł jego ojcu. Nigdy nie cieszył się sympatią wśród równych sobie urodzeniem. Jocelyn zetknął się z nim tylko raz, parę lat temu, na balu, kiedy to Jardine w obecności jego książęcej mości rzucił ordynarną uwagę pod adresem młodej damy, która nie zgodziła się z nim zatańczyć, i jej matki. Jocelyn poprosił, by Jardine udał się z nim na taras, przylegający do sali balowej.

Tam w miarę uprzejmie polecił Jardine'owi, by natychmiast wyniósł się do domu lub do diabła, chyba że woli zostać i narazić na szorowanie ust mydłem. A kiedy wściekły Jardine próbował go wyzwać na pojedynek, Jocelyn włożył monokl do oka i poinformował niedoszłego adwersarza, że jego niezachwianą zasadą jest pojedynkowanie się wyłącznie z dżentelmenami.

- Moim zdaniem - powiedział - ta lady Sara Illingsworth zasłużyła raczej na uznanie niż potępienie. Gdyby była dość rozsądna, do tej pory wyniosłaby się z Londynu gdzieś daleko.

- Na pewno nie wyjechała dyliżansem, Tresh - oświadczył wicehrabia Kimble. - Słyszałem, że detektywi dokładnie to sprawdzili. Żadna kobieta odpowiadająca jej rysopisowi nie wsiadała ostatnio do dyliżansu.

- Widać nabrała rozumu, odkąd tu przyjechała - zauważył Jocelyn.
- I bardzo dobrze. Twierdzę, że została sprowokowana, bo po cóż

młoda dama miałaby zdzielić dżentelmena czymś ciężkim w głowę?

- Kto jak kto, ale ty powinienes znać odpowiedź na to pytanie, Tresham - odezwał się sir Isaac, chichocząc. Ta uwaga naraziła go znów na krytyczne spojrzenie księcia.

- Gdzie Ferdynand trzyma swoje nowe konie? - spytał Jocelyn, nie kierując pytania do nikogo w szczególności, patrząc jednak wciąż na wyraźnie skrępowanego sir Isaaca. - I gdzie je przygotowuje do wyścigu? Przypuszczam, że teraz pochłania go to bez reszty. Zajrzę do niego i sam się przekonam, czy w piątek nie czeka go pewna śmierć. Nigdy nie znał się na koniach.

- Będę ci towarzyszył, Tresh - zaoferował się wicehrabia Kimble, kiedy Jocelyn zdjął nogę z taboretu i odwrócił się, by wziąć laskę. - Potrzebujesz pomocy?

- Nie ręczę za siebie, jeśli zbliżysz się do mnie na metr! - warknął Jocelyn i wstał z fotela z taką gracją, na jaką tylko potrafił się zdobyć. Zacisnął zęby, kiedy poczuł w prawej nodze ból, jakby ktoś wbijał mu ostre szpilki. - Dam sobie radę bez ciebie, Kimble. Przyjechałem ekwipażem.

Słowa te wywołały nowy wybuch wesołości i żartobliwe docinki ze strony młodych ludzi.

Jane porządnie mnie zbeszta, kiedy wrócę do Dudley House, pomyślał Jocelyn, i natychmiast rozzłościł się na siebie samego za to, że w ogóle pomyślał o powrocie do domu.

Znalazł swego brata dokładnie tam, gdzie się tego spodziewał - trenował konie na padoku. Jocelyn z pewną ulgą stwierdził, że Ferdynand nabył całkiem niezłą parę. Nie tylko ładnie się prezentowały, ale również stanowiły doskonały zaprzęg. Naturalnie pozostawał pewien szkopuł: Ferdynand za krótko był ich właścicielem, by je odpowiednio przygotować do wyścigu, zresztą będąc niespokojnym, impulsywnym i lekkomyślnym młodzieńcem - typowym Dudleyem - skłonny do nadmiernej gestykulacji i przekleństw, gdy coś go zirytowało, niezbyt nadawał się do układania zwierząt.

- Nie możesz tak wymachiwać rękami - powiedział Jocelyn, widząc jak brat krzyczy na konie, które nie chciały słuchać jego komend. - Ani nadużywać głosu, Ferdynandzie, w przeciwnym razie zanim dotrzesz do Brighton, zupełnie go stracisz i nie będziesz mógł wznieść okrzyku na cześć swego zwycięstwa.

- Przeklęte chabety - zżymał się brat księcia. - Kupiłem dwie primadonny.

- Kupiłeś parę wspaniałych koni za tanie pieniądze - poprawił go Jocelyn. - Musisz tylko, najlepiej do piątku, nauczyć je, kto tu jest panem.

Ferdynand nie był zupełnie bez szans na wygraną książę postawił zresztą na niego znaczną kwotę w klubie. Młody człowiek dobrze powoził, choć trochę chaotycznie, i mocno wierzył, że najlepszą

drogą do zwycięstwa jest podejmowanie ostrego ryzyka.

- Gdybym miał twój powóz, Tresham - rzucił Ferdynand z udaną nonszalancją - zostawiłbym Berriwethera dziesięć kilometrów w tyle. Twój karykl jest lżejszy i ma lepsze resory od mojego.

- W takim razie będziesz się musiał zadowolić pozostawieniem przeciwnika tylko pięć kilometrów w tyle - stwierdził oschle Jocelyn.

Z padoku obaj pojechali do garsoniery Ferdynanda.

- Pewnego dnia sprawię lanie Wesleyowi Forbesowi - oświadczył Ferdynand. Jocelyn siedział z prawą nogą opartą o niski stolik. - Wczoraj wieczorem u Wattiera obraźliwie wyrażał się na temat ludzi, którzy kuśtykają podpierając się kulami, by pokazać całemu światu swoje kalectwo, ale zapominają która noga jest chora. Czasem trzymają w górze prawą nogę, a czasem lewą.

Jocelyn wypił łyk czerwonego bordo.

- W takim razie to nie mnie miał na myśli - zauważył. - Nie daj się sprowokować, Ferdynandzie. Nie ma potrzeby, żebyś wdawał się w awantury. A już broń Boże z mojego powodu. Cóż to w ogóle za pomysł!

- Spoliczkowałbym go na miejscu - mówił niezrażony Ferdynand - gdyby Max Ritterbaum nie złapał mnie za ramię i nie zaciągnął do innego klubu. Żaden z Forbesów nie ma odwagi powiedzieć mi czegoś takiego prosto w twarz. I żaden nie ma dość honoru, by rzucić rękawicę. Sana to zbyt tchórzliwi.

- Zostaw ich mnie - powtórzył Jocelyn. - Skup się na wyścigu.

- Pozwól, że ci doleję wina. Widziałeś ostatnie okropieństwo Angeliny?

- Masz na myśli nowy kapelusz? - spytał Jocelyn. - Ten musztardowy? Coś strasznego.

- Niebieski z fioletowymi wstążkami - wyjaśnił Ferdynand. - Chciała, żebym zabrał ją w tym do parku. Powiedziałem, żeby wybierała: albo kapelusz, albo ja. Nie lubię, kiedy się ze mnie śmieją. Nasza siostra urodziła się ze straszną wadą: nie ma za grosz gustu. Nie rozumiem, dlaczego Heyward płaci rachunki za jej stroje.

- Jest w niej zakochany - odparł Jocelyn. - A ona w nim. Nikt się tego nie domyśla, widząc ich razem, a raczej osobno, co się znacznie częściej zdarza. Są tacy dyskretni, jakby byli kochankami, zmuszonymi do ukrywania się.

Ferdynand wybuchnął śmiechem.

- Boże! - wykrzyknął. - Nie umiem wyobrazić sobie kogoś zakochanego w Angie!

- A ja w Heywardzie - zauważył brat, bawiąc się od niechcienia monoklem.

Kiedy jakiś czas później wracał do domu, pomyślał, że dobrze znów wieść normalne życie.

Jeśli Jane choć przez chwilę uważała, że to, co wydarzyło się

ostatniej nocy, cokolwiek znaczy dla księcia Tresham, nie musiała długo czekać, by pozbyć się złudzeń. Tak już jednak jest, że czasami człowiek wyobraża sobie coś wbrew wszelkiej logice.

Wrócił do domu późnym popołudniem, ale nawet wtedy nie wezwał Jane, tylko zamknął się w bibliotece z panem Quincym. Posłał po nią dopiero tuż przed obiadem.

Siedział na szeszlunku, z prawą nogą na poduszce, całkowicie ubrany, tylko bez prawego buta. I miał nachmurzoną minę.

- Ani słowa - powiedział, zanim jeszcze pomyślała o tym, żeby otworzyć usta. - Ani słowa, panno Ingleby Tak, boli mnie, i Barnard nieźle się natrudził, by ściągnąć mi but. Ale pora, żebym zaczął ją ćwiczyć i przestał siedzieć w domu całymi dniami. Jeśli tego nie zrobię, naprawdę posunę się do gwałtu i rozpusty.

Nie spodziewała się, że po całym dniu nieobecności w domu wspomni o tym, co się wydarzyło ostatniej nocy. Ta noc przypominała jej sen. I to nie ze względu na ich pieszczoty, tak bardzo wykraczające poza jej doświadczenie czy oczekiwania, ale z powodu księcia Tresham, uderzającego w klawisze fortepianu i wydobywającego z instrumentu czarowną muzykę.

„- Zapewne uznała to pani za miłość, Jane? - odezwał się, spojrzawszy na nią chmurnie. - Albo wybuch uczuć? Albo przynajmniej szlachetny poryw?

- Nie, wasza książęca mość - odparła. - Nie jestem taka naiwna, za

jaką mnie pan uważa. Dostrzegłam w tym fizyczne pożądanie ze strony nas obojga. Dlaczego miałabym pomyśleć, że rozpustnik, który wcale się z tym nie kryje, miałby być zdolny do jakichś szlachetnych porywów wobec swojej służącej? I dlaczego miałby się pan obawiać, że taka kobieta, jak ja, ulegnie pańskiemu niebezpiecznemu słynnemu urokowi, skoro przez ponad dwa tygodnie musiałam znosić pańskie złe humory i obelgi?

- Dlaczego miałbym się obawiać, Jane? - Zmrużył oczy. - Mogłem się domyślić, że ostatnie słowo w tej sprawie będzie należało do pani. Cóż za głupiec ze mnie, by sobie wyobrażać, że ostatniej nocy wprowadziłem panią w poważne zakłopotanie.

- Tak - powiedziała. - Przypuszczam, że noga panu trochę spuchła. Będzie ją pan musiał potrzymać w zimnej wodzie.

- I odmrozić sobie palce?

- Chyba lepsze to, niż patrzeć, jak w ciągu najbliższych tygodni robią się czarne.

Zacisnął usta, ale wydawało się, że w jego oczach zapaliły się wesołe iskierki. Mimo to nie pozwolił sobie na uśmiech.

- Jeśli zamierza pan jutro wyjść z domu - powiedziała Jane - proszę rano dać mi wolne, wasza książęca mość.

- Dlaczego? - Znów się nachmurzył.

Ręce zrobiły jej się zimne i wilgotne na samą myśl o tym, co jest tego powodem, ale nie mogła dłużej poddawać się paraliżującemu

strachowi. Wcześniej czy później musi opuścić bezpieczne schronienie, jakim jest Dudley House.

- Pora, żebym poszukała sobie nowej pracy. Tutaj będę pracować jeszcze niecały tydzień. Zresztą nie jestem panu naprawdę potrzebna i nigdy nie byłam. Nie potrzebował pan pielęgniarki.

- A więc zostawi mnie pani, Jane?

Z całych sił stłumiła ból, który ogarnął ją na samą myśl o rozstaniu. Ból ten nie miał żadnego powodu, ani racjonalnego, ani ważnego. Chociaż ostatniej nocy w pokoju muzycznym zobaczyła drugie, zaskakująco odmienne oblicze księcia.

- Wkrótce skończy się okres mojego zatrudnienia, wasza książęca mość - przypomniawszy.

- Kto tak powiedział? - Patrzył na nią w zamyśleniu. - Proszę nie pleść bzdur. Przecież nie ma pani dokąd pójść.

Obudziła się w niej nadzieja. Zastanawiała się nad poproszeniem go - a raczej gospodyni, która zatrudniała służących - o posadę pokojówki albo pomywaczki. Ale chyba nie byłaby do tego zdolna. Nie potrafiłaby mieszkać w Dudley House jako zwykła służąca, skoro przedtem była tu pielęgniarką. Ale postanowiła nie pozwolić na to, by kierowała nią duma.

- Uzgodniliśmy że będę pana pielęgnowała, dopóki pańska rana będzie zmuszała pana do bezczynności - przypomniawszy. - Przez trzy tygodnie.

- Czyli został jeszcze prawie cały tydzień. Nie chcę słyszeć o tym, żeby szukała sobie pani nowej pracy, Jane, póki nie minie okres pani zatrudnienia u mnie. Nie płacę pani za to, żeby spędzała pani ranki na bieganiu po całym Londynie w poszukiwaniu chlebodawcy, który zapłaci pani więcej ode mnie. Ile pani płacę?

- Więcej, niż mi się należy - przyznała. - Nie chodzi o pieniądze, wasza książęca mość.

Lecz on się uparł.

- W takim razie nie chcę o tym więcej słyszeć jeszcze co najmniej przez tydzień - oświadczył kategorycznie. - Ale mam dla pani zajęcie na czwartkowy wieczór. Czyli jutro. I dobrze zapłacę, jeśli pani sobie zasłuży.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Proszę nie stać pod tymi przekłętymi drzwiami, jakby szykowała się pani do ucieczki - powiedział z irytacją. - Gdybym chciał panią szturchnąć, zrobiłbym to bez względu na dzielącą nas odległość. Niech się pani zbliży i usiądzie tu.

Wskazał krzesło, na którym zwykle siedziała.

Nie było sensu się sprzeciwiać. Zrobiła, co kazał, chociaż w ten sposób znalazła się tuż obok niego. Czuła zapach wody kolońskiej i przypomniała sobie, jak odurzył ją ostatniej nocy.

- Jutro wieczorem wydaję w Dudley House wielkie przyjęcie - oznajmił. - Quincy właśnie wypisuje zaproszenia. Goście otrzymają

je zaledwie w przeddzień balu, ale z pewnością wszyscy przyjdą. Widzi pani, zaproszenia na przyjęcia do Dudley House są taką rzadkością że stanowią coś wielce pożądanego, mimo reputacji, jaką się cieszą. A może właśnie dlatego.

Jane pomyślała, że przez cały wieczór pozostanie zamknięta w swoim pokoju. Mocno splotła ręce na kolanach.

- Proszę mi powiedzieć, czy ma pani jakąś suknię bardziej twarzową niż to okropieństwo, które ma pani teraz na sobie i to, które nosi pani na zmianę, panno Ingleby?

O, nie. Wykluczone. Nie ma mowy.

- Nie będzie mi potrzebna - oświadczyła zdecydowanie. - Nie będę jednym z pańskich gości. Byłoby to niestosowne.

Uniósł brwi.

- Chociaż raz, panno Ingleby, idealnie się zgadzamy - odparł. - Ale nie odpowiedziała mi pani na pytanie. I proszę przestać siedzieć z taką zaciętą miną. Wygląda pani jak nadąsane dziecko.

- Mam jedną muślinową suknię - przyznała. - Ale nie włożę jej, wasza książęca mość. Jest nieodpowiednia dla pielęgniarki.

- Włoży ją pani jutro wieczorem. I jakoś ładniej się pani uczesze. Dowiem się od Barnarda, która z pokojówek najlepiej umie układać włosy. Jeśli żadna, zatrudnię odpowiednią na tę okazję.

Jane skuliła się ze strachu.

- Przecież sam pan powiedział, że nie mogę być jednym z gości.

Nie muszę wkładać sukni z muślinu i mieć misternej fryzury, by siedzieć w swoim pokoju.

- Niech pani nie udaje głupiej, Jane - zbeształ ją. - Będzie obiad, karty i rozmowy, i muzyka - w wykonaniu kilku zaproszonych dam. Wie pani, że wszystkie damy są utalentowane. Jak przypuszczam, każda matka pozostaje w błędnym przekonaniu, że umiejętność brzdąkania na fortepianie i odpowiednio powabny wygląd to najpewniejsza droga do serca i majątku mężczyzny.

- Ciekawa jestem, co sprawiło, że stał się pan taki cyniczny - wyrwało jej się.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się zabójczo. - To wynika z dorastania z tytułem hrabiego i markiza, Jane. I z odziedziczenia tytułu księcia w wieku siedemnastu lat. Wciąż udowadniam, że jestem najgorszym łajdakiem w całej Anglii, ale wszystkie matki córek na wydaniu i tak przymilają się do mnie, jakbym był archaniołem Gabrielem, a wszyscy ojcowie pragną zostać moimi przyjaciółmi. Nie wspominając już o mizdrzących się młodych panienkach.

- Pewnego dnia zakocha się pan w jednej z tych panienek i wtedy dowie się pan, że panienka ta szydzi sobie z pańskich zalotów - powiedziała cierpko. - Nie ma pan szacunku dla kobiecej inteligencji, wasza książęca mość. Uważa się pan za najlepszą partię w całym chrześcijańskim świecie i dlatego gardzi pan tymi, którzy pańskim zdaniem chcą na pana zarzucić sieci. Niech pan wie, że na tym

świecie jest też trochę rozsądnych panienek.

Znów zacisnęła usta, a w oczach błysnęły mu wesołe iskierki.

- Ze względu na moją miłość własną, Jane - poprosił - czy moglibyśmy rozszerzyć ten świat również na kraje muzułmanów?

Pomyślała, że książkę szybko się uczy ciętych ripost.

- Ale odbiegliśmy od tematu. - Spojrzał na nią poważniej i Jane poczuła, jak ciarki przechodzą ją po plecach. - Pani, panno Ingleby, będzie główną atrakcją wieczoru. Zaśpiewa pani dla moich gości.

- Nie!- Wstała gwałtownie.

- Tak - odparł łagodnie. - Będę nawet pani akompaniował. Chyba muszę od czasu do czasu przyznać się przed eleganckim światem, że brzdąkam na fortepianie. Nie boję się, że moja męskość będzie zagrożona, jeśli będę jedynie akompaniował śpiewaczce. A może według pani powinienem się bać?

- Nie - powtórzyła. - Nie zgadzam się na cały ten pomysł. Nie zrobię tego. Nie jestem artystką, występującą publicznie, i nie chcę nią być. Nie może mnie pan do tego zmusić, nawet proszę nie próbować. Nie dam się zastraszyć.

- Zapłacę pani pięćset funtów, Jane - powiedział łagodnie. Zaczepnęła powietrza, by mówić dalej, i zamknęła usta. Zmarszczyła czoło.

- Pięćset funtów? - spytała z niedowierzaniem. - Cóż za niedorzeczność.

- Nie dla mnie - odparł. - Jane, chcę, żeby pani zaśpiewała przed publicznością. Chcę, żeby *beau monde* odkrył to, co ja odkryłem ostatniej nocy. Ma pani wyjątkowy talent.

- Proszę nie myśleć, że pochlebstwami skłoni mnie pan do ustępstw - oświadczyła. Ale jej umysł gorączkowo pracował. Pięćset funtów. Nie musiałyby szukać nowego zajęcia. Będzie mogła ukryć się w bezpiecznym miejscu. Może nawet pojedzie gdzieś, gdzie hrabia i detektywi jej nie znajdą.

- Pięćset funtów zwolni panią z konieczności szukania zatrudnienia, prawda? - odezwał się, najwyraźniej czytając w jej myślach, przynajmniej w niektórych z nich.

Ale najpierw będzie musiała wystąpić przed domem pełnym gości. Ciekawa była, czy w Londynie jest ktoś poza hrabią Durburym, kto zna jej prawdziwe nazwisko, kto kiedykolwiek widział lady Sarę Illingsworth. Prawdopodobnie nie. Ale co się stanie, jeśli ktoś taki się trafi?

- Nawet powiem „proszę”, Jane - dodał książę Tresham z udawaną pokorą.

Spojrzała na niego karcąco. Czy istnieje choćby najmniejsze prawdopodobieństwo, że hrabia znajdzie się wśród zaproszonych gości? Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. Musi spytać pana Quincy'ego, czy może zerknąć na listę gości.

- Zastanowię się nad tym - powiedziała, czując dziwne ściskanie

w dołku.

- Domyślam się, że to wszystko, czego mogę się teraz od pani spodziewać, Jane? - spytał. - Nie może pani zbyt szybko skapitulować, żeby nie wyglądało na to, że pozwoliła się pani pokonać. Bardzo dobrze. Ale musi się pani zgodzić. Już tak postanowiłem. Jutro po południu zrobimy próbę generalną.

- Znów pociera pan nogę - zauważyła. - Przypuszczam, że nie przyzna się pan, że głupotą było dzisiejsze wyjście z domu, a jeszcze większą bawienie wmieście tak długo. Proszę mi pozwolić zawołać kogoś, by pomógł panu pójść na górę, i przyniósł zimną wodę do sypialni.

- Próbowałem nauczyć swego brata, jak odróżnić koński łeb od zadu - wyjaśnił. - Postawiłem na jego wygraną znaczną kwotę w klubie White'a, panno Ingleby, i dołożę wszelkich starań, żeby Ferdynand wygrał wyścig.

- Jakimi okropnymi głupcami są mężczyźni. Zajmują się wyłącznie błahostkami, całą energię poświęcają na sprawy nieistotne. Jeśli w piątek coś się stanie lordowi Ferdynandowi, być może zrozumie pan, że brat jest dla pana znacznie ważniejszy niż wygranie zakładu.

- Jeśli skończyła pani mnie besztać, może pani zrobić to, co sama pani zaproponowała, i zawołać najsilniejszego lokaja, jakiego pani znajdzie.

Opuściła pokój bez słowa.

A jeśli jej rysopis krąży po Londynie? - pomyślała nagle. Co będzie, jeśli w czwartkowy wieczór pojawi się w pokoju muzycznym, a zgromadzeni goście wstaną jak jeden mąż i oskarżycielsko wskażą ją palcem?

Nie mogła się oprzeć głupiemu uczuciu, że sprawiłoby jej to ulgę.

Rozdział 10

Jocelyn nieczęsto zapraszał gości, ale kiedy już to robił, zawsze przyjmował ich w wielkim stylu. Kucharz gderał, że książe w ostatniej chwili zlecił mu odpowiedzialne zadanie przygotowania wystawnego obiadu na początek wieczoru i smakowitej kolacji o północy. Ale zamiast natychmiast wypowiedzieć pracę, jak się odgrażał zawsze, gdy miał chwilę wytchnienia między jednym a drugim zajęciem, z miejsca przystąpił do dzieła, pełen twórczego zapału.

Gospodyni nie narzekała, tylko skierowała cały podległy jej personel do usuwania najmniejszego pyłku ze wszystkich pokoi, w których podejmowani będą goście, i wypolerowania do połysku każdego mebla. Sama ułożyła olbrzymie ilości kwiatów, zamówionych przez Michaela Quincy'ego.

Zgodnie z przewidywaniami Jocelyna, prawie wszyscy przyjęli zaproszenie, chociaż czyniąc tak, niewątpliwie musieli w ostatniej chwili zrezygnować z wcześniejszych zobowiązań. Nieczęsto się jednak trafiała okazja zjedzenia obiadu w Dudley House.

Jocelyn zlecił gospodyni wybranie wśród zatrudnionych pokojówek takiej, która jest najbardziej biegła w układaniu włosów, lub wynajęcie odpowiedniej dziewczyny Zastanawiał się też nad tym, czy zabrać Jane Ingleby do modnej krawcowej i polecić uszycie w

wielkim pośpiechu wieczorowej toalety - dwie czy trzy najbardziej rozchwytywane londyńskie modystki na pewno by mu nie odmówiły - ale się rozmyślił. Niewątpliwie Jane zacznie grymasić i skończy się na tym, że nie zechce zaśpiewać. Poza tym doszedł do wniosku, że lepiej, by nie przypominała znanym damy, bo jego goście zaczną się zastanawiać, czy nie ma czegoś niestosownego w tym, że mieszkała prawie trzy tygodnie pod dachem jego domu jako pielęgniarka.

Spędzili razem trochę czasu po południu w pokoju muzycznym, próbując dwie różne pieśni, by mogła w pełni zaprezentować swój głos, jak również utwór na bis, przeciwko czemu się sprzeciwiała, uważając to za oczywisty nonsens, ale on upierał się, że wcale nie.

Ubierając się na wieczór, stwierdził, że jest zdenerwowany. Fakt ten wielce go zaniepokoił i sprawił, że gardził sobą całym sercem.

Kiedy była młodsza, gdy rodzice żyli i cieszyli się dobrym zdrowiem, w Candleford Abbey często organizowano pikniki, przyjęcia i tańce. Lubili podejmować gości. Ale Jane nie pamiętała, by kiedykolwiek zaprosili naraz więcej niż pięćdziesiąt osób. Lecz przyjęcia, które pamiętała, odbywały się dawno temu. Była wtedy jeszcze dziewczynką.

Przez kilka godzin siedziała w swoim pokoju, nasłuchując gwaru rozmów i śmiechów, wyobrażając sobie, co się dzieje na dole, co się jeszcze wydarzy, nim zostanie poproszona. Niemożliwością było

przewidzieć, kiedy to nastąpi. Jane wiedziała, że eleganckie przyjęcia w mieście nie przypominały tych urządzanych na wsi, które prawie nigdy nie przeciągały się dłużej niż do jedenastej wieczorem, najwyżej do północy. W mieście uważano za coś naturalnego bawić się przez całą noc, a potem, oczywiście, przez cały dzień spać.

Mogą nie poprosić jej przed północą. Jeśli będzie musiała tak długo czekać, trema zupełnie ją zje.

Spojrzała na zegar na kominku. Adele, francuska pokojówka, wynajęta specjalnie na ten wieczór, by ją uczesać, za dziesięć minut zapuka do drzwi jej pokoju. Pora zacząć się ubierać.

Było już o wiele za późno, by żałować, że wyraziła zgodę na to szaleństwo. Wśród gości nie było nikogo - z wielką uwagą przestudiowała listę zaproszonych - kto mógłby znać jej prawdziwe nazwisko. Ale hrabia Dur-bury był w mieście. Co będzie, jeśli wszyscy obecni na dzisiejszym przyjęciu rozpoznają ją z jego opowieści? Zadrzała. Ale było już za późno.

Zdjęła skromną sukienkę i włożyła przez głowę starannie uprasowaną suknię z muślinu w kwiaty, którą już wcześniej rozłożyła na łóżku. Była to idealna sukienka na popołudniową herbatkę na wsi, nie nadawała się natomiast na wieczorne przyjęcie, ale to nie miało znaczenia. Ostatecznie nie była dziś gościem.

Znów przeszedł ją dreszcz - z zimna, podniecenia i strachu.

Wcale nie zamierzała się ukrywać, kiedy uciekła do Londynu.

Dopiero później pomyślała, stwierdziwszy, iż lady Webb nie ma w domu, powinna zostać w hotelu, w którym wynajęła pokój, i zwrócić się do pełnomocnika hrabiego wmieście z prośbą o pieniądze. Powinna śmiało ogłosić całemu światu, że pod nieobecność hrabiego i hrabiny w Candle-ford została znieważona i zaatakowana przez pijanego brutala i - co zupełnie usprawiedliwione - że broniąc się, uderzyła go książką a następnie postanowiła trzymać się od niego jak najdalej.

Ale nie zrobiła tak, a teraz było już za późno.

Ukrywała się. A za chwilę miała się pokazać pięćdziesięciu przedstawicielom śmietanki towarzyskiej.

Kompletne szaleństwo.

Z dołu dobiegł ją śmiech kobiety.

Ktoś zapukał do drzwi pokoju. Jane podskoczyła. To Adele przyszła ją uczesać.

O jedenastej lady Heyward, pełniąca obowiązki gospodyni wieczoru, ogłosiła koniec gry w karty. Jocelyn osobiście dyrygował kilkoma lokajami, przesuwałymi fortepian na środek salonu i rozstawiającymi krzesła pod ścianami. Wkrótce miała się zacząć muzyczna część wieczoru.

Kilka młodszych dam z własnej woli lub pod wpływem namów innych wyraziło chęć zagrania na fortepianie albo zaśpiewania. Jeden

dżentelmen - lord Riding - odważył się wystąpić w duecie z narzeczoną. Wszystkie popisy były dość dobre. Goście słuchali z mniejszym lub większym zainteresowaniem i uprzejmie nagradzali je oklaskami. Ostatecznie była to znana forma wieczornej rozrywki. Nieliczni uznani mecenas sztuki wynajmowali artystów, ale wtedy wieczór zapowiadano jako prywatny koncert.

W końcu Jocelyn wstał, pomagając sobie laską, i poprosił o chwilę uwagi.

- Ogłaszam kilka minut przerwy - powiedział. - Zaprosiłem specjalnego gościa, żeby was zabawił przed kolacją. Zaraz go przyprowadzę.

Jego siostra spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Któż to taki, Tresham? - spytała. - Czeka w kuchni? Gdzie, na Boga, go znalazłeś, skoro przez ostatnie trzy tygodnie prawie się nie ruszałeś z domu?

Ale on tylko lekko skłonił głowę i opuścił pokój. Wiedział, że to głupie, ale przez cały wieczór myślał tylko o tej chwili. Bał się, że Jane się rozmyśli. Pięćset funtów stanowiło oczywiście poważną zachętę, ale był pewien, że gdyby Jane Ingleby doszła do wniosku, że nie chce śpiewać, nie przekonałby ją nawet tysiąc funtów.

Przez dwie minuty przemierzał hol, ciężko podpierając się na lasce. W końcu Jane, po którą posłał Hawkinsa, pojawiła się na schodach. Przystanęła na trzecim stopniu od dołu. Przypominała

posąg - blada, poważ-na, z mocno zaciśniętymi ustami, tworzącymi cienką linię. Wyglądała jak anioł. Lekka, prosta suknia z muślinu podkreślała wszystkie zalety jej figury. Włosy... przez dłuższą chwilę wprost nie mógł oderwać od nich oczu. Nie były wymyślnie ułożone. Nie miała na głowie masy loków i loczków, jak się tego spodziewał. Jedwabiste, lśniące włosy przypominały czyste złoto. Wysoko upięte, tworzyły elegancką fryzurę, która zastąpiła codzienne, skromne uczesanie.

- No, no - odezwał się. - Motyl uwolnił się ze swego kokonu.

- Byłoby znacznie lepiej, gdybyśmy tego nie robili - powiedziała. Ale on podszedł do schodów i wyciągnął rękę, nie spuszczać z niej wzroku.

- Nie stchórzysz teraz, Jane. Moi goście oczekują atrakcji wieczoru.

- Rozczarują się - ostrzegła.

Rejterada ze strachu nie była w jej stylu, chociaż w tej chwili była bardzo tego bliska. Stała wyprostowana, dumnie uniósłszy brodę. Wydawało się, jakby wrosła w trzeci stopień.

- Chodź - poprosił, bezwstydnie zniewalając ją spojrzeniem.

Zeszła stopień niżej, a kiedy odwrócił dłoń, położyła na niej swoją i pozwoliła zaprowadzić się do salonu. Zachowuje się jak księżniczka, pomyślał, co w innych okolicznościach chyba by go rozbawiło. I w tej samej chwili poczuł, że łuski spadły mu z oczu.

Sierota wychowywana w sierocińcu, która pojawiła się w świecie, by samodzielnie pokierować swoim losem? To nieprawdopodobne. Okazał się głupcem, że w ogóle uwierzył w tę bajeczkę.

Co oznaczało, że Jane Ingleby go okłamała.

- Najpierw *Barbara Allen* - powiedział. - Coś na rozruszanie moich zdrętwiałych palców.

- Dobrze - zgodziła się. - Czy nadal są wszyscy goście?

- Ma pani nadzieję, że czterdziestu ośmiu albo czterdziestu dziewięciu wróciło do domu, by się położyć spać? - spytał ją. - Nikt nie wyszedł, Jane.

Poczuł, jak Jane zaczerpnęła głęboko powietrza, by się uspokoić. Lokaj w liberii zerwał się, by otworzyć drzwi do salonu. Jeszcze wyżej zadarła brodę.

Pomyślał, że wygląda jak świeży, ogrodowy kwiat pośród roślin cieplarnianych, kiedy prowadził ją między dwoma szeregami krzeseł, na których znów zasiedli goście i teraz ciekawie się jej przyglądali.

- A niech mnie. - To był głos Conana Broughama. - Przecież to panna Ingleby.

Rozległ się szmer głosów, kiedy ci, którzy wiedzieli, kim jest panna Ingleby, wyjaśniali to tym, którzy tego nie wiedzieli. Wszyscy słyszeli o pomocnicy modystki, która rozproszyła uwagę księcia Tresham podczas pojedynku z lordem Oliverem, a potem została jego pielęgniarką.

Jocelyn wprowadził ją na środek pokoju, gdzie stał fortepian. Puścił jej dłoń.

- Proszę państwa - przemówił. - Udało mi się nakłonić pannę Ingleby, by podzieliła się z wami najwspanialszym głosem, jaki kiedykolwiek miałem przyjemność słyszeć. Niestety nie ma godnego siebie akompaniatora, tylko mnie. Jak wicie, brzdąkam czasem pięcioma palcami każdej dłoni. Ale przypuszczam, że z chwilą kiedy zacznie śpiewać, wszyscy przestaną zwracać uwagę na moją grę.

Usiadł na taborecie, położył laskę na podłodze i uniósł ręce nad klawiaturę. Jane stała tam, gdzie ją zostawił, ale prawdę powiedziawszy nie zwracał na nią uwagi. Był przerażony. On, który bez zmrużenia oka patrzył w lufy pistoletów, wycelowane w niego podczas czterech pojedynków, bał się grać przed publicznością, która i tak nie będzie słuchała jego gry, tylko śpiewu Jane. Czuł się niemal, jakby był nagi.

Skupił się na tym, co miał teraz robić, i zagrał pierwsze takty *Barbary Allen*.

Pierwsze dwie linijki pierwszej zwrotki zaśpiewała lekko drżącym głosem. Ale potem uspokoiła się, podobnie jak on. Właściwie zapomniał o tym, że ma jej akompaniować, i grał raczej odruchowo niż w pełni świadomie. Śpiewała lepiej, z większym uczuciem niż poprzednio, jeśli to w ogóle było możliwe. Uświadomił sobie, że należy do tych śpiewaczek, które instynktownie reagują na obecność

słuchaczy. A jego goście słuchali jej w skupieniu. Był pewien, że nikt nawet nie drgnął, póki nie przebrzmiała ostatnia nuta ballady. I nawet wtedy przez chwilę panowała absolutna cisza.

A potem rozległy się brawa. Nie były to powściągliwe oklaski przedstawicieli *beau monde*, okazujących grzeczność komuś z własnej sfery, ale entuzjastyczny zachwyty słuchaczy, którzy na kilka minut przenieśli się do innego świata dzięki prawdziwie utalentowanej artystce.

Jane była zaskoczona i trochę zażenowana. Ale zupełnie opanowana. Skłoniła głowę i czekała, aż brawa ucichną.

Zaśpiewała *Art Thou Troubled?* Handla. Była to niewątpliwie jedna z najpiękniejszych pieśni kiedykolwiek skomponowanych dla kontraltu. Jocelyn zawsze był takiego zdania. Ale dzisiejszego wieczoru wydawało się, że utwór został napisany specjalnie dla niej. Zapomniał o trudnościach, jakie miał z improwizowaniem autentycznie brzmiącego akompaniamentu do słów pieśni. Zwyczajnie grał i słuchał bogatego, zdyscyplinowanego, ale pełnego uczucia głosu Jane. Stwierdził, że piecze go w gardle, jakby od z trudem hamowanych łez.

- Jesteś strapiony? - śpiewała. - Muzyka cię ukoi. Jesteś zmęczony? Odpoczniesz; odpoczniesz.

Jocelyn uświadomił sobie, że od długiego czasu musiał być strapiony i zmęczony. Zawsze wiedział o tym, że muzyka potrafi koić

skołatane nerwy. Ale odczuwał to jako coś zakazanego, coś, czego mu zabraniano, coś zniewieściałego, nie dla niego, Dudleya, księcia Tresham.

- Muzyka. - Wzięła głęboki oddech. - Muzyka woła boskim głosem.

O, tak, boskim głosem. Ale każdy Dudley zawsze mówił tylko kategorię, męskim, bardzo ludzkim głosem i rzadko słuchał innych. A już nigdy tego, co się działo poza jego aktywnym, codziennym życiem, w którym miał władzę i dominującą pozycję. Z całą pewnością nie muzyki i tego uduchowionego świata, do którego muzyka potrafiła przenieść słuchacza, daleko od zwyczajnego, skończonego świata zmysłów, tam, gdzie liczyły się uczucia, a nie słowa.

Ból w gardle nie minął, kiedy pieśń dobiegła końca. Zamknął oczy, kiedy po chwili ciszy znów rozległy się oklaski. Gdy je otworzył, zobaczył, że jego goście wstają jeden po drugim, nie przerywając braw, a Jane ma wielce zakłopotaną minę.

Wstał z taboretu, nie podparł się laską tylko ujął prawą rękę Jane i uniósł ją w górę. W końcu się uśmiechnęła i dygnęła.

Na bis zaśpiewała lekką i ładną ale skomplikowaną pieśń *Robin Adair*. Jocelyn pomyślał, że jutro powie jej: „A nie mówiłem?”, ale wiedział, że dziś wieczorem nie potrafiłby się z nią przekomarzać.

Jane postanowiła, że zaraz po występie ucieknie na górę, zrobiła

więc dwa kroki w kierunku przejścia prowadzącego do drzwi, ale goście mieli inny pomysł. Koncert się skończył. Za chwilę podadzą kolację. Ferdynand zastąpił Jane drogę.

- Panno Ingleby, to był świetny występ - powiedział z niekłamany entuzjazmem. - Cudownie pani śpiewa. Proszę przejść z nami do jadalni i posilić się.

Kłaniał się i uśmiechał, podawał ramię i wykorzystywał cały swój urok osobisty, na jaki potrafił się zdobyć, kiedy nie myślał o koniach, polowaniu, boksie i ostatnich ryzykownych zakładach, czynionych w klubach.

Jocelyn poczuł się dziwnie zazdrosny.

Jane chciała uciec. Próbowwała się wymawiać na różne sposoby, ale po chwili stwierdziła, że musi przekonywać nie tylko Ferdynanda. Otoczyli ją goście obu płci, pragnący z nią porozmawiać. Ale chociaż jej pozycja w Dudley House jako pielęgniarki księcia i okoliczności, towarzyszące jej zatrudnieniu, niewątpliwie intrygowały ludzi, którzy żyli plotkami i skandalami, Jocelyn nie sądził, by tylko to stało się powodem zainteresowania jej osobą. Sprawił to jej głos.

Zastanawiał się teraz, jak mógł nie spostrzec, że głos Jane jest nie tylko niezwykle piękny, ale również dobrze wyszkolony. A z całą pewnością żaden sierociniec, nawet najlepszy, nie zatrudniał tak dobrych nauczycieli śpiewu.

Jane poszła do stołu wsparta na ramieniu Ferdynanda. Z drugiej

strony szedł Heyward, dyskutując z nią z ożywieniem o *Mesjaszu* Handla. Jocelyn zajął się pozostałymi gośćmi.

Nauczyciel śpiewu, którego ojciec nie szczędząc pieniędzy, sprowadził do Kornwalii, był zdania, że gdyby chciała, mogłaby występować jako zawodowa śpiewaczka, i to w Mediolanie, Wiedniu, w Covent Garden - wszędzie, gdzie tylko by zechciała. Mogłaby zostać międzynarodową gwiazdą.

Jej ojciec zauważył wówczas delikatnie, ale stanowczo, że taka kariera w ogóle nie wchodzi w grę w przypadku córki hrabiego. Jane było to obojętne. Nie odczuwała potrzeby publicznego rozgłosu czy sławy. Śpiewała, bo lubiła śpiewać i zabawiać przyjaciół i krewnych swoją muzyką.

Ale musiała przyznać, że sukces, który odniosła tego wieczoru w Dudley House, był przyjemny. Sam dom przypominał pałac z bajki, we wszystkich żyrandolach i lichtarzach płonęły świece, wszędzie stały wazony z kunsztownie ułożonymi kwiatami. Wszyscy byli tacy mili. Prawie każdy do niej podchodził, niektórzy tylko się uśmiechali i mówili, że bardzo podobał im się jej występ, wiele osób jednak rozmawiało z nią dłużej.

Nigdy przedtem nie była w Londynie, nie obracała się w wyższych sferach. Ale ogarnęło ją cudowne uczucie, że pasuje do tego towarzystwa. To był świat, do którego należała. Gdyby matka

dłużej żyła, gdyby ojciec nie podupadł na zdrowiu, z pewnością przyjechałaby do Londynu na swój pierwszy sezon. Trafiałaby na wielkie targowisko panien na wydaniu i kawalerów do wzięcia, gdzie wybrano by dla niej odpowiedniego męża. Czuła się jak wśród swoich między gośćmi księcia Tresham.

Wymagało od niej sporego wysiłku przypominanie samej sobie, że w rzeczywistości nie jest jedną z nich. Już nie. Między nią a nimi powstała głęboka przepaść, kiedy Sidney, pijany i nachalny, postanowił ją zniewolić, by w ten sposób skłonić ją do małżeństwa. Zamierzał ją zgwałcić - za cichym przyzwoleniem jego równie pijanych przyjaciół. Ale nigdy nie pozwalała się zastraszyć. Uderzyła go książką w głowę.

I w ten sposób zapoczątkowała ciąg wydarzeń, który uczynił z niej uciekinierkę. Ale jakaż z niej uciekinierka! Oto znajduje się wśród wytwornego towarzystwa i zachowuje, jakby nie miała żadnych zmartwień na głowie.

- Proszę mi wybaczyć - szepnęła i wstała, uśmiechając się.

- Chce nas pani opuścić? - Lady Heyward spojrzała na nią ze zdumieniem. - To zupełnie wykluczone, panno Ingleby Jest pani tutaj gościem honorowym. Heywardzie, mój drogi, namów panią do pozostania.

Ale lord Heyward był pogrążony w rozmowie z pewną wdową, całą we fioletach i w turbanie tego samego koloru na głowie.

- Pozwoli pani - powiedział wicehrabia Kimble, ujmując Jane pod łokieć i wskazując jej krzesło, z którego dopiero co wstała. - Panno Ingleby jest pani niezwykle tajemniczą osobą. W jednej chwili spieszy pani do pracy przez Hyde Park, w następnej opiekuje się pani Treshem niczym anioł miłosierdzia, a teraz śpiewa pani jak słowik. Proszę mi pozwolić wziąć panią na spytki. - Uśmiechnął się czarująco, łagodząc tym efekt swych słów.

Lady Heyward klasnęła w ręce, by zwrócić uwagę obecnych.

- Kategorycznie się nie zgadzam, by po kolacji ktokolwiek wyszedł - oświadczyła. - Ledwo minęła północ. Nie dopuszczę do tego, żeby jutro Tresham stał się pośmiewiskiem. Urządzimy tańce w salonie. Pani Marsh nam zagra, prawda? Mam polecić, by zwinięto dywan, czy ty to zrobisz, Tresham?

- Mój Boże, Angelino! - wykrzyknął książę, bawiąc się tasiemką monokla. - Jak to ładnie z twojej strony, że tak dbasz o moją reputację. Pozwól, ja wydam polecenie. - Wyszedł z pokoju.

- Naprawdę muszę już iść - stwierdziła kategorycznie Jane kilka minut później, udzieliwszy wymijających odpowiedzi na pytania lorda Kimble'a. - Dobranoc panu.

- Będę miał dodatkowy powód, by odwiedzać Treshama w ciągu najbliższych dni - oświadczył i uniósł jej dłoń do swych ust. Patrzył na Jane z niekłamanym zachwytem.

Kolejny niebezpieczny dżentelmen, pomyślała Jane. Szybko

przeszła przez pokój, kłaniając się na pożegnanie. I to taki, który z całą pewnością wie, jak zabójczo przystojnie wygląda w jasnoniebieskim i srebrnym, kolorach podkreślających kolor jego jasnych włosów.

Ale okazało się, że tego wieczoru nie będzie wcale łatwo uciec. Przekonała się o tym, gdy znalazła się w holu. Z salonu wyszedł książę Tresham, podpierając się laską. Przez otwarte drzwi widziała, że w środku było już kilku gości. Kolejni przechodzili z jadalni.

- Idzie pani do łóżka, Jane? - spytał książę. - Od północy nie minęła nawet godzina.

- Tak, wasza księżęca mość - szepnęła. - Dobranoc.

- Bzdury! - krzyknął. - Słyszała pani, co powiedziała Angelina. Jej zdaniem została pani gościem honorowym. I chociaż moja siostra ma okropny gust, jeśli chodzi o stroje - jak pani sama się przekonała we wściekłym różu jej nie do twarzy, szczególnie z tymi wszystkimi falbankami i pliskami, nie mówiąc o tych okropnych niebieskich piórach we włosach - ale mimo to, Jane, nikt lepiej od niej nie zna się na ludziach. Przyjdzie pani do salonu.

- Nie - oznajmiła krótko. Uniósł brwi.

- Niesubordynacja? Zatańczy pani, Jane. Ze mną.

Roześmiała się.

- I z pańską laską?

- Jane, to nie było zagranie fair. Zatańczę bez laski. Walca. Z

panią.

Stanął tak, że zagroził Jane drogę na schody. Z jego miny wywnioskowała, że nie powinna mu się sprzeciwić. Ale nie mogła się oprzeć temu, by przy okazji nieco się z nim podroczyć. Ostatecznie nie może jej zmusić do tańca.

- Nigdy nie tańczy pan walca - powiedziała.

- A któż to pani powiedział?

- Pan. W mojej obecności. Kiedy ktoś pewnego dnia wspomniał o klubie Almacka.

- Dziś zrobię wyjątek - oświadczył. - Tańczy pani walca, Jane? Zna pani krok?

Mogła w ten sposób się wykręcić. Wystarczyło jedynie powiedzieć „nie”. Bo naprawdę nigdy nie tańczyła walca publicznie, tylko z Charlesem i kilku znajomymi na wieczorkach domowych. Ale nagle ogarnęło ją nieprzeparte pragnienie zatańczenia walca tutaj, w Dudley House, pośród ludzi równych jej urodzeniem, nim zniknie gdzieś, gdzie nikt jej nie znajdzie. Bardzo chciała zatańczyć walca z księciem Tresham i ta pokusa była nie do przewyciężenia.

Waha się, pomyślał książę. Nachylił się ku niej.

- Nie może pani teraz zaprzeczyć, Jane. Milczenie panią zdradziło.

- Podał jej ramię. - Chodźmy.

Ociągała się jeszcze tylko przez chwilę, a potem ujęła go pod ramię i wraz z nim poszła do salonu.

Żeby zatańczyć walca z księciem Tresham.

Dla Jocelyna, kiedy siedział i zabawiał rozmową starszych gości, podczas gdy młodszy tańczyli, jedno stało się zupełnie oczywiste: Jane Ingleby będzie musiała wkrótce odejść. Opuścić Dudley House. Znaleźć się daleko od niego.

Naprawdę zwróciła uwagę wszystkich. Nie tańczyła, ale otaczał ją wianuszek prawdziwych wielbicieli, a wśród nich Kimble i Ferdynand, chociaż obaj powinni tańczyć. Trochę nie pasowała do nich w swojej zwyczajnej sukience z muślinu w kwiaty i z prostym uczesaniem. Pozostałe damy spowite były w jedwabie i atłasy, obwieszane biżuterią, na głowach miały turbany albo pióra we włosach. Ale sprawiła też, że przy niej wyglądały na przesadnie wystrojone i pretensjonalne.

Była samą prostotą. Jak róża. Chociaż nie, róża jest zbyt wytworna. Jak lilia. Albo stokrotka.

Ludzie zaczną się zastanawiać, jeśli zatrzyma ją w Dudley House na dłużej. Z pewnością jego goście zorientowali się już, tak jak on powinien się zorientować w ciągu ostatnich trzech tygodni, że Jane jest damą w każdym calu. Być może biedną sierotą, córką zubożałego dżentelmena. Ale na pewno damą. I do tego wyjątkowo śliczną.

Będzie musiał dla niej znaleźć pracę u kogoś innego - myśl ta była bardzo przygnębiająca i tego wieczoru nie chciał sobie nią zaprzętać

głowy. Taniec dobiegł końca. Jocelyn wstał, zostawił laskę opartą o ścianę. Z ulgą stwierdził, że przeniesienie ciężaru ciała na prawą nogę nie sprawia mu już wielkiego bólu. Podszedł do pani Marsh, siedzącej przy fortepianie.

- Panowie - powiedział, poszeptawszy z nią przez chwilę - proszę zaprosić damy do walca. - Ruszył w stronę Jane. Kiedy szedł w jej kierunku, poczuł na sobie zaskoczone spojrzenia Kimble'a i Broughama. Obaj patrzyli na niego tak, jakby nagle wyrosła mu druga głowa. Wiedział dlaczego. Było powszechnie wiadomo, że księżę Tresham nigdy nie tańczy walca. Wyciągnął prawą rękę. - Panno Ingleby?

- Będzie pan tego żałował - ostrzegła, kiedy zajęli miejsca na lśniącym parkiecie, pozbawionym dywanu. - Teraz będzie pan musiał spędzić najbliższe dwa tygodnie z nogą na poduszce.

- Wtedy pani będzie miała tę satysfakcję, by mi powiedzieć: „A nie mówiłam?” - mruknął, obejmując prawą ręką jej talię, a drugą trzymając jej dłoń.

Nie tańczył walca z tej prostej przyczyny, że był to zbyt poufały taniec dla mężczyzny, który stał się mistrzem w unikaniu pułapek, zastawianych na kawalerów. Ale zawsze uważał, że gdyby nadarzyła się odpowiednia okazja i właściwa kobieta, walc byłby cudownym tańcem.

Pora była stosowna, partnerka też.

Czuł pod swą ręką jej wdzięczną kibić. Gdy położyła mu dłoń na ramieniu, znaleźli się bardzo blisko siebie, chociaż ich ciała ani razu się nie zetknęły, gdy wirowali po pokoju, patrząc na siebie, zapomniawszy o innych tańczących parach i zebranych gościach, jakby nie istniał nikt poza nimi. Czuł ciepło, bijące od niej, i słaby zapach róż otaczający jej postać.

Tańczyła bosko, prawie nie dotykając stopami podłogi, jakby stanowiła jego część, jakby obydwójce stanowili część muzyki albo muzyka była częścią nich. Złapał się na tym, że uśmiecha się do niej. Chociaż zachowała poważną minę, wydawało mu się, że w jej niebieskich oczach odnajduje ciepłą odpowiedź na swój uśmiech.

Dopiero kiedy muzyka umilkła, dotarło do niego, że mimo woli zrezygnował ze swej zwykłej wyniosłości i że noga go boli jak wszyscy diabli.

- Idę do łóżka - rzuciła zadyszczanym głosem.

- Och, Jane - powiedział łagodnie. - Nie mogę pójść z panią. W domu jest pełno gości.

Oderwała się od niego, kiedy wszyscy zmieniali partnerki albo opuszczali parkiet, by odpocząć.

- Ale odprowadzę panią do pokoju - oznajmił. - Nie, może pani nie patrzeć znacząco na moją nogę. Nie jestem kaleką i nie będę się zachowywał jak kaleka. Proszę mnie wziąć pod rękę.

Nie przejmował się tym, kto widzi, jak wychodzą. Zaraz wróci do

gości. A ona nie może zostać długo w Dudley House, by dawać powód plotkom. Było to dla niego najzupełniej oczywiste.

W holu i na schodach panowała cisza. Jedynie z salonu dobiegał gwar rozmów. Jocelyn nie silił się na rozmowę, kiedy wchodzili powoli po stopniach - nie wziął ze sobą laski. W ogóle się nie odzywał, dopóki nie znaleźli się w słabo oświetlonym korytarzu, prowadzącym do pokoju Jane.

- Odniosła pani taki sukces, jak przewidziałem - powiedział. - A właściwie większy.

- Dziękuję - odparła.

Zatrzymał się przed drzwiami pokoju.

- Pani rodzice musieli być z pani bardzo dumni - rzucił jakby od niechcienia.

- Ta... - W porę się powstrzymała. Spojrzała na niego przenikliwie, jakby chciała się przekonać, czy te słowa wyrwały się mu przypadkiem. - Ludzie, którzy mnie znali, byli ze mnie dumni - powiedziała ostrożnie. - Ale talent nie jest czymś, z czego należy być nadmiernie dumnym, wasza książęca mość. Mój głos to coś, czym nie mogę się szczycić. Został mi dany, tak jak panu zdolność gry na fortepianie.

- Jane - powiedział łagodnie, a potem pochylił głowę i zbliżył usta do jej ust.

Tylko ich usta się stykały, ale minęło parę chwil, nim któreś z

nich się cofnęło - nie był pewien, on czy ona.

Miała zamglone spojrzenie, na policzkach ukazał się rumieniec. Rozchylone i wilgotne usta zdawały się go zapraszać. A on słyszał tylko bicie własnego serca, które sprowadziło go na ziemię. Ach, Jane, gdyby tylko...

Odszukał jej wzrok, nim otworzył drzwi do pokoju.

- Może to i lepiej, Jane, że na dole są goście. Ale to nie wystarczy, prawda? Nie na długo. Dobranoc.

Jane wbiegła do pokoju, nie oglądając się za siebie. Poczekwała, aż drzwi się za nią zamkną nim ukryła rozpalone policzki w dłoniach.

Wciąż czuła dotyk jego ręki, bijące od niego ciepło, zapach wody kolońskiej, idealnie zgrane ruchy, kiedy wirowali w rytm muzyki. Nagle odkryła, że walc jest zmysłowym tańcem, a nie zwykłą zabawą jak wtedy, gdy tańczyła z Charlesem.

Tak, to dobrze, że na dole byli goście.

Wciąż czuła na swych ustach jego pocałunek, nie lubieżny, nie brutalny. Znacznie gorszy. Delikatny, zmysłowy. Nie, to nie wystarczy. Nie na długo. A właściwie już nie wystarczało. Gdzieś w środku poczuła ogromną pustkę i przemożne pragnienie jej wypełnienia.

Rozdział 11

Wyścig do Brighton miał ruszyć o wpół do dziewiątej rano z Hyde Parku. Na szczęście zapowiadał się bezchmurny bezwietrzny dzień. Jocelyn wyszedł przed dom, wspierając się na lasce.

Bez niczyjej pomocy wsiadł do karykla i zbył machnięciem ręki służącego, który chciał zająć miejsce na koziołku z tyłu. Ostatecznie jechał tylko do parku i z powrotem. Zamierzał powiedzieć Ferdynandowi kilka słów, by podnieść go na duchu - broń Boże nie udzielać mu rad. Dudleyowie nie słuchali niczyich rad, a już szczególnie dawanych sobie nawzajem.

Pojawił się wcześniej, ale chciał spędzić kilka minut z bratem, nim ściągną tłumy, by kibicować uczestnikom wyścigu. Oczywiście niektórzy dżentelmeni pojedą konno za karyklami, by być świadkami, kto pierwszy dotrze na metę w Brighton, i móc uczcić zwycięzcę. Gdyby nie szczególne okoliczności, Jocelyn też byłby wśród nich - nie, byłby jednym z uczestników wyścigu - ale nie tym razem. Noga nie dokuczała mu tak, jak się tego obawiał po wczorajszym walcu, ale byłoby głupotą narazić ją na długą jazdę konno.

Ferdynand był czerwony z emocji, rozgorączkowany i zniecierpliwiony. Oglądał swoje nowe konie i rozmawiał z lordem Heywardem, który pojawił się przed Jocelynem.

- Angelina koniecznie mi przykazała powtórzyć ci, Ferdynandzie -

mówił Heyward, ironicznie uniósłszy brew - że masz wygrać za wszelką cenę, że nie wolno ci ryzykować złamania karku, że honor Dudleyów spoczywa w twoich rękach, że masz nie przejmować się niczym, tylko mieć na względzie swoje bezpieczeństwo - i wiele równie sprzecznych zaleceń, których ci oszczędzę.

Ferdynand uśmiechnął się i skinął Jocelynowi na powitanie.

- Rwą się do wyścigu nie mniej ode mnie - powiedział, pokazując konie.

Jocelyn włożył monokl i przyjrzał się karyklowi, dość przypadkowo zakupionemu przez Ferdynanda kilka miesięcy temu. Spodobało mu się, że łączył w sobie elegancję i sportowy wygląd. Od tamtej pory stale na niego narzekał i rzeczywiście powozik był jakiś niezgrabny, co ujawniało się dopiero podczas jazdy. Jocelyn raz się przejechał karyklem brata i od tamtej pory nigdy nie odczuwał potrzeby ponownego przeżycia tej przyjemności.

Było mało prawdopodobne, by Ferdynand wygrał wyścig, ale Jocelyn nie przejmował się zbytnio, że przez to przegra zakład. Za bratem księcia przemawiały młodość i zapał, a także pewien wrodzony upór, by nigdy nie być drugim w jakimkolwiek sportowym współzawodnictwie. Na parę kasztanków Jocelyn patrzył z niekłamaną zazdrością. Najgorzej przedstawiała się sprawa karykla.

Nadjechał lord Berriwether, rywal Ferdynanda. Towarzyszył mu prawdziwy orszak jeźdźców, którzy przybyli, żeby mu kibicować.

Oczywiście wszyscy postawili na jego zwycięstwo. Niektórzy zaczęli nawet dobrodusznie pokpiwać z Ferdynanda.

- Pierwszorzędna parka, Dudley - zawołał wesoło pan Wagdean. - Szkoda, że każdy z koni kuleje na trzy nogi.

- Tym większa będzie ich zasługa, kiedy wygrają - odpowiedział Ferdynand z uśmiechem - i zrobią wstyd koniom Berriwethera, które nie będą miały takiego usprawiedliwienia.

Berriwether okazywał obojętność, strącając batem niewidoczny pyłek z błyszczących butów z cholewami. Ubrał się raczej jak na przejażdżkę po Bond Street, a nie na jazdę do Brighton. Ale oczywiście gdy tylko rozpoczną wyścig, będzie go traktował z należytą powagą.

- Ferdynandzie, lepiej zamieńmy się karyklami - powiedział Jocelyn pod wpływem impulsu.

Brat spojrział na niego z nieukrywaną nadzieją. - Mówisz poważnie, Tresham?

- Nie chcę przegrać zakładu i wolę, żebyś nie jechał do Brighton tym pudłem na kapelusze - odparł Jocelyn, wskazując ruchem głowy czerwono-żółty powozik.

Ferdynand nie zamierzał się z nim spierać. W mgnieniu oka - bo do rozpoczęcia wyścigu zostało zaledwie pięć minut - jego stajenny wy-przął kasztanki i zaprzął je do karykla księcia.

- Tylko pamiętaj, że mój powóz jest trochę lżejszy od twojego,

Ferdynandzie, i szybciej reaguje na manewry - powiedział Jocelyn, nie mogąc się oprzeć pokusie, by udzielić bratu rady. - Zwalniaj na zakrętach.

Ferdynand zajął miejsce na wysokim siedzeniu i wziął wodze z rąk stajennego. Spoważniał, skupiony na czekającym go zadaniu.

- I zwróć mi go w całości - dodał Jocelyn, nim cofnął się wraz z resztą widzów z toru - bo inaczej obedrę cię żywcem ze skóry.

Minutę później markiz Yarborough, szwagier Berriwethera, uniósł w górę pistolet startowy. Zapanowała cisza, rozległ się suchy trzask broni i wyścig ruszył pośród głośnych okrzyków, w chmurze pyłu, wzbitego przez końskie kopyta.

Jocelyn, spoglądając tęsknie za karyklami i grupką jeźdźców na koniach, pomyślał, że wszystko to przypomina szarżę kawalerii. Wrócił do pozostawionego karykla Ferdynanda i wymienił kilka grzeczności ze stojącymi obok dżentelmenami.

Żałował, że jednak nie zabrał ze sobą służącego. Będzie musiał wrócić do domu, żeby konie zaprowadzono do stajni a karykiel odstawiono do powozowni, nim uda się do klubu White'a. Ale przecież nie musi wchodzić do domu. Zresztą wszystko przemawiało za tym, żeby tego nie robił.

Ostatniej nocy znów ją pocałował. I wiedział, że tak dłużej być nie może. Trzeba z tym skończyć raz na zawsze. Jane musi opuścić jego dom.

Rzecz w tym, że wcale nie chciał się z nią rozstawać. Na Grosvenor Square, gdy zbliżył się do frontowych drzwi Dudley House, przypomniał sobie, że miał pojechać do stajni. Po prostu wrócił do domu machinalnie. Okrąży plac i pojedzie do stajni.

Ale kiedy dał koniom znak, by jechały dalej, szereg wypadków, które nastąpiły tak szybko, że później nie był nawet pewien, w jakiej kolejności się wydarzyły, pokrzyżował jego plany. Nagle rozległ się głośny trzask, karykiel gwałtownie przechylił się na lewo, konie zarżały i stanęły dęba, jakiś mężczyzna krzyknął, jakaś kobieta pisnęła. A Jocelyn zderzył się z czymś wystarczająco twardym, by na chwilę stracić przytomność.

Kiedy był znów zdolny do racjonalnego myślenia, stwierdził, że leży twarzą do chodnika przed swoim własnym domem. Słyszał, jak ktoś uspokaja spłoszone konie. Czuł się, jakby miał pogruchotane wszystkie kości. Ktoś głaskał go po włosach - co u diabła stało się z jego kapeluszem? - i zapewniał, że nic mu nie będzie, że wszystko w porządku, co stanowiło wspaniały przykład kobiecego rozumowania.

- Do diabła! - krzyknął wściekły, odwróciwszy głowę. Zobaczył karykiel swego brata mocno przekrzywiony na bok, bo pękła oś.

Wydawało mu się, że z każdego domu wybiegły tłumy żądnych sensacji gapiów - czy wszyscy czekali w oknach, by być świadkami jego upokorzenia?

- Niech pan wstrzyma oddech - powiedziała Jane Ingleby, wciąż

gładząc go po głowie. - Służący za chwilę wniosą pana do domu. Proszę się starać nie ruszać.

Jeszcze tego brakowało, po jednym z najprzykrzejszych miesięcy w jego życiu.

- Jeśli nie umie pani mówić do rzeczy - burknął, ze złością potrząsając głową by uwolnić się od jej ręki - proponuję, żeby pani w ogóle zamilkła.

Podparł się obydwoma rękami - zauważył, że w jednej z jego kosztownych rękawiczek zieje wielka dziura, przez którą widać zakrwawioną dłoń - i podniósł się, nie zwracając uwagi na protest swych mięśni, które dopiero co zostały poważnie nadwerężone.

- Boże, co z pana za głupiec! - ofuknęła go Jane, a on z zażenowaniem stwierdził, że musi wesprzeć się na jej ramieniu. Znowu.

Spoglądał zmrużonymi oczami na powóz Ferdynanda.

- Oś pękłaby, kiedy byłby już za miastem, gnając na złamanie karku - powiedział.

Spojrzała na niego, ściągawszy brwi.

- To karykiel Ferdynanda - wyjaśnił. - Złamała się oś. Mój brat mógł zginać. Marsh! - zawołał na stajennego, który wciąż uspokajał konie, wyprzęgane przez kogoś z sąsiedztwa z karykla. - Jak skończysz, obejrzyj powóz. Chcę, żebyś za pół godziny zdał mi sprawę, co stwierdziłeś.

- Tak jest, wasza książęca mość - odpowiedział stajenny.

- Niech mi pani pomoże wejść do środka - polecił Jocelyn Jane. - I proszę się uspokoić. Mam tyle siniaków i zadrapań, że będzie pani mogła do woli się mną opiekować, gdy tylko znajdziemy się w bibliotece. Nie złamałem żadnej kości i nie upadłem na prawą nogę. Przynajmniej tak mi się wydaje. Ktoś to zrobił naumyślnie.

- Żeby spowodować śmierć lorda Ferdynanda? - spytała, kiedy weszli do środka. - Żeby przegrał wyścig? Cóż za brednie. Nikt nie może aż tak bardzo pragnąć wygranej. To był wypadek. Wie pan, że takie wypadki się zdarzają.

- Mam wrogów - odparł cierpko. - A Ferdynand jest moim bratem.

Miał nadzieję, że majstrowano tylko przy karyklu. To najwyraźniej była sprawka braci Forbesów Podstępne, przebiegłe łotry.

Jane wstała rano z mocnym postanowieniem wyprowadzenia się z Dudley House jeszcze tego samego dnia. Jej przydatność, od początku problematyczna, teraz zupełnie się skończyła. Trzy tygodnie minęły. A to, na co się zgodziła i co zrobiła ostatniego wieczoru, by zabawić gości księcia, było pełnym szaleństwem. Widziało ją pięćdziesiąt osób z wyższych sfer. Nawet jeśli nie była ubrana równie wytwornie, jak oni, jej strój zdecydowanie nie był uniformem panny służącej.

Tak więc to tylko kwestia czasu. Jej prześladowcy rozgłoszą wśród przedstawicieli towarzystwa, jak wygląda. Prawdę mówiąc, zastanawiało ją dlaczego jeszcze tego nie zrobili. A wówczas część gości, bawiących wczorajszego wieczoru u księcia, przypomni sobie o Jane Ingleby.

Musi opuścić Dudley House. Musi zniknąć. Weźmie pięćset funtów - to kolejne szaleństwo, ale zamierzała wymusić na księciu Tresham, by wywiązał się ze swojej obietnicy - i gdzieś się ukryje. Nie w Londynie. Wyjedzie stąd. Pójdzie pieszo daleko za miasto, a tam wsiądzie do dyliżansu lub pociągu.

W dodatku ten wczorajszy pocałunek. Mało brakowało, by przerodził się w niekontrolowany wybuch pożądania. Nie mogła dłużej zostać w Dudley House. I nie dopuści do tego, by się zakochać. Przynajmniej na razie nie mogła sobie pozwolić na żadne porywy uczuć.

Jak tylko zaprowadziła księcia do biblioteki, przyniosła ciepłą wodę, maści i bandaż. Usiadła potem na stołeczku obok fotela przed kominkiem i wcierała maść w jego podrapane ręce. Do pokoju wszedł stajenny.

- No i jak? - spytał książę. - Co znalazłeś, Marsh?
- Wasza książęca mość, niewątpliwie ktoś majstrował przy karyklu - powiedział stajenny. - Oś nie pękła od zużycia.
- Wiedziałem - mruknął ponuro książę. - Marsh, pošlij kogoś

godnego zaufania do stajni mojego brata. Nie, lepiej idź tam sam. Chcę wiedzieć dokładnie, kto miał dostęp do karykla przez kilka ostatnich dni. Szczególnie wczoraj i ostatniej nocy. Do licha, przecież z pewnością i on, i jego stajenny byli na tyle rozsądni, by sprawdzić stan karykla, którym zamierzał wziąć udział w wyścigu.

- I pan, i ja byśmy to zrobili, gdyby to pan szykował się do udziału w wyścigu, wasza książęca mość - zapewnił stajenny.

Wyszedł, by zająć się swoimi obowiązkami, a Jane zauważyła, że księżę spogląda na nią z chmurną miną.

- Jeśli zamierza pani zrobić użytek z tych wszystkich bandaży - powiedział - lepiej niech pani wybije to sobie z głowy. Ani mi się śni przez najbliższy tydzień chodzić z owiniętymi rękami.

- Te obtarcia będą panu dokuczać, wasza książęca mość - ostrzegła.

Uśmiechnął się do niej ponuro i Jane z powrotem usiadła na stołku.

Wiedziała, że zajęty jest myślami o tym, co wydarzyło się rano, i niepokoi się o bezpieczeństwo swego brata. Ale nie mogła dłużej zwlekać.

- Zamierzam opuścić...- zaczęła.

Jego uśmiech stał się krzywy.

- Pokój, Jane? - przerwał jej. - By odnieść bandażę? Bardzo słusznie.

Nie odpowiedziała, tylko patrzyła na niego. Wiedziała, że doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co chciała powiedzieć.

- A więc postanowiła mnie pani opuścić? - odezwał się w końcu.

- Muszę - odparła. - Wie pan, że muszę. Sam pan to powiedział ostatniej nocy.

- Ale nie dziś rano. - Ściągnął brwi i poruszył palcami lewej ręki, która była mniej poobcierana od prawej. - Jane, dziś nie mam siły stawiać czoła kolejnemu kryzysowi.

- To nie jest żaden kryzys. Zostałam tu zatrudniona na określony czas i teraz przyszła pora, żebym się pożegnała - po otrzymaniu obiecanej zapłaty.

- Być może nie stać mnie, by ci dzisiaj zapłacić, Jane - odrzekł. - Czy nie zgodziłem się wypłacić pani ogromnej kwoty pięciuset funtów za pani wieczorny występ? Wątpię, by Quincy trzymał tyle gotówki w domu.

Jane zamrugała powiekami, ale nie udało jej się powstrzymać łez, które nabiegły jej do oczu.

- Proszę sobie z tego nie żartować - oświadczyła. - Muszę odejść. I to jeszcze dziś.

- I dokąd pani pójdzie?- spytał. Pokręciła tylko głową.

- Nie zostawiaj mnie, Jane - poprosił. - Nie mogę pozwolić pani odejść. Nie widzi pani, że potrzebna mi pielęgniarka? - Wyciągnął rękę przed siebie. - Jeszcze przynajmniej przez miesiąc?

Znów pokręciła głową, a on patrzył na nią zmrużonymi oczami.

- Dlaczego zależy pani na tym, żeby mnie zostawić? Czy okazałem się aż takim tyranem, Jane? Czy traktowałem panią źle? Zwracałem się do pani arogancko?

- Jeśli chodzi o to ostatnie, to tak, wasza książęca mość.

- Ale robiłem to tylko dlatego, że od najmłodszych lat byłem rozpieszczany i przymilano się do mnie. Wie pani, że nie chciałem pani dokuczyć. Zresztą nigdy nie pozwoliła się pani zastraszyć, Jane. To pani terroryzowała mnie.

Uśmiechnęła się, ale w gruncie rzeczy miała ochotę się rozplakać. Nie tylko ze względu na przerażające nieznane, które ją czekało, ale z uwagi na to, co zostawi za sobą, chociaż przez cały ranek starała się o tym nie myśleć.

- Nie może pani tu zostać - oświadczył niespodziewanie. - Co do tego jesteśmy zgodni. Po tym, co się wydarzyło ostatniego wieczoru, nie ulega to wątpliwości.

Kiwnęła głową i utkwiała wzrok w swoich rękach, złożonych na kolanach. Jeśli łudziła się nadzieją że książę spróbuje usilniej prosić ją o pozostanie, a poobcierane ręce posłużą mu za pretekst, to się rozczarowała.

- Ale mogłaby pani zamieszkać gdzie indziej - oznajmił - gdzie moglibyśmy się codziennie widywać z dala od wścibskich oczu i skorych do plotek języków *beau monde*. Co pani na to, Jane?

Wolno uniosła wzrok. Z całą pewnością dobrze zrozumiała, co miał na myśli. Czego nie mogła zrozumieć, to własnej reakcji, a właściwie braku jakiegokolwiek reakcji i świętego oburzenia. Swego pragnienia. Pokusy.

Patrzył na nią bacznie pociemniałymi oczami.

- Troszczyłbym się o panią, Jane - zapewnił. - Żyłaby pani w dostatku. Miałaby pani własny dom, służbę i powóz. Stroje i biżuterię. Przyzwoitą pensję. Pewną swobodę. Z pewnością większą od tej, jaką cieszą się mężatki.

- W zamian za to, żebym zgodziła się zostać pańską utrzymanką - powiedziała cicho. Nie było to pytanie. Odpowiedź była aż nadto oczywista.

- Mam pewne doświadczenie w tych sprawach - oznajmił. - Z radością wykorzystałbym je, by sprawić pani przyjemność. Jak pani widzi, byłby to uczciwy układ. Nie może pani z ręką na sercu powiedzieć, że nigdy nie myślała pani o tym, by znaleźć się ze mną w sypialni, prawda? Że nigdy pani tego nie chciała? Że budzę w pani odrazę? Niech pani będzie szczerą. Zorientuję się, jeśli mnie pani okłamie.

- Nie muszę kłamać - oświadczyła. - Nie muszę w ogóle odpowiadać. Będę miała pięćset funtów i moje wynagrodzenie za trzy tygodnie pracy. Mogę udać się dokąd zechcę, i robić to, co chcę. Tyle pieniędzy to fortuna dla oszczędnej osoby, wasza książęca mość. Nie

muszę godzić się na pańską propozycję.

Roześmiał się cicho.

- Nie sędzę, Jane, żebyrn był na tyle głupi, by próbować panią do czegośkolwiek zmuszać - odparł. - Nie uwodzę pani ani nie kuszę. Przedstawiłem propozycję, może to pani nazwać interesem. Potrzebny pani dom i źródło dochodów poza tymi pieniędzmi, które już pani ma. Potrzebne pani pewne poczucie bezpieczeństwa i ktoś, przy kim nie myślałaby pani o swej samotności. Ostatecznie jest pani dorosłą kobietą i pociągam panią fizycznie. A ja potrzebuję utrzymanki. Przez zastraszająco długi czas nie miałem kobiety. Posunąłem się nawet do tego, że przyłapuję pielęgniarki przed drzwiami ich pokojów, kiedy je tam odprowadzam, i kradnę im pocałunki. Potrzebuję kogoś, kogo mógłbym odwiedzać w wolnym czasie, kogoś, kto zaspokajałby moje potrzeby. Pani jest do tego zdolna, Jane. Pragnę pani. I oczywiście dysponuję środkami, by zapewnić pani życie na odpowiednim poziomie.

I w ukryciu.

Jane znów spojrziała na swoje ręce, ale w myślach rozważała jego propozycję. Nie mogła uwierzyć, że się nad tym zastanawia, ale celowo powstrzymała się przed okazaniem oburzenia i przerażenia.

Nawet zakładając, że nie zostanie schwytana, nigdy już nie będzie mogła być lady Sarą Illingsworth. Nigdy nie odziedziczy majątku w dniu ukończenia dwudziestu pięciu lat. Musi praktycznie myśleć o

swojej przyszłości. Musi gdzieś mieszkać, pracować. Pięćset funtów nie wystarczy na zawsze nawet oszczędnej osobie. Mogła podjąć się przyzwoitej pracy - nauczycielki, guwernantki czy damy do towarzystwa. Ale żeby to było możliwe, musi zgłosić się do agencji, musi mieć referencje i zaryzykować, że ktoś ją zdemaskuje.

Istniało też inne wyjście - zarabiać na życie pracą fizyczną. Albo zostać utrzymanką księcia Tresham.

- No więc, Jane? - spytał po długiej ciszy, która zapadła po jego ostatnich słowach.- Co pani na to?

Westchnęła głęboko i spojrzała na niego.

Nie będzie musiała się z nim rozstawać.

Będzie z nim żyła. Bez ślubu. Będzie jego kochanką, utrzymanką.

- Co to za dom? - spytała. - I ile osób służby? Jak wysoka pensja? I jak będą chronione moje interesy? Skąd mam mieć pewność, że nie odprawi mnie pan, kiedy się pan mną znudzi?

Wolno rozchylił usta w uśmiechu.

- To lubię - powiedział cicho. - Dziewczyna z charakterem.

- Musimy zawrzeć umowę - oznajmiła. - Razem omówimy i ustalimy jej warunki. Zostanie sporządzona, przejrzana i podpisana przez obie strony, nim zostanę pańską utrzymanką. Do tego czasu nie mogę tu pozostać. Czy należy pan do tych dżentelmenów, którzy mają drugi dom, specjalnie dla swych utrzymanek? Jeśli tak, to przeniosę się do niego. Gdybyśmy nie doszli do porozumienia, wtedy

oczywiście się wyprowadzę.

- Naturalnie, że mam taki dom - oświadczył. - W tej chwili stoi pusty, jeśli nie liczyć dwóch osób służby. Zawiozę panią tam później, Jane, po powrocie Marsha z najświeższymi wiadomościami ze stajni brata. Muszę czymś się zająć, by wypełnić czas, nim nadejdą wieści z Brighton. Omówimy warunki umowy jutro.

- Doskonale. - Wstała, wzięła miednicę i bandażę. - Spakuję się i będę gotowa do odjazdu, kiedy tylko mnie pan wezwie, wasza książęca mość.

- Odnoszę wrażenie, że będzie się pani zawzięcie targowała - odezwał się z udawaną potulnością kiedy była już przy drzwiach. - Nigdy wcześniej nie miałem utrzymanki, która domagała się pisemnej umowy.

- Co oznacza, że były głupie - stwierdziła. - A ja jeszcze nie jestem pańską utrzymanką.

Kiedy zamknęła drzwi, nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Oparła się o drzwi, dziękując Bogu, że nigdzie nie widać nikogo ze służby. Nagle opuściła ją cała odwaga i nogi się pod nią ugięły. Co, na Boga, właśnie zrobiła? Na co przystała - albo prawie przystała?

Spróbowała się poczuć oburzona propozycją księcia. Ale jedyne, co naprawdę czuła, to niewypowiedziana ulga, że nie będzie musiała się z nim dziś rozstać, by go już nigdy więcej nie zobaczyć.

Rozdział 12

Dom należał do niego od pięciu lat. Stał przy porządnej ulicy w przyzwoitej części miasta. Książę nie szczędził pieniędzy na jego wykończenie i umeblowanie. Zatrudnił uczciwych, godnych zaufania służących, dwoje z nich od pięciu lat pracowało tutaj, dbając o dom nawet wówczas, gdy nikt w nim nie mieszkał.

Jocelyn lubił ten dom. Zapewniał on wszystko, co potrzebne do zaspokojenia potrzeb ciała. A jednak gdy przekroczył jego próg razem z Jane Ingleby, ogarnęło go dziwne skrępowanie.

Chodziło nie tylko o dom, lecz o cały pomysł, by została jego utrzymanką. Pragnął jej, tak. Chciał z nią dzielić łóżce, jak z innymi kobietami. Ale jakoś to, że Jane Ingleby została jego utrzymanką nie wydawało mu się do końca właściwe.

- Jacobs - zwrócił się do kamerdynera, który ukłonił się z szacunkiem - to jest panna Ingleby. Zamieszka tu przez pewien czas. Ty i pani Jacobs będziecie słuchać jej poleceń.

Nawet jeśli Jacobs był zdziwiony, że jego pan wybrał sobie kobietę z ludu - bo przecież miała na sobie tanią szarą pelerynę i kapelusz, te same, co w Hyde Parku - miał zbyt duże doświadczenie, by to okazać.

- Postaramy się zrobić wszystko, by mieszkało się pani wygodnie - powiedział, kłaniając się jej.

- Dziękuję, panie Jacobs - odparła i władczo skinęła mu głową zanim wycofał się dyskretnie w głąb domu.

- Naturalnie zatrudnię więcej służby - powiedział Jocelyn, ujmując Jane pod łokieć, by oprowadzić ją po domu. - Czy mam wydać odpowiednie polecenie, czy woli pani sama kierować służbą?

- Na razie ani jedno, ani drugie - oświadczyła chłodno, rozglądając się po salonie, wyłożonym lawendowym dywanem, z różowymi draperiami i poduszkami ozdobionymi falbankami. - Może nie zostanę tutaj dłużej niż kilka dni. Nie doszliśmy jeszcze do porozumienia.

- Ale dojdziemy. - Skierował się z nią do jadalni. - Przyjdę rano, żeby z panią porozmawiać. Ale najpierw zabiorę panią do pewnej znanej mi krawcowej na Bond Street. Weźmie miarę na nowe stroje, które będą pani potrzebne.

- Dziękuję, ale dopóki nie zostanę pańską utrzymanką, będę chodziła w tym, co mam - oznajmiła, co go wcale nie zdziwiło. - Jeśli dojdziemy do porozumienia w tej sprawie, wtedy może pan wezwać krawcową tutaj, jeśli pan sobie życzy. Nie zamierzam bywać na Bond Street.

- Ponieważ wyjdzie na jaw, że jest pani moją kochanką? - spytał, patrząc, jak przesuwa palcami po gładkim blacie okrągłego stołu. Można go było rozłożyć, by pomieścić więcej gości, ale jedząc sam na sam z ukochaną, wołał ją mieć na wyciągnięcie ręki. - Uważa pani,

że to powód do wstydu? Zapewniam panią, że nie. Kurtyzany z najwyższych sfer, Jane, są traktowane niemal na równi z damami. A pod niektórymi względami nawet lepiej. Często mają o wiele większe wpływy. Będziesz się cieszyła dużym poważaniem jako moja utrzymanka.

- Jeśli nią zostanę, wasza książęca mość, nie będę się tego ani wstydziła, ani tym szczyliła - odparła. - Potraktuję to jako czysto praktyczne rozwiązanie, dające mi stałe zatrudnienie, zarówno korzystne finansowo, jak i odpowiadające mi.

Roześmiał się.

- Odpowiadające pani, Jane? - spytał. - Wprawia mnie pani w zachwyty swoim entuzjazmem. Pójdziemy na górę?

Ciekaw był, czy naprawdę jest taka obojętna, jakby na to wskazywało jej zachowanie. Ale pamiętał ich pocałunki i wyciągnął z nich własne wnioski. Szczególnie wtedy, w pokoju muzycznym, w najmniejszym stopniu nie była obojętna. I nawet przed swoją sypialnią, po tym, jak zaśpiewała dla jego gości, dostrzegł w niej pragnienie, które mógł wykorzystać, gdyby tylko zechciał.

Wciąż stał na progu sypialni. Jane, która weszła pierwsza, odwróciła się w jego stronę.

- Jeszcze dziś jedną sprawę muszę postawić jasno - powiedziała ze splecionymi rękami, z zadartą brodą, jakby szykowałą się do walki, z wojowniczym błyskiem w oku. - Jeśli zdecyduję się tu zamieszkać,

wszystko w tym domu musi zostać zmienione.

- Naprawdę? - Uniósł brwi, założył monokl i długo rozglądał się po pokoju. Szerokie, mahoniowe łóżko z baldachimem i misternie rzeźbionymi kolumnami nakryte było narzutą z jedwabnego brokatu w różyczki, takiego samego, z jakiego zrobiony był baldachim. Zasłony w łóżku były z ciężkiego, drogiego aksamitu, podobnie jak draperie w oknie. Na podłodze leżał gruby, miękki dywan.

Wszystko to było w kolorze ciemnoszkarłatnym.

- Naprawdę! - odparła kategorycznie, nie kryjąc pogardy - Ten dom jest odrażający To karykatura gniazdka miłości. Nie chcę spać w tym pokoju nawet sama. A z całą pewnością nie z panem. Czułabym się jak ladacznica.

Czasami trzeba było sprzeciwić się Jane Ingleby Kłopot polegał jednak na tym, że książe nie był do tego przyzwyczajony, ponieważ do tej pory nie było takiej potrzeby.

- Uważam za konieczne przypomnieć pani, że to nie mnie proponuje się zatrudnienie - powiedział, stając w lekkim rozkroku. Splótł ręce z tyłu, starając się przybrać jak najgroźniejszy wygląd. - Złożyłem pani propozycję, którą może pani przyjąć albo odrzucić. Jest wiele kobiet, które chętnie zajęłyby pani miejsce, gdyby tylko miały okazję.

- Popełniłam błąd, wasza książęca mość - przemówiła po dłuższej chwili milczenia. Przez ten czas musiał się bardzo pilnować, by nie

zacząć nerwowo przestępować z nogi na nogę. - Myślałam, że mamy ustalić warunki. Ale widzę, że wrócił pan do swojej śmiesznej pozy despotycznego arystokraty, któremu nikt przy zdrowych zmysłach nie śmiałby się sprzeciwić. Lepiej niech pan da szansę innej. Wychodzę.

Zrobiła krok w stronę drzwi. Tylko jeden. On stał bez ruchu na progu. Jeśli zechce wyjść, będzie musiała przejść po nim.

- Co jest złego w tym domu? - znów okazał się na tyle słaby, by zapytać. - Nigdy do tej pory nie słyszałem żadnej krytycznej uwagi na jego temat.

Ale, prawdę mówiąc, miała rację. Poczuł to, jak tylko wszedł z nią za próg. Zupełnie, jakby znalazł się w nieznanym miejscu i zobaczył je po raz pierwszy. Ten dom po prostu nie pasował do Jane.

- Przychodzą mi do głowy dwa słowa, którymi można go określić - powiedziała. - Prawdopodobnie znalazłabym znacznie więcej, gdybym miała dość czasu. Ale te, które nasunęły mi się od razu, to „wulgarny” i „pretensjonalny”. A obu tych cech nie toleruję.

Zacisnął usta. Istotnie, te dwa słowa idealnie opisywały dom. Oczywiście zaprojektował salon tak, by odpowiadał gustom kobiet, nie jego własnemu. Albo temu, co wyobrażał sobie, że jest w guście kobiet. Effie zawsze czuła się tu bardzo dobrze. Podobnie Lisa, i Marie, i Bridget. A sypialnia? Cóż, w blasku świec koloryt pokoju przyczyniał się do wzrostu pożądania. Dominujące czerwienie wspaniale kontrastowały z barwą obnażonego ciała kobiecego.

- To jeden z moich pierwszych warunków - oznajmiła. - Ten pokój i salon mają być urządzone zgodnie z moimi poleceniami. Ten punkt nie podlega dyskusji.

- Jeden z warunków? - Uniósł brwi. - Proszę mi powiedzieć, Jane, czy będzie mi wolno umieścić kilka własnych warunków w tym naszym wspólnym kontrakcie? Czy też mam być pani niewolnikiem? Chciałbym to wiedzieć. Prawdę mówiąc, perspektywa zostania niewolnikiem trochę mnie pociąga. Czy przewiduje pani łańcuchy i pejcze? - Uśmiechnął się.

Nie odpowiedziała uśmiechem.

- Kontrakt to dwustronna umowa. Wiem, że przy pewnych sprawach będzie się pan upierał. Jak nieograniczony dostęp do mojego... do moich...

- Wdzięków? - podpowiedział, kiedy się zająknęła.

- Tak. - Energicznie kiwnęła głową.

- Nieograniczony dostęp. - Przyglądał jej się bacznie i z zadowoleniem stwierdził, że rumieńce na jej policzkach nie mają nic wspólnego z czerwienią pokoju. - Nawet, jeśli nie będzie miała pani ochoty? Nawet, kiedy będzie pani cierpiała na ból głowy albo inną kobiecą przypadłość? Zgodzi się pani na piśmie być męczennicą, nawet jeśli się okaże, że moje apetyty są nienasycone?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Przypuszczam, że to byłoby zrozumiałe żądanie z pańskiej

strony, wasza książęca mość - powiedziała. - Ostatecznie do tego służą utrzymanki.

- Bzdura! Jeśli z takim nastawieniem podchodzi pani do naszego związku, Jane, to uprzejmie dziękuję. Nie chcę mieć niewolnicy, która będzie mi powolna zawsze, gdy nie będę mógł zapanować nad swym popędem. W tym celu mogę skorzystać z usług jednego z licznych burdeli. Chcę kogoś, przy kim mógłbym odpocząć. Kogoś, z kim mogę zaznać największej rozkoszy. Kogoś, komu też mogę sprawić przyjemność.

Zarumieniła się jeszcze bardziej, ale nadal stała wyprostowana, z zadartą brodą.

- A jeśli przyjdzie tu pan przez dziesięć dni z rzędu i za każdym razem powiem „nie”?

- Wtedy uznam, że do niczego się nie nadaję. Prawdopodobnie wrócę do domu i strzelę sobie w łeb.

Nagle się roześmiała. Wyglądała tak ślicznie ze swymi złotymi włosami pośród tych czerwieni, że aż zaparło mu dech.

- To absurdalne!

- Jeśli przez dziesięć dni z rzędu mężczyzna nie potrafi nakłonić kochanki, by poszła z nim do sypialni - powiedział potulnie - to równie dobrze może umrzeć, Jane. Po co ma dłużej żyć, jeśli straci swój męski powab?

Przechyliła głowę na bok i przyjrzała mu się bacznie.

- Żartuje pan ze mnie. Ale jest pan też na poły poważny. Bycie mężczyzną jest dla pana bardzo ważne, prawda?

- A bycie kobietą nie jest ważne dla pani?

Zastanowiła się nad odpowiedzią. Już wcześniej zauważył, że nie zawsze mówi to od razu, co jej przyjdzie do głowy.

- Dla mnie ważne jest bycie sobą. A ponieważ jestem kobietą to przypuszczam, że ważne jest dla mnie również bycie kobietą. Ale nie stworzyłam sobie w wyobraźni obrazu idealnej kobiety, tego, czego inni szukają we mnie, ponieważ jestem kobietą. Nie wzoruję niewolniczo mojego wyglądu ani zachowania na jakimś ideale. Przede wszystkim muszę być wierna sobie.

Nagle Jocelyna ogarnęło rozbawienie.

- Jeszcze nigdy nie stałem na progu tego pokoju - powiedział - daleko od kobiety i nie roztrząsałem z nią kwestii dotyczących natury płci. Wie pani, że do tej pory powinniśmy już wprowadzić w życie nasz zamiar ustanowienia szczególnych stosunków między nami. Powinniśmy leżeć wyczerpani, nadzy i wzajemnie zaspokojeni na tym łóżku.

Tym razem zaczerwieniła się aż po nasadę włosów.

- Spodziewał się pan, że gdy już tu przyjadę, ulegnę pańskiemu zniewalającemu urokowi i magii tego miejsca? - zapytała.

Właśnie tego się spodziewał - albo przynajmniej miał na to cichą nadzieję.

- Domyślam się - odparł z westchnieniem - że nie pozwoli mi się pani tknąć palcem, dopóki ten pokój nie będzie wyglądał jak klasztorna cela. Dalej więc, Jane. Proszę wydać odpowiednie polecenia Jacobsowi. Może pani zrobić z moim domem, co pani chce. Ja wywiążę się z tego, co należy do mnie, i będę płacił rachunki. Czy możemy teraz zejść na dół? Zapewne pani Jacobs już przygotowała podwieczorek i nie może się doczekać, kiedy panią zobaczy.

- Niech przyniesie podwieczorek do jadalni - powiedziała Jane, mijając go w progu, kiedy w końcu usunął się na bok.

- Gdzie będzie pani dzisiaj spała? - spytał, schodząc za nią. - Na stole w jadalni?

- Coś sobie znajdę. Nie musi sobie pan tym zaprzętać głowy, wasza książęca mość.

Godzinę później wyszedł, wspierając się na lasce boleśnie otartą ręką wcześniej odprawivszy ekwipaż. Chciał jak najszybciej wysłuchać relacji Marsha z wyprawy do stajni Ferdynanda. Być może okaże się niemożliwe udowodnienie, że któryś z braci Forbesów miał dostęp do karykla, ale wystarczy, jeśli nie da się wykluczyć ewentualności, że któryś z nich przyłożył rękę do uszkodzenia osi karykla jego brata.

Wtedy będą mieli do czynienia z księciem Tresham.

Ciekaw był, czy są już jakieś wieści o wyniku wyścigu, ale ze zdumieniem stwierdził, że martwi się jedynie o to, czy Ferdynand

bezpiecznie dotarł do Brighton.

Chyba nie powinien proponować Jane Ingleby, by została jego utrzymanką. W tym pomysle było coś okropnie niewłaściwego.

A jednak pragnął jej.

Dlaczego, do diabła, nie mogła tamtego ranka przejść cichutko przez Hyde Park? Tak zrobiłaby każda przyzwoita kobieta.

Gdyby jej nigdy nie zobaczył, nie miałby teraz dziwnego wrażenia, że albo on, albo jego świat stanął na głowie.

Tej nocy spała na kanapie w salonie. Kolory, falbanki i ozdóbki były w okropnie złym guście, ale nie był to tak wulgarny pokój, jak sypialnia.

Kiedy rozmawiali w niej po południu, ujrzała oczami duszy, jak leży spleciona z nim na łóżku wśród szkarłatnych jedwabii. Nie wiedziała, jak to jest, kiedy odczuwa się pełną żądzę, ale chyba musiało przypominać to, co wtedy poczuła. To, na co się zgodziła - albo zamierzała się zgodzić - stało się dla niej przeraźliwie realne.

Jak może zostać jego kochanką? - pytała samą siebie, siedząc na kanapie przed zaśnięciem. Przecież nie zdobędzie się na to, jeśli nie poczuje czegoś do niego jako mężczyzny. A czy czuła? Nie kochała go - byłby to całkowity brak rozwagi. Ale czy go lubiła? Czuła do niego jakieś przywiązanie? Szacunek?

Pomyślała o niekończących się utarczkach słownych - i

uśmiechnęła się. Był wyniosłym, irytującym tyranem, ale odniosła wrażenie, że lubił sposób, w jaki mu się sprzeciwiała. I szanował jej zdanie, nawet jeśli nigdy otwarcie się do tego nie przyznał. Wystarczającym tego dowodem było to, że dziś w nocy była tu sama, ich związek nie został skonsumowany. I jeszcze to godne podziwu poczucie honoru. Wolał przyjąć wyzwanie lorda Olivera, niż zarzucić kłamstwo lady Oliver.

Jane westchnęła. Tak, lubiła go. No i była jeszcze druga, bardziej artystyczna, bardziej wrażliwa strona jego natury, którą poznała owej nocy w pokoju muzycznym. I jego inteligencja. I poczucie humoru. Takie fascynujące cechy charakteru, które starannie ukrywał przed światem.

I ich wzajemne pożądanie, bo nie miała wątpliwości, że jest wzajemne. Gdyby była dla niego pierwszą lepszą z brzegu, ewentualną utrzymanką, odesłałby ją, gdy tylko wspomniała o umowie. Musi jednak pamiętać - zawsze, dopóki będzie trwał ich związek - że on czuje tylko namiętność. Pociąg płciowy. Nigdy nie wolno jej wziąć uczuć księcia Tresham za miłość.

Nie będzie łatwo być jego kochanką.

Jane spała na kanapie i śniła o Charlesie, swym najbliższym przyjacielu i adoratorze, jak o kimś z innego świata. Siedział z nią w Candleford w altance, porośniętej różami, i opowiadał jej o dziecku swej siostry i o tym, jak urządził pokój dziecienny w swym domu,

kiedy Jane, ukończywszy dwadzieścia pięć lat, będzie mogła poślubić tego, kogo zechce.

Obudziła się z mokrymi policzkami. Starła sienie myśleć o Charlesie, odkąd uciekła z domu. Aż nadto dobrze jej się to udało. Dlaczego nie przyszło jej do głowy, by pojechać do niego teraz, kiedy miała pieniądze na podróż? Czy wciąż był u swej siostry w Somersetshire? Czy wrócił do Kornwalii? Znalazłaby sposób, by dotrzeć do niego i nie zostać złapana. Z pewnością wiedziałby, co zrobić, jak ją chronić, jak ją ukryć w razie konieczności. A najważniejsze, że uwierzyłby w jej opowieść. Wiedział, jak bardzo nowemu hrabiemu Durbury zależało na tym, by poślubiła jego syna. Wiedział, jak nieobliczalny potrafi być Sidney, szczególnie kiedy sobie popije.

I nadal mogła to zrobić. Wczoraj, nim opuściła Dudley House, dostała pieniądze. Nie została jeszcze kochanką księcia. Może wyjechać, nim książę tu wróci, i uniknąć konieczności poświęcenia swej cnoty.

Sama myśl o byciu czyjąś kochanką kilka tygodni temu z pewnością wywołałaby u niej atak waporów Teraz zdumiewająco niechętnie myślała o uczciwym rozwiązaniu.

A wszystko przez to, że nie kochała Charlesa. W każdym razie nie tak, jak kobieta powinna kochać swego męża. Nie tak, jak mama kochała tatę. I zawsze o tym wiedziała, ale też zawsze chciała

pokochoć Charlesa, bo go lubiła, a on ją darzył miłością.

Gdyby teraz do niego pojechała, gdyby w jakiś sposób udało mu się wyrwać ją z matni, w której się znalazła, byłaby mu zobowiązana do końca życia. Kilka tygodni temu nie miałyby nic przeciwko temu. Wystarczyłyby przyjaźń i sympatia.

Teraz już nie.

Czy to znaczy, że woli być utrzymanką księcia niż żoną Charlesa?

Na to pytanie Jane nie potrafiła udzielić sobie zadowalającej odpowiedzi przed przybyciem księcia, nazajutrz późnym rankiem. Było to pytanie, na które odpowiedź poznała, kiedy usłyszała pukanie i otworzywszy drzwi salonu, zobaczyła go, jak wchodzi do środka i podaje kapelusz, rękawiczki i laskę panu Jacobsowi. Wniósł ze sobą energię, niecierpliwość i męskość - i Jane zrozumiała, że za nim tęskniła.

- Jane. - Podszedł do niej i razem poszli do salonu. - Ferdynand wygrał. Zaledwie o długość końskiego łba. Był o całą długość z tyłu, kiedy zbliżali się do ostatniego zakrętu, ale przyspieszył na wirażu i wziął Berriwethera przez zaskoczenie. Wpadli do Brighton niemal łeb w łeb. Ale Ferdynand wygrał i trzy czwarte członków klubu White'a pogrążyło się w żałobie.

- A więc nic mu się nie stało? Cieszę się. - Mogła mu powiedzieć, że takie wyścigi uważała za głupie, ale księżę był zadowolony, a ona naprawdę się cieszyła. Lord Ferdynand Dudley był przecież

sympatycznym, czarującym młodzieńcem.

- Nie. Nic mu się nie stało. - Nagle zmarszczył czoło. - Ale nie dobiera sobie mądrze służących. Ma pokojowca, który nie uwzględnia faktu, że mężczyzna czasem bez uprzedzenia odwraca głowę, kiedy jest golony. I stajennego, który na dzień przed wyścigiem wpuszcza do stajni i powozowni pół świata, aby wszyscy mogli podziwiać karykiel i konie jego pana. Nie sposób dowieść, kto dołożył tylu starań, by Ferdynand zginął podczas wyścigu.

- Ale podejrzewa pan sir Anthony'ego Forbesa albo jednego z jego braci? - spytała. Usiadła na kanapie, a on zajął miejsce obok niej.

- To coś więcej niż podejrzenie. - Rozejrzał się po pokoju. - To ich sposób postępowania. Ja zrobiłem coś ich siostrze, oni zrobią coś mojemu bratu. Oczywiście pożałują tego. Rozprawię się z nimi. Co pani zrobiła z tym pokojem?

Z ulgą przyjęła zmianę tematu rozmowy.

- Usunęłam parę rzeczy - powiedziała. - Wszystkie poduszki i niektóre bibeloty. Chcę przeprowadzić znaczne zmiany zarówno tutaj, jak i w sypialni. Nic ekstrawaganckiego, ale i tak pociągnie to za sobą znaczne koszty.

- Quincy zadba, żeby rachunki były regulowane - oświadczył książę, lekceważąco machnąwszy ręką. - Ale jak długo to potrwa, Jane? Odnoszę wrażenie, że nie wpuści mnie pani do sypialni, dopóki wszystko nie będzie urządzone zgodnie z pani gustem. Czy się mylę?

- Nie - odparła, mając nadzieję, że zabrzmiało to wystarczająco kategorycznie. - Kiedy już wydam polecenia, tydzień powinien wystarczyć. Rozmawiałam z panem Jacobsem. Mówi, że gdy tylko wymieni pana nazwisko, dostawcy będą stawać na głowie, by wszystko zrobić na czas.

Księżę nie odpowiedział. Widocznie to zjawisko nie było dla niego niespodzianką.

- W takim razie porozmawiajmy o umowie - zaproponował. - Poza carte blanche na kompletne zrujnowanie i przebudowę mojego domu, jakie są pani żądania, Jane? Zapłacę pani miesięczną pensję pięć razy wyższą od tej, jaką dostawała pani, będąc moją pielęgniarką. Będzie pani miała własny powóz i tyle służby, ile uzna pani za stosowne. Może pani stroić się tak wytwornie, jak tylko pani zechce, kupować wszelkie dodatki, a rachunki wysyłać bezpośrednio mnie. Nie poskąpię pani biżuterii, chociaż tę wolałbym kupować sam. Wezmę na siebie pełną odpowiedzialność za utrzymanie i przyszłość dzieci, będących owocem naszego związku. Czy coś pominąłem?

Nagle Jane zrobiło się zimno. Jej własna naiwność niemal ją zażenowała.

- Ile dzieci już pan ma? - Nie pomyślała o tym, że może zająć w ciążę.

Uniósł brwi.

- Zawsze można liczyć na panią Jane. Zadaje pani pytanie, jakiego

nigdy się nie zadaje - powiedział. - Nie mam dzieci. Większość kobiet, które w ten sposób zarabiają na życie, wiedzą, jak się zabezpieczyć przed niechcianą ciążą. Jest pani dziewicą prawda?

Wymagało od niej sporego hartu ducha, by wytrzymać jego spojrzenie. Żałowała, że nie może tak samo panować nad swymi rumieńcami.

- Tak. - Siedziała z zadartą brodą. - Jest jeden wydatek, którego może sobie pan oszczędzić. Nie potrzebuję powozu.

- Dlaczego? - Położył jedną rękę na oparciu kanapy i przysunął do ust dłoń, zaciśniętą w pięść. Nie odrywał od Jane ciemnych oczu. - Będzie pani musiała robić zakupy i wychodzić z domu, by się rozerwać. Byłoby niemądre liczyć na to, że będę pani zawsze towarzyszył. Zakupy mnie nudzą. Kiedy się tu pojawię, będę raczej pragnął pójść z panią do sypialni, niż zabrać panią na przejażdżkę.

- Służący mogą kupować jedzenie - powiedziała. - A jeśli nie podobają się panu moje stroje, może pan przysłać krawcową tutaj. Nie zamierzam opuszczać domu.

- A więc tak wstydzi się pani tego, co zamierza robić? Naprawdę uważa pani, że już nigdy nie będzie pani mogła pokazać światu swej twarzy?

Odpowiedziała na to pytanie wczoraj. Pomyślała jednak, że dobrze by było, gdyby jej uwierzył. Dziwne, ale nie była to prawda. Musi zarządzać interesami i zachować kontrolę możliwie najlepiej.

Przez jakiś czas się nie odzywał. W pokoju zaległa cisza, patrzył na nią w zamyśleniu, a ona nie odwracała wzroku, chociaż odczuwała skrępowanie.

- Istnieje inne wyjście - powiedział w końcu. - Przyniesie ono pani sławę, majątek i wielkie poważanie, Jane. Oszczędzi pani upokorzenia, związanego z dzieleniem łóża z rozpustnikiem.

- Nie uważam tego za upokarzające - oświadczyła.

- Nie? - Ujął ją wolną ręką pod brodę. Lekko przesunął palcem po jej ustach. - Nie obracam się w zamkniętym kręgu miłośników wysokiej kultury, ale przypuszczam, że moje słowo prawie wszędzie się liczy. Mogę panią przedstawić lordowi Heathow albo hrabiemu Raymore, dwóm największym mecenasom sztuki. Jestem głęboko przekonany, że gdyby któryś z nich usłyszał pani głos, droga do sławy stanęłaby przed panią otworem. Wspaniale pani śpiewa. I wtedy nie byłbym pani potrzebny.

Patrzyła na niego zaskoczona. Pragnął jej - co do tego nie miała wątpliwości. Ale był gotowy z niej zrezygnować? Nawet pomóc jej w uniezależnieniu się od niego? Zupełnie nieświadomie rozchyliła usta i dotknęła czubkiem języka jego palca.

Ich spojrzenia spotkały się. I nagle poczuła pożądanie. Nie zamierzała sprowokować takiej chwili. Przypuszczała, że on też nie.

- Nie interesuje mnie kariera śpiewaczki - powiedziała.

Była to prawda, nie powinna igrać z niebezpieczeństwem, znów

pokazując się publicznie. Nie chciała zarabiać na życie śpiewem. Chciała nim sprawiać przyjemność ludziom bliskim. Nie pragnęła sławy.

Pochylił się i pocałował ją mocno.

- Ale chce pani zostać moją kochanką? - spytał. - Na ustalonych przez panią warunkach? Jakie one są? Czego pani żąda poza tym, co już zaproponowałem?

- Bezpieczeństwa - odpowiedziała. - Chcę, by płacił mi pan pensję do dnia moich dwudziestych piątych urodzin, nawet jeśli wcześniej przestanę być pana utrzymanką Oczywiście pod warunkiem, że to nie ja ze-rwę umowę. À propos, mam teraz dwadzieścia lat.

- Czyli przez pięć lat - stwierdził. - A jak się będzie pani utrzymywała później, Jane?

Nie wiedziała. Powinna odziedziczyć to wszystko z majątku ojca, co nie wchodziło w skład ordynacji, ale może już nigdy nie będzie mogła rościć praw do spadku. Nie przestanie być wyjętą spod prawa, kiedy osiągnie magiczny wiek dwudziestu pięciu lat.

Pokręciła głową.

- Może nigdy się panią nie znudzę, Jane.

- Nonsens! Naturalnie, że się pan znudzi. I to na długo, nim minie cztery i pół roku. Dlatego muszę zadbać o swoją przyszłość.

Uśmiechnął się do niej. Nie robił tego zbyt często, ale dla spokoju jej umysłu aż nazbyt często. Ciekawa była, czy zdawał sobie sprawę z

uroku swego uśmiechu.

- A więc dobrze - zgodził się. - Zapiszemy to w umowie. Pensja do dnia pani dwudziestych piątych urodzin, chyba że zechcę zatrzymać panią dłużej. Jeszcze coś?

Pokręciła głową.

- A jakie są pańskie warunki? - spytała go. - Ustaliliśmy, co pan zrobi dla mnie. Co ja mam zrobić dla pana?

Wzruszył ramionami.

- Czekać tu na mnie - powiedział. - Obcować ze mną cieleśnie zawsze, kiedy uda mi się nakłonić panią, by pragnęła pani tego tak samo, jak ja. To wszystko, Jane. Wie pani, że nie istnieją żadne przepisy, regulujące stosunki między mężczyzną a jego kochanką. Nawet nie będę próbował nalegać, żeby była mi pani posłuszna i podporządkowała się mojej woli. Nie zdołałaby pani dotrzymać takiej obietnicy, nawet gdyby udało mi się panią nakłonić do jej złożenia. I może mnie pani uznać za skończonego głupca, że otwarcie się do tego przyznaję, ale podejrzewam, że właśnie pani zuchwałość tak mnie pociąga. Czy mam kazać Quincy'emu sporządzić umowę i przynieść ją tutaj do przestudiowania? Wyobrażam sobie, że to polecenie wielce go ubawi. Nie przyniosę umowy sam, Jane. Nie przyjdę tu, dopóki pani po mnie nie przyśle. Kiedy otrzymam od pani wiadomość, uznam, że sypialnia na górze jest gotowa do wykorzystania.

- Znakomicie, wasza książęca mość - powiedziała, kiedy wstał. Również wstała. Tydzień wydał jej się całą wiecznością.

Ujął jej twarz w obie ręce.

- To też będzie się musiało zmienić, Jane. Nie mogę pozwolić, żeby mówiła pani do mnie „wasza książęca mość”, kiedy będziemy w łóżku. Mam na imię Jocelyn.

Nie знаła tego imienia. Nikt nigdy w jej obecności nie zwracał się tak do niego.

- Jocelyn - powiedziała cicho.

Jego ciemne oczy zazwyczaj były twarde i nieprzeniknione. Nie można było w nich ujrzeć więcej, niż gotów był ujawnić - a podejrzewała, że ujawniał bardzo mało. Ale przez chwilę, kiedy wymówiła imię księcia, Jane odniosła wrażenie, że coś zmieniło się w jego spojrzeniu i utonęła w jego oczach.

Tylko przez chwilę.

Opuścił ręce i odwrócił się w stronę drzwi.

- Jeden tydzień - powtórzył. - Jeśli do tej pory nie zostanie ukończony remont, Jane, spadnie kilka głów. Ostrzeże pani wszystkich zatrudnionych rzemieślników?

- Tak, wasza książęca mość - odparła. - Jocelynie.

Spojrzał na nią przez ramię i otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Ale rozmyślił się i bez słowa wyszedł z pokoju.

Rozdział 13

Wielu znajomych Micka Bodena zazdrościło mu pracy. Detektywi z Bow Street cieszyli się szacunkiem. Powszechnie uważano, że Mick przez cały dzień ugania się za wszystkimi londyńskimi i połową angielskich przestępców, a potem odstawia ich do najbliższego sędziego pokoju, gdzie zostaje im wymierzona zasłużona kara za ich haniebne czyny. Uważano jego życie za jeden niekończący się ciąg sukcesów i niebezpiecznych przygód.

W rzeczywistości praca Micka była rutynowa i dość nudna. Czasami się zastanawiał, dlaczego nie został dokerem albo zamiataczem ulic. Teraz też naszły go takie myśli. Lady Sara Illingsworth, kobieta zaledwie dwudziestoletnia, która dorastała na wsi i przypuszczalnie nie znała miasta, nadal była nieuchwytna. W ciągu niemal miesiąca poszukiwań nie trafił na jej ślad, nie licząc tych, które zostawiła podczas kilku pierwszych dni pobytu w Londynie.

Hrabia Durbury upierał się, że dziewczyna jest w stolicy. Utrzymywał, że nie miała dokąd pójść, ponieważ nie ma przyjaciół ani krewnych poza dawną sąsiadką, obecnie mieszkającą razem z mężem w hrabstwie Somerset. Ale tam jej nie było.

Mickowi coś mówiło, że hrabia ma rację. Musiała być gdzieś tu. Ale nie pojawiła się ponownie w domu lady Webb, chociaż baronowa

wróciła do miasta. Nie skontaktowała się ani z plenipotentem swego zmarłego ojca, ani obecnego hrabiego. Jeśli szastała pieniędzmi, nie wydawała ich w żadnym z eleganckich sklepów. Jeśli próbowała sprzedawać albo zastawić skradzioną biżuterię, nie zrobiła tego w żadnym z punktów, które Mick znał - a szczyił się tym, że zna wszystkie. Jeśli próbowała wynająć przyzwoite pokoje w porządnej części miasta, nie trafiła do żadnego z pensjonatów, do których niestrudzenie pukał on i jego pomocnicy. Nie szukała zatrudnienia w żadnym z domów, gdzie o nią pytał - a wypytywał o nią wszędzie poza najokazalszymi rezydencjami w Mayfair. Doszedł do wniosku, że nie była na tyle lekkomyślna, by zgłosić się do któregoś z nich. W żadnym biurze pośrednictwa pracy nie znano nikogo, kto posługiwałby się jednym z nazwisk, jakimi według Micka mogła się posługiwać. Nikt nie pamiętał wysokiej, szczupłej, jasnowłosej, urodziwej panny.

A zatem znów nie miał nic do przekazania hrabiemu Durbury To było przygnębiające. Wystarczająco przygnębiające, by zacząć się poważnie zastanawiać nad zmianą pracy. Albo zaciąć się w ślepym uporze i nie pozwolić, by jakaś prosta dziewczyna zagrała mu na nosie.

- Nie zatrudniła się nigdzie - powiedział z przekonaniem zirytowanemu i czerwonemu na twarzy hrabiemu, niewątpliwie myślącemu o pokaźnym rachunku, jaki musiał zapłacić za miesiąc

pobytu w hotelu Pulteney - Nie szukałaby pracy jako guwernantka czy dama do towarzystwa, bo groziłoby jej zdemaskowanie. Z tego samego powodu nie zatrudniłaby się jako ekspedientka w sklepie. Musiałaby poszukać sobie takiego zajęcia, gdzie nikt by jej nie widział. W jakiejś pracowni. Może u krawcowej albo modystki.

Jeżeli w ogóle pracowała. Hrabia nigdy mu nie powiedział, ile dokładnie pieniędzy ukradła. Mick zaczął podejrzewać, że nie mogła to być duża kwota. W każdym razie nie taka, by mogła żyć na odpowiedniej stopie. Z całą pewnością młoda, niedoświadczona dziewczyna popełniłaby jakiś błąd, gdyby dysponowała ogromnym majątkiem, który kusiłby ją do nierozsądnych posunięć.

- W takim razie na co czekacie? - spytał chłodno hrabia. - Dlaczego nie przeszukujecie wszystkich pracowni w Londynie? Czyżby znakomici detektywi z Bow Street dali się przechytryć młodej niedoświadczonej dziewczynie? - Jego głos aż ociekał sarkazmem.

- Czy szukam zabójczynie? - spytał Mick Boden. - Jak się czuje pański syn?

- Mój syn leży na łożu śmierci - powiedział poirytowany hrabia. - Szuka pan morderczynie. Radzę, by ją pan odnalazł, nim znów kogoś zamorduje.

I Mick rozpoczął poszukiwania od nowa. W Londynie było mnóstwo pracowni. Żałował, że nie wie, jakim nazwiskiem posługuje

się dziewczyna. I miał nadzieję, że nie ukryła swych jasnych włosów, którymi tak się wyróżniała.

To był długi tydzień. Jocelyn nocami spędzał zbyt dużo czasu na picciu i grze w karty, a za dnia na próbach odzyskania formy. Wiele godzin dziennie doskonalił swoje umiejętności władania szpadą i ćwiczył wytrzymałość na ringu bokserskim w klubie Jacksona. Noga przestała mu dokuczać.

Ferdynand był wściekły, gdy się dowiedział, co się stało z jego kary-klem. Miał zamiar odnaleźć braci Forbesów, którzy nazajutrz po wyścigu jakby zapadli się pod ziemię. Chciał wszystkich po kolei wyzwać na pojedynki. Początkowo nie zgadzał się, że to sprawa jego brata. Ostatecznie to jego życie zostało zagrożone. Ale Jocelyn był nieugięty.

Angelina dostała ataku waporów na wieść o złamanej osi w karyklu, kazała wezwać Heywarda z Izby Lordów, a potem, by uspokoić nadwreżone nerwy, kupiła nowy kapelusz.

- Ciekaw jestem, czy na straganach w Covent Garden zostały jakieś owoce, Angelino - zauważył Jocelyn, przyglądając się jej z bolesciwą miną przez monokl. Tego dnia jechał przez Hyde Park i natknął się na nią jak jechała powozem ze swoją teściową. - Podejrzewam, że wszystkie zużyto na ozdobienie tego brzydactwa, które masz na głowie.

- To ostatni krzyk mody - odparła, krygując się - bez względu na

to, co o tym sądzisz, Tresham. Musisz mi tylko obiecać, że nigdy więcej nie wsiądziesz do karykła. Ty i Ferdie. Zabijecie się, a ja nigdy nie odzyskam spokoju ducha. Ale Heyward powiedział, że to nie był wypadek. Przypuszczam, że to sprawka jednego z braci Forbesów. Jeśli nie ustalisz którego i nie wyzwiesz go na pojedynek, będę się wstydziła, że noszę nazwisko Dudley.

- Przecież nie nosisz tego nazwiska. Po ślubie przyjęłaś nazwisko męża, Angelino - przypomniał jej oschle, ukłonił się starszej pani Heyward i oddalił na koniu.

Nie spieszyło mu się tak, jak jego bratu i siostrze, by odszukać braci Forbesów i przykładowie ukarać. Przyjdzie na to czas. Z pewnością wiedzieli o tym równie dobrze, jak on. Niech na razie siedzą w ukryciu i wyobrażają sobie, co ich czeka, kiedy w końcu znajdą się z nim twarzą w twarz. Niech się trochę podenerwują.

Kilka osób pytało go o Jane Ingleby Jej występ wywołał większe poruszenie, niż się tego spodziewał. Pytano go, kim jest Jane, czy nadal pracuje w Dudley House, czy będzie gdzieś śpiewała, kto był jej nauczycielem śpiewu. Wicehrabia Kimble otwarcie zapytał go pewnego wieczoru, czy Jane jest jego utrzymanką Księżę tylko spojrzał na niego zimno przez monokl.

Dziwne. Do tej pory nie ukrywał swych kochanek. Prawdę mówiąc, często w swoim drugim domu wydawał obiady i przyjęcia, kiedy chciał, żeby nie wypadały tak oficjalnie jak te, które odbywały

się w Dudley House. Jego utrzymanki zawsze czyniły wtedy honory domu - Jane wspaniale nadawałaby się do tej roli.

Ale nie chciał, żeby jego przyjaciele wiedzieli, gdzie zamieszkała. Wydawało mu się to nieuczciwe wobec niej, chociaż nie umiałyby wytłumaczyć dlaczego. Powiedział im, że pracowała u niego przez krótki czas. Teraz opuściła jego dom i nie wie, gdzie obecnie przebywa.

- Wielka szkoda, Tresham - stwierdził Conan Brougham. - Na ten głos należałoby zwrócić uwagę Raymore'owi. Mogłaby dzięki niemu zarobić na przyzwoite życie.

- Sam zaproponowałbym jej pracę, Tresh - oznajmił Kimble. - Ale w sypialni, nie w salonie. Bałem się jednak, że trzymasz ją dla siebie. Jeśli przypadkiem obije ci się o uszy, gdzie przebywa, bądź tak łaskaw i daj mi znać.

Jocelyn, ogarnięty dziwną irytacją na jednego ze swych najbliższych przyjaciół, zmienił temat.

Tego wieczoru wrócił do domu sam, nie bacząc na niebezpieczeństwo napadu włóczęgów. Zresztą nigdy się ich nie bał. Nosił grubą laskę i potrafił się posługiwać pięściami. Często myślał sobie, że chętnie wdał-by się w bijatykę z dwoma czy trzema tymi łotrami. Być może każdy rzezimieszek, który kiedykolwiek go zobaczył, miał dość oleju w głowie, by właściwie ocenić swoje szanse w starciu z księciem. W każdym razie Jocelyn nigdy nie został

przez nich zaatakowany.

Rozmowa o Jane Ingleby sprawiła, że nie potrafił sobie znaleźć miejsca. Minęło pięć dni, a jemu wydawało się, że to pięć tygodni. Nazajutrz po ich rozmowie Quincy osobiście zaniósł jej tę głupią umowę. Ku zdumieniu Jocelyna, Jane podpisała ją. Spodziewał się, że z czystej przekory przyczepi się do jakichś drobiazgów.

Tak więc oficjalnie została jego utrzymanką.

Utrzymanką z którą jeszcze nigdy nie dzielił łoża. Wszyscy znajomi szydziłoby sobie z niego, gdyby się dowiedzieli, że ma kochankę, która zabroniła mu wstępu do własnego domu, nalegała na sporządzenie pisemnej umowy i nie dopuściła do skonsumowania ich związku przez cały tydzień, odkąd wystąpił z propozycją.

Nagle roześmiał się na głos, przystanąwszy na środku pustej, cichej ulicy. Zdziorna Jane. Nawet kiedy znajdzie się z nim w łóżku, niewątpliwie nie będzie grała roli nieśmiałej, skromnej dziewczicy.

Niewinna, naiwna Jane, która nie zdawała sobie sprawy z tego, jaka jest inteligentna. Tydzień temu pożądał jej. Pięć dni temu pragnął jej. Teraz wprost płonął. Trudno mu było na czymkolwiek się skupić. Już nie mógł się doczekać, kiedy omota go pajęczyną złotych włosów.

Musiał zaczekać jeszcze dwa dni, zanim w końcu nadszedł liścik od niej. Był lapidarny i rzeczowy, co było dla niej tak charakterystyczne.

Prace w domu zostały ukończone - napisała. - Może pan przyjść w dogodnym dla siebie czasie.

Zimne, pozbawione miłości słowa, które go rozpały do białości.

Jane krążyła po salonie. Wysłała liścik do Dudley House zaraz po śniadaniu, ale wiedziała, że księżę często wychodził z domu wcześniej i wracał dopiero późnym wieczorem. Może przeczyta jej wiadomość dopiero jutro. Może nie pojawi się jeszcze przez dzień czy dwa.

Ale przemierzała salon tam i z powrotem. I na próżno starała się nie wyglądać przez okna frontowe częściej niż raz na dziesięć minut.

Miała na sobie nową suknię z delikatnego, jasnozielonego muślinu, o prostym kroju, wysokim stanie, skromnym dekolcie, z krótkimi, bufiastymi rękawkami. Ale uszyto ją tak, że podkreślała powab jej piersi i spływała miękko do kostek. Jej uszycie kosztowało bardzo drogo. Jane, przyzwyczajona do tego, ile sobie liczyły wiejskie krawcowe, była wręcz oszołomiona. Nie odesłała jednak krawcowej i jej dwóch pomocnic z Bond Street. Przysłał je księżę i dał im szczegółowe instrukcje, co i w jakiej ilości mają uszyć.

Sama wybierała materiały i wzory, przedkładając pastelowe kolory nad ostre i prostotę kroju nad wymyślność. Nie oponowała jednak, jeśli chodzi o liczbę strojów ani o koszty, nalegając jedynie kategorycznie, żeby uszyto tylko jedną suknię spacerową i jedną do przejażdżek powozem. Nie zamierzała w najbliższym czasie wybierać

się na przechadzki ani przejażdżki.

Nie dałby jej carte blanche, jeśli chodzi o remont domu, gdyby nie zamierzał tu wrócić, myślała, wczesnym popołudniem co chwila wyglądając przez okno. Nie przysłałby krawcowej ani umowy. Prawdę mówiąc, umowę dostała dwa razy: najpierw dwa egzemplarze, żeby się z nimi zapoznała, podpisała i odesłała, a potem tylko jeden egzemplarz z jego zamaszystym podpisem - Tresham - poniżej jej podpisu. Pan Jacobs uwierzył jej podpis, pan Quincy - jego.

Ale nie była do końca pewna, czy księżę się zjawi. Ten tydzień ciągnął się w nieskończoność. Niewątpliwie do tej pory już o niej zapomniał. Niewątpliwie ma już inną.

Nie rozumiała - i nie próbowała zrozumieć - własnego niepokoju.

Ale cały niepokój zniknął nagle i zastąpiła go radość, kiedy zobaczyła jego znajomą sylwetkę. Szedł ulicą w stronę domu. Zauważyła, że już nie kuleje, nim się odwróciła od okna i podbiegła do drzwi salonu, żeby je otworzyć. Siłą powstrzymała się przed otwarciem drzwi frontowych. Stała na progu salonu, czekając niecierpliwie na jego pukanie, aż pan Jacobs wpuści go do domu.

Zapomniała, jaki jest barczysty, jaki z pozoru nieprzystępny, jak rozpiera go energia, ile w nim męskości. Jak zwykle ściągnął brwi, podając kamerdynerowi kapelusz i rękawiczki. Dopiero wtedy skierował się do salonu i w końcu na nią spojrział.

Patrzył nie tylko na jej suknię, twarz i włosy, ale na wszystko, co było nią. Jego oczy płonęły dziwnym, mocnym blaskiem, którego wcześniej w nich nie widziała.

Czy to oczy mężczyzny, który przyszedł posiąść swoją kochankę?

- Cóż, Jane, w końcu przestała się pani bawić w dom? - spytał.

Czy spodziewała się pocałunku w rękę? W usta? Czułych słów?

- Trzeba było dużo zrobić, żeby sprawić, by ten dom nadawał się do mieszkania, a przestał przypominać dom publiczny - odparła chłodno.

- I udało się to pani? - Wszedł do salonu i rozejrzał się wkoło. Stanął w lekkim rozkroku, ręce założył do tyłu. Wydawało się, że wypełnia sobą cały pokój.

- Hmm - mruknął. - A więc nie kazała pani wyburzyć ścian?

- Nie. Dużo zachowałam. Staralam się nie być niepotrzebnie ekstrawagancka.

- Gdyby tak było, przykro byłoby patrzeć na Quincy'ego. Przez kilka ostatnich dni był dziwnie blady. Domyślam się, że przychodziły rachunki.

- To przynajmniej częściowo pana wina. Nie potrzebuję tylu strojów i dodatków. Ale krawcowa, którą pan przysłał, była niewzruszona i nie śmiała się sprzeciwić pańskim poleceniom.

- Niektóre kobiety, jak pani widzi, znają swoje miejsce - zauważył. - Wiedzą co to znaczy posłuszeństwo i uległość.

- I przy okazji wiedzą jak zarabiać wielkie pieniądze - dodała. - Jak pan widzi, zachowałam tu kolor lawendowy, chociaż nie wybrałabym go, gdybym urządziła salon od nowa. W połączeniu z szarym i srebrnym zamiast różowego i bez tych wszystkich falbanek i głupich ozdóbek wygląda dość elegancko. Podoba mi się. Z przyjemnością tu przebywam.

- Naprawdę, Jane? - Odwrócił głowę i znów spojrzał na nią wzrokiem, który ją parzył. - Czy udało się pani osiągnąć równie dobry efekt w sypialni? Czy zastanę tam dwa twarde, wąskie łóżka, a na każdym z nich włosienicę?

- Jeśli uważa pan kolor szkarłatny za niezbędny, by się podniecić - powiedziała, starając się nie zwracać uwagi na bicie serca i mając nadzieję, że nie zdradza jej ton głosu - to zapewne nie przypadną panu do gustu moje zmiany. Ale mnie się podoba, a to najważniejsze. To ja będę tam spała każdej nocy.

- Czyżby mnie było to zabronione? - Uniósł brwi.

Znów te głupie rumieńce. Zdradzały co czuje, a nie potrafiła nad nimi zapanować. Czuła, jak ją palą policzki.

- Nie - odparła. - Zgodziłam się, i to na piśmie, że będzie pan mógł tu przychodzić zawsze, kiedy pan tylko zechce. Ale przypuszczam, że nie zamierza pan zamieszkać tu na stałe, tak jak ja. Będzie pan przychodził tylko wtedy, kiedy... Wtedy, kiedy... - Wyglądało, że zapomniała, jak się mówi po angielsku.

- Będę chciał z panią obcować cielesnie? - podpowiedział.

- Tak. - Kiwnęła głową. - Właśnie wtedy.

- Nie wolno mi tu przychodzić, kiedy nie będę miał na to ochoty?

- Z ponurą miną przez kilka chwil przyglądał się jej w milczeniu. - Czy tak jest napisane w umowie? Że mogę tu przychodzić tylko wtedy, kiedy chcę z panią obcować cielesnie, Jane? Nie na podwieczorek? Ani na rozmowę? Albo zwyczajnie, żeby się przespać?

To już przypominało prawdziwe małżeństwo. Była to zbyt kusząca perspektywa.

- Czy chce pan obejrzyć sypialnię? - spytała.

Przyglądał się jej jeszcze przez chwilę, nim się uśmiechnął. Był to nieznaczny uśmiech, lekkie uniesienie kącików ust. Towarzyszyło mu pojawianie się iskerek w oczach, na których widok Jane nogi robiły się jak z waty.

- Żeby obejrzyć nowe meble? - spytał. - Czy też posiąść cię, Jane?

Wprawiał ją w zakłopotanie tymi słowami. Ale wszelkie eufemizmy i tak oznaczałyby to samo.

- Jestem pańską utrzymanką - powiedziała.

- Owszem. - Podeszedł do niej bliżej, wciąż trzymając ręce z tyłu. Nachylił się nad nią i zajrzał jej w oczy. - Nie widzę ani śladu męczeństwa. A więc jest pani gotowa?

- Tak. - Bała się również, że za chwilę osunie się na podłogę, ale

nie miało to nic wspólnego z brakiem gotowości, tylko kolana się pod nią uginały.

Wyprostował się i podał jej ramię. - No to chodźmy - powiedział.

Nie zmieniła mebli, tylko kolory. Ale gdyby ktoś zawiązał mu oczy i przyprowadził tu, niemal by się nie zorientował, że to ten sam pokój. Wszystko było utrzymane w barwach szarej zieleni, jasnej żółci i złota. Była to sama kwintesencja elegancji.

Jeśli było coś, czego Jane Ingleby nie brakowało, to dobry smak i wycucie kolorów i wzorów. Jeszcze jedna umiejętność, nabyta w sierocińcu? Czy też na probostwie, w wiejskim dworze czy też gdziekolwiek dorastała?

Ale nie przyszedł tu podziwiać urządzenia pokoju.

- No i jak? - Oczy jej błyszczały, policzki miała zaróżowione. - Co pan o tym myśli?

- Myślę, Jane, że w końcu zobaczę panią z rozpuszczonymi włosami - powiedział, zmrużywszy oczy. - Wyjmij szpilki.

Nie była uczesana tak skromnie, jak zazwyczaj. Miała na głowie fale i loki, które pasowały do jej ślicznej, eleganckiej sukni. Ale chciał zobaczyć rozpuszczone włosy.

Zręcznie wypięła szpilki i potrząsnęła głową.

Włosy sięgały jej poniżej pasa, tak jak mówiła. Rzeka czystego, lśniącego, lejącego się złota. Już wcześniej dostrzegł jej urodę. Nawet w okropnej, szarej sukni i szkaradnym czepku na głowie była piękna.

Ale teraz...

Po prostu zabrakło mu słów. Założył ręce z tyłu. Za długo czekał, by teraz wszystko popsuć nadmiernym pośpiechem.

- Jocelynie. - Przechyliła głowę na bok i spojrzała na niego bardzo niebieskimi oczami. - Jestem na nieznanym sobie terenie. Będziesz musiał mnie prowadzić.

Kiwnął głową zastanawiając się nad falą... nie, nie pożądania. Tęsknoty? Tego rodzaju pierwotnego, pochodzącego z głębi duszy pragnienia, które bardzo rzadko go ogarniało i które zdecydowanie tłumił. Kojarzył je z muzyką i malarstwem. Ale teraz obudziło je jego imię, wypowiedziane na głos.

- Jocelyn to imię, które od pokoleń nadawane jest chłopcom w naszej rodzinie - wyjaśnił. - Otrzymałem je, kiedy jeszcze byłem w łonie matki. Nie przypominam sobie, by ktokolwiek zwracał się do mnie w ten sposób.

Jej oczy zrobiły się okrągłe.

- A matka? - spytała. - Ojciec? Rodzeństwo? Z pewnością...

- Nie. - Zdjął obcisły frak i rozpiął guziki kamizelki. - Urodziłem się jako dziedzic swego obecnego tytułu. Urodziłem się z tytułem hrabiego, Jane. Cała moja rodzina tak się do mnie zwracała, póki w wieku siedemnastu lat nie zostałem księciem Tresham. Jesteś pierwszą osobą, która mówi do mnie po imieniu.

Sam to zaproponował. Nigdy nie prosił o to swych dawnych

kochanek. Tytułowały go księciem, jak wszyscy. Przypomnił sobie teraz, jaki był poruszony, kiedy tydzień temu Jane wymówiła jego imię. Nie spodziewał się, że stworzy to takie poczucie... bliskości. Nie uświadamiał sobie, jak tęsknił za taką bliskością. Za czymś tak zwyczajnym, jak to, żeby ktoś mówił do niego po imieniu.

Zrzucił kamizelkę i rozwiązał chustkę pod szyją. Jane przyglądała mu się ze splecionymi dłońmi, w płaszczu złotych włosów.

- Jocelynie, każdy powinien wiedzieć, jakie to uczucie, kiedy inni zwracają się do niego po imieniu - powiedziała cicho. - Po imieniu, nadanemu jedynej w swoim rodzaju istocie, jaką jesteśmy w głębi serca. Chcesz, żebym też się rozebrała?

- Jeszcze nie. - Ściągnął koszulę przez głowę i zzuł buty z cholewami. Na razie nie zdjął spodni.

- Jesteś bardzo piękny - powiedziała, patrząc na jego obnażony tors. Zaskoczyła go tym. Można było liczyć na Jane, że zrobi taką uwagę! - Chyba cię nie obraziłam, używając tego słowa. Zapewne nie jest wystarczająco męskie. Ale nie jesteś przystojny. Jesteś za bardzo kanciasty i zbyt chmurny. Jesteś tylko piękny.

Doświadczonej kurtyzanie nie udałooby się bardziej go podniecić, nawet gdyby użyła najbardziej rozwiązłych słów.

- Co ja teraz mogę mówić o tobie? - spytał. Podeszedł do niej i w końcu jej dotknął. Ujął jej twarz w obie ręce i wsunął palce w ciepły jedwab włosów. - Nie jesteś piękna, Jane. Musisz o tym wiedzieć.

Piękno jest efemeryczne. Mija z czasem. Ty będziesz śliczna i w wieku trzydziestu lat, i pięćdziesięciu, i osiemdziesięciu. W wieku dwudziestu lat jesteś olśniewająca, zapierasz dech w piersiach. I jesteś moja. - Pochylił głowę i zbliżył rozchylone usta do jej warg. Przesunął po nich językiem, a potem odsunął się nieco.

- Tak, Jocelynie. - Zagryzła usta. - Teraz jestem twoja. Zgodnie z naszą umową.

- Do diabła z umową. - Roześmiał się cicho. - Chcę, Jane, żebyś mnie pragnęła. Powiedz, że nie chodzi ci tylko o pieniądze, ani o dom, ani o zobowiązanie, jakie nałożył na ciebie ten przeklęty świstek papieru. Powiedz, że mnie chcesz. Mnie, Jocelyna. Albo powiedz mi szczerze, że nie chcesz, a odejdę, żebyś mogła w spokoju cieszyć się domem i pensją przez następne pięć lat. Nie chcę z tobą dzielić łóża, jeśli mnie nie pragniesz.

Nigdy wcześniej mu na tym nie zależało. Wiedział, że nie jest mężczyzną budzącym niechęć u kobiet, które zarabiają na życie swoim ciałem. I zawsze było dla niego kwestią dumy sprawiać przyjemność, gdy sam jej doznawał. Ale nigdy nie przykładął wagi do tego, czy kobieta pragnie jego samego, czy tylko bogatego, rozpustnego arystokraty, cieszącego się opinią człowieka niebezpiecznego. Prawdę mówiąc, gdyby się nad tym zastanawiał, prawdopodobnie stwierdziłby, że nie chce być na tyle blisko z żadną kobietą. Nigdy wcześniej nie był dla nikogo Jocelynem. Ani dla

własnej rodziny, ani dla żadnej kobiety Nawet dla swych najbliższych przyjaciół. Wolałby się raczej odwrócić, wyjść i nigdy tu nie wrócić, niż pozwolić, by Jane leżała z nim w łóżku tylko dlatego, że czuła się do tego zobowiązana. Świadomość tego wzbudziła w nim lekki niepokój.

- Ale ja ciebie pragnę - szepnęła.

Nie ulegało wątpliwości, że mówiła szczerze. Patrzyła mu prosto w oczy. I to była prawda. A potem pochyliła się i lekko przywarła do niego całym ciałem. Wtuliła głowę w jego ramię. Był to gest całkowitej uległości.

Tym rozkoszniejszy, że tak nietypowy dla Jane. Znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie zrobiłaby tego tylko dlatego, że oczekiwano od niej poddania. Poczuł się dziwnie wyróżniony, tak, jak jeszcze nigdy w całym swym dotychczasowym życiu.

- Jane - powiedział, wtuliwszy twarz w jej jedwabiste włosy. - Jane, muszę się znaleźć w tobie. Wpuść mnie do środka.

- Dobrze. - Odchyliła głowę do tyłu i spojrzała mu w oczy. - Dobrze, Jocelynie. Ale musisz mi pokazać, jak to się robi. Chyba nie wiem.

Och, to cała Jane. Mówiła swoim zwykłym, opanowanym głosem. Nagle zrozumiał, że w ten sposób ukrywa zdenerwowanie.

- Z największą przyjemnością - powiedział i zaczął rozpinać guziki sukni.

Rozdział 14

Wcale nie była zdenerwowana.

Nie, była.

Denerwowała się, bo nie wiedziała, co powinna robić, a bała się wypaść niezręcznie.

Ale w żaden sposób to, co robiła, nie budziło w niej zgrozy. Inie odczuwała wstydu. Nie okłamała go też. Pragnęła go. Rozpaczliwie pożądała. A on naprawdę był piękny - z tymi twardymi muskułami, szerokimi ramionami i torsem, wąski w pasie, z długimi nogami. Biło od niego ciepło i pizmowy zapach wody toaletowej.

Był Jocelynem i ona pierwsza zwróciła się do niego po imieniu. Wiedziała, jak ważne jest dla każdego imię. Tylko jej rodzice mówili na nią Jane. To było jej drugie, ale właśnie prawdziwe imię, zawierało w sobie całą jej prawdziwą naturę. Rodzice, a teraz Jocelyn. Próbowwała go powstrzymać od nazywania jej Jane, ale on i tak to robił.

I w jakiś niewytłumaczalny sposób narodziła się między nimi intymna więź, zanim nastąpiło zbliżenie fizyczne, do którego za chwilę miało dojść. Rozbierał ją. Nie czuła się skrepowana własną nagością. Patrzyła na siebie jego ciemnymi oczami i wiedziała, że jest piękna i pożądana.

Jej spojrzenie mówiło to samo o nim.

- Jane. - Lekko objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Wolno zaczerpnęła powietrza, gdy poczuła na swych piersiach jego nagi tors.
- Jesteśmy gotowi. Połóż się.

Na chwilę w zetknięciu z zimną pościelą zaparło jej dech. Zmieniła kolorystykę pokoju, ale zostawiła ten sam rodzaj tkanin. Przypuszczała, że atlas to właściwe tło dla tego, co miało się dzieć w łóżku.

Przyglądała mu się, gdy kończył się rozbierać. Nie odwrócił się tyłem, a ona nie spuściła wzroku. Wkrótce jego ciało stanie się dla niej tak znajome, jak jej własne. Dlaczego ma się wstydzić i udawać fałszywą skromność?

Dość dobrze widziała, jaka zaszła w nim zmiana. W końcu całe dotychczasowe życie spędziła na wsi. Ale i tak była wstrząśnięta. Z pewnością się w niej nie zmieści.

Uśmiechał się tym swoim półuśmiechem, i opadł na łóżko, podparty na łokciu, by móc na nią spojrzeć.

- Przyzwyczaisz się zarówno do jego widoku, jak i dotyku, Jane - powiedział. - Jeszcze nigdy nie robiłem tego z dziewczyną. Podejrzewam, że za pierwszym razem nie obejdzie się bez bólu i krwi, ale obiecuję ci też rozkosz. I nie zrobię nic, dopóki nie będziesz gotowa. Moim zadaniem będzie przygotowanie cię na przyjęcie mnie w tobie. Czy wiesz coś o pieścizotach wstępnych?

Pokręciła głową.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

- To jest dokładnie to, na co wskazuje nazwa. - Wciąż patrzył na nią śmiejącymi się oczami. - Będziemy się bawić, Jane, tak długo, jak będzie trzeba, nim wejdę w ciebie i sprawię, byśmy oboje osiągnęli zaspokojenie. Przypuszczam, że niewiele wiesz, jeśli w ogóle cokolwiek, o obcowaniu cielesnym, prawda? Ból minie, zanim się jeszcze zaczniesz. Uwierz mi, że ci się to spodoba.

Nie miała wątpliwości. Już czuła coś, co właściwie nie było bólem, gdzieś w dole brzucha. A piersi stały się twarde i wrażliwe na dotyk.

- Już to robisz, prawda? - spytała. - Prowadzisz grę wstępną? Rozmawiając?

- Można siedzieć w dwóch końcach pokoju i podniecić się nawzajem do szaleństwa samą rozmową - odparł, uśmiechając się szerzej. - I może to kiedyś zrobimy. Ale nie dziś. Dziś będziemy się dotykać, Jane. Poznawać siebie nawzajem dłońmi i ustami. Pozbędziemy się swej odrębności, by połączyć się w jedno, czego tak pragniemy. Bo pragniemy tego, prawda? Obydwoje?

- Tak. - Podniosła rękę i dotknęła jego policzka. - Tak, Jocelynie. Chcę być częścią twojego imienia, częścią człowieka, noszącego to imię, częścią duszy, mieszkającej w tym człowieku. Chcę tworzyć jedność z tobą.

- Ty, ja, my. - Pochylił głowę i powiedział, trzymając usta tuż

obok jej twarzy: - Stwórzmy nowe określenie, Jane. Jedność „ja” i mnogość „my” połączone w nowe słowo, oznaczające Jane i Jocelyna.

Otworzyła usta, czując nagle niezaspokojony głód i poruszona słowami, które wypowiedzieli - oraz tymi, które nie padły. Nie spodziewała się, że tak to będzie wyglądało. Nie byli mężczyzną i kobietą. Byli kochankiem i kochanką.

Nie stanowiło to części ich umowy. Nie przewidziała tego ani ona, ani - z całą pewnością - on.

Ale właśnie tak się stało.

Za późno rozumiała, co to wszystko oznacza, kiedy czuła na ustach jego język, a pieszczoty rąk zapowiadały czekające ich cuda i zmysłowe rozkosze. O wiele za późno rozumiała, dlaczego wybrała to rozwiązanie, a nie inne, bardziej stosowne i rozsądne. Rozumiała, dlaczego przyjęła jego propozycję bez oburzenia czy przerażenia.

To była miłość. No, może niedokładnie miłość. Ale stan zakochania. Pragnienie dawania siebie ukochanej osobie, aż odda się jej wszystko. I pragnienie otrzymywania w zamian wszystkiego tak długo, aż powstała pustkę znów wypełni połączenie tego, co było nią i nim.

Miał rację. Nie było takiego słowa. Nigdy słowa nie oddają w pełni rzeczywistości.

- Jane.

Wszędzie czuła jego ręce, palce, usta. Wiedział, gdzie i jak jej dotykać, gdzie musnąć ją lekko, gdzie połaskotać, gdzie nacisnąć, gdzie gładzić, gdzie uszczypnąć i podrapać. Wiedział, gdzie całować, lizać, ssać, lekko chwytać zębami.

Nie miała pojęcia, jak długo to trwało. Ani też, skąd wie, gdzie go dotykać, jak pieścić, jak jedne pieszczoty zastępować innymi. Ale wiedziała to, jakby była w niej głęboka studnia kobiecości, z której mogła czerpać dla ukochanego bez konieczności pobierania nauk.

Może stało się tak dlatego, że jej ciało nie należało do jakiejś tam kobiety, a jego - do jakiegoś tam mężczyzny. Jakiś instynkt podpowiadał jej, że zwykle robi się to po ciemku i z zaciśniętymi powiekami, że zazwyczaj całą przyjemność trzyma się zazdrośnie dla siebie, wykluczając z niej tego, kto jęnam daje. Nawet mimo braku doświadczenia domyślała się, że kochankowie nie zawsze kochają się z otwartymi oczami, przyglądając się sobie, kiedy to tylko możliwe.

- Jane.

W kółko powtarzał jej imię, tak jak ona - jego. Była jego ukochaną a on - jej ukochanym.

Ból, pragnienie, potrzeba stały się silniejsze i bardziej umiejscowione. Pragnęła go tam.

Tu.

Teraz.

Jego ręka między jej udami dokonała cudów w najbardziej

intymnym miejscu jej ciała i obudziła w niej pożądanie.

- Jocelynie. - Położyła dłoń na jego rękę. - Jocelynie. - Nie wiedziała, co powinna powiedzieć. Ale zrozumiał ją.

- Jesteś wilgotna, gorąca i gotowa - szepnął. Jego usta znów znalazły się przy jej twarzy. - Zaraz w ciebie wejść, Jane. Leż spokojnie. Kiedy znajdę się w tobie, rozpocznie się ostatni akt.

- Wejść we mnie - poprosiła. - Wejść, proszę.

Wgniół ją w materac ciężarem swego ciała. Nie mogła się poruszyć, kiedy znalazł się między jej nogami, szeroko rozchylając jej uda, a rękę wsunął pod nią. Odruchowo oplotła go nogami. A potem uniósł głowę i spojrzał jej prosto w twarz, oczami płonącymi z pożądania. Ale nie było to ślepe pożądanie. Patrzył jej głęboko w oczy.

Poczuła, jak coś twardego wchodzi w nią, wolno, ale zdecydowanie, wypełniając ją, rozpychając, budząc niepokój. Nagle pojawił się ból i pewność, że nie może wejść w nią głębiej. Był za duży.

- Jane. - W jego spojrzeniu dostrzegła jakby skruchę. - Gdybym mógł, oszczędziłbym ci tego bólu. Ale to zawsze kobiety muszą cierpieć. - Naparł mocniej, nie przestając na nią patrzeć.

Odruchowo napięła mięśnie, bojąc się bólu - i uświadomiła sobie, że już po wszystkim, że Jocelyn jest w środku. W niej. W jej sercu. Uśmiechnęła się do niego.

- Wciąż żyję.

Uśmiechnął się i potarł nosem o jej nos.

- Dzielna dziewczyna - powiedział. - Nie powinienem spodziewać się łez i spazmów po Jane Ingleby prawda?

Zacisnęła mięśnie na tym czymś twardym, co było w niej, i zamknęła oczy, nie mogąc się temu nadziwić. Ale obiecał coś więcej. I teraz, kiedy miała za sobą moment utraty dziewictwa, czego tak się bała, znów zalała ją fala pożądania.

- Co to jest obcowanie cielesne? - spytała, znów otworzywszy oczy.- Pokaż mi, Jocelynie.

- Jeśli chcesz, możesz leżeć nieruchomo - powiedział jej. - Jeśli chcesz, możesz poruszać się razem ze mną. W naszej sypialni nie ma reguł, Jane, i ten głupi kontrakt też nic nie mówi na ten temat. Tylko ty, ja i to, co obojgu nam sprawia przyjemność.

Położył głowę na jej włosach, rozsypanych na poduszce. Prawie zupełnie z niej wyszedł - i znów wszedł.

Tym razem nie czuła bólu. Tylko wilgoć i ciepło. Zaczął się rytmicznie poruszać, wkrótce przystosowała się do jego rytmu i zaczęła na niego odpowiadać. Zmysłowe, energiczne ruchy, które skupiały się tam, gdzie otworzyła przed nim ciało, i gdzie on głęboko wnikał w nią swą męskością. A jednak uczucie nie ograniczało się do tego miejsca. To był miłosny akt kobiety i mężczyzny, Jocelyna i Jane. Dążyli do pełnego zjednoczenia, do tego nienazwanego stanu,

kiedy „ja” i „ty” tracą znaczenie. Do tej chwili, w której „my” stają się jednością.

Pożądanie, pragnienie, potrzeba - wszystko stało się bólem, narastającym, narastającym...

- Teraz, Jane. - Znow uniósł głowę. Ich usta się złączyły. Ich spojrzenia się spotkały. - Teraz, Jane.

Tak, teraz. Teraz. Pogрузić się w nicości. W zapomnieniu. Zespolic się w jedno. Tak, teraz.

- Jocelynie!

Ktoś krzyknął jego imię. Ktoś wyszeptał jej imię.

Poczuła falę błogiego ciepła i wiedziała, że to właśnie rozkosz, o której mówił.

Potem były szepty, i dziwna lekkość, i zimne powietrze na skórze, kiedy zsunął się z niej, i znow szepty, i przyjemne uczucie, kiedy dotykała piersiami jego wilgotnego torsu, gdy objął ją ramieniem, i miła miękkość pościeli na jej skórze.

- Jane. - Znow usłyszała swoje imię. - Nie jestem pewien, czy wciąż możesz powiedzieć, że żyjesz.

Uśmiechnęła się sennie.

- Mmm. - Westchnęła. - A więc tak jest w niebie? Była zbyt wyczerpana, by usłyszeć jego śmiech. Zapadła w cudowną drzemkę.

Jocelyn nie spał. Był w pełni zaspokojony ale również

zaniepokojony. Co, u diabła, mówił? Miał nadzieję, że nie słuchała.

Ale ona słuchała.

To, co właśnie zrobili, zrobili razem. Nie byli dwiema jednostkami, dającymi czysto fizyczną przyjemność i otrzymującymi ją. Byli... do diabła, nie mógł przestać myśleć o tym, co mówił. On stał się nią, a ona - nim. A właściwie nie. Oboje, razem, stali się nową jakością, na którą składali się obydwójce, a która nie była żadnym z nich.

Jeśli nie będzie ostrożny, skończy w domu wariatów.

Jeszcze nigdy nie doświadczył czegoś takiego. I z całą pewnością nie takie były jego zamiary. Chciał znów mieć kochankę. Kogoś, z kim mógłby dzielić łóżko, kiedy tylko zechce. Najzwyczajniej pod słońcem. Pożądał Jane. Ona potrzebowała dachu nad głową i źródła utrzymania.

Wszystko idealnie się składało.

Dopóki nie rozpuściła włosów. Nie, to tylko spotęgowało jego pożądanie.

Dopóki nie zwróciła się do niego po imieniu. I jeszcze coś powiedziała. Co takiego powiedziała, do licha? Przesunął policzkiem po jej ciepłych, jedwabistych włosach i mocniej ją przytulił.

Każdy powinien wiedzieć, jak to jest być nazwanym po imieniu. Po imieniu, nadanym jednemu w swoim rodzaju człowiekowi, jakim każdy z nas jest w głębi serca.

Tak, to wszystko przez te słowa. Przez kilka głupich słów.

Od urodzenia był hrabią, markizem, przyszłym księciem. Przez całe życie przygotowywał się do tego, by w odpowiedniej chwili przejąć tytuł po ojcu i jak najbardziej przypominać go charakterem. Okazał się pojętym uczniem. Jedno i drugie osiągnął w wieku siedemnastu lat.

...jedynemu w swoim rodzaju człowiekowi, jakim każdy z nas jest w głębi serca.

Nie miał serca. Dudleyowie na ogół byli go pozbawieni.

I nie odznaczał się jakimiś wyjątkowymi zaletami charakteru. Był takim człowiekiem, jak tego oczekiwał po nim ojciec i reszta. Już od lat okrywał się jak płaszczem swoją reputacją mężczyzny bezwzględного i niebezpiecznego.

Włosy Jane pachniały różami. Przywiodło mu to na myśl wiejskie ogrody wczesnym latem. I przepełniło dziwną tęsknotą. Dziwną bo nienawidził wsi. Był w Acton Park, swoim majątku, tylko dwa razy od czasu gwałtownej kłótni z ojcem, kiedy miał szesnaście lat - raz na pogrzebie ojca niespełna rok później, i raz na pogrzebie matki, cztery lata potem.

Postanowił, że nigdy więcej jego noga tam nie postanie. Zawiozą go tam dopiero, żeby go pochować. Ale kiedy zamykał oczy, obejmując mocno Jane, widział porośnięte lasami wzgórza na wschód od domu, gdzie razem z Ferdynandem i Angeliną bawili się w

rozbójników, Robin Hooda i odkrywców. I gdzie czasem, kiedy był sam, udawał poetę i mistyka, wdychając zapachy przyrody, gdzie próbował zrozumieć sens i zgłębić tajemnice czegoś tak niejasnego, jak życie, starając się ująć myśli i uczucia w słowa, zapisać je wierszem. I czasem nawet podobało mu się to, co napisał.

Zanim opuścił dom, wszystko to podarł w przyływie złości i obrzydzenia.

Od dawna nie myślał o domu, chociaż bacznie śledził, jak zarządzano posiadłością. Zapomniał nawet, że Acton Park kiedykolwiek był jego domem. A był. Dawno temu. Była tam niania, która nie szczędziła im miłości, chociaż trzymała ich krótko. Towarzyszyła im, dopóki nie skończył ośmiu czy dziewięciu lat. Pamiętał nawet, dlaczego ją odprawiono. Bolał go ząb, posadziła go sobie na kolanach w pokoju dziecinnym, przyłożywszy do jego opuchniętej buzi wielką, pulchną dłoń, i śpiewała mu. Ojciec wszedł do pokoju niezapowiedziany.

Natychmiast została odprawiona.

Jocelyna wysłano do gabinetu ojca, by czekał tam na lanie, które poprzedziło wyrwanie zęba.

Książę Tresham, przypominał mu ojciec przy każdym bolesnym uderzeniu laską w siedzenie, nie wychowuje synów na mazgajów. A szczególnie swojego spadkobiercy.

- Jocelynie. - Jane się obudziła. Odchyliła głowę, by spojrzeć na

niego. Jej śliczna twarz była zaróżowiona, usta czerwone i spuchnięte od jego pocałunków. Wyglądała, jakby miała na sobie pachnącą pelerynę ze lśniącego złota. - Czy byłam okropnie nieporadna?

Pomyślał, że jest jedną z tych nielicznych kobiet, u których uczucie i zmysłowość są wrodzone. Tego popołudnia obdarzyła go szczerze jednym i drugim, jakby nie wiedziała, jak to jest zostać skrzywdzonym. Albo wzgardzonym. Albo odepchniętym.

Ale nim odpowiedział, położyła lekko palec na jego czole w miejscu, gdzie pojawiła się zmarszczka.

- Co to znaczy? - spytała. - O co chodzi? Byłam nieporadna, prawda? To chyba głupie wyobrażać sobie, że skoro dla mnie było to czymś niezwykłym, takie samo musiało być dla ciebie.

Niemądra Jane, żeby tak się wystawiać na kpiny i ból. Odsunął jej rękę.

- Jesteś kobietą Jane - powiedział jej. - Nadzwyczaj uroczą kobietą. Masz wszystko, co powinna mieć kobieta. Dobrze mnie zaspokoiliś.

Coś zgasło w jej oczach. Zrozumiał, co wywołało jego nagłą irytację. Wstydził się, że gardło i oczy palą go od powstrzymywanych łez. I był zły, że tak nisko upadł.

Nigdy nie powinien pozwolić, by zwracała się do niego po imieniu.

- Gniewasz się - powiedziała.

- Bo mówisz o wstrząsającym przeżyciu i sprawiasz, że czuję, jakbym cię wprowadził w błąd - odparł szorstko. - Zostałaś moją utrzymanką I właśnie wykorzystałem cię w tym charakterze. Zawsze staram się, żeby sprawiało to mojej utrzymance przyjemność, ale nie wyobrażaj sobie za wiele. W ten sposób zarabiasz na życie.

Ciekaw był, czy jego słowa sprawiają jej taki sam ból, jak jemu. Nienawidził sam siebie, co nie było niczym nowym, z tą różnicą że nienawiść do samego siebie już dawno temu przemieniła się w pogardę dla całego świata.

- I daję towar wart płaconej ceny - oświadczyła chłodno. - Chciałabym panu przypomnieć, wasza książęca mość, że płaci mi pan wyłącznie za korzystanie z mojego ciała. Nie za to, co myślę i czuję. Jeśli stwierdzę, że to, co robię, sprawia mi największą rozkosz, mam do tego pełne prawo, pod warunkiem, że jednocześnie udostępnię panu swoje ciało.

Przez chwilę nie posiadał się ze złości. Gdyby zalała się łzami, jak każda normalna kobieta, mógłby ją jeszcze bardziej pognębić swą wzdumą. Ale w typowy dla siebie sposób Jane szydziła z niego z chłodną wyniosłością, chociaż leżała z nim nago w łóżku.

Roześmiał się.

- To nasza pierwsza sprzeczka, Jane - powiedział. - Ale podejrzewam, że nie ostatnia. Muszę cię jednak ostrzec, że nie życzę sobie, byś angażowała się uczuciowo w nasz związek. Nie chcę,

żebyś cierpiała, kiedy się skończy. W tym pokoju obcujemy ze sobą cieleśnie. Nic poza tym. I wcale nie byłaś nieporadna. Byłaś równie dobra, jak moje poprzednie kochanki. A właściwie lepsza. Jesteś teraz zadowolona?

- Tak - odparła chłodno. - Dziękuję.

Znów się podniecił - sprawił to jego gniew, jej chłodna odmowa przyjęcia reprimendy, złote włosy, słaby zapach róż. Zrobił to, co musiał, by odzyskać panowanie nad sytuacją. Położył ją na plecach i znów ją posiadł, ale tym razem dołożył wszelkich starań, by zachowywać się cynicznie. Mężczyzna i jego kochanka. Nic więcej.

A potem usnął, ukołyszany szumem deszczu za oknem.

- Myślałam, że może zostanie pan na obiedzie - powiedziała.

- Nie.

Ubrali się i zeszli do salonu. Ale nie usiadł, tak jak ona. Najpierw stał przed kominkiem i wpatrywał się w czarne węgle. Potem podszedł do okna, by patrzeć na deszcz.

Wypełniał cały pokój swoją osobowością. Patrząc na jego nieskazitelnie elegancki strój, dumnie wyprostowaną sylwetkę, muskularne ramiona i nogi, Jane trudno było uwierzyć, że zaledwie pół godziny temu leżał z nią nagi w sypialni na górze. Trudno było w ogóle uwierzyć w to, co się wydarzyło, mimo namacalnych dowodów, jakimi były jej bolące, nabrzmiące piersi i drżące nogi.

- Jestem zaproszony na obiad - oświadczył. - I dziś wieczorem idę na szalony bal. Nie, nie przyszedłem tu, żeby zostać, Jane. Chciałem tylko skonsumować nasz związek.

Nie będzie łatwo być jego kochanką. Zresztą wcale się tego nie spodziewała. Był arogantem, miał zmienne humory, przyzwyczajony do tego, że wszyscy mu się podporządkowują szczególnie kobiety. Ale szczególnie ciężko będzie znosić dziwne, nagłe zmiany nastrojów.

Może poczułaby się dotknięta jego słowami, jak wtedy, gdy w podobny sposób mówił do niej w łóżku, ale uświadomiła sobie, że nie mówi tego wszystkiego od niechcienia, tylko z rozmysłem. Nie wiedziała, dlaczego. Żeby jej przypomnieć, że jest jego utrzymanką, nie ukochaną?

Czy też, by przekonać siebie samego, że nic dla niego nie znaczy, jest jedynie kobietą, której ciało ma mu dostarczyć przyjemności?

Pomimo braku doświadczenia, mogłaby przysiąc, że za pierwszym razem nie wykorzystywał jej. Nie traktował jej ciała jako źródła zaspokojenia. Nie chodziło mu o zwykłą zmysłową rozkosz.

Kochał się z nią.

Teraz wstydził się własnej słabości.

- Co za ulga! - powiedziała chłodno. - Miałam nadzieję, że zacznę dziś wprowadzać niewielkie zmiany w kilku innych pomieszczeniach, ale minęło prawie całe popołudnie.

Rzucił jej przez ramię baczne spojrzenie.

- Nie da sobie pani pokazać, gdzie jej miejsce, prawda?

- Jeśli ma pan na myśli to, że nie pozwolę, żebym czuła się jak ladacznica, wasza książęca mość, to odpowiedź brzmi: nie - oświadczyła. - Będę tu zawsze, kiedy będzie mnie pan potrzebował. Taką zawarliśmy umowę. Ale moje życie nie będzie się kręciło wokół pańskich odwiedzin. Nie będę spędzała całych dni, wyglądając tęsknie przez okno, i wieczorów, nasłuchując odgłosu kołatki.

Przypomniała sobie, jak przez cały ranek co chwilę podbiegała do okna. To się nigdy więcej nie powtórzy.

- Być może, Jane - powiedział cicho, mrużąc oczy, co nie wróżyło nic dobrego - powinienem wcześniej przysłać wiadomość, kiedy zechcę się z panią spotkać, z prośbą by znalazła pani dla mnie czas w swoim kalendarzu, wypełnionym rozlicznymi zajęciami.

- Nie słuchał mnie pan. Podpisałam umowę i zamierzam dotrzymać jej warunków, a także dopilnować, żeby pan ich dotrzymał.

- Czym się pani zajmuje w wolnym czasie? - Odwrócił się od okna i rozejrzał po pustym pokoju. - Wychodzi pani z domu?

- Do ogrodu - odparła. - Jest ładny, ale wymaga sporo pracy. Mam pewne pomysły i już zaczęłam je wprowadzać w życie.

- Czyta pani? - Ściągnął brwi. - Są tu jakieś książki?

- Nie. - Powinien dobrze wiedzieć, że nie ma.

- Jutro rano zabiorę panią do biblioteki Hookhama - oznajmił niespodziewanie - i wykupię pani abonament.

- Nie! - sprzeciwiła się gwałtownie. Po chwili opanowała się. - Nie, dziękuję, Jocelynie. Mam dużo pracy. Musi pan wiedzieć, że przekształcenie burdelu w dom wymaga dużo czasu i energii.

- To zuchwalstwo jest niegodne pani i nie zasłużyłem sobie na nie. - Wydawał się bardzo wielki i groźny, kiedy tak stał obok jej krzesła w lekkim rozkroku, z chmurną miną na twarzy. - Domyślam się, że gdybym pani powiedział, że chcę panią zabrać na spacer do Hyde Parku, też byłaby pani zbyt zajęta, by ze mną pójść?

- Tak. Nie musi pan sobie robić kłopotu z mojego powodu.

Przez długi czas przyglądał się jej z tak nieodgadnioną miną, że nie mogła dostrzec w nim ani śladu mężczyzny, który tak niedawno kochał się z nią z prawdziwą żarliwością. Był zimny, zły i nieprzystępny.

Potem ukłonił się niespodziewanie, odwrócił i wyszedł z pokoju.

Patrzyła ze zdumieniem na drzwi, które zamknął za sobą i słuchała, jak otwierają się i zamykają drzwi frontowe. Wyszedł. Bez słowa pożegnania ani najmniejszego napomknięcia, kiedy znów się pojawi.

Tym razem poczuła się zraniona.

Wzgardzona.

Rozdział 15

W pokoju, przylegającym do salonu, leżał na podłodze mięciusieńki dywan, stała otomana, a poza tym znajdowała się wielka liczba lusterek, poduszek i bibelotów.

Według Jane, pokój ten służył jako buduar byłym utrzymankom księcia, które lubiły własne towarzystwo, albo pełnił też funkcję dodatkowej sypialni. Jane raczej podejrzewała to drugie.

Nie zaprzętała sobie głowy tym pomieszczeniem, kiedy urządzała na nowo salon i sypialnię. Ale teraz postanowiła w nim urządzić własne królestwo, gdzie spędzałaby wolny czas. Lawendowy salon był już elegancki, ale wciąż nie należał do niej.

Kazała wyrzucić otomanę i lustra - nie interesowało ją co się z nimi stanie. Zleciła panu Jacobsowi szczególne zadanie - kupienie sekretarzyka, krzesła, papieru, piór i atramentu. W tym samym czasie pani Jacobs miała postarać się o cieniutkie płócienko, ramę do naciągania tkaniny, igły i jedwabne nici w różnych kolorach.

Jane postanowiła w tym pomieszczeniu urządzić swój buduar, gdzie mogłaby pisać i zajmować się robótkami, szczególnie haftowaniem.

Właśnie siedziała w nim, próbując różnych ściągów i słuchając ognia, trzaskającego na kominku. Był wieczór. Tego popołudnia po raz pierwszy dzieliła łóżko z Jocelynem. Teraz wyobrażała sobie

księcia na wystawnym obiedzie, a potem na balu, i starała się nie odczuwać zazdrości. Nigdy nie doczekała się debiutu towarzyskiego, przypadł w roku, kiedy nosiła żałobę po matce. Potem zachorował ojciec. Nakłaniał córkę do skorzystania z propozycji lady Webb, gotowej wprowadzić ją w świat, ale Jane uparła się, że zostać z nim i będzie go pielęgnować. Ojciec umarł i kolejny rok nosiła żałobę po nim. Po jego śmierci jej opiekunem został nowy hrabia.

Czy Jocelyn będzie dziś tańczył? - zastanawiała się. Czy zatańczy walca?

Ale nie wolno się poddawać przygnębiającym myślom.

Przez chwilę serce zabiło jej mocniej, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Czyżby to on? Zobaczyła jednak kamerdynera, z niepewną miną zaglądnącego do pokoju.

- Najmocniej przepraszam - powiedział pan Jacobs - ale właśnie przyniesiono dwa wielkie pudła. Co każe pani z nimi zrobić?

- Pudła? - Jane uniosła brwi i odłożyła igłę.

- Od jego książęcej mości - wyjaśnił kamerdyner. - Tak ciężkie, że ledwo można je unieść.

- Niczego sienie spodziewam. - Wstała. - Lepiej pójdę i sama sprawdzę, co w nich jest. Jest pan pewien, że przysłał je książę?

- Tak, proszę pani - zapewnił. - Przynieśli je jego służący i powiedzieli, że są dla pani.

Jane była zaintrygowana, szczególnie gdy zobaczyła dwa wielkie

puddła stojące na środku kuchni.

- Proszę je otworzyć - poleciła. Pani Jacobs przyniosła nóż, a kamerdyner przeciął sznurek, którym obwiązany był jeden z kartonów.

Jane otworzyła puddło i wszyscy - kamerdyner, gospodyni, kucharka, pokojówka i lokaj - pochylili się, by zajrzeć do środka.

- Książki! - Pokojówka była bardzo rozczarowana.

- Książki! - Pani Jacobs była zdumiona. - Cóż, książkę nigdy wcześniej nie przysyłał książek. Ciekawa jestem, dlaczego teraz to zrobił? Umie pani czytać?

- Cóż za pytanie! - powiedział ostro pan Jacobs. - W przeciwnym razie po co byłyby biurko, papier i atrament?

- Książki! - szepnęła Jane niemal z nabożną czcią, przycisnąwszy rękę do piersi.

Wszystkie tomy pochodziły z prywatnej biblioteki księcia. Były tam utwory Daniela Defoe, Waltera Scotta, Henry'ego Fieldinga i Alexandra Pope'a.

- Według mnie to dziwny prezent - stwierdziła pokojówka. - Może w drugim pudle jest coś ciekawszego.

Jane zagryzła górną wargę.

- To bezcenny upominek - oświadczyła. - Panie Jacobs, czy te puddła są zbyt ciężkie, by razem z Phillipem zaniósł je pan do mojego buduaru?

- Sam dam radę je przenieść - powiedział ochoczo młody lokaj. -
Czy mam je rozpakować?

- Nie. - Jane uśmiechnęła się do niego. - Zrobię to osobiście,
dziękuję. Chcę po kolei obejrzeć każdą książkę i przekonać się, jakie
pozycje wybrał dla mnie jego książęca mość.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w buduarze stała oszklona
szafka na książki, chociaż poprzednio na półkach pyszniły się
pozbawione smaku bibeloty, które Jane kazała usunąć.

Spędziła dwie godziny, klęcząc obok pudeł, wyciągając z nich po
jednej książce, ustawiając je na półkach, zastanawiając się, którą
przeczytać najpierw.

Czasem szybko mrugała powiekami, a nawet ocierała oczy
chusteczką kiedy wyobrażała sobie, jak tego popołudnia książę
poszedł do domu i własnoręcznie wybierał dla niej wszystkie te tomy.
Wiedziała, że nie zlecił tego panu Quincy'emu. Wśród książek były
te, które wymieniła jako szczególnie przez siebie lubiane.

Nawet w części nie ucieszyłby jej tak kosztowny klejnot od niego.
Kupując go, książę nawet nie poczułby poniesionego wydatku. Ale
książki z własnego księgozbioru! Wziął je z półek swojej biblioteki,
wśród nich były też jego ulubione lektury.

Samotność już jej tak nie doskwierała. I trochę się rozchmurzyła
po jego nagłym wyjściu bez słowa pożegnania. Widocznie pojechał
prosto do domu i spędził czas w bibliotece, wybierając książki

specjalnie dla niej.

Nie wolno mi, nakazała sobie kategorycznie, jeszcze bardziej się w nim zakochać. I w ogóle nie wolno darzyć go miłością.

Był mężczyzną dogadzającym swej nowej kochance. Nikim więcej.

Ale do północy czytała, uszczęśliwiona.

Następnego ranka księżę Tresham jechał konno przez Hyde Park w porze, gdy łatwo mógł tam spotkać swych przyjaciół na Rotten Row. W nocy przestało padać i teraz krople na trawie lśniły w promieniach słońca jak brylanty. Na szczęście niemal zaraz natknął się na sir Conana Broughama i wicehrabiego Kimble'a.

- Tresh - zawołał wicehrabia na jego widok. - Spodziewaliśmy się ciebie na obiedzie w klubie White'a.

- Zjadłem w domu - powiedział Jocelyn. Inie kłamał. Nie mógł zjeść obiadu z Jane, bo był do głębi poruszony, a nie chciał zdradzić swych uczuć. I chociaż ubrał się do wyjścia, został w domu. I sam nie bardzo wiedział dlaczego.

- Sam? - spytał Brougham. - Nawet bez uroczej panny Ingleby do towarzystwa?

- Nigdy ze mną nie jadała obiadów - odparł Jocelyn. - Przypominam ci, że była tylko służącą.

- W każdej chwili gotów jestem ją zatrudnić - powiedział Kimble,

wzdychając teatralnie.

- Nie było cię też u lady Halliday - dodał Brougham.

- Zostałem w domu - powtórzył Jocelyn.

Zauważył, że przyjaciele patrzą na siebie znacząco, by po chwili wybuchnąć wesołym śmiechem.

- No, Tresham - powiedział Brougham. - Któż to taki? Czy ją znamy?

- Czy człowiek nie może samotnie spędzić w domu jednego wieczoru, nie wzbudzając podejrzeń? - Jocelyn zmusił konia do cwału. Ale przyjaciele szybko go dogonili. Jechali teraz po obu jego stronach.

- To ktoś nowy, jeśli dla niej zrezygnował z obiadu w klubie White'a i z gry w karty u lady Halliday, Cone - stwierdził głośno Kimble.

- I ktoś, kto nie dał mu spać przez całą noc, jeśli sądzić po złym humorze Treshama tego ranka, Kimble - rzucił Brougham.

Rozmawiali o nim i śmiali się, jakby go w ogóle nie było.

- Wyoście się do diabła - krzyknął.

Ale na te słowa odpowiedzieli nowym wybuchem wesołości.

Z ulgą dostrzegł Angelinę, wyłaniającą się zza ogrodzenia razem z panią Stebbins, jedną ze swych wytwornych przyjaciółek. Wybrały się obie na poranną przechadzkę.

- Irytujący człowiek! - wykrzyknęła Angelina, jak tylko Jocelyn

znalazł się w zasięgu jej głosu. - Dlaczego nigdy nie ma cię w domu, kiedy ci składam wizytę, Tresham? Wczoraj po południu specjalnie pofatygowałam się do Dudley House, kiedy Heyward mi powiedział, że wyszedłeś z klubu White'a przed obiadem. Byłam pewna, że wrócisz do domu.

Jocelyn zaczął się bawić monoklem.

- Naprawdę? - spytał. - Nie muszę cię zatem informować, że się myliłaś. Czy mogę spytać, czemu zawdzięczam ten nagły przyływ siostrzanych uczuć? Dzień dobry, pani Stebbins. - Dotknął szpicrutą runda kapelusza i skłonił głowę.

- Wszyscy o tym mówią - powiedziała Angelina, kiedy jej przyjaciółka składała księciu głęboki ukłon. - Słyszałam o tym cztery razy w ciągu dwóch ostatnich dni, między innymi od Ferdiego. Przypuszczam, że też o tym słyszałeś. Ale musisz mi obiecać, Tresham, że nie popełnisz żadnego głupstwa, inaczej dostanę rozstroju nerwowego. I daj mi słowo, że będziesz bronił honoru rodziny bez względu na to, ile może cię to kosztować.

- Mam nadzieję, że wcześniej czy później wyjaśnisz mi, czego dotyczy ta pasjonująca rozmowa, Angelino - odezwał się Jocelyn. - Wolałbym wcześniej, bo Cavalier jest wciąż trochę znarowiony.

- Powiedziano mi - wyjaśniła Angelina - że bracia Forbesowie uciekli z miasta ze strachu przed twoją zemstą za to, co próbowali zrobić Ferdiemu.

- I cieszy mnie to. Widocznie wszyscy trzej mają krztynę rozumu, jeśli to jest rzeczywiście powód ich zniknięcia.

- Ale to nie wszystko - ciągnęła. - To pewna wiadomość, prawda, Mario? - zwróciła się do pani Stebbins. - Pan Hammond wspomniał o tym u pani Bury-Haugh dwa dni temu, a wszyscy wiedzą że jego żona jest kuzynką pani Wesleyowej Forbes. A więc to musi być prawda.

- Istotnie, w takim razie nie ulega to wątpliwości - zgodził się cierpko Jocelyn, patrząc przez monokl na spacerowiczów i jeźdźców.

- Nie czują się usatysfakcjonowani - oświadczyła Angelina. - Potrafisz sobie wyobrazić ich bezczelność, Tresham? Przecież Ferdie mógł zginąć! Nie są usatysfakcjonowani, ponieważ ty pojechałeś karyklem i nie stało ci się nic złego, jeśli nie liczyć pary zniszczonych rękawiczek. Wciąż przysięgają ci zemstę! A przecież wszyscy wiedzą że teraz ty możesz żądać od nich satysfakcji! Udali się po posiłki i w każdej chwili są spodziewani w mieście.

Jocelyn odwrócił się i spojrział na trawnik, ciągnący się za nim.

- Ale jeszcze nie wrócili, Angelino - powiedział. - Posiłki, o których wspomniałaś, to, jak się domyślam, wolebny Josiah Forbes i kapitan Samuel Forbes?

- Będzie pięciu przeciwko jednemu - oznajmiła dramatycznym tonem. - Albo pięciu przeciwko dwóm, jeśli liczyć Ferdieego, przy czym się upiera. Albo pięciu przeciwko trzem, jeśli Heyward przestanie mi robić na złość, utrzymując, że nie da się wciągnąć w tę

dziecinadę. Zabiorę mu pistolet i znów zacznę ćwiczyć strzelanie do celu. Ostatecznie jestem z rodu Dudleyów.

- Błagam cię, żebyś poniechała tego zamiaru - powiedział Jocelyn tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Trudno powiedzieć, komu bardziej byś zagrażała, gdybyś okazała się równie biegła w strzelaniu, jak wtedy, kiedy byłaś mała. - Znów włożył monokl i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Włożyłaś dziś zdumiewająco elegancki kapelusz - stwierdził. - Ale te czerwone kwiaty zupełnie nie pasują do różowej sukni spacerowej.

- Dziesięć minut temu spotkałyśmy lorda Pyma - oświadczyła, odrzucając głowę. - Zauważył, że wyglądam jak szczególnie urocza łąka, po której chętnie by się samotnie przespacerował. Prawda, Mario?

- Czyżby? - Ton Jocelyna z miejsca stał się lodowaty. - Mam nadzieję, Angelino, że przypomniałaś lordowi Pymowi, że jesteś siostrą księcia Tresham?

- Westchnęłam smutno, a potem go wyśmiałam - odparła. - To była niewinna galanteria z jego strony. Myślisz, że pozwoliłabym jakimkolwiek mężczyźnie, by za dużo sobie pozwalał? Opowiem o tym Heywardowi, a on spojrzy w sufit, a potem powie... Mniejsza o to. - Zaczerwieniła się i znów się roześmiała, skinęła Kimble'owi i Broughamowi, wzięła Marię Stebbins pod ramię i ruszyła przed siebie.

- Londynowi potrzebny jest jakiś nowy skandal - zauważył Jocelyn, jadąc dalej ze swymi przyjaciółmi. - Zdaje się, że ostatnio nie ma ciekawszego tematu rozmów niż tchórze, którzy przyznają się do pokrewieństwa z lady Oliver.

- Niewątpliwie trzęsą portkami ze strachu - powiedział wicehrabia Kimble - ponieważ Joseph Forbes okazał się na tyle lekkomyślny, by wziąć na siebie całkowitą odpowiedzialność za twoje poobcierane ręce. Ale prawdopodobnie knują coś nowego, bo naturalnie nie odważą się na bezpośrednią konfrontację.

- Może nie będą mieli wyboru, chyba że wolą utratę resztek honoru - stwierdził Jocelyn. - Ale dosyć o tym. Niedobrze mi się robi na samo ich wspomnienie. Cieszymy się słońcem i czystym powietrzem.

- Dla odświeżenia umysłu? - spytał Brougham i zwrócił się do Kimble'a: - Zauważyłeś, że według lady Heyward Treshama nie było wczoraj po południu w domu? Był z tobą?

- Nie, Cone - odpowiedział wicehrabia z udawaną powagą. - Był z tobą?

- Nie widziałem go na oczy od wczorajszego ranka aż do tej pory - powiedział Brougham. - Musi być bardzo świeża i bardzo narowista.

- Do diabła! - Kimble tak gwałtownie wstrzymał konia i odrzuciwszy głowę do tyłu wybuchnął tak głośnym śmiechem, że niemal spadł z siodła. Musiał się wykazać nie lada zręcznością by

znów zapanować nad wierzchowcem. - Zdaje mi się, że wiem, kto to taki, Cone - powiedział, dogoniwszy Broughama i Jocelyna. - Urocza panna Ingleby! Tresh, ty draniu! Okłamałeś nas. Nie rozstałeś się z nią. I to przez nią większość wczorajszego dnia i nocy spędziłeś z dala od swych przyjaciół i nie w swoim łóżku - mam na myśli Dudley House. Czuję, że spełniła wszelkie pokładane w niej nadzieje.

- I wcale się z tym nie krył, prawda? - odezwał się Brougham, błyskając zębami w uśmiechu. - Tańczyłeś z nią, Tresham, i to walca. I nie mogłeś oderwać od niej oczu. Ale dlaczego robisz z tego taką wielką tajemnicę?

- Chyba przywdzieję żałobę - powiedział Kimble, wzdychając przesadnie. - Zastanawiałem się nad wynajęciem detektywa z Bow Street, żeby ją odszukał.

- Możecie obaj iść do diabła - odparł Jocelyn swym zwykłym, wyniosłym tonem. - A teraz przeproszę was, bo w Dudley House czeka już na mnie śniadanie.

Niespiesznie skierował się w stronę domu. Przez chwilę panowała cisza, a potem dobiegł go ich śmiech.

To wcale nie tak, myślał. To wcale nie tak.

Ale jeśli to nie było to - nowa utrzymanka, wdzięki nowej kobiety, którym nie potrafi się oprzeć - to w takim razie co?

Nie mógł znieść myśli, żeby nawet jego najbliżsi przyjaciele wyśmiewali się z Jane.

Musiła usłyszeć, że przyszedł. Znów stała na progu salonu, dziś w innej sukni o klasycznie prostym kroju, w kolorze bladożółtym. Miała doskonały gust, jeśli chodzi o stroje, kiedy nie była zmuszona nosić tanich, szarych sukni panien służących.

Podał kapelusz i rękawiczki kamerdynerowi i podszedł do niej. Uśmiechnęła się do niego ciepło i wyciągnęła obie ręce, czym całkowicie wytrąciła go z równowagi. Nie był dziś życzliwie nastawiony do świata, nawet do niej. I był zły na siebie, że nie potrafił się powstrzymać, by dziś po południu znów do niej nie przyjść.

- Dziękuję - powiedziała i uściśnęła mu rękę. - Czy kiedykolwiek uda mi się okazać swą wdzięczność?

- Za książki? - Ściągnął brwi. Na śmierć o nich zapomniał. Zamierzał pójść z nią prosto do sypialni, zaznać chwili przyjemności, a potem wyjść, by móc spędzić resztę dnia, nie myśląc o niej. Zamierzał sprawić, by stosunki między nimi przybrały właściwy charakter. Jednocześnie krzywił się na myśl o rubasznym uwagach Kimble'a i Broughama, które z całą pewnością usłyszy wieczorem.

- Drobiazg - powiedział szorstko. Uwolnił dłonie z jej uścisku i dał znak, by weszła przed nim do salonu.

- Być może dla pana - odparła. - Ale dla mnie są wszystkim. Nie ma pan pojęcia, jak mi brakowało czytania, odkąd tu się przeniosłam.

- Więc czemu, u diabła, nie pozwoliła się pani zaprowadzić do

biblioteki? - spytał zirytowany, zamknąwszy za sobą drzwi pokoju.

Dlaczego tak się wstydziła wyjść z domu? Jego poprzednie utrzymanki były najszcześliwsze, kiedy mogły się z nim gdzieś pokazać.

Prawdopodobnie jest córką jakiegoś przeklętego klechy. Ale niech go diabli, jeśli pozwoli sobie na wyrzuty sumienia, że odebrał jej cnotę.

Oczywiście nie odpowiedziała na pytanie. Znów się uśmiechnęła, przechylając głowę na bok.

- Jest pan dziś w złym nastroju - zauważyła. - Ale nie szkodzi. Czy stało się coś, o czym chciałby pan porozmawiać?

Niemal wybuchnął śmiechem.

- Bracia Forbesowie uciekli z miasta, by sprowadzić posiłki - wyjaśnił. - Boją się stawić mi czoło, kiedy jest ich tylko trzech. Chcą powiększyć siły do pięciu ludzi. Ale dowiedzą się, że i tak mam nad nimi przewagę. Czerpię szczególne zadowolenie z rozprawiania się z tchórzami.

Westchnęła.

- Mężczyźni i ich duma - powiedziała. - Podejrzewam, że będzie się pan wdawał w awantury, nawet mając osiemdziesiąt lat, o ile dożyje pan tego wieku. Czy pan usiądzie? Mam zatelefonować po herbatę? Czy też chce pan od razu iść na górę?

Nagle, ku jego przerażeniu, odeszła mu ochota na miłosne

igraszki. Nie chciał iść z nią do łóżka. Nie teraz. Wydało mu się to zbyt... zbyt jakie? Niegodziwe? Niemal wybuchnął głośnym śmiechem.

- Gdzie są książki? - spytał. - W sypialni? Na strychu?

- W pokoju obok - oznajmiła. - Urządziłam go według swojego gustu, żeby w nim spędzać czas pod pana nieobecność. Traktuję go jak swoje królestwo.

Nie znosił salonu. Chociaż teraz był elegancki i urządzony ze smakiem, nadal przywodził mu na myśl poczekalnię, bezosobowe pomieszczenie, gdzie wymienia się grzeczności przed wrażeniami w sypialni. I nie było w nim nic, co zmieniłoby go w salon Jane.

- Proszę mnie tam zaprowadzić - polecił.

Mógł się domyślić, że Jane nie odwróci się i nie zaprowadzi go tam bez sprzeciwu.

- To mój buduar - oświadczyła. - Pana podejmuję tutaj, od czasu do czasu być może w jadalni. W sypialni korzysta pan ze swych praw, wynikających z naszej umowy. Resztę domu uważam za swoje prywatne królestwo.

Jocelyn nie wiedział, czy krzyknąć na nią by zobaczyć z satysfakcją jak podskakuje ze strachu, czy też odrzucić głowę do tyłu i roześmiać się. Prawa wynikające z umowy, dobre sobie!

- Panno Ingleby - Ukłonił się dwornie. - Czy byłaby pani tak łaskawa i zgodziła się pokazać mi swój buduar?

Zawahała się, zagryzła dolną wargę, a potem kiwnęła głową.

- Dobrze - powiedziała i wyszła z salonu.

Ten pokój przypominał Jane. Uderzyło go to, gdy tylko przekroczył jego próg. Poczł się, jakby po raz pierwszy wkraczał do jej świata, z jednej strony eleganckiego i nobliwego, z drugiej przytulnego i zwyczajnego.

Płowy dywan i zasłony zawsze sprawiały, że pokój wyglądał okropnie. Wszelkie próby jej poprzedniczek, by go ożywić poduszkami, szalami i jaskrawymi świecidełkami, jedynie podkreślały jego nijakość. Lustra, które kazała wstawić Effie, tylko to zwielokrotniły. Starał się nigdy tu nie zaglądać.

Teraz płowe barwy, których Jane wcale nie próbowała ukryć, sprawiały, że w pokoju panowała atmosfera sprzyjająca odpoczynkowi. Otomana zniknęła, podobnie, co go nie zdziwiło, jak wszystkie lustra. Wstawiono kilka ładnych foteli, sekretarzyk i krzesło. Biureczko zasłane było taką ilością papierów, że wiadomo było, iż nie spełnia funkcji jedynie dekoracyjnej. W biblioteczce stały jego książki, jedna leżała otwarta na małym stoliku obok fotela przed kominkiem. Przed fotelem po drugiej stronie kominka stała rama, na którą naciągnięto płótno. Wokół leżały jedwabne nici, nożyczki i igły.

- Mogę usiąść?- spytał.

Wskazała fotel obok stolika.

- Jeśli pan sobie życzy, może pan potrącić cenę biurka i krzesła z

mojej pensji, ponieważ kupiłam je na swój osobisty użytek - powiedziała.

- O ile sobie przypominam, dałam pani carte blanche na wszelkie przeróbki w domu, Jane - odparł. - Proszę więc przestać pleść głupstwa i usiąść. Widzi pani, jestem na tyle dobrze wychowany, by nie siadać, nim zrobi to kobieta.

Widział, że odczuwała skrępowanie. Przycupnęła na skraju fotela w pewnej odległości od niego.

- Jane, niechże pani usiądzie bliżej i weźmie igłę do ręki - powiedział zniecierpliwiony. - Chcę popatrzeć, jak pani wyszywa. Domyślam się, że to kolejna umiejętność, jaką posiadała pani w sierocińcu?

- Tak - odpowiedziała. Usiadła w fotelu naprzeciwko niego i ujęła igłę w palce.

Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Wyglądała ślicznie i wdzięcznie. Jak urodzona dama. Rzeczywiście musiała przeżywać trudny okres - zmuszona do przyjazdu do Londynu w poszukiwaniu pracy, do zatrudnienia się w pracowni modystki, do tego, by zostać jego pielęgniarką a w końcu kurtyzaną. Nie, nieprawda. Nie weźmie tej winy na siebie. zaproponował jej inne rozwiązanie. Raymore zrobiłby z niej gwiazdę.

- Zawsze tak sobie wyobrażałem rodzinne szczęście - odezwał się po chwili ku własnemu zaskoczeniu, bo nie zastanowił się nad tym,

co powiedział.

Na chwilę uniosła wzrok znad robótki.

- Kobieta przy kominku, zajęta haftem - ciągnął. - Mężczyzna naprzeciwko. Spokój i cisza.

Znów pochyliła głowę nad robótką.

- Jako chłopiec nigdy czegoś takiego nie widział pan w domu swego dzieciństwa? - spytała.

Roześmiał się krótko.

- Przypuszczam, że moja matka nie odróżniała jednego końca igły od drugiego - odparł - i nikt nigdy nie powiedział ani jej, ani mojemu ojcu, że od czasu do czasu można usiąść przy kominku z rodziną.

Jemu też nikt nigdy tego nie mówił. Skąd mu to więc przyszło do głowy?

- Moje biedactwo - odezwała się cicho. Wstał gwałtownie i podszedł do biblioteczki.

- Czytała pani *Mansfield Park*? - spytał po chwili.

- Nie. - Znów na niego spojrzała. - Ale czytałam *Rozważną i romantyczną* tej samej autorki i bardzo mi się podobała.

Wziął tom z półki i wrócił na swoje miejsce.

- Poczytam na głos, kiedy pani będzie wyszywała - oznajmił.

Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek czytał na głos, chyba że na lekcji jako chłopiec. Nie pamiętał też, by jemu ktoś czytał na głos, poza Jane, która czytała mu, gdy leżał unieruchomiony w domu.

Stwierdził, że czytanie działa na niego niezwykle kojąco, chociaż nigdy nie słuchał uważnie. Otworzył książkę i zaczął czytać.

- „Przed blisko trzydziestu laty panna Maria Ward z Huntingdon, posiadająca zaledwie siedem tysięcy funtów całego majątku, miała szczęście zdobyć serce sir Thomasa Bertrama z Mansfield Park...”

Przeczytał dwa rozdziały, nim opuścił książkę na kolana. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. I cisza ta wydawała mu się niezwykle przyjemna. Siedział wygodnie rozparty w fotelu. Bez trudu mógłby się zdrzemnąć. Czuł się... Jak się czuł? Czy był zadowolony? Z pewnością. Szczęśliwy? Szczęście to coś, co znał mało albo wcale, i nie przykładał do niego wielkiej wagi.

Czuł się odcięty od swojego świata, od siebie takiego, jakim był. Był z Jane, z pewnością odcięty od świata i od siebie takiej, jaką była naprawdę. Czy może tak trwać wiecznie?, zastanawiał się. Bez końca? Zawsze?

A może ten pokój stanie jego azylem, w każdym razie od czasu do czasu? Ten pokój, tak przypominający Jane, w którym czuł się dobrze, był spokojny i zadowolony - daleki od zwykłego stylu życia?

Pomyślał, że czas niezwłocznie położyć kres tym głupim, nierealnym i nietypowym marzeniom. Musi wyjść - albo udać się z Jane na górę, do sypialni.

- Co pani wyszywa? - spytał zamiast tego.

Uśmiechnęła się, nie podnosząc głowy.

- Obrus - powiedziała. - Do jadalni. Musiałam sobie znaleźć jakieś zajęcie. Zawsze lubiłam haftować.

Przyglądał jej się jeszcze przez jakiś czas. Rama z naciągniętą tkaniną stała pod takim kątem, że nie widział wzoru. Ale jedwabne nitki były w kolorach jesieni, harmonijnie współgrających ze sobą.

* Przekład Anny Przedpeńskiej-Trzeciakowskiej (przyp. tłum.).

- Czy bardzo się pani pogniewa - spytał - jeśli podejdę i popatrzę?

- Skądże znowu. - Miała zdumioną minę. - Ale nie musi się pan silić na dobre maniere. Z pewnością nie interesuje się pan haftem.

Nie odpowiedział. Podniósł się z głębokiego, wygodnego fotela i odłożył książkę na stolik.

W rogu tkaniny widać było drzewa w jesiennej szacie.

- Gdzie jest szablon, z którego pani wyszywa? - spytał. Chciał obejrzeć cały wzór.

- W mojej głowie - odparła.

- Ach. - Teraz zrozumiał, dlaczego haftowanie było jej pasją. Nie tylko biegle władała igłą. - Widzę, że ma pani do tego talent, Jane. Umie pani dobierać kolory i wzory.

- Dziwne, ale nigdy nie udawało mi się utrwalić moich wizji na papierze czy płótnie - powiedziała. - Ale kiedy trzymam igłę, obrazy z głowy z łatwością trafiają na tkaninę.

- Nigdy nie potrafiłem malować krajobrazów - oświadczył. -

Zawsze wydawało mi się, że natura jest niedościgniona. Twarze ludzi to co innego. Można uchwycić wygląd i charakter człowieka.

Ledwo wypowiedział te słowa, a pożałował, że nie ugryzł się w język. Wyprostował się, zażenowany.

- Maluje pan portrety? - Spojrzała na niego, wyraźnie zaintrygowana. - Zawsze uważałam to za najtrudniejszą formę sztuki.

- Trochę pacykuję - odparł sztywno. Podszedł do okna i zaczął się przyglądać małemu ogrodowi. Zauważył, że jest bardzo zadbane. Czy zawsze rosły tu róże? - A raczej powinienem użyć czasu przeszłego. Pacykowałam.

- Domyślam się, że według pana to mało męskie zajęcie - powiedziała cicho.

Jego ojciec użył o wiele dosadniejszego określenia.

- Chciałbym namalować pani portret - usłyszał nagle swój głos. - Pani twarz jest nie tylko urodziwa, ale również pełna charakteru. Byłoby to wielkie wyzwanie.

Milczała.

- Na górze będziemy zaspokajali swoje potrzeby cielesne - oświadczył. - Tutaj moglibyśmy się oddawać pozostałym pasjom, Jane, jeśli pani zechce. Z dala od wścibskich oczu i szyderczych uśmiechów świata. Po to urządziła pani ten pokój, prawda? Swoje królestwo, jak go pani nazwała, przystań, gdzie może być pani sobą, odsunąć na bok prozę życia, łącznie z tym, że jest pani moją

utrzymanką, i zostać po prostu Jane.

Odwrócił głowę. Przyglądała mu się bacznie, trzymając igłę w powietrzu.

- Tak - przyznała.

- A ja jestem ostatnią osobą, z którą chciałaby pani dzielić to królestwo. - Uśmiechnął się z żalem. - Nie będę nalegał. W przyszłości będzie mnie pani zabawiała w salonie, kiedy nie będziemy w sypialni.

- Nie. - Minęło trochę czasu, nim objaśniła swoją myśl. - Nie, nie będę już uważała tego pokoju za swój, tylko za nasz. Za miejsce, gdzie nasza umowa i nasza pozycja w świecie nie będą się liczyły. Miejsce, gdzie pan może malować i czytać, a ja wyszywać i pisać, miejsce, gdzie po jednej stronie kominka siedzi kobieta, a po drugiej - mężczyzna. Miejsce ciche i spokojne, z dala od świata. Może pan tu przebywać zawsze, kiedy tylko pan zechce, Jocelynie.

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią, nie odzywając się. Co, u diabła, się dzieje? Mógł istnieć tylko jeden powód, skłaniający go do przychodzenia do tego domu. Nie chciał żadnego innego. Mógłby się stać jego niewolnikiem - niewolnikiem Jane. A jednak jego serce nie traciło nadziei.

Na co?

- Ma pan ochotę na herbatę? - Wbiła igłę w tkaninę i wstała. - Czy mam zadzwonić, żeby ją przyniesiono?

- Tak. - Założył ręce do tyłu. - Tak, proszę.

Przyglądał jej się, jak dzwoni na pokojówkę.

- Jest tutaj dużo miejsca - powiedział. - Chciałbym, żeby wstawiono tu fortepian. Czy wolno mi wydać odpowiednie polecenie? - Wprost nie mógł uwierzyć, że pyta o jej zgodę.

- Naturalnie. - Spojrzała na niego poważnie. - To nasz pokój, Jocelynie. Tak samo twój, jak mój.

Przez chwilę pomyślał, że zalała go fala szczęścia. Ale wkrótce zorientował się, że to inne uczucie, równie mu obce. Strach.

Rozdział 16

Jane wcześniej położyła się do łóżka, ale sen nie przychodził. Po pół godzinie zrezygnowała z prób zaśnięcia. Wstała, zapaliła świecę, narzuciła ciepły szlafrok na koszulę nocną z cieniutkiego batystu, na nogi wsunęła ranne pantofle i zeszła na dół do swojego buduaru. Ich buduaru. Ich przystani, jak go nazwał.

Pan Jacobs jeszcze nie udał się na spoczynek. Poprosiła go, żeby znów napalił w kominku. Młody lokaj przyniósł węgiel i spytał, czy czegoś jeszcze życzy sobie.

- Nie, dziękuję, Phillipie - odparła. - To wszystko. Trafię do sypialni, kiedy będę zmęczona.

- Tak jest, proszę pani - powiedział. - Przed wyjściem z pokoju prozę nie zapomnieć postawić ekranu przed kominkiem.

- Nie zapomnę. - Uśmiechnęła się. - Dziękuję za przypomnienie. Dobranoc.

Postanowiła, że będzie czytała tak długo, aż oczy same zaczną się jej kleić ze zmęczenia. Usiadła przy kominku, w fotelu, na którym po południu siedział Jocelyn, i wzięła książkę. Nie tę, którą jej czytał. Tamtą zostawiła w miejscu, gdzie ją położył. Może kiedy przyjdzie tu następnym razem, będzie chciał przeczytać kolejny rozdział. Otworzyła trzymaną książkę na stronie, na której przerwała lekturę ostatniej nocy, i położyła ją sobie na kolanach.

Zapatrzyła się w ogień.

Nie powinna pozwolić księciu tu wejść. Wiedziała, że nie będzie już mogła uważać tego pokoju za swój. Był ich. Wciąż czuła jego obecność. Widziała go siedzącego wygodnie, ale elegancko w fotelu. Słyszała jego głos, kiedy czytał jej *Mansfield Park*, przejęty losami bohaterów książki nie mniej od niej. I widziała go stojącego w oknie...

To było niesprawiedliwe. Poradziłaby sobie z nową sytuacją życiową gdyby stosunki między nimi pozostały, jak się tego spodziewała, natury czysto cielesnej. Była na tyle inteligentna, że wiedziała, iż pożądanie to nie miłość, szczególnie między rozpustnym księciem i jego utrzymanką. Nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić.

Spędził tu razem z nią ponad dwie godziny, i nawet jej nie dotknął. Nie poszedł z nią do sypialni. Po podwieczorku, podczas którego rozmawiali o wojnie i reformie politycznej - ona była pacyfistką on nie; ona była gorącą zwolenniczką reform, on podchodził do nich z dużą rezerwą - dość niespodziewanie wstał, uklonił się, pożegnał i wyszedł.

Po jego wyjściu ogarnęła ją dziwna pustka. I czuła wielki zamęt w głowie.

Niemal przez cały czas, kiedy byli razem, nie był księciem Tresham. Był Jocelynem. Ale Jocelynem nie tak pełnym rezerwy, jak

do tego przywykła. Jocelynem bez maski. Człowiekiem pragnącym być nareszcie sobą. Spragnionym przyjaźni, uznania i... no właśnie.

Jane głośno westchnęła.

Mężczyzną spragnionym miłości.

Ale wątpiła, czy kiedykolwiek przyjąłby ten największy dar, nawet gdyby sam przed sobą przyznał, że go potrzebuje.

Jeszcze bardziej wątpiła, czy zdolny jest do zrewanżowania się tym samym.

A kimże była ona, by składać taki dar? Uciekinierką. Morderczynią. Chociaż chyba nie. Nieśmiało zaczynała w to wątpić. Nie przypuszczała, żeby Sidneya zabiło uderzenie książką w głowę.

Wzdrygnęła się na wspomnienie tamtego wydarzenia.

A potem położyła głowę na oparciu i nasłuchiwała, jak pan Jacobs lub Phillip zamykają drzwi frontowe na noc. W chwilę później rozległo się pukanie do drzwi pokoju.

- Proszę - zawołała. Było już po północy. O tej porze służba powinna leżeć w łóżkach.

Wyglądał demonicznie w czarnej pelerynie do kostek. Stał na progu, z ręką na gałce drzwi. Zadrżała. Zrozumiała, że to popołudnie rzeczywiście było dla niej brzemiennie w skutki.

- Wciąż nie śpisz? - spytał. - Zobaczyłem światło w szparze pod drzwiami.

- Masz swój klucz?- spytała.

- Naturalnie - odparł. - Przecież to mój dom.

Wstała i podeszła do niego. Nie, wcale się go nie spodziewała.

A potem stało się coś dziwnego. Zdjął rękę z gałki drzwi i rozpostarł ramiona, aż ukazała się biała, jedwabna podszewka peleryny i elegancki strój wieczorowy. Ale Jane właściwie nie zwróciła uwagi na jego oszałamiający strój. Szła w jego stronę i wkrótce okryły ją fałdy peleryny. Jednocześnie uniosła twarz, a on pochylił głowę.

Obejmowali się długo, żarliwie. Ale najdziwniejsze, że nie był to zmysłowy uścisk - przynajmniej nie tylko zmysłowy. Jane nie miała doświadczenia w tych sprawach, ale wiedziała podświadomie, że to nie mężczyzna, całujący swoją kochankę, z którą pójdzie do sypialni. To był Jocelyn. I całował ją Jane.

Ale nim skończył ją obejmować, znów stał się księciem Tresham.

- Chcę, żebyś dziś w nocy zrobiła to, co do ciebie należy, Jane - powiedział.

- Oczywiście. - Cofnęła się z uśmiechem.

A potem krzyknęła z przerażenia, kiedy mocno złapał ją za rękę i zmierzył ją zimnym wzrokiem.

- Nie! - oświadczył z wściekłością. - Nie będziesz się tak do mnie uśmiechała, Jane, jak zblazowana kokietka, ukrywająca swój cynizm za zimnym uśmiechem przyzwolenia. I wcale nie oczywiście. Jeśli mnie nie chcesz, powiedz mi, żebym wyniósł się do diabła, a pójdę

sobie.

Wyrwała rękę z mocnego uścisku.

- A czego się spodziewasz, kiedy mówisz, że chcesz, żebym zrobiła, to co do mnie należy? - spytała ze złością. - Czy kobieta robi to, co do niej należy, kiedy pragnie być z mężczyzną? Kiedy zwracasz się do mnie w ten sposób, robisz ze mnie dziwkę.

- To ty nalegałaś na spisanie umowy, zawierającej nasze wzajemne prawa i obowiązki - przypomniał jego oczy były zimne jak stal. - Kim ja jestem w jej świetle? Kimś, kto kupił sobie dostęp do twojego ciała. Kimś, kto kupił sobie usługi dziwki. To ta umowa czyni z ciebie kobietę, która robi, co do niej należy, kiedy jest ze mną w łóżku. Nie unos się słusznym gniewem, Jane, spodziewając się, że potulnie spuszczę głowę. Jeśli o mnie chodzi, możesz iść do diabła.

- A ty możesz... - Ale zmusiła się do milczenia i nabrała głęboko powietrza, żeby się uspokoić. Serce waliło jej jak młotem. - Znów się sprzecząmy. Czy tym razem to moja wina? Jeśli tak, to przepraszam.

- To wina tej diabelskiej umowy - powiedział zrzędlawie.

- Czyli moja. - Uśmiechnęła się lekko. - Naprawdę cieszę się, że cię widzę, Jocelynie.

Złość i chłód zniknęły z jego twarzy.

- Mówisz szczerze, Jane? Kiwnęła głową.

- I naprawdę chcę pójść z tobą na górę.

- Tak? - Spojrzał na nią w zamyśleniu swymi ciemnymi oczami.

Czy to książę Tresham? Niepewny siebie? Niepewny, czy jest mile widzianym gościem?

- Mówię to w pokoju, gdzie - jak ustaliliśmy - nie obowiązują warunki naszej umowy - oświadczyła - więc musi to być prawda. Chodź ze mną na górę.

- Przyszedłem prosto z teatru - wyjaśnił. - Kimble zaprosił mnie i innych przyjaciół na kolację do siebie, ale stwierdziłem, że wolę pójść do niego pieszo, niż tłoczyć się w powozie. Tymczasem nogi same mnie tu przyniosły. Jak to wytłumaczyć, Jane?

- Zapewne odczuwałaś silną potrzebę pokłócenia się z kimś, kto ci nie ustąpi - odparła.

- Ale przecież pierwsza mnie przeprosiłaś.

- Bo nie miałam racji. Widzisz, nie nalegam na zwycięstwo za wszelką cenę. W przeciwieństwie do innych znanych mi osób.

Uśmiechnął się figlarnie.

- Co oznacza, jak przypuszczam, że jak zwykle ostatnie słowo należy do ciebie - zauważył. - Chodźmy w takim razie. Ponieważ po to tu przyszedłem i skoro mnie zaprosiłaś, chodźmy na górę.

Fizyczne pożądanie sprawiło, że znów aż zaparło jej dech, kiedy minęła go i pierwsza zaczęła wchodzić po schodach. Zauważyła, że nie od razu ruszył za nią. Został, by postawić ekran przed kominkiem, w którym ogień już zaczął przygasać.

Uśmiechając się w duchu, pomyślała, że chyba pierwszy raz w

życiu zrobił coś tak zwyczajnego.

Rano Kimble będzie bezlitośnie z niego drwił. Jocelyn się tym nie przejmował. Czy kiedykolwiek robił sobie coś z tego, co mówili albo myśleli o nim inni, nawet najbliżsi przyjaciele? A ich drwiny będą dobrodusze.

Tymczasem prawda wyglądała tak, że musiał dziś wieczorem tu wrócić. Bardziej poruszyły go dziwne wydarzenia popołudnia, niż miał to odwagę przyznać przed samym sobą. Musiał tu przyjść, żeby przywrócić normalność swym stosunkom z własną utrzymanką. Żeby ją wykorzystać w wiadomym celu.

Oczywiście popełnił błąd, mówiąc jej o tym. Ale nie był przyzwyczajony do tego, by zwracać uwagę na uczucia innych ludzi.

Rozebrał się, zgasił świece i położył się z nią do łóżka. Kazał jej nie zdejmować skromnej i ładnej koszuli nocnej. Było coś zdumiewająco podniecającego, kiedy podciągał ją w górę. Tej nocy nie chciał żadnej gry wstępnej. Chciał zrobić to, po co tu przyszedł, zanim wszystko znów wymknie się spod kontroli. Wsunął jej rękę między uda. Już była gotowa. Położył się na niej całym ciężarem ciała, kolanami szeroko rozchylił jej nogi, wsunął ręce pod jej biodra i wszedł w nią.

Była miękka i ciepła. Zaczął się w niej poruszać szybko, energicznie. Starał się o niej myśleć wyłącznie jak o kobiecie. Starał

się myśleć o swych potrzebach wyłącznie jak o czysto fizycznym pożądanu.

Nie udało mu się ani jedno, ani drugie.

Rzadko całował kobiety w łóżku. Jego zdaniem było to niepotrzebne i zbyt intymne. A jednak pocałował ją.

- Jane, powiedz mi, że chciałaś, żebym wrócił, że od naszego rozstania myślałaś tylko o mnie - wymamrotał.

- Dlaczego? - spytała szeptem. - Żebyś znów mógł mnie ostrzec, że nie wolno mi myśleć o niezależności? Nie żałuję, że przyszedłeś. Cieszę się. Dobrze mi z tobą.

- Niech cię diabli! - powiedział. - Niech cię diabli, Jane.

Nie odzywała się, kiedy się w niej poruszał. Ale gdy poczuł, że zbliża się moment spełnienia i zamierzał przyspieszyć ruchy, objęła go w pasie rękami, opłotła nogami i uniosła biodra, by mógł głębiej w nią wnikać.

- Jocelynie, nie bój się - szepnęła. - Proszę, nie bój się.

Był tak pochłonięty bliskim spełnieniem, że nie zwrócił uwagi na te słowa. Ale kiedy już było po wszystkim, kiedy leżał wyczerpany obok niej, przypomniał sobie o nich i pomyślał, że musiał to sobie wyobrazić.

- Chodź do mnie - powiedział i wyciągnął rękę, żeby dotknąć Jane.

Zwinęła się w kłębek obok niego. Jocelyn obciągnął jej koszulę,

nakrył ich oboje kołdrą, objął Jane ramieniem, oparł policzek na jej głowie i usnął.

Często spędzał noce w tym domu, a o świcie wracał do Dudley House, żeby się przespać. Ale nigdy tu nie spał. Dziś wieczór miał zamiar spędzić kilka godzin na miłosnych namiętnościach, by przypomnieć zarówno Jane, jak i sobie, charakter stosunków między nimi.

Obudził się, gdy do pokoju wpadało światło dnia. Jane, z włosami w nieładzie, lekko zaróżowiona, wyglądała uroczo. Wciąż spała w jego ramionach.

Delikatnie usunął rękę spod jej głowy i wyskoczył z łóżka, przy okazji budząc dziewczynę. Uśmiechnęła się do niego zaspana.

- Przepraszam - powiedział sztywno, wkładając swój wieczorowy strój. - Przypuszczam, że zgodnie z tą przekłętą umową nie mam prawa zakłócać ci życia prywatnego, kiedy nie korzystam z przysługujących mi praw. Za chwilę już mnie tu nie będzie.

- Jocelynie - powiedziała z łagodnym wyrzutem, a potem miała czelność się roześmiać.

Wesoło. Z niego.

- Śmieszę cię? - Spojrzał na nią groźnie.

- Zapewne wstydzisz się tego, że usnąłeś, zamiast spędzić noc demonstrując tę jurność, z której słyniesz - odparła. - Sprawiasz wrażenie, jakbyś zawsze musiał udowadniać swoją męskość.

Fakt, że miała całkowitą rację, nie wpłynął na poprawę jego nastroju.

- Cieszę się, że przynajmniej cię rozśmieszyłem - oświadczył i zamaszystym ruchem zarzuciwszy pelerynę na ramiona, zapiął ją pod szyją. - Przyjdę tu znowu, kiedy będę cię potrzebował. Żegnam.

- Jocelynie - powiedziała cicho, kiedy otworzył drzwi sypialni. Spojrzał na nią, dumnie unosząc brwi. - To była cudowna noc. Wspaniale się z tobą śpi.

Nie czekał, żeby sprawdzić, czy sobie z niego kpi, czy nie. Wyszedł i niezbyt cicho zamknął za sobą drzwi.

A niech to diabli, pomyślał, patrząc na zegar w holu. Była siódma rano. Skrzywił się, widząc, że Jacobs czekał na dole, by go wypuścić. Spędził tu siedem godzin. Był z nią w łóżku przez siedem godzin, a tylko raz doszło między nimi do fizycznego zbliżenia. Raz!

Pozdrowił sztywno kamerdynera i wyszedł przed dom. Kiedy ruszył szybkim krokiem przed siebie, z pewnym zadowoleniem stwierdził, że prawa noga z każdym dniem staje się sprawniejsza.

Wspaniale się z tobą śpi.

Jocelyn mimo woli zachichotał. Miała rację, do diabła. To była cudowna noc, dawno nie czuł się taki wypoczęty.

Postanowił, że pójdzie do domu, żeby się wykapać i przebrać, a potem uda się na zakupy - kupi mały fortepian oraz przybory do szkicowania i malowania. Może w tej niezwykłej sytuacji najlepiej

będzie niczemu się nie przeciwstawiać, pozwolić, żeby wszystko się rozwijało na swój sposób i swoim tempem, póki nie nadejdzie nieuchronny koniec. Wcześniej czy później znudzi mu się Jane Ingleby Tak jak każda kobieta, którą znał i z którą dzielił łożę. Ona też mu się znudzi - może za miesiąc, może za dwa, może za rok.

A tymczasem czemu nie ma rozkoszować się nowym dla siebie uczuciem... no tak, okropne słowa, które nie dawały mu spokoju.

A właściwie przed czym się broni?

Czemu nie może rozkoszować się tym, że jest zakochany?

Czemu raz w życiu nie ma poddać się temu nieskończone głupiemu uczuciu?

Tego ranka pracując w ogrodzie na świeżym powietrzu i czując na plecach gorące promienie słońca, Jane podjęła decyzję.

Naprawdę była w nim zakochana. Co gorsza, czuła, że zaczyna go darzyć prawdziwą miłością. Nie było sensu próbować wypierać się swych uczuć ani z nimi walczyć.

Kochała go.

Ale to za mało, oczywiście. Nie była aż tak głupia, żeby sobie wyobrażać, że on też ją kiedyś pokocha, chociaż wiedziała, że nie jest mu obojętna. A poza tym, nawet gdyby kiedyś ją pokochał, nie można się spodziewać szczęśliwego zakończenia ich historii. Była jego utrzymanką i tyle.

Ale nie może przez całe życie być uciekinierką. Powinna nigdy nie poddawać się tchórzliwemu odruchowi, który skłonił ją do ucieczki. Było to do niej niepodobne. Zamierzała się ujawnić i zrobić to, co powinna zrobić, kiedy się dowiedziała, że lady Webb jej nie pomoże, bo wyjechała z Londynu.

Zamierzała udać się do hrabiego Durbury, jeśli nadal przebywa w mieście. Jeśli nie, zamierzała się dowiedzieć, gdzie mieści się główna siedziba detektywów z Bow Street, i pójść tam. Chciała też napisać do Charlesa i opowiedzieć swoją historię każdemu, kto zechce jej wysłuchać. Krótko mówiąc, miała zamiar wziąć los w swoje ręce. Może zostanie aresztowana, osądzona i skazana za morderstwo na szubienicę albo w najlepszym razie deportację czy dożywotnie więzienie. Ale nie podda się bez walki. Będzie do samego końca walczyła jak lwica - musi tylko przestać uciekać.

Opuści bezpieczną kryjówkę i będzie walczyć.

Ale jeszcze nie teraz. Właśnie to sobie postanowiła, wyrывая chwasty, rosnące wokół krzaków róż, i spulchniając ziemię. Musi sobie wyznaczyć ostateczny termin, żeby nie odkładać tego z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc. Da sobie jeden miesiąc, licząc od dzisiaj. Przez ten jeden miesiąc będzie utrzymanką Jocelyna, jego ukochaną chociaż o tym drugim oczywiście on nie będzie wiedział. Spędzi z nim miesiąc jako jego przyjaciółka w ich wspólnym buduarze, jeśli Jocelyn kiedykolwiek tam przyjdzie, i jako

jego kochanka w sypialni na górze.

Jeden miesiąc.

A potem się odda w ręce sprawiedliwości. Nie mówiąc mu o niczym. Zapewne wybuchnie skandal, kiedy się okaże, że ksiązę przez trzy tygodnie zatrudniał ją w Dudley House albo że była jego utrzymanką. Ale nie będzie się tym przejmować. Jego życie to i tak niekończące się skandale. Zdaje się, że ksiązę nawet to lubi. A ten prawdopodobnie szczególnie go ubawi.

Jeden miesiąc.

Przechyliła się do tyłu, by przyjrzeć się swemu dziełu, i zobaczyła, że Phillip idzie w jej stronę.

- Przysłał mnie pan Jacobs - oznajmił. - Właśnie przywieźli nowy fortepian, i sztalugi, i jeszcze jakieś paczki. Chce wiedzieć, gdzie ma to wszystko umieścić.

Jane wyprostowała się i poszła za Phillipem do domu. Serce w niej urosło.

Jeden cudowny miesiąc, podczas którego nawet nie będzie próbowała trzymać swych uczuć na wodzy.

Jeden miesiąc miłości.

Przez cały tydzień Jocelyn niemal całkowicie ignorował swoją rodzinę, Oliverów, braci Forbesów i wszystkie plotki, którymi zabawiano się w towarzystwie. Rano na ogół jeździł konno w parku,

potem spędzał godzinę czy dwie w klubie White'a, gdzie jadł śniadanie, przeglądał gazety i rozmawiał z przyjaciółmi, ale rzadko brał udział w spotkaniach towarzyskich.

Kimble i Brougham byli wprost rozbawieni i robili rubaszne uwagi. Aż do dnia, kiedy pewnego ranka we trójkę wracali na szczęście pustą ulicą z klubu White'a.

- Mogę jedynie powiedzieć, Tresh - oświadczył w pewnej chwili Kimble, udając znudzonego - że kiedy urocza panna Ingleby w końcu wyczerpie twoje siły, możesz oddać ją mnie, jeśli łaska. Przekonam się, czy mnie uda się ją wyczerpać. Przypuszczam, że znam jedną czy dwie sztuczki, których nie nauczyła się od ciebie. I jeśli...

Silny cios w szczękę przerwał raptownie ten monolog. Kimble z wielce zaskoczoną miną upadł na chodnik. Równie zaskoczony Jocelyn patrzył na swą wciąż zaciśniętą pięść.

- No, nie! - zaprotestował Brougham.

- Żądasz satysfakcji? - rzucił szorstko Jocelyn do przyjaciela, który ostrożnie macał sobie brodę.

- No nie! - zawołał Brougham. - Nie mogę być sekundantem was obu.

- Powinieneś mi powiedzieć, stary druhu - odparł żałośnie Kimble, potrząsając głową, po czym wstał i otrzepał ubranie - powściągnąłbym język. Na Boga, zakochałeś się w tej dzierlatce. Teraz rozumiem, dlaczego mnie zdzieliłeś po pysku. Ale mógłbyś

zachować się bardziej szlachetnie i uprzedzić nas, Tresh. Nie należy do przyjemności mieć do czynienia z twoimi pięściami. Nie, oczywiście że nie zamierzam cię wyzwać, więc nie musisz stać z taką ponurą miną. Nie chciałem znieważać tej kobiety.

- A ja nie zamierzałem narazić na szwank naszej przyjaźni. - Jocelyn wyciągnął rękę, którą jego przyjaciel nieufnie uścisnął. - Możesz sobie ze mnie żartować, Kimble, i Conan też. Nic wam za to nie zrobię. Ale niech to pozostanie między nami. Nie pozwolę, by publicznie znieważano Jane.

- No, no! - Brougham był wyraźnie dotknięty. - Chyba nie myślisz, że o tym rozpowiadamy na prawo i lewo? Cóż za pomysł! Chociaż nie sądziłem, że dożyję dnia, kiedy zobaczę cię zakochanego. - Roześmiał się nagle.

- Do diabła z miłością! - mruknął szorstko Jocelyn.

Ale pomijając ten incydent, w owym tygodniu całą jego uwagę zaprzętał dom, gdzie mieszkała Jane, gdzie spędzał większość czasu w dwóch różnych, ale dziwnie uzupełniających się rolach. Popołudnia i kilka wieczorów bawił w buduarze na dole, prawie nigdy jej nie dotykając. A nocami kochał się z Jane i ufnie spał obok niej.

To był cudowny tydzień.

Niezapomniany tydzień.

Tak zachwycający, że nie mógł trwać długo. I oczywiście nie trwał.

Ale nim wszystko się skończyło, przeżył ten tydzień...

Rozdział 17

Raz czy dwa spacerowali po ogrodzie, Jane pokazała Jocelynowi, co już tam zrobiła, i opowiedziała, co jeszcze ma zamiar zrobić. Większość czasu spędzali jednak w domu. Zresztą w tamtym tygodniu było mglisto i mokro.

Jane postanowiła niczym się nie przejmować, tylko po prostu rozkoszować się chwilą. Często wyszywała przy kominku, w którym rozpalano ogień ze względu na wilgoć. Najpierw w jednym rogu obrusa, a potem w drugim powstał las w jesiennych barwach. Czasami Jocelyn czytał jej na głos - dotarli prawie do połowy *Mansfield Park*, częściej grywał na fortepianie, prawie wyłącznie własne kompozycje. Początkowo grał niepewnie, z przerwami, jakby nie wiedział, skąd przychodzi melodia i dokąd zmierza. Ale Jane nauczyła się rozpoznawać moment, kiedy jego umysł się wyłączał i pracowały tylko serce i dusza. Wtedy dźwięki płynęły swobodnie.

Czasami Jane stawała za Jocelynem albo siadała obok niego i śpiewała - przeważnie piosenki ludowe i ballady, które obydwójce dobrze znali. Kilka razy zaśpiewała poważniejsze pieśni, a Jocelyn dołączył do niej silny baryton.

- W każdą niedzielę prowadzono nas do kościoła - powiedział - żebyśmy posadzili swoje arystokratyczne tyłki na pluszowych poduszkach w ławce, zarezerwowanej dla rodziny. Nigdy nie wolno

nam się było wiercić. Tymczasem zwykli śmiertelnicy siedzieli w twardych ławkach i gapili się na nas z respektem. A ty, Jane? Czy sieroty też prowadzono parami do kościoła, żeby usiadły na ławkach bez oparcia i dziękowały Bogu za liczne łaski, jakimi je obdarzył? - Spod jego palców wychodziło pełne ozdobników arpeggio.

- Zawsze lubiłam chodzić do kościoła - odparła cicho. - I zawsze są łaski, za które trzeba dziękować.

Roześmiał się cicho.

Popołudniami najczęściej malował. Doszedł do wniosku, że nie chce namalować tylko twarzy Jane. Chciał namalować ją całą taką jaka jest naprawdę. Spojrzała na niego podejrzliwie, kiedy jej o tym powiedział, a on uniósł brwi.

- Myślisz, że chcę cię ułożyć w wyuzdanej pozie na podłodze, ubraną jedynie w płaszcz włosów? - spytał. - Wierz mi, że wtedy znalazłbym sobie ciekawsze zajęcie niż malowanie. Co ci udowodnię dziś w nocy. Tak, zdecydowanie. Dziś w nocy będą świece, i nagość, i rozpuszczone włosy. Pokażę ci, jak masz grać przede mną syrenę, którą mogłabyś być, gdybyś zechciała. Ale namaluję cię, jak wyszywasz. Wtedy jesteś najbardziej sobą. - Spojrzał na nią spod zmrużonych powiek. - Cicha, pracowita, elegancka, zajęta tworzeniem dzieła sztuki.

I malował ją haftującą Obydwoje milczeli. Zawsze zanim zabrał się do malowania, zdejmował frak i kamizelkę i wkładał dużą, luźną

koszulę. W miarę upływu dni była coraz bardziej poplamiona farbami.

Nie pozwolił jej oglądać obrazu, póki go nie ukończy.

- Ja ci pozwalałam oglądać mój haft - skarżyła się.

- Poprosiłem, a ty się zgodziłaś. Ty poprosiłaś mnie, a ja się nie zgodziłem.

Na taką logikę nie miała argumentów.

Jane zajęta była wyszywaniem, ale również obserwowała go ukradkiem. Gdy przyglądała mu się otwarcie albo zbyt długo przestawała haftować, marszczył brwi, nie mógł się skupić i miał do niej pretensje. Czasem trudno było uwierzyć, że ten mężczyzna, z którym dzieliła się tym, co miała najbardziej osobistego, to ten sam człowiek, który kiedyś jej powiedział, że będzie się jeszcze zastanawiała, czy nie lepiej byłoby cierpieć głód niż pracować dla niego. Pozbawiony serca ksiązę Tresham.

Miał duszę artysty. Przez większość swego życia dusił muzykę w sobie. Jane nie widziała jeszcze żadnego dzieła jego pędzla, ale widząc, jak całkowicie oddaje się aktowi tworzenia, nie wątpiła, że ma przed sobą prawdziwego artystę. Gdzieś znikał wtedy jego cynizm i oschłość. Wyglądał młodziej, stawał się przystojniejszy.

I był uroczy.

Ale dopiero czwartego dnia, kiedy zaczął mówić, poznała jego prawdziwą naturę, ukrywaną pod maską wyniosłości, arogancji,

porywczosci, zlosliwosci, ktora przywdziewal przed swiatem przez cale swoje dorosle zycie.

Rozkoszowal sie nowym stanem zakochania, chociaz stale sie upominat, ze to tylko chwilowe, ze wkrótce przeminie i znów znajdzie sie na znajomym gruncie, na którym czul sie pewnie. Ale zarazem robilo mu sie smutno na mysl, ze Jane wyda mu sie kiedyś taką samą kobietą jak te, które mu sie kiedyś podobaly, a potem sie nimi znudzil, ze nadejdzie taka chwila, kiedy mysl o niej nie bedzie go przepelniala tą radością, która sprawiala, ze czul sie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

W miare uplywu dni coraz bardziej pociagala go fizycznie. Juz mu nie wystarczaly pospieszne zblizenia, takie jak na poczatku, zaczal uczyc ja - i siebie - innych, trwajacych dluzej i dajacych wieksza satysfakcje pieszczot. W ubieglym tygodniu mogl sie ciesyc igraszka mi łóżkowymi ze swoja nowa utrzymanka i poza tym wiec normalne zycie, jak dotychczas. Ale to nie byl ubiegly tydzien. To byl ten tydzien. Prawde mowiac podejrzewal, ze bylo im tak dobrze w sypialni, poniewaz oprócz tego laczylo ich wiele innych rzeczy.

Odważyl sie robic to, co robil jako chłopiec - gral na fortepianie, malowal, marzyl, nie ograniczal sie do myslenia wyłacznie o sprawach praktycznych. Malowanie dzialalo na niego ozywczu, a zarazem przygnębialo-co. Nie potrafil uchwycic tego, co stanowilo o

wyjątkowości Jane. W końcu doszedł do wniosku, że dzieje się tak być może dlatego, że za bardzo pragnie ją rozszyfrować i za dużo o tym myśli. I w ten sposób odkrył na nowo to, co kiedyś czuł intuicyjnie - że należy postrzegać nie tyle zmysłami czy rozumem, ale podświadomie. Nauczył się, że aby tworzyć, musi w pewien sposób pozwolić, by dzieło powstawało niezależnie od niego.

Nie zrozumiałby tego, gdyby kiedykolwiek spróbował to ująć słowami. Ale przekonał się, że słowa nie zawsze potrafią wyrazić to, co chciał powiedzieć. Nauczył się obywać bez słów.

Stopniowo kobieta, która stała się wielką obsesją jego życia, zaczęła przyoblekać się w kształty na płótnie.

Ale to dzięki słowom w czwarty wieczór tego tygodnia jego stosunki z utrzymanką przybrały nowy wymiar. Grał na fortepianie; ona śpiewała. Potem kazała podać podwieczorek; pili herbatę i chociaż nie rozmawiali, w pokoju panowała miła atmosfera. Siedzieli swobodnie po obu stronach kominka, ona patrzyła w ogień, a on na nią.

- W Acton Park były lasy - powiedział nagle, ni stąd ni zowąd. - Porośnięte lasami wzgórza tworzyły wschodnią granicę posiadłości. Dzikie, zaniedbane, zamieszkane przez leśne stworzenia i ptaki. Kiedyś, nim zmądrzałem, spędzałem tam długie godziny w samotności. I właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że nigdy nie uda mi się namalować drzewa, kwiatu czy nawet źdźbła trawy.

Uśmiechnęła się leniwie. Zauważył, że pierwszy raz w jego obecności położyła głowę na oparciu. - Dlaczego?- spytała.

- Przesuwałem dłońmi po pniach drzew, stawałem pod nimi i je obejmowałem. Trzymałem leśne kwiaty w dłoni, muskałem palcami źdźbła traw. Było tego za dużo, Jane. Zbyt wiele wymiarów. Mówię bez sensu, prawda?

Pokręciła głową i wiedział, że go zrozumiała.

- Nie potrafiłem nawet ogarnąć wszystkiego, co było do ogarnięcia - ciągnął. - Czułem się... jak można opisać to uczucie? Pełen uniesienia? Nie, to zupełnie niewłaściwe określenie. Czułem się tak, jakbym się znalazł w obecności jakiejś niezgłębionej tajemnicy. A najdziwniejsze było to, że wcale nie chciałem jej zgłębić. Skąd ten nagły brak ludzkiej ciekawości?

Ale nie pozwoliła mu kpić z samego siebie.

- Niektórym ludziom, a właściwie większości, wystarczają takie stosunki z Bogiem, kiedy opisują go słowami i zwracają się do niego słowami. Wszyscy tak postępują do pewnego stopnia. Ludzie posługują się słowami. Ale niektórzy odkrywają że Bóg to coś o wiele więcej, niż da się opisać wszystkimi słowami wszystkich języków i religii świata. Odkrywają bliskość Boga tylko w ciszy - w całkowitym niebycie. Porozumiewają się z Bogiem, rezygnując z wszelkich prób rozmowy.

- Do diabła, Jane - wykrzyknął. - Nawet nie wierzę w Boga.

- Większość tych ludzi nie wierzy w Boga - odparła. - A przynajmniej nie w takiego Boga, którego można nazwać, opisać słowami, wyobrazić sobie, jak wygląda.

Zaśmiał się.

- Myślałem, że bluźnię, wierząc, że szybciej znajdę Boga wśród wzgórz niż w kościele - przyznał. - Rozkoszowałem się bluźnierstwami.

- Opowiedz mi o Acton - poprosiła cicho.

I zrobił to. Opowiedział jej ze szczegółami o domu i parku, o bracie i siostrze, o służących, których miał jako dziecko, nie wyłączając swej niani, o swych zabawach, psotach, marzeniach, lękach. Na nowo przeżywał to, o czym wspomnienia dawno temu zepchnął do najdalszych zakamarków pamięci, gdzie - jak miał nadzieję - uległy całkowitemu zatarciu.

Potem zapadło milczenie.

- Jocelynie, niech to wszystko znów stanie się częścią ciebie - odezwała się Jane po chwili. - Bo tak jest, czy tego chcesz, czy nie. Kochasz Acton o wiele bardziej, niż się do tego przyznajesz.

- Pełno tam demonów, Jane - odparł. - Nie powinienem uwalniać żadnego z nich, a ty nie powinnaś być taką cierpliwą słuchaczką.

- Żaden z tych demonów nie wydaje mi się szczególnie groźny - zauważyła.

- Ach - westchnął. - Nie wiesz, co się za nimi kryje. - Wstał i

wyciągnął do niej rękę. - Chodźmy do sypialni. Pora, żebyś wywiązała się ze swoich obowiązków. - Ale uśmiechnął się, kiedy oczy jej się zaświeciły. - Pora, żebyś ty mnie zaprzęła do pracy. Zrobisz to, Jane? Do ciężkiej pracy fizycznej? Pokażę ci, jak mnie posiąść, i możesz wykorzystywać mnie dla swojej własnej przyjemności tak długo, jak zechcesz. Chodź i zajeżdź mnie na śmierć, spraw, żebym błagał cię o litość. Uczyni ze mnie swojego niewolnika.

- Co za nonsens! - Wstała i ujęła jego dłoń. - Nie mam ochoty czynić z ciebie niewolnika.

- Już to zrobiłaś, Jane - powiedział pokornie, patrząc na nią śmiejącymi się oczami. - I nie próbuj mi wmawiać, że moje słowa cię nie podniecają. Poznają to po rumieńcu na twojej twarzy i urywanym oddechu.

- Nigdy nie udawałam, że obowiązek nie może być też przyjemnością - odparła skromnie.

- W takim razie chodź i pozwól, że ci pokażę, o ile przyjemniej samej posiąść mężczyznę, niż zgadzać się, by to on zawsze posiadał ciebie. Pozwól mi pokazać, jak mnie zniewolić.

- Nie mam ochoty... - Ale nagle się roześmiała radośnie; lubił prowokować ją do takiego śmiechu. - Ty też nie jesteś moim panem i władcą Jocelynie. Dlaczego ja miałabym chcieć zostać twoją panią? Ale dobrze. Pokaż mi, jak cię ujarzmić. Czy tak, jak konia? Dość

dobrze jeźdź konno. I oczywiście trzeba im pokazać, kto jest panem.
Cudowne stworzenia.

Roześmiał się i wyprowadził ją z pokoju.

Skończył malować portret późnym popołudniem ostatniego dnia ich pierwszego wspólnego tygodnia. Wieczorem był zaproszony na obiad. Jane nie kryła rozczarowania, ale spodziewała się, że wróci do niej na noc. Jeden tydzień jej cennego miesiąca już minął. Zostały tylko trzy. Liczyła każdy dzień, każdą godzinę.

Wolała obserwować Jocelyna, kiedy malował, niż gdy grał na fortepianie. Grając, szybko zanurzał się we własnym świecie, w którym muzyka płynęła pozornie bez jego udziału. Sztalugi wymagały od niego większego wysiłku. Pochłonięty tworzeniem, marszczył brwi i mamrotał przekleństwa.

Ale wreszcie dokończył portret. Umył pędzel i rzucił.

- Cóż, podejrzewam, że jak tylko wychodziłem z domu, podglądałaś, co namalowałem.

- Nieprawda! - oburzyła się. - Jak w ogóle mogłeś tak pomyśleć, Jocelynie! Chyba tylko dlatego, że sam niewątpliwie zrobiłbyś coś takiego.

- Nie, gdybym dał słowo - powiedział. - Poza tym nie musiałbym ukradkiem podglądać. Zrobiłbym to jawnie. W takim razie chodź i obejrzyj. Zobacz, czy ci się spodoba.

- Już skończyłeś? - Ani słówkiem nie wspomniał, że zbliża się do końca dzieła. Wbiła igłę w tkaninę i zerwała się z fotela.

- Chodź i przekonaj się na własne oczy, że nie kłamałem, mówiąc, że tylko pacykuję - oświadczył, wzruszając ramionami, jakby obojętny był mu jej werdykt, i zaczął czyścić paletę.

Jane prawie bała się spojrzeć, bała się, że zobaczy dzieło kiepskiej jakości, które będzie musiała pochwalić, by go nie urazić. Chociaż wiedziała, że porwałby obraz na strzępy, gdyby nie powiedziała szczerze, co o nim sądzi.

W pierwszej chwili pomyślała, że ukazał ją w bardzo korzystnym świetle. Siedziała przy hafcie w eleganckiej pozie. Jej twarz namalował z profilu. Sprawiała wrażenie pochłoniętej zajęciem. Przypuszczała, że dobrze uchwycił podobieństwo i aż pokraśniała z zadowolenia.

Po dłuższym studiowaniu obrazu doszła do wniosku, że podobieństwo czy jego brak nie są tu najważniejsze. Nie patrzyła na portret, namalowany tylko po to, żeby przedstawiona na nim osoba mogła zachwycić się podobieństwem do siebie. Było tu coś więcej.

Kolory były żywsze, niż się tego spodziewała, chociaż kiedy przyjrzała im się baczniej, stwierdziła, że idealnie oddają barwy rzeczywistości. Lecz było tu jeszcze coś. Ściągnęła brwi. Nie wiedziała, co to takiego. Nigdy nie była znawczynią sztuki.

- A więc? - Dosłyszała w jego głosie zniecierpliwienie i nutkę

wyższości. A także lekką obawę? - Czy nie ukazałem cię wystarczająco piękną? Nie czujesz się przedstawiona korzystnie?

- Skąd...? - Znów ściągnęła brwi. Nie wiedziała dokładnie, o co chce zapytać. - Skąd się bierze to światło?

No właśnie. Był to piękny portret. Barwny i wysmakowany. Ale było w nim życie. I światło, chociaż nie wiedziała, skąd się bierze. Ależ tak! Ta pełna życia scenka odbywała się w świetle dnia.

- Ach - odezwał się cicho. - A więc udało mi się, Jane? Czy naprawdę to uchwyciłem? Istotę ciebie? Bo to światło bije od ciebie. To ty właśnie tak wpływasz na otoczenie.

Ale jak tego dokonał?

- Jesteś rozczarowana - zauważył.

Spojrzała na niego i pokręciła głową.

- Domyślam się, że nigdy nie miałaś nauczyciela rysunku. Przyszłemu księciu Tresham nie wypadało się uczyć rysunku. Jesteś pod każdym względem człowiekiem wyjątkowym” Jocelynie. Musisz się odważyć być taki, jakim byłeś w tym pokoju. Jesteś utalentowanym muzykiem i wybitnym malarzem. Powinieneś rozwijać te talenty nawet wówczas, gdy ja odejdę. Winny to jesteś zarówno sobie, jak i światu.

Ale on w sposób typowy dla siebie zwrócił uwagę na to, co dla niej było najmniej istotne.

- A więc zamierzasz mnie opuścić, Jane? - spytał. - Poszukać

czegoś lepszego? Odejść do kogoś, kto cię nauczy nowych sztuczek?

- Dlaczego miałabym cię opuścić, skoro warunki naszej umowy są dla mnie tak korzystne. Może to ty mnie zostawisz? - spytała szybko.

- Oczywiście nieuchronnie to zrobię - oświadczył ironicznie, patrząc na nią spod zmrużonych powiek. - Zwykle tydzień czy dwa trwa całkowite zauroczenie, Jane, potem następuje kilka tygodni, kiedy zainteresowanie słabnie, a w końcu dochodzi do ostatecznego zerwania stosunków. Od jak dawna jestem już tobą zauroczony?

- Chciałabym mieć czas na inne zajęcia niż tylko haftowanie - powiedziała i wróciła na swój fotel. Zwinęła jedwabne nici i włożyła je do koszyczka na robótki. - Ogród wymaga jeszcze pracy. Jest tyle książek do przeczytania. I mam do napisania kilka listów. Przypuszczam, że gdy twoje zainteresowanie mną osłabnie, stwierdzę, że moje dni są bogatsze i wypełnione po brzegi ciekawymi zajęciami.

Roześmiał się cicho.

- W tym pokoju mieliśmy się nie kłócić, Jane.

- A ja myślałam, że księciu Tresham nie wolno tu wchodzić - odpowiedziała cierpko. - Wydaje mi się, że uzgodniliśmy, iż nie będziemy tu wpuszczać tego niemiłego aroganta. Cóż to w ogóle za pomysł mówić mi, kiedy mogę się spodziewać, że twoje zainteresowanie mną osłabnie i jak długo powinnam potem oczekiwać twoich wymuszonych wizyt. Przyjdź tu z taką miną,

jakbyś uważał, że robisz mi łaskę, Jocelynie, a uwierz, nawet nie zauważysz, kiedy cię stąd wyrzucę. Pamiętaj, że muszę wyrazić zgodę na to, żebyś mnie tknął choćby palcem.

- A więc podoba ci się portret? - spytał potulnie.

Odstawiła koszyk na przybory do szycia i spojrzała z irytacją na Jocelyna.

- Czy zawsze musisz próbować mi dokuczyć, kiedy czujesz się bezbronny? - spytała. - Bardzo mi się podoba. Bardzo mi się podoba, ponieważ ty go namalowałeś i ponieważ będzie mi przypominał ten tydzień. Przypuszczam, że gdybym wiedziała więcej o malarstwie, też by mi się podobał, ponieważ to prawdziwe dzieło sztuki. Bo moim zdaniem to jest wielkie dzieło sztuki, Jocelynie. Ale będziesz musiał zapytać znawcy. Czy ten obraz należy do mnie? Mogę go zatrzymać? Na zawsze?

- Jeśli chcesz, Jane - powiedział. - Chcesz?

- Naturalnie, że chcę. A teraz lepiej już idź, bo spóźnisz się na swój obiad.

- Obiad? - Zmarszczył czoło, a po chwili sobie przypomniał. - Ach, obiad. Do diabła z nim. Zostanę tutaj i zjem z tobą, Jane.

A więc spędzi jeszcze jeden wieczór razem z nim.

Po obiedzie popijali herbatę, on czytał jej *Mansfield Park*, a ona odpoczywała w fotelu. Potem siedzieli jakiś czas w milczeniu, nim znów zaczął jej opowiadać o swym dzieciństwie, tak jak to robił

przez dwa ostatnie wieczory. A kiedy zaczął mówić, nie potrafił przestać.

- Uważam, że powinieneś tam wrócić, Jocelynie - oświadczyła, kiedy urwał na chwilę. - Tak, musisz tam wrócić.

- Do Acton? Nigdy! Dopiero na swój pogrzeb.

- Mówisz o Acton z taką miłością - powiedziała. - Ile miałeś lat, kiedy stamtąd wyjechałeś?

- Szesnaście - odparł. - I przysiągłem sobie, że moja noga nigdy więcej tam nie postanie. Dotrzymałem słowa. Pojechałem tam tylko dwa razy, na pogrzeby swych rodziców.

- Musiałeś wtedy jeszcze chodzić do szkoły - powiedziała.

- Tak.

Nie zadała pytania. Jakie to typowe dla Jane. Nie była wścibska. Ale równie dobrze pytanie to mogłoby zostać wykrzywane pełnym głosem. Tymczasem Jane, przed którą tak się otworzył w ciągu ostatniego tygodnia, siedziała cicho i czekała.

- Jeśli ci o tym opowiem, będziesz żałowała, że ci się zwierzyłem - przestrzegł.

- Wydaje mi się, że chcesz się tym z kimś podzielić - stwierdziła.

Tylko tyle powiedziała. Patrzył w ogień i przypomniał sobie swoją inicjację. Moment, kiedy stał się takim człowiekiem, jak jego ojciec. I dziadek. Prawdziwym Dudleyem. Mężczyzną.

- Miałem szesnaście lat i byłem zakochany w czternastoletniej

córcie sąsiadów - zaczął. - Przysięgliśmy sobie dozgonną miłość i wierność. Raz udało mi się nawet przydybać ją samą i pocałować w usta. Pocałunek trwał całe trzy sekundy. To była wielka miłość, Jane.

- Nie należy sobie kpić z własnych młodzieńczych uczuć - oświadczyła w odpowiedzi na jego ironiczny ton, jakby była osiemdziesięcioletnią matroną - Miłość to poważna sprawa, często sprawiająca cierpienie i młodym, i starym. Nawet bardziej ludziom młodym. Jesteśmy wtedy tacy niewinni.

- Mój ojciec dowiedział się o wszystkim i bardzo go to zaniepokoiło - ciągnął. - Chociaż niewątpliwie gdyby trochę zaczekał, dwa czy trzy miesiące później wdychałbym już do innej panny. Dudleyowie z natury nie są stali w uczuciach, Jane - a nawet jeśli zainteresują się kimś dłużej, kierują się jedynie pożądaniem.

- Zabronił wam się spotykać?- spytała.

- W Acton jest mały domek. - Położył głowę na oparciu i zamknął oczy. - Wspomniałem ci o nim już wcześniej, Jane. I jego mieszkankę, ubogą krewną, dziesięć lat ode mnie starszą.

- Tak - potwierdziła.

- Niedaleko domku jest staw. Niezwykle romantyczny. Na uboczu, u stóp wzgórza, w jego wodach odbija się zieleń drzew, wkoło rozbrzmiewa śpiew ptaków. Często chadzałem tam latem, wolałem kąpać się w stawie niż w jeziorze bliżej naszego domu. Pewnego razu zobaczyłem ją jak kąpała się, mając na sobie jedynie

cienką koszulę.

Jane nic nie powiedziała, kiedy urwał.

- Była speszona, kiedy wyszła na brzeg, wyglądała, jakby nic na sobie nie miała - ciągnął. - Ale potem zaczęła się śmiać i żartować. Potrafisz to sobie wyobrazić, Jane? Doświadczona kurtyzana, której natura niczego nie poskąpiła, i niewinny chłopak? Za pierwszym razem nawet nie poszliśmy do domku. Zrobiliśmy to na trawie nad stawem. Zorientowałem się, co się stało, kiedy już było po wszystkim. Sądzę, że trwało to nie dłużej niż pół minuty. Uważałem się za wielkiego chwata.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że Jane siedzi ze spuszczoneym wzrokiem.

- Była moją pierwszą obsesją. - Zachichotał. - Następnego dnia poszedłem do domku, i następnego też. Za trzecim razem więcej się napracowałem, szybko się nauczyłem, że cała przyjemność może trwać znacznie dłużej niż trzydzieści sekund. Byłem dumny i zmęczony, kiedy wreszcie skończyłem demonstrować swoją jurność. I wtedy przemówiła, Jane, zupełnie normalnie, rozbawionym tonem. „Jest pojętnym i niezwykle obiecującym uczniem”- oznajmiła. „Wkrótce to on zacznie mnie uczyć różnych sztuczek”. Nim zdążyłem podnieść głowę, żeby na nią spojrzeć i zrozumieć, cóż to ma znaczyć, usłyszałem inny głos. Dobiegał z progu sypialni i należał do mojego ojca. „Bardzo dobrze się spisałaś, Phoebe”- pochwalił ją

„Dobrze brykał ci między nogami”. Roześmiał się, kiedy jak oparzony wyskoczyłem z łóżka. Stał, opierając się o framugę, jakby był tam już od pewnego czasu. Oczywiście patrzył i oceniał moje wyczyny, prawdopodobnie mrugając porozumiewawczo do swojej utrzymanki i śmiejąc się oblesnie. „Nie ma się czego wstydzić”- powiedział. „Każdy mężczyzna powinien to zrobić pierwszy raz z kobietą doświadczoną. Mój ojciec zadbał o to, kiedy ja byłem młody; teraz ja się o to postarałem. A nie ma lepszej mistrzyni w tych sprawach od Phoebe, chociaż dziś spotkałeś się z nią ostatni raz, mój chłopcze. Od tej chwili nie wolno ci z nią baraszkować. Nie mogę pozwolić, żeby mój syn zabawiał się z moją kochanką, prawda?”

- Och - krzyknęła cicho Jane, przywracając Jocelyna rzeczywistości.

- Zabrałem swoje ubranie i wybiegłem z domku na wpół nagi. Ogarnęły mnie mdłości. Częściowo dlatego, że mój ojciec oglądał mnie w intymnej sytuacji, a częściowo dlatego, że zabawiałem się z jego utrzymanką a on to wszystko zaaranżował. Do tej pory nawet nie wiedziałem, że ma kochankę. Przypuszczałem, że matka i ojciec dochowują sobie wierności. Nigdy nie było bardziej naiwnego chłopaka ode mnie, Jane.

- Biedactwo - szepnęła cicho.

- Nawet nie mogłem spokojnie wymiotować. - Roześmiał się szorstko. - Mój ojciec nie przyjechał sam. Sprowadził sąsiada, ojca

dziewczyny, w której byłem zakochany. Mój ojciec wyszedł tuż za mną by opowiedzieć mi o wszystkim ze szczegółami. Uważał to za świetny żart. Chciał nas obu zabrać do wiejskiej gospody, by uczcić moją inicjację kuflem piwa. Posłałem go do wszystkich diabłów, potem w domu powtórzyłem to samo. Następnego dnia wyjechałem z Acton.

- I do tej pory poczuwasz się do winy za to, co się stało? - spytała Jane. Zobaczył, że wstała z fotela i stoi przed nim. Zanim zrozumiał, co zamierza zrobić, usiadła mu na kolanach i przytuliła się do niego. Odruchowo objął ją ramionami.

- Czułem się, jakbym dopuścił się kazirodztwa - wyznał. - Ona była kochanką mojego ojca, Jane.

- Byłeś zdany na łaskę bezwzględnego mężczyzny z jednej strony i doświadczonej kurtyzany z drugiej - odparła. - Nie było twojej winy w tym, co się stało.

- Byłem zakochany w młodej, niewinnej dziewczynie - oświadczył. - A jednak nie poświęciłem jej ani jednej myśli, kiedy baraszkowałem z kobietą dziesięć lat ode mnie starszą, którą uważałem za swoją krewną. Jednak dzięki temu wydarzeniu dokonałem ważnego odkrycia, Jane. Zrozumiałem, że jestem nieodrodnym synem swego ojca.

- Jocelynie, miałaś szesnaście lat - zwróciła mu uwagę. - Musiałbyś być tytanem, by oprzeć się takiej pokusie. Nie możesz się winić

za to, co się stało. Już nie. Tamto wydarzenie wcale nie świadczy, że jesteś zdemoralizowany. W najmniejszym stopniu.

- Zajął mi kilka lat udowodnienie tego - oświadczył.

- Jocelynie. - Jane bawiła się guzikami jego kamizelki. - Powiedz mi coś. Czy kiedy będziesz miał syna, zrobisz mu coś takiego pewnego dnia? Postarasz się, żeby inicjacji dokonał z jedną z twoich utrzymanek?

Wolno zaczerpnął powietrza i wyobraził sobie to - najdroższą mu istotę, która będzie jego synem, krew z jego krwi, kość z jego kości, i kobietę, z którą będzie zaspokajał swoje chucie, zamiast pozostać wiernym żonie. Jak baraszkują razem w łóżku, a on się temu przygląda.

- Szybciej wydarłbym sobie serce z piersi - powiedział. - Serce, którego nie mam.

- W takim razie nie jesteś taki, jak twój ojciec - odparła. - Ani dziadek. Jesteś sobą. Byłeś wrażliwym, romantycznym chłopcem o artystycznej duszy, któremu nie pozwolono robić tego, co kochał, i którego w końcu bezwzględnie wykorzystano. To wszystko, Jocelynie. Pozwoliłeś, by te wydarzenia wpłynęły na twoją przyszłość. Ale przed tobą jeszcze wiele lat życia. Wybacz sobie.

- Tamtego dnia straciłem ojca - stwierdził. - Wkrótce straciłem matkę, kiedy przyjechałem do Londynu i poznałem prawdę o niej.

- Tak. - Smutno pokiwała głową. - Ale im też wybacz. Zostali

uksztaltowani przez wychowanie, jakie odebrali, i własne doświadczenia życiowe. Kto wie, jakie demony nosili w sobie? Rodzice są nie tylko rodzicami. Są również ludźmi. Słabymi, jak my wszyscy.

Bawił się jej włosami.

- Skąd w tobie tyle mądrości?

Przez chwilę nie odpowiadała.

- Zawsze łatwiej oceniać życie innych - powiedziała - szczególnie tych, na których nam zależy.

- A więc zależy ci na mnie, Jane? - spytał, całując ją w czubek głowy. - Nawet teraz, kiedy poznałaś najwstrętniejsze szczegóły z mojej przeszłości?

- Tak, Jocelynie - przyznała się. - Zależy mi.

Te słowa sprawiły, że coś w nim pękło. Nawet nie wiedział, że płacze, póki nie poczuł łez, kapiących na jej włosy. Zamarł z przerażenia. Ale Jane nie pozwoliła mu się odepchnąć. Wolną ręką objęła go za szyję i mocniej przywarła do niego. I tak łkał żałośnie, trzymając ją w ramionach, a potem musiał poszukać chusteczki, by wydmuchać nos.

- Niech to wszyscy diabli, Jane - zaklął. - Niech to wszyscy diabli.

- Powiedz mi, czy masz jakieś dobre wspomnienia o swoim ojcu?

- spytała.- Jakiegokolwiek?

Chyba nie! Ale kiedy się zastanowił, przypomniał sobie, jak

ojciec uczył go jeździć na kucyku i grał w krykieta z nim i z Ferdynandem.

- Grywał z nami w krykieta - odparł - od czasu kiedy wyrosliśmy na tyle, by wymachiwać w powietrzu kijami i wybijać piłkę na odległość całych piętnastu centymetrów. Musiało to być dla niego równie pasjonujące, jak przyglądanie się rosnącej trawie.

- Zapamiętaj te chwile - powiedziała. - Przypomnij sobie więcej takich wydarzeń. On nie był potworem, Jocelynie. Nie był też zapewne człowiekiem sympatycznym, chyba bym go nie polubiła. Ale mimo wszystko nie był potworem, tylko zwyczajnym człowiekiem. I nawet kiedy tak okrutnie z tobą postąpił, myślał, że robi coś niezbędnego dla twojej edukacji.

Znów pocałował Jane w czubek głowy i pogrążyli się w milczeniu.

Właściwie nie mógł uwierzyć, że w końcu opowiedział jej o tym. Kobiecie, w dodatku własnej utrzymance. Ale poczuł się dziwnie dobrze. Te okropne, odrażające wydarzenia przestały być tak straszne, kiedy się z nich zwierzył. I sam sobie nie wydawał się już taki odrażający. Nawet ojca przestał uważać za odrażającego.

Odczuwał dziwną ulgę.

- To okropne być we władzy demonów, które nie dają nam spokoju, Jane - powiedział w końcu. - Ciebie chyba nie prześladują żadne?

- Nie - odpowiedziała po tak długim milczeniu, że myślał, że w ogóle mu nie odpowie. - Żadne.

- Pójdziemy na górę? - spytał ją, wzdychając niemal z ulgą. - Żeby położyć się spać, Jane? O ile sobie przypominam, ostatniej nocy niemal nie zmrużyliśmy oka? Więc może teraz chodźmy po prostu spać?

- Dobrze - zgodziła się.

Omam nie roześmiał się głośno. Szedł do sypialni ze swoją kochanką żeby położyć się spać.

Jego ojciec przewróciłby się w grobie.

Rozdział 18

Rano jak zwykle poszedł prosto do Dudley House, żeby się wykapać, ogolić i przebrać, a potem do klubu, by poświęcić się porannym zajęciom. Ale jak tylko przekroczył próg domu, natknął się na Hawkinsa. Kamerdyner miał wielce zaaferowaną minę. Poinformował księcia, że pan Quincy chciałby zamienić słówko z jego książęcą mością I to możliwie jak najszybciej.

- Niech za pół godziny przyjdzie do biblioteki - powiedział Jocelyn, idąc na górę. - I przyślij do mnie Barnarda. Uprzedź go, że nie chodzi o spotkanie towarzyskie, Hawkins. Będę potrzebował gorącej wody i przyborów do golenia.

Pół godziny później do biblioteki wszedł Michael Quincy. Jocelyn już na niego czekał.

- A więc? - Spojrzał na sekretarza, uniósłszy brwi. - Jakież kłopoty w Acton?

- Wasza książęca mość, przyszedł pewien osobnik - wyjaśnił sekretarz. - Czeka w kuchni od dwóch godzin. Odmawia opuszczenia domu.

Jocelyn uniósł brwi i założył ręce do tyłu.

- Naprawdę? - spytał. - Czy nie zatrudniam dość lokajów, by wzięli tego... tego osobnika za fraki i wyrzucili go? Czy sam mam to zrobić? Czy dlatego informujesz mnie o tej sprawie?

- Pytał o pannę Ingleby wasza książęca mość - wyjaśnił Quincy Jocelyn znieruchomiał.

- O pannę Ingleby?

- To detektyw z Bow Street - oznajmił sekretarz. Jocelyn wpatrywał się w niego ze zdumieniem.

- Hawkins skierował go do mnie - wyjaśnił Quincy - Powiedziałem, że nic mi nie wiadomo o żadnej pannie Ingleby. Oświadczył, że w takim razie zaczeka, żeby porozmawiać z panem. Kiedy mu powiedziałem, że może czekać nawet tydzień, nim znajdzie pan dla niego wolną chwilę, odparł, że zaczeka tydzień. Jest w kuchni, wasza książęca mość, i nie ma zamiaru wyjść.

- Ma pytania, dotyczące panny Ingleby. - Jocelyn zmrużył oczy. - Lepiej przyprowadź go tu, Michael.

Mick Boden nie czuł się najlepiej. Bardzo rzadko obowiązki zmuszały go do przekraczania progów którejs z okazałych rezydencji w May-fair. Prawdę mówiąc, odczuwał pełen nabożeństwa respekt do arystokracji. A właścicielem Dudley House był książę Tresham, o którym mówiono, że nawet równi mu urodzeniem boją się z nim zadzierać.

Ale wiedział, że jest blisko celu. Wszyscy służący kłamali jak z nut. Żaden z nich nie znał jakoby panny Jane Ingleby, nie wyłączając sekretarza jego książęcej mości, którego Mick Boden w pierwszej

chwili wziął za samego księcia, takie miał wielkopańskie maniery.

Mick wiedział, kiedy ludzie kłamią. I wiedział, dlaczego to robią. Wcale nie dlatego, by kogoś chronić czy ukrywać, ale dlatego, że cenili swoją pracę. I widocznie jednym z warunków utrzymania posady był surowy zakaz rozmawiania z obcymi o mieszkańcach domu, nawet o innych służących. Potrafił to uszanować.

W końcu kamerdyner, który miał zwyczaj wciągania powietrza nosem, jakby w ten sposób odkrywał obecność zwykłych śmiertelników, pojawił się w kuchni i pogardliwie spojrzał na Micka.

- Proszę za mną - powiedział.

Mick podążył za nim. Wszedłszy po stromych stopniach, znalazł się przed obitymi sukniem drzwiami, za którymi był hol. Okazałość głównej części domu aż zaparła mu dech w piersiach, chociaż starał się nie okazywać, jakie zrobiła na nim wrażenie. Czekał tam na niego sekretarz.

- Jego książęca mość poświęci panu pięć minut - oznajmił. - Zaprowadzę pana do biblioteki. Będę czekał pod drzwiami, by po spotkaniu odprowadzić pana do wyjścia.

- Dziękuję panu - powiedział Mick Boden.

Był trochę zdenerwowany ale z determinacją wszedł do biblioteki, gdy kamerdyner otworzył mu drzwi. Zrobił sześć kroków i stanął w szerokim rozkroku. W obu dłoniach ścisnął kapelusz. Grzecznie kiwnął głową. Nie uklonił się.

Książę - przypuszczał, że tym razem ma przed sobą księcia - stał przed ozdobnym, marmurowym kominkiem, założywszy ręce do tyłu. Miał na sobie strój do konnej jazdy, tak dobrze uszyty, że Mick od razu zrozumiał jak nędzne jest jego własne ubranie, którego elegancją tak się szczycił. Książę przyglądał mu się oczami tak ciemnymi, że Mick przysięgłby, iż są czarne.

- Ma pan do mnie kilka pytań - odezwał się książę. - Jest pan detektywem z Bow Street?

- Tak, proszę pana. Nazywam się Mick Boden. - Mick powstrzymał się od ponownego pochylenia głowy. - Poinformowano mnie, że zatrudnia pan niejaką pannę Jane Ingleby.

- Naprawdę? - Jego książęca mość uniósł brwi i rzeczywiście wyglądał bardzo złowrogo. - A mogę spytać, kto udzielił panu takiej informacji?

- Madame de Laurent, proszę pana - powiedział Mick Boden. - Modystka. Zatrudniała pannę Ingleby miesiąc temu, kiedy ta młoda dama zrezygnowała z pracy u niej i oznajmiła, że znalazła sobie zajęcie u pana.

- Naprawdę? - Książę zmrużył oczy. - A dlaczego interesuje się pan panną Ingleby?

Mick się zawahał, ale tylko na chwilę.

- Jest poszukiwana za popełnienie szeregu haniebnych zbrodni - odparł.

Jego książęca mość zacisnął palce na monoklu, ale nie uniósł go do oka.

- Szeregu haniebnych zbrodni? - powtórzył.

- Za kradzież, proszę pana - wyjaśnił Mick. - I morderstwo.

- Fascynujące - powiedział książę bardzo cicho i Mick, dobrze znający się na ludziach, nie miał cienia wątpliwości, że potrafi być rzeczywiście bardzo niebezpieczny. - Cóż to za nonsens?

- Nie, proszę pana - powiedział szybko Mick. - To prawda. Ta kobieta wcale nie nazywa się Jane Ingleby. W rzeczywistości to lady Sara Illingsworth, która zamordowała pana Sidneya Jardine'a, syna hrabiego Durbury i spadkobiercę tytułu, a potem uciekła z pieniędzmi i biżuterią hrabiego. Może pan słyszał o tej sprawie. Jane Ingleby jest uciekinierką i uważam, że ukrywa się w tym domu.

- Mój Boże - powiedział książę po krótkiej chwili milczenia. - Domyślałem się, że mam szczęście, skoro nie obudziłem się pewnego ranka z podciętym gardłem.

Mick poczuł głęboką satysfakcję. W końcu! Książę Tresham niemal przyznał, że poszukiwana jest w Dudley House.

- Czy jest tutaj, proszę pana? - spytał.

Książę założył monokl na oko.

- Była - powiedział. - Zatrudniłem pannę Ingleby na okres trzech tygodni jako swoją pielęgniarkę, ponieważ zostałem postrzelony w nogę. Opuściła Dudley House dwa tygodnie temu. Musi pan gdzie

indziej kontynuować swoje poszukiwania. Zdaje się, że pan Quincy czeka w holu, by odprowadzić pana do wyjścia.

Ale Mick Boden jeszcze nie skończył rozmowy.

- Czy może mi pan powiedzieć, dokąd się udała? - spytał. - To bardzo ważne. Hrabia Durbury jest pogrążony w głębokiej żałobie i nie zazna chwili spokoju, dopóki zabójcy jego syna nie stanie przed sądem.

- A klejnoty nie wrócą do sejfu w Candleford - dodał książę. - Panna Ingleby była tu służącą. Czy muszę wiedzieć, dokąd odchodzą służące mi osoby, kiedy przestają u mnie pracować? - Znów z wyniosłą miną uniósł brwi.

Mick widział, że znalazł się w ślepych zaułku. A był już tak blisko celu.

- To wszystko? - spytał książę. - Przesłuchanie skończone? Wyznam, że chciałbym już zjeść śniadanie.

Mick miał ochotę zadać więcej pytań. Czasem, nawet kiedy ludzie nie zatajają rozmyślnie jakiejś informacji, wiedzą więcej, niż sobie to uświadamiają. Może dziewczyna coś wspomniała o swoich dalszych zamiarach, zwierzyła się pokojówce lub kucharce. Ale sam przyznał, że to mało prawdopodobne. Wiedziała, że musi być ostrożna. Niewątpliwie słyszała, pracując w tym domu, że jest poszukiwana.

- A więc? - To krótkie pytanie zadane zostało z arogancją i naciskiem.

Mick znów skłonił głowę, pożegnał się z księciem Tresham i wyszedł. Sekretarz księcia odprowadził go do drzwi frontowych i detektyw znalazł się na Grosvenor Square, czując, że wrócił do punktu wyjścia.

Chociaż może niezupełnie.

Słyszał o pojedynku, zanim Madame de Laurent o nim wspomniała. Księżę Tresham został postrzelony w nogę i unieruchomiony na trzy tygodnie. Jego przyjaciele prawdopodobnie przez ten czas zdążyli wydeptać ścieżkę do jego domu, by dotrzymać mu towarzystwa. Dziewczyna była pielęgniarką. Z pewnością któryś z gości ją widział. Być może niektórzy okażą się bardziej rozmowni od księcia.

Doszedł do wniosku, że wcale nie znalazł się w ślepej uliczce. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Znajdzie ją.

Wszystkie dowody miałem przed sobą jak na dłoni, myślał Jocelyn, stojąc w oknie biblioteki i patrząc, jak detektyw z Bow Street wolno idzie przez plac. Tuż przed oczami, a nie widziałem ich.

Najwyraźniej odebrała staranne wychowanie. Od początku zwrócił uwagę na to, że jest damą w każdym calu, tylko nie ubierała się jak dama. Mówiła z wytwornym akcentem; nosiła się dumnie i z gracją; umiała pisać i czytać; grała na fortepianie dobrze, nawet jeśli

brakowało jej polotu; wspaniale śpiewała - miała wyszkolony głos i znała takich kompozytorów, jak Handel; potrafiła wydawać polecenia służbie i organizować ich pracę; nie onieśmielali jej ludzie utytułowani, jak on, chociaż z natury był apodyktyczny.

Czy choć przez chwilę wierzył w jej opowieść, że wychowała się w sierocińcu? Może na początku. Ale od jakiegoś czasu domyślał się, że Jane nie mówi mu prawdy o swojej przeszłości. Nawet zastanawiał się, dlaczego. Doszedł do wniosku, że było coś w jej przeszłości, czym nie chciała się z nikim dzielić. Nigdy nie był zanadto ciekaw tajemnic, które ludzie woleli zachować dla siebie.

Lady Sara Illingsworth.

Nie Jane Ingleby, tylko lady Sara Illingsworth.

Zmrużył oczy, patrząc na teraz pusty plac.

Cały czas błędnie interpretował najważniejszy dowód - jej niechęć do pokazywania się w miejscach publicznych. Nie wychodziła z Dudley House, kiedy tu pracowała; nie chciała opuszczać domu, w którym teraz mieszkała. Z wielkimi oporami zgodziła się zaśpiewać dla jego gości. Woląca zostać jego utrzymanką niż zdecydować się na niewątpliwie wspaniałą karierę śpiewaczki.

Myślał, że się wstydzi, najpierw tego, co ludzie pomyślą o jej związku z nim, a potem tego, jaka naprawdę jest natura ich znajomości. Ale nie okazywała innych oznak wstydu. Negocjowała warunki tej głupiej umowy, zachowując trzeźwość i praktyczność.

Zmieniła wystrój domu, ponieważ nie chciała się czuć jak ladacznica w burdelu. Z godnością pogodziła się ze swym losem tamtego popołudnia, kiedy dopełnili ich związku, nie było łez, później też nie zauważył u niej żadnych oznak wyrzutów sumienia.

Powinien zrozumieć, że bała się pokazywać publicznie, żeby nie być rozpoznana i zatrzymana. Po prostu nie dostrzegł najważniejszego - że się ukrywała.

Że jest poszukiwana za kradzież i morderstwo.

Odszedł od okna, przeszedł przez pokój i położył dłonie płasko na dębowym biurku.

‘ Ani trochę nie przejmował się tym, że w gruncie rzeczy ukrywa uciekinierkę. Twierdzenie, że jest niebezpieczna, było absolutnym nonsensem. Ale nie mógł się pogodzić z tym, że tak późno dowiedział się, kim naprawdę jest Jane.

Zaproponowanie sierocie bez grosza, a nawet biednej, ale szlachetnie urodzonej kobiecie, by została utrzymanką, stanowiło rzecz w pełni dopuszczalną. Ale złożenie takiej propozycji córce hrabiego to zupełnie co innego. Może nie powinno tak być. Może gdyby żyli w idealnym świecie, w którym wszyscy ludzie są równi, nie byłoby różnicy.

Ale nie żyli w idealnym świecie.

I różnica była niezwykle istotna.

Pozbawił wianka lady Sarę Illingsworth, córkę zmarłego hrabiego

Durbury z Candleford w Kornwalii.

W tej chwili nie czuł się dobrze usposobiony do lady Sary Illingsworth.

A niech ją. Walnął pięścią w biurko i zacisnął zęby. Powinna mu powiedzieć. Poprosić o pomoc. Czyż nie wiedziała, że był właśnie takim człowiekiem, przed którym mogła otwarcie przyznać się do najgorszego, nie bojąc się, że księżę rozgniewa się i pośle po policję? Nie rozumiała, że w największej pogardzie miał takich mężczyzn, jak Jar-dine? Do diabła! Znów uderzył pięścią w drewniany blat. Co ten łobuz zrobił, że musiała go zabić - jeśli rzeczywiście nie żył? Co od tamtej pory przeżyła Jane, czując się winna śmierci człowieka, przerażona i zupełnie sama?

Niech ją wszyscy diabli! Nie ufała mu na tyle, żeby się zwierzyć.

Zamiast tego założyła mu kajdany i wyrzuciła klucz. Nawet jeśli zrobiła to nieświadomie - a niewątpliwie nie miała zamiaru go usidlić, skoro tak mało mu ufała - nie zmienia to stanu rzeczy.

Trudno mu będzie jej to wybaczyć.

Przeklęta kobieta!

I jeszcze coś. O tak, jeszcze coś. Ostatniego wieczoru otworzył przed nią duszę, jak nigdy przed nikim. Tak bardzo jej ufał.

Ale ona nie odwzajemniała tego zaufania. Odkąd spojrział na nią po raz pierwszy, musiała cierpieć nieznośne męczarnie. A jednak wszystko przed nim ukryła. Nawet ostatniej nocy.

To okropne mieć demony które nie dają nam spokoju, Jane, powiedział jej. Przypuszczam, że ciebie nie prześladują żadne, prawda?

Nie, odpowiedziała. Żadne.

A niech ją!

Jeszcze raz uderzył pięścią w biurko, aż kałamarz podskoczył w srebrnym uchwycie.

Jocelyn spędził dzień w klubach, na ringu bokserskim Jacksona, na strzelnicy, na wyścigach. Obiad zjadł w klubie White'a, a potem przez parę godzin męczył się na nudnym wieczorku. Jego siostra stwierdziła, że stał się zupełnym odludkiem, i oznajmiła, że namówiła Heywarda, by zabrał ją latem na kilka tygodni do Brighton, by mogła pokręcić się wśród znajomych regenta i zakosztować rozrywek w książęcym pałacu. Ferdynand też uważał, że jego brat zdziwaczał.

- Czy wiesz o tym, Tresham - powiedział oburzony - że bracia Forbesowie wciąż się ukrywają a jednak rozpuszczają pogłoski, że to ty boisz się spotkać z nimi? Nie mówię już o tym, że o mnie gadają jakoby chował się za plecami starszego brata. Co zamierzasz z nimi zrobić? Chciałbym to wiedzieć. Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek zwlekał z decyzją. Jeśli nie pojawią się w mieście w ciągu tygodnia, sam wyruszę na ich poszukiwanie. I do diabła z twoimi wyniosłymi uwagami, że to nie moja sprawa. To mnie chcieli

zabić.

Jocelyn westchnął. Rzeczywiście zwlekał. Zauroczyła go kobieta.

- A mnie chcieli upokorzyć - przypomniał. - Rozprawię się z nimi, Ferdynandzie. Już wkrótce. - Nie chciał więcej o tym mówić.

Przez ostatni tydzień zabawiał się ze swoją kochanką rozmawiając, czytając, brzdąkając na fortepianie, pacykując na płótnie i pozwolił, by jego reputacja doznała uszczerbku. Tak nie może być.

Dopiero późnym wieczorem w końcu został sam z Broughamem i Kimble'em. Szli razem do klubu White'a po wieczornym przyjęciu.

- Czy żaden z was przypadkiem nie wspomniał nikomu, jak się nazywa moja utrzymanka? - spytał.

- Do diabła, Tresham. - Brougham był wyraźnie dotknięty do żywego. - Musisz pytać, skoro prosicie nas, żebyśmy zachowali to dla siebie?

- Skoro pytasz, Tresh - powiedział Kimble ze złowrogim spokojem - może powinienem cię wyzwać. Ostatnio bardzo się zmieniłeś. Ale to było chyba pytanie retoryczne?

- Pewien człowiek - wyjaśnił Jocelyn - detektyw z wybrylantowanymi włosami i w okropnych ubraniach, ale o przenikliwych oczach, najprawdopodobniej wkrótce zacnie was wypytywać o pannę Jane Ingleby.

- Detektyw z Bow Street? - Brougham przystanął.

- O pannę Ingleby? - Nawet mimo panujących ciemności widać było, jak Kimble ściąga brwi.

- Czyli lady Sarę Illingsworth - oświadczył Jocelyn. Przyjaciele patrzyli na niego w milczeniu.

- Do was też się zgłosi w tej sprawie - dodał Jocelyn.

- Panna Jane Ingleby? - Kimble przybrał obojętną minę. - Nigdy o niej nie słyszałem. A ty, Cone?

- O kim? - Brougham ściągnął brwi.

- Nie, nie - powiedział cicho Jocelyn i znów ruszył ulicą. - Wiadomo, że pielęgnowała mnie, kiedy dochodziłem do siebie po pojedynku. Przyznałem się do tego dziś rano, kiedy ten człowiek pojawił się w mojej bibliotece, za wszelką cenę starając się nie mieć służalczej miny. Pracowała u mnie przez trzy tygodnie. Potem odeszła. Ale czy muszę śledzić, co robią moi dawni służący?

- A miałaś taką służącą? - spytał beztrosko Brougham. - Muszę wyznaczyć, że nie zauważyłem, Tresham. Ale na ogół nie zwracam uwagi na służących.

- Czy to ta, która śpiewała na wieczorku u ciebie, Tresh? - spytał Kimble. - Ładny głos, jeśli ktoś gustuje w takiej muzyce. I całkiem miła dziewczyna, jeśli ktoś gustuje w pannach ze wsi w muślinowych sukienkach. Wszystkie damy były w atłasach, z piórami we włosach, obwieszane klejnotami. Co się z nią stało?

- Dziękuję - powiedział szybko Jocelyn. - Wiedziałem, że mogę

na was liczyć.

- Ale, Tresham, co naprawdę spotkało Jardine'a? - spytał Brougham poważnym głosem. - Nie każesz nam chyba wierzyć, że lady Sara zamordowała go z zimną krwią ponieważ przyłapał ją na kradzieży.

Kimble prychnął drwiąco.

- Nie wiem, co się stało - odparł Jocelyn przez zaciśnięte zęby. - Nie była łaskawa mi się zwierzyć. Ale wiem jedno. Dla Jardine'a lepiej by było, gdyby nie żył. Jeśli jest inaczej, będę miał zaszczyt postarać się o to, by żałował, że wciąż chodzi po tym świecie.

- Jeśli będziesz potrzebował pomocy - odezwał się Brougham - nie szukaj daleko.

- A co zamierzasz zrobić z lady Sarą Tresh? - spytał lord Kimble.

- Sprać ją na kwaśne jabłko - stwierdził ze złością Jocelyn. - Dowiedzieć się, o co właściwie chodzi w tej absurdalnej historii. Ożenić się z nią i sprawić, by do końca życia żałowała, że się w ogóle urodziła. W tej kolejności.

- Ożenić się. - Conan Brougham się skrzywił. - Dlatego, że była twoją utrzą... - Nagle dostał gwałtownego ataku kaszlu, być może spowodowanego ostrym kuksańcem w bok, jaki oberwał od wicehrabiego Kimble'a.

- Tak, ożenić się - powtórzył Jocelyn. - Ale najpierw zamierzam uczcić Bachusa. Popieścić się z kielichem. Osuszyć dzbanek. Zalać w

głowie resztkę rozumu i pamięci.

Cały kłopot polegał jednak na tym, że nigdy nie potrafił się upić, kiedy tego chciał, bez względu na to, ile alkoholu w siebie wlał. Kiedy trochę po północy samotnie opuścił klub White'a, uważał, że spożył znaczną ilość alkoholu. Szedł prosto do domu swej kochanki i nadal czuł jedynie zimną wściekłość zamiast furii. Jak mógłby ją zbić na kwaśne jabłko - o, potrafił uderzyć kobietę - i jak mógłby natrzeć jej uszu, skoro nie czuł prawdziwej złości?

Nim dotarł do domu i otworzył sobie drzwi własnym kluczem, myślał jedynie o upokorzeniu jej, o przypomnieniu, jak poślednie miejsce zajmuje w jego życiu. Oczywiście będzie się musiał z nią ożenić, nawet jeśli jeszcze o tym nie wiedziała. Formalnie zostanie jego żoną. Ale wkrótce zrozumie, że zawsze, do końca swych dni, będzie dla niego znaczyła mniej niż utrzymanka.

Rozdział 19

Przyszedł po północy. Jane straciła nadzieję, że Jocelyn wróci, ale jeszcze się nie położyła spać. Krążyła od buduaru do jadalni i salonu, czując, że musiało się stać coś złego. Stała w buduarze, patrząc na swój portret, kiedy usłyszała szcęk klucza, przekręcane w zamku. Wzięła świecę i chciała mu wybiec na spotkanie. Ale opanowała się i spokojnie wyszła do holu. W chwilę później gratulowała sobie, że pohamowała radość.

Miał na sobie czarną pelerynę. Wolno zdjął jedwabny cylinder i rękawiczki, a potem odwrócił się i spojrzał na nią. Jane ujrzała przed sobą księcia Tresham - obcego człowieka z przeszłości. Groźnego, zimnego, cynicznego i pijanego księcia Tresham. Uśmiechnęła się.

- Na górę! - polecił jej z zimną wyniosłością, gwałtownym ruchem głowy wskazując schody.

- Dlaczego?- Zmarszczyła czoło.

Uniósł brwi i spojrzał na nią tak, jakby była robakiem.

- Dlaczego? - spytał cicho. - Dlaczego? Czyżbym pomylił adres? Ale mój klucz pasował do zamka. Czy to nie dom, w którym umieściłem swoją kochankę? Przyszedłem, by skorzystać z jej usług. W tym celu potrzebne mi łóżko, żeby mi było wygodnie, i ona na tym łóżku. Zdaje się, że łóżko stoi w sypialni na górze.

- Jest pan pijany! - powiedziała równie zimno jak on.

- Naprawdę? - Zrobił zdumioną minę. - Ale nie na tyle, by nie znaleźć drogi do domu, gdzie mieszka moja utrzymanka. Nie na tyle, by nie wejść po schodach do sypialni. Nie na tyle, żeby nie móc jej posiąść.

Zarumieniła się i tylko patrzyła na niego w milczeniu. Wiedziała, że rano będzie miała złamane serce. Jaka była głupia! Nie tylko dlatego, że się w nim zakochała, ale dlatego że myślała, iż on też się w niej zakochał.

- Na górę! - Znow wskazał schody. A potem pokiwał głową. - Rozumiem powód twojego wahania. Zapomniałem powiedzieć „proszę”. Proszę pójść na górę, Jane. Proszę się rozebrać i wyjąć szpilki z włosów. Proszę się położyć na wznak na łóżku, żebym mógł skorzystać z twoich wdzięków. Proszę dotrzymać swoich zobowiązań, wynikających z naszej umowy.

Jego głos był zimniejszy niż lód, a oczy tak czarne jak noc.

Nie mogła mu odmówić. Nie zawarowała w ich umowie, że Jocelyn musi ją pokochać, nim ona obdarzy go swymi wdziękami. Czuła się zupełnie zdezorientowana, jakby ten tydzień - najcudowniejszy tydzień w jej życiu - został wykreślony z kalendarza. Jakby to wszystko tylko jej się przyśniło. Jakby Jocelyn nigdy nie był jej przyjacielem, jej kochankiem. Jej bratnią duszą.

Odwróciła się i zaczęła wchodzić po schodach, wysoko trzymając świecę, z sercem jak kamień. Chociaż nie. Kamień nie czuje bólu.

Powstrzymała łzy. Za nic nie dopuści, by Jocelyn zobaczył u niej najmniejszą oznakę słabości.

Nigdy!

- Przyszedłem tutaj, Jane - powiedział kilka chwil później, stojąc w drzwiach sypialni, z nieprzeniknioną miną jeśli nie liczyć grymasu, który świadczył o jego nietrzeźwości i bezwzględności - żeby moja utrzymanka mnie zabawiła. Jak będziesz mnie zabawiała?

Znów poczuła się tak, jakby ostatniego tygodnia w ogóle nie było. Chociaż gdyby go nie przeżyła, nie dostrzegłaby niczego szczególnie obraźliwego w jego słowach. Nie było w nich nic obraźliwego. Nie może reagować tak, jakby uważała inaczej. Musi zwyczajnie zapomnieć o ostatnim tygodniu. Ale zbyt długo się wahała.

- Mam nadzieję, że nie boli cię głowa, Jane? - Powiedział to z ironią. - Ani nie cierpisz na kobiecą przypadłość?

Kobieca przypadłość powinna się pojawić za kilka dni i Jane odczuwała lekki niepokój, do pewnego stopnia usprawiedliwiony. Ale postanowiła, że nie będzie się martwić na zapas. Od początku wiedziała, jakie są konsekwencje takiego związku. W umowie był nawet punkt, dotyczący dzieci, które się z niego zrodzą.

- A może po prostu dziś wieczorem czujesz do mnie odrazę? - spytał ze złowrogą miną, patrząc na nią spod zmrużonych powiek. - Czy zamierzasz skorzystać ze swego prawa, Jane, i posłać mnie do wszystkich diabłów, nie zaspokoiwszy moich chuci?

- Nie, oczywiście, że nie. - Spojrzała na niego spokojnie. - Z przyjemnością zabawię pana, wasza książęca mość. Ostatecznie o czym innym mogę myśleć, marzyć i co mogę planować podczas długich godzin pana nieobecności?

- Cieszę się, że nie straciłaś ciętego języka, Jane - powiedział, podchodząc do niej. - Z całą pewnością nie spodobałoby mi się, gdybyś cicho i potulnie położyła się na wznak na łóżku. A więc jakie zmysłowe rozkosze wymyśliłaś na ten wieczór?

Nauczyła się kilku sztuczek podczas ostatnich dziesięciu dni. Nauczyła się nie wstydzić ani własnej, ani jego nagości. Najwyraźniej naprawdę zamierzał czekać, żeby go bawiła. Stał obok łóżka w lekkim rozkroku, z rękami założonymi do tyłu, i patrzył na nią uniósłszy brwi. Było to dość deprymujące i zdecydowanie przykre, szczególnie w porównaniu z jej wyobrażeniami o ich kolejnym spotkaniu.

Rozebrała się powoli, po kolei obnażając poszczególne części ciała. Składała każdą część garderoby i odwracała się, by położyć ją na krześle. Kiedy już była naga, uniosła ręce i zaczęła wyciągać z włosów po jednej szpilce, aż okrył ją złoty płaszcz. Uśmiechnęła się. Może ostatecznie uda jej się sprawić, by zapomniał o własnym zakłopotaniu, wywołanym tym, co wydarzyło się ostatniego wieczoru - jeśli to coś było przyczyną gwałtownej zmiany w jego zachowaniu.

Wciąż miał na sobie pelerynę, ale odrzucił ją na ramiona. Nie

robił nic, by ukryć wymowne wybrzuszenie, widoczne pod obcisłymi, wieczorowymi spodniami. Ale się nie poruszył. Patrzył z obojętną miną.

Rozpięła mu guzik pod szyją i pozwoliła, by peleryna osunęła się na podłogę. Robiąc to, otarła się o niego i odkryła coś, czego nie wiedziała wcześniej - że było coś podniecającego w byciu nagą w obecności kogoś całkowicie ubranego.

- Usiądź - poprosiła, wskazując łóżko.

Uniósł brwi, ale usiadł na skraju łóżka, z rozstawionymi nogami, kładąc ręce za sobą i podpierając się na nich.

- Znasz wyuzdane sztuczki, których ja cię nie nauczyłem, Jane - powiedział, przyglądając się jej, jak mu rozpina jedwabne spodnie. - Co masz dla mnie w zanadrzu? Miłość francuską?

Domyśliła się, o co mu chodzi. I chociaż się wzdrygnęła, jej ciało mówiło jej, że to wcale nie takie odrażające. Ale i tak nie przypuszczała, że potrafi się na to zdobyć, dopóki nie nadejdzie taka chwila, gdy spotkają się jako kochankowie, a nie jak pan i jego utrzymanka.

Ujęła go w dłonie i zaczęła pieścić, ale Jocelyn tylko patrzył zmrużywszy oczy. Potem usiadła na nim okrakiem tak, by znalazł się w niej. Siedziała lekko odchyłona do tyłu, położywszy mu dłonie na ramionach. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Dobrze, Jane - powiedział. - Starasz się. - Lecz nadal siedział

bez ruchu. Chociaż czuła go w sobie, nie poruszył się. Jego oddech zionął alkoholem.

Nauczył ją jak go niewolić. Ale poprzednio robiła to, kiedy leżał na wznak, a ona na nim. I poruszali się razem w jednym rytmie. Obydwoje pracowali nad tym, by osiągnąć najwyższą rozkosz.

Teraz siedział nieruchomo i obserwował ją ciemnymi, złowrogimi oczami.

Była wilgotna i drżała z pożądania. Chciała, żeby nie tylko się podniecił, ale by razem osiągnęli spełnienie. Ale nie zamierzał tego robić. Była w nim jakaś chmurność, której nie potrafiła rozproszyć. Pomyślała, że wciąż karze siebie i ją za to, co uznał za upokarzające, gdy poprzedniego wieczoru zwierzył się jej ze swej tajemnicy.

Cały ciężar ciała opierała na kolanach. I starała się go zadowolić. Nie tak, jak poprzednio, napinając i rozluźniając mięśnie w rytm ruchów. Takie napinanie mięśni świadczyło o pewnej rezerwie, kontroli nad narastającym podnieceniem - przynajmniej do chwili przed osiągnięciem spełnienia. Tym razem poruszała się, nie napinając wewnętrznych mięśni, nie stawiała oporu twardemu członkowi, pozwalając mu wniknąć w głąb siebie. Jeszcze mocniej wygięła się do tyłu, odrzuciła głowę, zamknęła oczy i zacisnęła ręce na jego kolanach.

Chciała mu pokazać całą sobą, że jej na nim zależy, że niczego mu nie odmówi, kiedy jej potrzebuje. Bo mimo tej dziwnej,

nieodgadnionej obojętności, czuła, że jest mu potrzebna.

Nie wiedziała, jak długo siedział nieruchomo. Ale podniecenie przemieniło się w katusze, a katusze stały się nie do odróżnienia od bólu, kiedy w końcu - ach, wreszcie - położył jej ręce na biodrach i zaczął tak gwałtownie się w niej poruszać, że zburzył wcześniejszy rytm. Słyszała własne łkanie, jakby to było łkanie kogoś innego, dobiegające z oddali. Usłyszała, jak jęknął, i poczuła w sobie gorący strumień jego nasienia.

Spełnienie. Ach, błogosławione spełnienie. Teraz się uspokoi. Będą leżeli razem, rozgrzani i zaspokojeni, i rozmawiali. Znów będzie Jocelynem, a nie niebezpiecznym księciem Tresham.

Jutro będzie mogła zdradzić mu swoje własne mroczne tajemnice.

Oddychała ciężko, na mokrej od potu skórze czuła chłodne powietrze. Wciąż siedziała na nim z szeroko rozłożonymi nogami. On wciąż był w niej. Uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego szczęśliwa.

- Wspaniale się spisałaś, Jane - powiedział szorstko. - Naprawdę stajesz się coraz lepsza. Zaczynasz być warta każdego pensa, którego ci płacę. - Podniósł ją, położył na łóżku i wstał, zapiął sobie spodnie.

Czuła się, jakby wylał na nią kubel zimnej wody.

- A ty, oczywiście, zawsze pozostaniesz mistrzem zniewagi - odparła. - Doskonale wiem, że za to mi płacisz. Nie musisz mi o tym przypominać tylko dlatego, że wczoraj wieczorem w chwili słabości

pozwoleń sobie na zwierzenia, a teraz wstydzisz się i żałujesz, że to zrobiłeś. - Podciągnęła kołdrę, żeby się przykryć. Nagle zawstydziała się swej nagości.

- Czujesz się znieważona, Jane, moim stwierdzeniem, że jesteś nadzwyczaj dobra w sztuce kochania? - spytał. - Nieczęsto mówię kobietom takie komplementy. - Zrzucił pelerynę na ramiona.

- Czuję się znieważona - odparła, siadając prosto i zasłaniając się kołdrą po samą szyję - że uznaje pan za konieczne poniżanie mnie, wasza książęca mość, mówieniem o moich umiejętnościach i pensji. Czuję się znieważona, że wstydzi się pan tego, że mi się pan zwierzył, bo jestem tylko kobietą a do tego utrzymanką. Myślałam, że zostaliśmy przyjaciółmi - a przyjaciele rozmawiają ze sobą. Zwierzają się sobie i dzielą się największymi tajemnicami i cierpieniami. Pomyliłam się. Nie powinnam zapominać, że płaci mi pan za to. - Pokazała ręką łóżko. - A teraz jestem zmęczona. Ciężko pracowałam, by zasłużyć na swoją pensję. Proszę mnie zostawić samą, wasza książęca mość. Dobranoc.

- Przyjaciele się sobie zwierzają, Jane? - Spiorunował ją ciemnymi oczami. Przez chwilę ogarnął ją strach. Myślała, że ją uderzy. Ale on tylko ukłonił jej się szyderczo i wyszedł z pokoju.

Jane, drżąc z zimna, czuła się bardziej samotna i nieszczęśliwa niż kiedykolwiek w życiu.

Jocelyn idąc do Dudley House, naprawdę czuł się podle.

Bezgranicznie sobą gardził - przynajmniej to uczucie było mu dobrze znane. Czuł się, jakby ją zgwałcił - chociaż potraktował ją prawie identycznie, jak dotychczasowe utrzymanki. I gardził nią. Nie powinna była dziś wieczorem pozwolić mu się tknąć, a tymczasem obsłużyła go jak doświadczona kurtyzana.

Nienawidził jej za to, że przez cały tydzień pozwalała mu wierzyć, iż znalazł przyjaciela, bratnią duszę i nadzwyczajną partnerkę. Za to, że w jakiś sposób sprawiła, iż przestał się mieć na baczności, podzielił się z nią wszystkim, co najgłębiej skrywał, nie zauważył, że dostała wszystko, ale w zamian nie dała mu nic poza swoim ciałem. Ich stosunki pozbawione były wzajemności.

Zdobyła jego pełne zaufanie, ale sama nadal się kryła pod zmyślonym nazwiskiem Jane Ingleby. A jednak przed chwilą miała czelność go pouczać, na czym polega natura prawdziwej przyjaźni.

Zabrała mu wszystko, nawet miłość, do której nie czuł się zdolny.

Nienawidził jej za to, że dała mu nadzieję, że mimo wszystko warto żyć. Za pozbawienie go grubego kokonu, w którym krył się wygodnie od dziesięciu lat.

Nienawidził jej.

Nawet nie potrafił o niej myśleć jak o Sarze.

Była Jane.

Ale przecież Jane Ingleby nie istniała.

Kiedy był już blisko domu, poczuł narastający ból głowy. Jeśli

będzie miał szczęście, rano obudzi się z wielkim kacem, który nie pozwoli mu myśleć o niczym.

Mick Boden, kryjąc się w ciemnej wnęce wejściowej w domu po drugiej stronie ulicy, widział, jak najpierw księżę Tresham przemaszerował ulicą, a potem jak zgasło światło w oknie pokoju, który musiał być sypialnią. Dom najwyraźniej był gniazdkiem miłości - księżę wszedł do środka, posługując się własnym kluczem, został wystarczająco długo, by odbyć jeden czy dwa stosunki w pokoju, w którym świece zapalono dopiero po jego przyjściu, a potem udał się do Dudley House, sprawiając wrażenie zadowolonego z życia.

Mick miał za sobą długi dzień. Nie było sensu wystawać tu dłużej. Mało prawdopodobne, by kobieta wybiegła z domu, by spoglądać za swoim kochankiem, albo chociaż podeszła do okna, skoro nie zrobiła tego, by pomachać mu na dobranoc.

Ale kiedyś musi wyjść - prawdopodobnie jutro, żeby się przejść lub zrobić zakupy. Mickowi wystarczy rzucić na nią okiem. Przekona się, czy księżę zabawia się z lady Sarą Illingsworth alias panną Jane Ingleby. Mick Boden miał wyraźne przeczucie, kim jest mieszkanka tego domu, a podczas lat pracy jako detektyw nauczył się ufać swemu przeczuciu.

Postanowił, że wróci tu rano i będzie obserwował dom, dopóki kobieta nie wyjdzie. Mógł oczywiście to żmudne zajęcie zlecić pomocnikowi, w końcu były też inne pilne sprawy, którymi powinien

się zająć, ale podczas długich i frustrujących poszukiwań tej kobiety obudziła się w nim ciekawość i pewien szacunek dla niej. Chciał być pierwszym, który ją rozpozna i zatrzyma.

Rozdział 20

Jocelyn rano nie pojechał, jak co dzień, na przejażdżkę po parku. Nie pozwoliły mu na to boląca głowa i podrażniony żołądek. Na domiar złego pokojowiec odsłonił kotary w oknie, a potem ze zdziwieniem stwierdził, że jego pan leży w łóżku, a ostre promienie słońca padają mu prosto na twarz.

Ale Jocelyn nie pozwolił sobie na luksus długiego wylegiwania się w łóżku i terroryzowania służby dlatego, że męczył go kac. Miał wiele do zrobienia. Na szczęście wczoraj wieczorem zdążył porozmawiać z Kimble'em i Broughamem. Niestety nie zdołał się spotkać z hrabią Durburym, który unikał pokazywania się w miejscach publicznych - podobnie jak jego siostrzenica, kuzynka czy kim tam była dla niego lady Sara Illingsworth.

Ale hrabia wciąż bawił w mieście i nadal wynajmował pokoje w hotelu Pulteney, jak to stwierdził Jocelyn, kiedy pojawił się tam późnym rankiem. I gotów był spotkać się z księciem Tresham, chociaż intrygował go powód wizyty księcia. Ostatecznie znali się tylko z widzenia. Siedział w salonie swego apartamentu, kiedy przyniesiono mu kartę wizytową Jocelyna, a po chwili służący hrabiego wprowadził gościa do pokoju.

- Tresham? - powiedział na jego widok. - Witam. Jak się pan czuje?

- Bardzo dobrze, dziękuję - odpowiedział Jocelyn - jeśli wziąć pod uwagę, że mógłbym w tej chwili leżeć na własnym łóżku z podciętym gardłem. A raczej w grobie, ponieważ lady Sara Illingsworth opuściła mój dom ponad dwa tygodnie temu.

- Ach, tak, proszę usiąść. Czy napije się pan czegoś? - Widać było, że detektyw z Bow Strett niedawno zdał hrabiemu sprawozdanie. - Wie pan, gdzie ona jest, Tresham? Słyszał pan coś?

- Nie, dziękuję - sama myśl o poczęstunku sprawiła, że żołądek podszedł mu do gardła. Natomiast chętnie usiadł. - Proszę pamiętać, że kiedy ją zatrudniałem, ubierała się jak służąca i posługiwała się fałszywym nazwiskiem. Traktowałem ją jak zwykłą służącą. Nie przyszło mi do głowy, kiedy odchodziła, by zapytać, dokąd się udaje.

- Naturalnie, że nie. - Hrabia nalał sobie czegoś do picia i usiadł przy kwadratowym stoliku, stojącym pośrodku pokoju. Był wyraźnie rozczarowany. - Ci przekłęci detektywi nie są warci jednej czwartej tego, ile każą sobie płacić, Tresham. Prawdę mówiąc, w ogóle nie znają się na swojej robocie. Jestem tu od ponad miesiąca, a niebezpieczna przestępczyni przebywa na wolności, wśród niczego niepodważających mieszkańców miasta. W dodatku w ciągu tego miesiąca przez trzy tygodnie mieszkała w Dudley House! Gdybym tylko o tym wiedział!

- Naprawdę miałem szczęście, że nic mi się nie stało - stwierdził Jocelyn. - A więc zamordowała pańskiego syna? Moje kondolencje,

Durbury.

- Dziękuję.

Mężczyzna wyraźnie czuł się nieswojo. Jocelyn, przyglądając mu się bacznie, chociaż na jego twarzy malowało się jedynie znużenie i obojętność, wyciągnął własne wnioski.

- I na dodatek jeszcze okradła - zauważył. - Mieszkając przez trzy tygodnie w Dudley House, lady Sara musiała doskonale zdawać sobie sprawę z tego, że pełno tam kosztowności. Odkąd wczoraj rano dowiedziałem się, że to była ona, czuję pewność, że mnie obrabowałaby i zamordowała, gdybym miał nieszczęście natknąć się na nią w nieodpowiedniej chwili.

Durbury przyjrzał mu się uważnie, ale Jocelyn miał wieloletnią praktykę w zachowywaniu kamiennej twarzy.

- No właśnie - zgodził się w końcu hrabia.

- Zupełnie rozumiem pański... gniew - powiedział Jocelyn - że jakaś krewna - do tego pozostająca na pańskim utrzymaniu, jak przypuszczam - naraziła pana na takie cierpienia i poderwała pański autorytet. Na pana miejscu równie niecierpliwie czekałbym na jej ujęcie, żeby móc ją wybatożyć, nim zająłby się nią wymiar sprawiedliwości. Słyszałem, że to jedyny sposób na krnąbrne kobiety. Jednak chciałbym wspomnieć o dwóch sprawach - to właściwie powód mojej wizyty.

Hrabia Durbury nie był pewien, czy właśnie został znieważony,

czy też okazano mu współczucie.

- Wypytałem kilku swoich służących - wyjaśnił Jocelyn, chociaż oczywiście wcale tego nie zrobił - i zapewnili mnie, że pielęgniarka, znana mi jako panna Jane Ingleby, pojawiła się w Dudley House jedynie z małą torbą, w której miała swoje rzeczy osobiste. Dlatego zastanawiam się, gdzie ukryła pieniądze i klejnoty, które panu zabrała? Czy wynajęty przez pana detektyw z Bow Street pomyślał o tym, by rozpocząć poszukiwania? Trzeba znaleźć skradzione przedmioty, a wtedy łatwo dotrzemy do sprawczyni.

Urwał i uniósłszy brwi, czekał na odpowiedź hrabiego.

- To dobry pomysł - sztywno przyznał jego lordowska mość. Jocelyn utwierdził się w przekonaniu, że nie było żadnych skradzionych przedmiotów, a nawet jeśli coś zabrano, miało to niewielką wartość.

- Z całą pewnością mieliby większe szanse powodzenia, gdyby zajęli się szukaniem pieniędzy i klejnotów, niż śledząc mnie - dodał Jocelyn.

Hrabia Durbury spojrzał na niego pytająco.

- Podejrzewam, że po wczorajszej rozmowie ze mną detektyw doszedł do wniosku, iż jestem człowiekiem, którego podnieca obcowanie z kobietą, zdolną do ograbienia mnie z całego dobytku, kiedy śpię, i rozłupania mi czaszki siekierą - ciągnął Jocelyn. - Można go zrozumieć. Słynę z zamiłowania do ryzyka. Jednak, chociaż trochę

mnie to bawiło, kiedy wczoraj śledzono każdy mój krok, dziś uznałbym to za uciążliwe.

Hrabia najwyraźniej nie wiedział, co robił wynajęty przez niego detektyw, gapił się więc na niego oszołomiony.

- Nie zauważyłem go dzisiaj - przyznał Jocelyn. - Przypuszczam, że znów sterczy przed domem pewnej... damy, którą odwiedziłem ostatniej nocy. Dama ta jest moją utrzymanką, ale musi pan rozumieć, Durbury, że moja utrzymanka znajduje się pod moją całkowitą opieką i każdy kto ją nachodzi, będzie miał ze mną do czynienia. Może uzna pan za stosowne wyjaśnić rzecz całą temu swojemu detektywowi... obawiam się, że w tej chwili wyleciało mi z pamięci jego nazwisko. - Wstał.

- Z całą pewnością to zrobię. - Hrabia Durbury miał groźną minę.
- Płacę im niebotyczne kwoty za to, żeby obserwowali dom pana utrzymanki, Tresham? To oburzające.

- Muszę wyznać, że świadomość, iż jest się obserwowanym, trochę rozprasza, kiedy człowiek zajęty jest... konwersacją z damą - powiedział Jocelyn, biorąc kapelusz i rękawiczki ze stolika, stojącego obok drzwi. - Nie chciałbym dziś wieczorem znów być narażony na takie zakłócenie spokoju.

- Ależ oczywiście - zapewnił go hrabia. - Proszę mi wierzyć, że zażądam wyjaśnień od tego Micka Bodena.

- Ach tak - powiedział Jocelyn, wychodząc z pokoju. - Właśnie

tak się przedstawił. Żyłasty, niski mężczyzna o wypomadowanych włosach. Życzę miłego dnia, Durbury.

Był zadowolony z wizyty kiedy zszedłszy po schodach znalazł się przed hotelem. Głowa wciąż go bolała. Zbliżało się południe. Miał tylko nadzieję, że - tak jak do tej pory - Jane nie wychyli nawet nosa za próg domu, póki detektyw nie zostanie odwołany. Ale przecież nigdy nie wychodziła, poza ogrodem na tyłach domu. I teraz oczywiście rozumiał dlaczego.

Jane przez cały ranek zapamiętała wyrywała chwasty w zakątku ogrodu, do którego wcześniej nie zaglądała. Doszła do wniosku, że wszystko skończone. Sam o tym mówił - zauroczenie, stopniowa utrata zainteresowania, ostateczne zerwanie wszelkich stosunków.

Zauroczenie skończyło się za sprawą nadmiernej otwartości - albo tego, co sam uznał za nadmierną otwartość. Spadek zainteresowania, jak przypuszczała, nie będzie stopniowy, tylko gwałtowny. Może jeszcze liczyć na kilka takich nocnych wizyt jak ostatnia. Ale już niebawem nadejdzie dzień, w którym pojawi się pan Quincy, by ustalić warunki zakończenia związku. Zresztą nie było dużo do omawiania. Większość spraw regulowała umowa.

I już nigdy nie zobaczy Jocelyna.

Zaczęła wyrywać kępę pokrzyw, które parzyły ją boleśnie nawet przez rękawiczki.

Może to lepiej, pomyślała. Przecież i tak zamierzała się zgłosić do sędziego pokoju. Wkrótce będzie to mogła zrobić bez żadnych przeszkód. Własny los stanie się jej obojętny, chociaż naturalnie dla samej zasady będzie starała się oczyścić z tych śmiesznych zarzutów. Śmiesznych, gdyby nie to, że Sidney nie żył.

Zabrała się za kolejną kępę pokrzyw.

Tak skutecznie udało jej się przekonać samą siebie, że Jocelyn nie przyjdzie, że była zdumiona, kiedy pojawił się wczesnym popołudniem. Usłyszała stukanie kołatki, gdy przebierała się na górze w czystą suknię. Czekwała w napięciu na odgłos jego kroków na schodach. Ale usłyszała, jak pan Jacobs niepewnie puka do jej drzwi.

- Jego książęca mość prosi, by zechciała go pani zaszczyścić swą obecnością w salonie - poinformował kamerdyner.

Jane ścisnęło się serce. Odłożyła szczotkę do włosów. Od ponad tygodnia nie spotykali się w salonie.

Kiedy weszła do pokoju, stał przed kominkiem, na którym nie płonął ogień, jedną ręką opierając się o wysoki gzyms.

- Dzień dobry, Jocelynie - powiedziała.

Był znów cyniczny i arogancki, patrzył na nią nieprzeniknionym wzrokiem. Od ostatniej nocy nie poprawił mu się humor. I nagle zrozumiała, dlaczego przyszedł. Nie przysłał pana Quincy'ego, bo postanowił osobiście jej o tym powiedzieć.

A więc wszystko skończone. Po dziesięciu dniach.

Skłonił głowę bez słowa.

- To był błąd - powiedziała cicho. - Kiedy spytałeś, czy możesz obejrzeć sąsiedni pokój, powinnam zdecydowanie powiedzieć „nie”. Chciałeś mieć kochankę, Jocelynie. Chodziło ci jedynie o obcowanie cielesne z kobietą. Boisz się przyjaźni, emocjonalnej bliskości. Boisz się swej artystycznej duszy. Boisz się swoich wspomnień i nie chcesz przyznać się przed samym sobą, że pozwoliłeś, by zniszczyły ci życie. Boisz się utraty własnego wyobrażenia o sobie jako o silnym mężczyźnie. Nie powinnam cię zachęcać do ujawniania twojej prawdziwej natury. Nie powinnam być twoją przyjaciółką. Nasze stosunki powinny zostać takie, jakimi miały być pierwotnie. Miałam zabawiać cię w łóżku i zachęcać, byś resztę czasu spędzał poza murami tego domu.

- Naprawdę? - Głos księcia był lodowaty. - Czy chcesz mi jeszcze przekazać jakieś perły mądrości, Jane?

- Nie będę się domagała przestrzegania warunków naszej umowy - oświadczyła. - Byłoby niemoralne z mojej strony nalegać, by utrzymywał mnie pan przez cztery i pół roku, skoro nasz związek trwał zaledwie dziesięć dni. Uwolnię pana od swojej osoby, wasza książęca mość. I to od tej chwili. Jutro już mnie tu nie będzie. Nawet dziś, jeśli sobie pan tego zażyczy.

Nawet lepiej byłoby odejść dziś, żeby nie mieć czasu na rozmyślanie, udać się niezwłocznie do hotelu Pulteney albo zgłosić

do sędziego pokoju, jeśli nie zastanie hrabiego w hotelu.

- Masz rację - zgodził się po chwili milczenia. - Nasza umowa jest nieważna. Ma zasadnicze uchybienie formalne.

Nieznacznie uniosła brodę. Dopiero kiedy się odezwał, zrozumiała, że drzemie w niej nadzieja na to, że będzie próbował ją skłonić do pozostania, że znów stanie się Jocelynem.

- Mam wrażenie, że umowy są nieważne, jeśli jedna ze stron posługuje się fałszywym nazwiskiem - ciągnął. - Nie znam się na tym dobrze, ale Quincy będzie wiedział. Obawiam się jednak, że mam rację, Saro.

W pierwszej chwili nie zrozumiała. Poczwała tylko dziwny chłód w sercu. Imię, którym się do niej zwrócił, jakby zawisło w powietrzu między nimi.

Gwałtownie opadła na fotel.

- To nie moje imię - szepnęła.

- Najmocniej przepraszam. - Skłonił się ironicznie. - Zapomniałem, że bardzo dbasz o zachowanie form. Powinienem powiedzieć: lady Saro. Czy teraz lepiej?

Pokręciła głową.

- Źle mnie pan zrozumiał. To nie jest moje imię. Nazywam się Jane. - Ale nagle uniosła dłonie do twarzy i zobaczyła, że drżą. Opuściła je na kolana. - Jak się dowiedziałeś?

- Miałem gościa - powiedział. - Detektywa z Bow Street. O ile

dobrze zrozumiałem, poszukując lady Sary Illingsworth, odwiedził pracownię kapeluszy, należącą do niejkiej Madam Dee Lorrent. Domyślałem się, że chodziło mu o Madame de Laurent. Dziwnym zbiegiem okoliczności była, to dawna pracodawczyni Jane Ingleby, jak również lady Sary. Detektyw doszedł do wniosku, że to jedna i ta sama osoba.

- Chciałam ci powiedzieć - ale nie zabrzmiało to przekonująco.

- Naprawdę? - Założył monokl i przyjrzał jej się z zimną wyniosłością. - Naprawdę, lady Saro? Proszę mi wybaczyć, ale nie wierzę. Jest pani największą kłamczucha jaką kiedykolwiek znałem. Boję się przyjaźni i bliskości emocjonalnej, tak? Nie powinnaś zostać moją przyjaciółką tak? Przyznaję ze wstydem, że dałem się nabrać. Ale na krótko. - Wypuścił monokl z oka.

Odczuwała ogromną pokusę, by błagać go, żeby jej uwierzył, spróbować wyjaśnić, że po jego wyznaniach sprzed dwóch dni postanowiła poczekać z ujawnieniem swojej historii. Ale nie uwierzyłby jej. Przecież ona też by mu nie uwierzyła, gdyby była na jego miejscu.

- Czy ten detektyw z Bow Street wie, gdzie jestem? - spytała.

- Ostatniej nocy mnie śledził i stał przed domem, kiedy zabawiałaś mnie na górze. No, nie rób takiej przerażonej miny. Zmyliłem tropy prowadzące tutaj, chociaż nie myślę, by dał się zwieść. Jest chyba inteligentniejszy od swojego zleceniodawcy.

- Czy hrabia Durbury nadal przebywa w hotelu Pulteney? - spytała.

- Był tam dzisiejszego ranka, kiedy złożyłem mu wizytę.

Pot wystąpił jej na czoło. W uszach dzwoniło. Powietrze, którym oddychała, stało się lodowate. Ale postanowiła, że nie zemdleje. Za nic.

- Nie, nie wydałem pani, lady Saro - zapewnił ją mrużąc oczy.

- Dziękuję - powiedziała. - Wolę sama zgłosić się do sędziego pokoju, niż zostać tam zaciągnięta siłą. Jeśli da mi pan chwilę czasu, zabiorę z góry swoją torbę, i może pan na własne oczy zobaczyć, jak opuszczam ten dom. Jeśli nikomu pan nie powiedział, że jestem pańską utrzymanką nikt się o tym nie dowie. Pan Quincy i służba potrafią zapewne zachować dyskrecję. To warunek, żeby otrzymać zatrudnienie, prawda? Nie będzie pan zatem wmieszany w cały ten skandal. - Wstała.

- Usiądź - polecił.

Słowo to wypowiedział cicho, ale tak rozkazująco, że posłuchała bez zastanowienia.

- Czy jesteś winna zarzucanych ci czynów? - spytał ją.

- Morderstwa? Kradzieży? - Spojrzała na swoje ręce, leżące na kolanach. Zauważyła, że palce ma zupełnie sine. - Uderzyłam go. Wzięłam pieniądze. Jestem winna.

- A biżuteria?

- Wzięłam bransoletkę - odpowiedziała. - Jest w mojej torbie na górze.

Nie będzie nic wyjaśniała, nie będzie się tłumaczyła. Nie była mu nic winna. Wczoraj był jej przyjacielem, kochankiem, ale teraz stał się dla niej nikim.

- Uderzyłaś go - powiedział. - Siekierą? Pistoletem? - Książką - odparła.

- Książką?

- Trafiłam go rogiem książki w skroń - wyjaśniła. - Zaczął krwawić i zamroczyło go. Gdyby usiadł, nic by mu się nie stało. Lecz chciał mnie złapać, a kiedy odsunęłam się na bok, stracił równowagę i padając, uderzył głową o kominek. Stracił przytomność, ale nie umarł. Kazałam go zanieść na górę i opiekowałam się nim, dopóki nie przyjechał doktor. Kiedy opuszczałam dom, wciąż żył, chociaż nie odzyskał przytomności.

Więc jednak uległa pragnieniu, by mu wszystko opowiedzieć. Tylko wzrok nadal miała utkwiony w dłoniach.

- Chciał cię schwytać - cicho powiedział Jocelyn. - Dlaczego? Bo przyłapał cię na kradzieży?

- Nie, to nonsens - rzuciła pogardliwie. - Chciał mnie zniewolić.

- W Candleford? - spytał ostrym tonem. - W domu swego ojca? Jego podopieczną?

- Hrabiego i hrabiny nie było w domu - wyjaśniła. - Wyjechali na

kilka dni.

- I zostawili cię samą z Jardine'em?

- Oraz starszą krewną w charakterze przyzwoitki. - Roześmiała się. - Kuzynka Emily jest wielką amatorką portwajnu. I lubi też Sidneya... lubiła. - Znow zadrżała. - Upił ją i kazał jej wcześniej położyć się do łóżka. Tamtego wieczoru było w domu tylko kilku jego przyjaciół i służba.

- I przyjaciele nie stanęli w twojej obronie? - spytał. - Nie można było na nich liczyć, że zeznają prawdę w śledztwie, dotyczącym okoliczności śmierci Jardine'a?

- Wszyscy byli pijani. Zresztą sami go zachęcali.

- Nie bał się, że odpowie za swój czyn, kiedy wróci ojciec? - spytał Jocelyn.

- Liczył zapewne na to, że będę się za bardzo wstydziła, by cokolwiek powiedzieć - odparła. - Spodziewał się, że potulnie zgodzę się go poślubić. Zresztą taką decyzję podjąłby hrabia, gdybym mu powiedziała o całym wydarzeniu. Obydwaj tego chcieli i bez ustanku mnie do tego nakłaniali. Byłam rzeczywiście gotowa rzucić się na nich obu z siekierą.

- Panna młoda wbrew własnej woli - powiedział. - Tak, to musiało odpowiadać Jardine'owi. Szczególnie, jeśli jest taka śliczna. Nie znam dobrze Durbury'ego, ale dziś rano nie zapałałem do niego sympatią. Dlaczego dopuściłaś się kradzieży, uciekłaś i zaczęłaś się

ukrywać pod nie swoim nazwiskiem, przez co sama ściągnęłaś na siebie podejrzenia, że jesteś winna? To takie nietypowe dla Jane Ingleby Ale ona przecież nie istnieje, prawda?

- Wzięłam piętnaście funtów - wyjaśniła. - W ciągu półtora roku od śmierci ojca hrabia nie wypłacał mi pieniędzy na moje potrzeby. Powiedział, że w Candleford nie ma na co wydawać pieniędzy. Uważam, że jest mi winien znacznie więcej niż piętnaście funtów. A bransoletka to był prezent ślubny ojca dla matki. Mama dała mi ją kiedy leżała na łożu śmierci, ale poprosiłam tatę, by trzymał ją w sejfie razem z innymi klejnotami rodzinnymi. Hrabia zawsze odmawiał mi jej wydania ani nie uznawał jej za moją własność. Znałam szyfr do sejfu.

- Jest takim głupcem, że o tym nie pomyślał - mruknął Jocelyn.

- Wcale nie chciałam uciec. Miałam dość ich wszystkich. Przyjechałam do Londynu, by zamieszkać u lady Webb, najdroższej przyjaciółki matki i mojej chrzestnej. Lord Webb miał być moim opiekunem razem z kuzynem ojca, obecnym hrabią, ale zmarł, a tata nie pomyślał, by wyznaczyć kogoś innego na jego miejsce. Lady Webb nie było w domu i nie spodziewano się szybko jej powrotu. Wtedy wpadłam w panikę. Uświadomiłam sobie, że Sidney poważnie rozbił sobie głowę, może nawet umarł. W dodatku wzięłam pieniądze i bransoletkę. Wiedziałam, że żaden ze świadków nie powie prawdy i że mam poważne kłopoty.

- Tym większe, że postanowiłaś się ukrywać - powiedział.

- Tak.

- Czy w Candleford albo w sąsiedztwie nie było nikogo, kogo mogłabyś uznać za swojego przyjaciela?

- Kuzyn mojego ojca jest hrabią - odparła. - Sidney jest... był spadkobiercą tytułu. Nie było nikogo na tyle niezależnego, by mnie chronić, a mój najdroższy przyjaciel wyjechał do hrabstwa Somerset, do swej siostry.

- Najdroższy przyjaciel? - zauważył z lekkim naciskiem.

- Charles - wyjaśniła. - Sir Charles Fortescue.

- Twój najdroższy przyjaciel? - powiedział. - I wielbiciel? Spojrzała na niego po raz pierwszy od kilku minut. Początkowy szok mijał. Jocelyn nie miała żadnego prawa, by ją wypytywać, ona zaś nie miała obowiązku mu odpowiadać. Była jedynie jego byłą utrzymanką. I nie zamierzała przyjąć od niego żadnych pieniędzy za ostatnie dziesięć dni ani zabrać ze sobą strojów, które dla niej kupił.

- I wielbiciel - odparła śmiało. - Mieliśmy się pobrać, ale jeszcze nie teraz. Nie wolno mi wyjść za mąż bez zgody hrabiego, dopóki nie ukończę dwudziestu pięciu lat. Mieliśmy wziąć ślub w dniu moich dwudziestych piątych urodzin.

- Ale teraz to już nieaktualne? - Znów włożył monokl, ale Jane nie dała się zastraszyć. Nadal patrzyła mu prosto w oczy. - Nie zechce poślubić zabójczyni, lady Saro? Jakie to małoduszne. Inie poślubi

kobiety upadłej? Jakie to nierycerskie.

- To ja nie chcę go za męża - oświadczyła z mocą.

- I bardzo słusznie - rzucił szorstko. - Prawo w naszym kraju zabrania bigamii, lady Saro.

Wolałaby, żeby się do niej tak nie zwracał.

- Bigamii? - Czyżby Charles poznał i poślubił inną pomyślała głupio, nie zastanawiając się nad tym, skąd księżę Tresham mógł o tym wiedzieć, nawet gdyby była to prawda.

- Sir Charles Fortescue nie mógłby w świetle obowiązującego prawa poślubić mojej żony - oznajmił zimno. - Mam tylko nadzieję, że nie złamie mu to serca, chociaż nie zauważyłem, by przyjechał do Londynu, czy starał się poruszyć niebo i ziemię, by cię odnaleźć i przytulić do swej piersi. Mam nadzieję, że twoje serce też nie będzie złamane, chociaż szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi.

Jane wstała.

- Twojej żony? - spytała, z oczami okrągłymi ze zdumienia. - Twojej żony? Co za niedorzeczny pomysł. Sądzi pan, że musi się pan ze mną ożenić, bo nagle okazało się, że jestem lady Sarą Illingsworth z Candleford, a nie Jane Ingleby z sierocińca?

- Sam lepiej bym tego nie ujął.

- Nie wiem, jakie pan miał plany na resztę popołudnia, wasza książęca mość - powiedziała, patrząc śmiało w jego zimną obojętną twarz - ale ja mam do załatwienia pilną sprawę. Muszę się udać do

hotelu Pulteney Proszę mi wybaczyć. - Odwróciła się w kierunku drzwi.

- Usiądź - powiedział równie cicho, jak poprzednio.

Odwróciła się gwałtownie.

- Nie jestem pańską służącą, wasza książęca mość - powiedziała. - Nie jestem...

- Usiądź! - powiedział jeszcze ciszej.

Jane bez ruchu patrzyła na niego, potem przeszła przez pokój i znalazła się tuż obok księcia.

- Powtarzam, nie jestem pańską służącą - odparła. - Jeśli ma mi pan jeszcze coś do powiedzenia, proszę to powiedzieć bez przybierania śmiesznych póz. Słyszę równie dobrze, kiedy stoję.

- Wystawia pani moją cierpliwość na ciężką próbę - stwierdził, niebezpiecznie mrużąc oczy.

- A granice mojej cierpliwości już zostały przekroczone, wasza książęca mość - odparła i znów zwróciła się w stronę drzwi.

- Lady Saro. - Lodowaty głos sprawił, że znieruchomiała. - Jedną rzecz wyjaśnimy sobie od razu. Wkrótce - w ciągu kilku najbliższych dni - zostaniesz księżną Tresham. Nikt nie będzie się ciebie pytał o zdanie w tej sprawie. Jest mi absolutnie obojętne, co o tym myślisz. Zostaniesz moją żoną. I spędzisz resztę życia, przeklinając dzień, w którym przysłaś na świat.

Gdyby nie wściekłość, mogłaby się roześmiać. Nie spiesząc się,

usiadła w fotelu i starannie wygładziła suknię, nim spojrzała mu zimno prosto w oczy.

- Jaki jesteś śmieszny, kiedy postanawiasz grać rolę wyniosłego arystokraty - zauważyła, splatając ręce i mocno zacisnęła usta. Przygotowała się na nieuchronną bitwę.

Rozdział 21

Był zaskoczony ogromem swej nienawiści do niej. Nigdy do nikogo nie żywił nienawiści - może do ojca. Ale do matki już nie. Nie czujemy nienawiści do kogoś, kto jest nam obojętny. Chciałby odczuwać wyłącznie obojętność wobec lady Sary Illingsworth.

Prawie mu się to udało, kiedy nazywał ją w myślach tym imieniem. Ale przed sobą miał Jane Ingleby.

- Niewątpliwie ucieszy panią wiadomość, że nie będzie pani zmuszona zbyt często znosić obecności swego męża - oświadczył. - Zamieszka pani w Acton, a wie pani, jakimi uczuciami darzę tę posiadłość. Będzie mnie pani widywała tylko raz w roku, kiedy przyjadę, by panią zapłodnić. Jeśli sytuacja rozwinię się dla pani pomyślnie, urodzi mi pani dwóch synów w ciągu dwóch pierwszych lat naszego małżeństwa i uznam, że to wystarczy, by zabezpieczyć sobie dziedziców Oczywiście jeśli jest pani wyjątkowo przebiegła, może już jest pani przy nadziei. - Założył monokl na oko i spojrzał na jej brzuch.

Jej zaciśnięte usta tworzyły prawie niewidoczną linię. To dobrze, że się opanowała. Przez chwilę była blada, roztrzęsiona, miała żalostną minę i niemal zrobiło mu się jej żal. Teraz patrzyła na niego gniewnie niebieskimi oczami.

- Zapomina pan o jednym, wasza książęca mość - odparła. - W

naszym społeczeństwie kobiety nie są niewolnicami. Muszę powiedzieć „tak” albo „chcę” czy co tam mówi panna młoda, by zgodzić się na małżeństwo. Może mnie pan zaciągnąć przed ołtarz - przyznaję, że góruje pan nade mną siłą fizyczną - ale znajdzie się pan w bardzo niezręcznej sytuacji, jeśli nie wyrażę zgody na ślub z panem.

Zwykle podobał mu się jej wyraźny opór. Ale oszukała go, poniżyła, już raz zrobiła z niego głupca. W tej szczególnej sprawie nie ustąpi, postawi na swoim.

- Poza tym nie osiągnęłam jeszcze wymaganego wieku - dodała. - A zgodnie z wolą mego ojca, nie mogę nikogo poślubić bez zgody swego opiekuna przed ukończeniem dwudziestego piątego roku życia. Jeśli tak zrobię, stracę swój spadek.

- Spadek?- Uniósł brwi.

- Wszystko, co należało do mego ojca z wyjątkiem samego Candleford, nie wchodzi w skład ordynacji - wyjaśniła. - Oraz tytułu, oczywiście. Wszystko poza tym, cały jego majątek, stanie się moją własnością z chwilą, gdy skończę dwadzieścia pięć lat, albo mego męża, jeśli poślubię kogoś wcześniej za zgodą swego opiekuna.

Co, oczywiście, wiele tłumaczyło. Durbury miał w tej chwili tytuł, Candleford i kontrolę nad dobrami. Zachowałby ją, gdyby udało mu się nakłonić lady Sarę do małżeństwa z kimś z rodziny - albo gdyby tak obrzydził jej życie, że z chęcią uciekłaby z kimś przed

osiągnięciem wymaganego wieku.

- Jeśli nie spełni pani tego warunku, Durbury zostanie dziedzicem? - zapytał.

- Tak.

- W takim razie niech odziedziczy wszystko - odparł szorstko. - Jestem bardzo bogaty. Moja żona nie musi mi wnosić posagu.

- Jeśli zostanę uznana winna morderstwa, będę wydziedziczona - oświadczyła. - A może nawet skazana na śmierć. Ale będę walczyła wszelkimi dostępnymi mi środkami. I nie poślubię nikogo, bez względu na to, co się stanie. Ani Charlesa, ani pana. Przynajmniej do czasu ukończenia dwudziestu pięciu lat. Wtedy wyjdę za mąż albo nie, według własnej woli. Będę mogła sama o sobie decydować. Zostanę stracona, uwięziona, deportowana albo niezależna. Takie mam przed sobą możliwości. Nie będę niczyją niewolnicą. A już z całą pewnością nie pańską.

Patrzył na nią w milczeniu. A ona nie odwróciła wzroku. Była jedną z niewielu osób, które potrafiły wytrzymać jego spojrzenie. Wysoko zadarła brodę. Oczy miała jak ze stali, usta wciąż tworzyły ciekłą linię.

- Powinienem był to wcześniej zauważyć - powiedział jakby do siebie. - W głębi serca jest pani całkowicie zimna i obojętna. Jest pani kobietą zmysłową ale obcowanie cielesne daje w zasadzie jedynie zmysłową rozkosz. Pani serce pozostało nieczułe. Ma pani dziwną

zdolność sprawiania, by inni ludzie się pani zwierzali. Stwarza pani wrażenie osoby rozumiejącej i współczującej. Widzę w pani zachowaniu osobę o zimnym sercu, ogrzewającą się krwią swych ofiar. I człowiek nie dostrzega, że w zamian nie dostaje od pani nic. Jane Ingleby, nieślubna córka jakiegoś nieznanego dżentelmena, wychowana w dziwnie ekskluzywnym sierocińcu. To wszystko, co od pani dostałem - kłamstwa. I ciało syreny. Mam dosyć rozmów z panią. Muszę jeszcze złożyć kilka wizyt, ale wrócę tu. Ma pani na mnie czekać.

- Skrzywdziłam pana - oznajmiła, wstając. - Może panu sprawi radość świadomość, że się pan zemścił. Jeśli moje serce nie było poprzednio zimne, teraz takie jest. Oddałam panu wszystko, co miałam, bo pańskie potrzeby były tak ogromne. Nie otrzymałam szansy, by wziąć coś dla siebie, by móc nacieszyć się pańskim zrozumieniem, współczuciem i przyjaźnią. Nie było dość czasu - tylko jeden tydzień, który gwałtownie skończył się wczoraj. Ja też jestem zmęczona. Chcę być sama. Czuje się pan zdradzony, wasza książęca mość? Ja też.

Tym razem jej nie zatrzymał. Patrzył, jak wychodziła. Długo jeszcze stał w tym samym miejscu.

Bolało go serce.

Serce, a przecież myślał, że go nie ma.

Nie mógł jej ufać. Nie zaufa jej. Już nigdy.

Czy ją zdradził? Czy jednak obdarzyła go współczuciem, przyjaźnią i miłością? Czy zamierzała zwierzyć mu się, tak jak on zwierzył się jej?

Jane. Lady Sara Illingsworth. Nie Jane.

Wyszedł z domu. Dopiero kiedy znalazł się w pewnej odległości, dotarło do niego, że kazał Jane czekać na jego powrót. Ale ona nie należała do osób potulnie wykonujących polecenia. Powinien na niej wymóc, by mu to obiecała. Do diabła, mógł o tym pomyśleć.

Ale Jane nie wyjdzie z domu, z pewnością zaczeka. Nie zawrócił.

Nawet jeśli lady Webb była zdziwiona, kiedy kamerdyner podał jej na tacy wizytówkę i nim zdążyła na nią spojrzeć, poinformował, że na dole czeka książe Tresham i prosi o poświęcenie mu kilku minut, nie okazała tego. Wstała od małego sekretarzyka, przy którym najwyraźniej zajęta była pisaniem listów.

- Tresham?- spytała uprzejmie.

- Pani. - Ukłonił się jej nisko. - Dziękuję za poświęcenie mi kilku minut.

Lady Webb była elegancką wdową koło czterdziestki, którą znał, chociaż niezbyt dobrze. Obracała się w kręgach bardziej wytwornych od tych, w których można było zwykle spotkać jego. Darzył ją dużym szacunkiem.

- Proszęusiąć - zaproponowała, wskazując fotel, a sama zajęła

miejsce na stojącej obok kanapie - i powiedzieć, co pana do mnie sprowadza.

- Zna pani lady Sarę Illingsworth - oświadczył, siadając w fotelu. Uniosła brwi i przyjrzała mu się baczniej.

- Jest moją chrzestną córką - odparła. - Czy coś panu o niej wiadomo?

- Przez trzy tygodnie zatrudniałem ją w Dudley House w charakterze swojej pielęgniarki - oznajmił - po tym, jak zostałem postrzelony w nogę w... w pojedynku. Zobaczyła mnie w Hyde Parku. Szła akurat do pracy u modystki. Oczywiście podała mi fałszywe nazwisko.

Lady Webb siedziała bez ruchu.

- Czy nadal przebywa w Dudley House? - zapytała w końcu.

- Nie. - Jocelyn siedział wyprostowany. Czuł dziwne skrępowanie, uczucie dotąd mu nieznane. - Nie wiedziałem, kim jest naprawdę, dopóki wczoraj nie przyszedł do mnie detektyw z Bow Street. Znałem ją jako pannę Jane Ingleby.

- Ach, Jane - powiedziała lady Webb. - Tak mówili do niej rodzice. To jej drugie imię.

Może to głupie, ale ucieszyło go to. A więc jednak miała na imię Jane, tak jak mu powiedziała.

- Proszę zrozumieć, że była służącą - przypomniał. - Zatrudniłem ją na określony czas.

Lady Webb pokręciła głową i głośno westchnęła.

- I nie wie pan, dokąd się udała - powiedziała. - Ja też nie. Czy dlatego pan tu przyszedł? Ponieważ jest pan oburzony, że dał się pan nabrać i ukrywał pan uciekinierkę? Gdybym wiedziała, gdzie teraz jest, Tresham, nie powiedziałabym panu. Ani hrabiemu Durbury. - Wymówiła to nazwisko z pogardą.

- A zatem nie wierzy pani w oskarżenie? - zapytał.

Tylko lekko rozszerzone nozdrza lady Webb zdradzały jej wzburzenie. Siedziała prosto, ale z wdziękiem, nie dotykając plecami oparcia. Tą postawą przypominała mu Jane - była to postawa damy.

- Sara nie jest zabójczynią ani złodziejką - oświadczyła z mocą. - Gotowa jestem ręczyć to całym moim majątkiem i imieniem. Hrabia Durbury chciał, żeby poślubiła jego syna, którego miała w największej pogardzie, rozsądna dziewczyna. Mam swoją własną teorię, jak Sidney Jardine dograł się swego. Jeśli popiera pan Durbury'ego i przyszedł tu pan w nadziei, że dowie się pan ode mnie więcej niż on kilka dni temu, to niepotrzebnie marnuje pan mój i swój czas. Proszę o opuszczenie mojego domu.

- Wierzy pani w jego śmierć? - spytał Jocelyn, zmrużywszy oczy. Spojrzała na niego.

- Jardine'a? Dlaczego ojciec miał twierdzić, że nie żyje, gdyby było inaczej?

- Czy to powiedział? - spytał Jocelyn. - Czy tylko nie zaprzeczył

plotkom, krążącym po londyńskich salonach i klubach?

Przyglądała mu się bacznie.

- Po co pan tu przyszedł? - spytała.

Idąc do niej, zastanawiał się, co właściwie powie. Ale nie przewidział tego, co się stało.

- Wiem, gdzie jest - oświadczył. - Znalazłem dla niej nowe zajęcie, kiedy opuściła Dudley House.

Lady Webb zerwała się na nogi.

- Jest w mieście? - zawołała. - Proszę mnie do niej zawieźć. Sprowadzę ją tutaj i udzielę jej schronienia, a mój adwokat zajmie się śmiesznymi oskarżeniami, wysuwanymi przeciwko niej. Jeśli pańskie podejrzenia są słuszne i Sidney Jardine wciąż żyje... A więc gdzie ona jest?

Jocelyn też wstał.

- Jest w mieście - zapewnił ją - Przywiozę ją do pani. Od razu bym to zrobił, ale musiałem się upewnić, że znajdzie tu bezpieczne schronienie.

Jej spojrzenie w jednej chwili stało się przenikliwe.

- Tresham, jakie nowe zajęcie znalazł pan dla Sary? - spytała, tak jak się tego obawiał.

- Musi pani zrozumieć, że podała mi fałszywe nazwisko - odparł sztywno. - Powiedziała mi, że dorastała w sierocińcu. Widziałem, że otrzymała staranne wychowanie, ale uważałem, że jest samotna i bez

przyjaciół.

Lady Webb na chwilę zamknęła oczy, ale wciąż stała wyprostowana.

- Proszę ją do mnie przywieźć - zażądała. - I niech jej towarzyszy pokojówka albo jakaś inna godna szacunku kobieta.

- Dobrze, proszę pani - zgodził się. - Naturalnie uważam się za narzeczonego lady Sary Illingsworth.

- Naturalnie. - W oczach, którymi tak bacznie mu się przyglądała, był pewien chłód. - Cóż to za ironia, że uciekła przed jednym szubrawcem, by dostać się w szpony innego. Proszę ją do mnie przywieźć.

Jocelyn uklonił się, powstrzymując się przed chęcią przybrania swej normalnej miny wyniosłego cynizmu. Lady Webb przynajmniej była na tyle opanowana, by nie zatrzeć rąk z zadowolenia na myśl o wydaniu swej chrześnicy za księcia Tresham.

- Proszę zwrócić się o pomoc do swego adwokata - powiedział. - Ja też dołożę wszelkich starań, żeby oczyścić imię mojej narzeczonej i uwolnić ją od więzów niestosownej opieki prawnej. Do widzenia pani.

Zostawił ją stojącą prosto i dumnie pośrodku salonu. Była kimś, do kogo mógł spokojnie przywieźć Jane. W końcu jakaś przyjazna dusza.

Jane została w sypialni przez całą godzinę po wyjściu Jocelyna. Siedziała na taborecie przed toaletką ze ściśniętymi nogami, z rękami na kolanach, szklisty wzrok utkwiała w dywan.

Potem wstała i rozebrała się ze wszystkiego, co było nowe. Wyciągnęła z szafy prostą suknię z muślinu, taką praktyczną i pończochy, które miała na sobie, kiedy jechała do Londynu. Przebrała się. Rozczesała włosy i tak ściśle je splotła, by zmieściły się pod szarym czepkiem. Włożyła czepkę i szarą pelerynkę, na nogi wsunęła stare pantofle, na ręce - czarne rękawiczki i była gotowa do wyjścia. Wzięła torbę ze swym skromnym dobytkiem - i bezcenną bransoletką - i cichutko wyszła z pokoju.

Na nieszczęście w holu na dole był Phillip. Spojrzał na nią zdumiony - nigdy przedtem nie wychodziła, do tego tak skromnie ubrana.

- Wychodzi pani?- spytał niepewnie.

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Tylko na spacer, żeby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, Phillipie.

- Rozumiem, proszę pani. - Podbiegł, by otworzyć jej drzwi, i niepewnie spojrzął na jej torbę. - Gdyby przyszedł jego książęca mość, co mu mam przekazać?

- Że wyszłam na spacer. - Wciąż z uśmiechem na ustach przekroczyła próg. I natychmiast ogarnęła ją panika, jak wtedy kiedy człowiek się boi, że za chwilę spadnie na dno przepaści. Pewnie

zrobiła pierwszy krok. - Nie jestem przecież więźniem.

- Naturalnie, proszę pani. - Phillip natychmiast się zgodził. - Życzę miłej przechadzki.

Chciała się odwrócić, by mu powiedzieć do widzenia. Był sympatycznym młodzieńcem, zawsze chętnym służyć jej pomocą. Ale tylko szybko ruszyła przed siebie. Po chwili dobiegł ją odgłos zamykanych drzwi.

Jak drzwi więzienia.

Które się za nią zatrzasnęły.

Oczywiście to wszystko nerwy. Niespełna pięć minut później zorientowała się, że jest śledzona, ale nie obejrzała się za siebie. Nie przyspieszyła też ani nie zwolniła. Szła chodnikiem równym krokiem, wyprostowana, z głową uniesioną do góry.

- Lady Sara Illingsworth? Dzień dobry pani - usłyszała za sobą czyjś cichy głos, nawet dość sympatyczny.

Poczuła się, jakby wąż pełził jej po plecach. Ze strachu kolana się pod nią ugięły i dostała mdłości. Zatrzymała się i wolno odwróciła.

- Domyślam się, że mam przed sobą detektywa z Bow Street? - odezwała się równie miłym głosem. Z pewnością nie wyglądał na dzielnego stróża porządku. Nie był ani wysoki, ani barczysty, przypominał raczej nędzną imitację dandysa.

- Tak, proszę pani. Jestem do pani usług - powiedział detektyw, patrząc na nią bacznie, bez śladu służalczości.

A więc Jocelyn się mylił. Nie udało mu się doprowadzić do tego, by zaprzestano obserwacji domu. Opisał detektywa jako bystrego, ale nie przypuszczał, że jest zbyt bystry, by posłuchać polecenia i zostawić swoją ofiarę, skoro prawie jej dopadł.

- Ułatwię panu zadanie - powiedziała, zaskoczona swym spokojem. To zdumiewające, jak zapomina się o strachu, kiedy już nastąpi najgorsze. - Właśnie idę do hotelu Pulteney porozmawiać z hrabią Durbury. Jeśli pan chce, może mnie tam pan odprowadzić i sobie przypisać zaszczyt zatrzymania mnie. Ale nie zbliży się pan do mnie ani nie tknie mnie pan palcem. Jeśli pan to zrobi, zacznę głośno krzyczeć - a na ulicy jest trochę powozów i przechodniów. Opowiem pierwszą lepszą historyjkę, jaka mi przyjdzie do głowy, by przekonać wszystkich, że mnie pan napastuje. Zgadza się pan?

- Będzie tak, jak ja zechcę. - W głosie detektywa dało się słyszeć pewien żal. - Kiedy Mick Boden dopadnie przestępcę, nie pozwala mu uciec. Nie pozwala mu umknąć, nawet jeśli czasem jest to dama, która potrafi słodko mówić. I nie zawiera z nim układów. Pójdzie pani ze mną, ale najpierw zwiążę pani ręce na plecach. W ten sposób oszczędzi sobie pani wstydu. Wiem, że damy nie lubią narażać się na wstyd na oczach ludzi.

Być może Mick Boden był bystry, ale brakowało mu rozumu. Zrobił jeszcze jeden krok w kierunku Jane, jedną ręką sięgając do kieszeni. Jane otworzyła usta i zaczęła krzyczeć. Jej krzyk

przestraszył nawet ją samą. Nigdy nie krzyczała, nawet jako dziecko. Detektyw był zaskoczony i przerażony. Wyciągnął rękę z kieszeni, ściskając w niej kawałek sznurka.

- Nie ma potrzeby tak się denerwować - powiedział ostro. - Nie zamierzam pani...

Ale Jane nigdy się nie dowiedziała, czego nie miał zamiaru zrobić detektyw. Dwóch dżentelmenów na koniach podjechało kłusem i zeskoczyło na ziemię. Dorożka zatrzymała się gwałtownie po drugiej stronie ulicy, krzepki woźnica zeskoczył z kozła, wołając do młodego zamiatacza ulic, by przytrzymał konie. Starsze małżeństwo o szacownym wyglądzie, które minęło Jane kilka minut temu, odwróciło się i pospieszyło w jej stronę. A jakiś olbrzym, który wyglądał na boksera, pojawił się nie wiadomo skąd i złapał Micka Bodena od tyłu, przyciskając mu ręce do boków. Właśnie to sprawiło, że detektyw urwał w pół słowa.

- Zaczepił mnie - poinformowała Jane tych, którzy pospieszyli jej na pomoc. - Chciał mnie tym związać - pokazała drżącym palcem sznur - i porwać mnie.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Bokser zaproponował, że mocniej ściśnie napastnika, aż mu żołądek wyjdzie gardłem. Woźnica gotów był zawieźć go dorożką do najbliższego sędziego pokoju, gdzie z pewnością zostanie skazany na stryczek. Jeden z dżentelmenów oświadczył, że byłoby niegodziwością gdyby taki gad

zawisł na szubienicy, nim nie zdeformuje mu się twarzy. Starszy pan nie rozumiał, dlaczego takim podejrzanie wyglądającym typkom pozwala się chodzić ulicami spokojnego miasta i terroryzować kobiety. Jego żona objęła Jane macierzyńskim gestem, cmokając z oburzenia i przejęcia.

Mick Boden odzyskał panowanie nad sobą chociaż nie udało mu się uwolnić z rąk siłacza.

- Jestem detektywem z Bow Street - oznajmił tonem pełnym godności. - Właśnie zatrzymałem złodziejkę i zabójczynię. Radzę państwu nie przeszkadzać w działaniach wymiaru sprawiedliwości.

Jane zadarła głowę.

- Jestem lady Sara Illingsworth - powiedziała z oburzeniem, mając nadzieję, że nikt z obecnych nie słyszał o wypadkach w dalekiej Kornwalii. - Właśnie udaję się z wizytą do mojego kuzyna i opiekuna, hrabiego Durbury, który zatrzymał się w hotelu Pulteney Będzie na mnie bardzo zły, kiedy mu się przyznam, że wyszłam na miasto bez swojej pokojówki. Ale biedaczka się przeziębila. Oczywiście powinnam zamiast niej wybrać się z lokajem, ale nie wiedziałam, że jakiś desperat będzie w biały dzień zaczepiał kobiety. - Wyciągnęła chusteczkę z kieszeni peleryny i uniosła ją do ust. Mick Boden spojrział na nią z naganą.

- Nie musiała pani urządzania takiego przedstawienia - stwierdził.

- Chodź, moja droga - powiedziała starsza pani, biorąc Jane pod

ramię. - Odprowadzimy cię do hotelu Pulteney, prawda, Vernonie? To prawie po drodze.

- Proszę iść z tym miłym państwem - zwrócił się do niej jeden z dżentelmenów. - Będziemy wiedzieli, gdzie pani szukać, gdyby była pani potrzebna jako świadek. Ale zastanawiam się nad wyręczeniem wymiaru sprawiedliwości bez zawracania głowy sędziemu.

- Proszę posłuchać... - zaczął Mick Boden. Jane ujęła pod ramię starszego pana i ruszyła przed siebie, osłaniana przez niego i jego żonę. W innej sytuacji może by jato wszystko rozbawiło. Ale teraz czuła mieszaninę dumy - w końcu coś robiła - i pogardy. Zamierzał związać jej ręce.

Bardzo wylewnie podziękowała starszemu państwu, kiedy znaleźli się przed wejściem do hotelu Pulteney, i obiecała, że nigdy więcej nie będzie na tyle lekkomyślna, by sama wyjść na ulice Londynu. Byli dla niej tacy mili, że aż czuła wyrzuty sumienia, oszukując ich. Chociaż oczywiście nie była ani złodziejką, ani zabójczynią. Weszła do hotelu.

Kilka minut później pukała do drzwi hrabiego Durbury, nie skorzystawszy z propozycji obsługi hotelowej, by poinformować jego lordowską mość o jej przybyciu i poczekać w holu na dole. Pokojowiec kuzyna, Parkins, otworzył jej drzwi. On również ją poznał. Ze zdumienia otworzył usta. Jane weszła bez słowa, a on zgrabnie odskoczył na bok.

Znalazła się w przestronnym i eleganckim saloniku. Hrabia siedział przy biurku, tyłem do drzwi. Czuła, jak serce jej wali, szumiało jej w uszach, zaschło w gardle.

- Kto to, Parkins? - spytał hrabia, nie odwracając się.

- Witaj, kuzynie Haroldzie - powiedziała Jane.

Jocelyn zamierzał niezwłocznie zabrać Jane do domu lady Webb. Naprawdę nie powinna zostawać tam, gdzie jest obecnie, ani chwili dłużej niż to niezbędne. Postanowił, że poleci pani Jacobs, by pojechała z nią jego powozem.

Ale żeby kazać przygotować powóz, musiał przejechać przez Hyde Park. A jadąc przez park, przypadkowo natknął się na niezwykle ciekawą scenkę. W pewnej odległości przed sobą ujrzał grupę mężczyzn na koniach, niektórzy rozmawiali i żywo gestykulowali.

Pomyślał, że szykuje się jakaś awantura. Zwykle bez wahania podjechałby bliżej, by się przekonać, co się dzieje, ale dziś miał na głowie ważniejsze sprawy i minąłby zgromadzonych, gdyby nagle nie rozpoznał w jednym z gestykulujących dżentelmenów własnego brata.

Ferdynand się kłóci? Może ściąga sobie akurat jakieś kłopoty na głowę, a natura Dudleya nie pozwala mu się wycofać, aż wpadnie w nie po uszy? Cóż, pomyślał Jocelyn, wzdychając z rezygnacją tym

razem może go wesprzeć moralnie.

Jego pojawienie zauważyli najpierw ci, którzy nie brali udziału w głośnej wymianie zdań, a potem reszta. Wszyscy odwrócili się jak jeden mąż, by patrzeć, jak się zbliża. Zapadło milczenie.

Jocelyn niemal od razu zorientował się, co jest przyczyną zamieszania. Oto w końcu ujrzał przed sobą wszystkich pięciu braci Forbesów Niewątpliwie bojąc się pojawić w Londynie w pojedynkę, paradowali razem.

- Tresham! - zawołał Ferdynand. Spojrzał triumfująco na braci. - Teraz się przekonamy, kto jest tchórzliwym szubrawcem!

- Mój Boże! - Jocelyn uniósł brwi. - Czyżby ktoś z obecnych używał tak wulgarnego języka, Ferdynandzie? Odczuwam głęboką ulgę, że mnie tu nie było i że tego nie słyszałem. A czy mogę wiedzieć, kto zasłużył sobie na tak niepochlebne określenie?

Trzeba przyznać, że wielebny Josiah Forbes, chociaż nudziarz bez polotu, nie był mazgajowatym, podstępny niegodziwcem. Bez wahania zbliżył się do Jocelyna, aż znalazł się niemal strzemię w strzemię z nim, teatralnym gestem zdjął prawą rękawiczkę, a potem przemówił:

- Pan, Tresham - powiedział. - Tchórzliwym szubrawcem, który nie potrafi uszanować czci mężatki. Spotkamy się na ubitej ziemi, jeśli zaprzecza pan mojemu oskarżeniu.

Pochylił się do przodu i uderzył Jocelyna rękawiczką w policzek.

- Chętnie - oznajmił Jocelyn z wyższością. - Pański sekundant może omówić warunki z sir Conanem Broughamem.

Miejsce wielebnego Forbesa zajął kapitan Samuel Forbes, wyglądający olśniewająco w szkarłatnym mundurze. Wśród widzów rozległ się szmer podniecenia, a Jocelyn zauważył, że pozostali bracia ustawiają się w kolejce. Ziewnął, zasłaniając usta dłonią.

- Ja też domagam się satysfakcji za znieważenie czci mojej siostry, Tresham - oświadczył kapitan Forbes i uderzył księcia rękawiczką w ten sam policzek.

- Jeśli los pozwoli - powiedział mu Jocelyn. - Ale rozumie pan, że gdyby pański brat roztrzaskał mi głowę w honorowym pojedynku i nie mógłbym się stawić na spotkanie z panem, będę zmuszony odmówić pańskiej prośbie - albo Brougham zrobi to w moim imieniu po mojej śmierci.

Kapitan Forbes wycofał konia. Teraz przyszła kolej sir Anthony'ego Forbesa. Ale Jocelyn uniósł rękę i pogardliwie spojrział na trzech pozostałych braci.

- Musicie mi wybaczyć, że nie spotkam się z żadnym z was na ubitej ziemi - oświadczył z wyszukaną grzecznością. - To niehonorowe próbować ukarać człowieka, nie postawiwszy mu najpierw wyzwania. Kieruję się w życiu niewzruszoną zasadą: pojedynkuję się tylko z dżentelmenami, a nie ma nic szlachetnego w próbie ukarania człowieka zabijając jego brata.

- Nie jest to również bezpieczne - dodał Ferdynand - gdyż ów brat może sam podjąć wyzwanie i odpowiedzieć na ten tchórzliwy podstęp.

Rozległy się oklaski. Wciąż przybywało świadków.

- Was trzech - powiedział Jocelyn, unosząc szpicrutę i wskazując nią każdego brata po kolei - ukarzę, nie czekając, chociaż proponuję, żebyśmy się przenieśli w bardziej odludny zakątek. Będę walczył z całą trójką jednocześnie. Możecie się bronić, ponieważ ja jestem dżentelmenem i nie skorzystam z prawa, by was związać, chociaż jesteście łotrami i niegodziwcami. Ale nie będzie sekundantów i nie będą obowiązywały żadne zasady. To nie pole walki honorowej.

- Brawo, Tresham - wykrzyknął rozemocjonowany Ferdynand. - Dobra robota. Ale będzie dwóch przeciwko trzem. Ta sprawa dotyczy również mnie i nie pozwolę, by mnie pozbawiono satysfakcji wymierzenia kary. - Mówiąc to, zsiadł z konia i poprowadził go w kierunku kępy drzew, którą wskazał Jocelyn. Dalej rosła trawa, ale nie było ścieżek, więc w tej części parku rzadko pojawiali się jeźdźcy i spacerowicze.

Trzej bracia Forbesowie, jak przypuszczał Jocelyn, nie mogli wykręcić się od spotkania bez utraty twarzy. Pozostali dżentelmeni tłoczyli się za nimi, zachwyceni niespodziewaną okazją obejrzenia bójki.

Jocelyn zdjął frak i kamizelkę, brat poszedł w jego ślady.

Obydwaj stanęli na trawniku, a wkoło zgromadził się tłum, by oglądać walkę.

Nie minęły nawet dwie minuty, a Jocelyn ku swemu ogromnemu rozczarowaniu stwierdził, że pojedynek nie jest wyrównany. Wesley Forbes lubił posługiwać się butami i najwyraźniej miał nadzieję, że unieszkodliwi przeciwników jednym celnym kopnięciem. Na nieszczęście dla niego Ferdynand, odznaczający się szybkim refleksem, złapał go obiema rękami za but, jakby to była piłka, i przytrzymał, aż Forbes stracił równowagę, jednocześnie z całych sił kopiąc przeciwnika w brodę. Spotkało się to z entuzjastycznymi okrzykami większości widzów.

Teraz zostało dwóch na dwóch.

Sir Anthony Forbes, któremu udało się raz trafić Jocelyna pięścią w brzuch, próbował przez jakiś czas odpowiadać przeciwnikowi ciosem na cios, ale wkrótce zaczął jęczeć, że to niesprawiedliwe, iż z nim walczy, skoro to Wes majstrował przy osi karykla.

Zebrani zaczęli z niego szydzić.

- Być może jest w tym jakaś sprawiedliwość - powiedział Jocelyn, tłukąc sir Anthony'ego i zwlekając dłużej, niż to było konieczne, z wymierzeniem *coup de grace* - że ukarzę nie tego brata, co trzeba.

W końcu wymierzył lewego sierpowego i prawego prostego, którymi powalił przeciwnika.

W tym czasie Ferdynand traktował brzuch Josepha Forbesa jak

worek treningowy. A słysząc głośnie wiwaty, kiedy sir Anthony został pokonany, zakończył pojedynek ciosem, wymierzonym prosto w szczękę przeciwnika. Kolana ugięły się pod Josephem i zwałił się na ziemię, trzymając się za zakrwawiony nos. Nawet nie próbował się podnieść.

Jocelyn podszedł do dwóch pozostałych braci, przyglądających się im w milczeniu. Ukłonił się dość dwornie.

- Będę czekał na wiadomość od sir Conana Broughama - oświadczył.

Ferdynand, bez widocznego uszczerbku na ciele, wkładał frak i śmiał się wesoło.

- Człowiek chętnie rozprawiłby się z całą piątką - oznajmił - ale nie można być zachłannym. Dobra robota, Tresham. To był genialny pomysł. Żadnych pojedynków z tą trójką, tylko zwyczajna kara. I to w obecności wystarczająco licznej widowni, by przez tygodnie można było o tym opowiadać. Przypomnieliśmy wszystkim, jakie są konsekwencje zadzierania z Dudleyami. Idziemy do klubu White'a?

Ale Jocelyn stracił już zbyt dużo czasu na bijatykę w parku.

- Może później - powiedział. - Teraz mam do załatwienia coś niezwykle pilnego. - Spojrzał na swego brata, odprawił gestem tych, którzy chcieli im gratulować, i dosiadł konia. - Ferdynandzie, jest coś, co możesz dla mnie zrobić.

- Wszystko, o co poprosisz. - Jego brat wyglądał na zaskoczonego

i zarazem uszczęśliwionego. Nieczęsto Jocelyn zwracał się do niego z jakąś prośbą.

„- Możesz rozgłosić, oczywiście w sposób taktowny, że okazało się, iż panna Jane Ingleby, moja była pielęgniarka i główna atrakcja muzyczna wieczorku w Dudley House, to w rzeczywistości lady Sara Illingsworth - powiedział Jocelyn. - Szczęśliwym trafem spotkałem ją zawiozłem do domu lady Webb. Wszystkie pogłoski, dotyczące jej osoby okazały się przesadzone i bezpodstawne, jak większość pogłosek.

- Och, rozumiem. - Ferdynand był wielce zaciekawiony. - Jak się o tym dowiedziałeś, Tresham? Gdzie ją znalazłeś? Jak...

Ale Jocelyn gestem ręki nakazał mu milczenie.

- Zrobisz to? - spytał. - Czy dziś odbywa się jakiś raut towarzyski?
- Był okropnie nie na bieżąco.

- Jest bal u lady Wardle - odparł Ferdynand. - Będzie okropny ścisk.

- A więc szepnij tam słówko komu trzeba - poprosił Jocelyn. - Wystarczy, jeśli raz podasz gołe fakty. Może dla pewności dwa razy. Ale nie więcej.

- Co... - zaczął Ferdynand, ale Jocelyn znów podniósł rękę.

- Później - powiedział. - Muszę ją teraz zawieźć do lady Webb.

Jadąc, pomyślał, że miło, gdy brat jest również przyjacielem, tak jak wtedy, kiedy byli dziećmi.

Czekały go jeszcze dwa pojedynki - po tym, jak upora się ze sprawą Jane. Ciekaw był, czy dla zasady nie zechce z nim pojechać do lady Webb, tak jak sprzeciwiała mu się we wszystkich dotychczasowych prośbach?

Okropna, nieznośna dziewczyna!

Rozdział 22

Hrabia Durbury obrócił się gwałtownie, oczy zrobiły mu się okrągłe ze zdumienia.

- A więc wreszcie cię odszukano, Saro? - powiedział, wstając. - Gdzie jest detektyw z Bow Street, któremu się to udało?

- Nie wiem - odparła Jane i weszła do pokoju, by położyć kapelusz i rękawiczki na małym stoliku. - Ludzie, którzy uniemożliwili mu porwanie mnie, jeszcze nie zdecydowali, co z nim zrobić. Ja postanowiłam przyjść tutaj. Przyszłam na spotkanie z tobą dobrowolnie, żeby ci złożyć kondolencje w związku z twoją stratą. I zażądać odpowiedzi na pytanie, dlaczego polecieś detektywom sterczeć pod moim domem, jakbym była pospolitym przestępcą.

- Aha - mruknął hrabia. - A więc jednak miał rację? Powinienem się domyślić. Jesteś ladacnicą, utrzymanką Treshama.

Jane udała, że nie słyszy.

- Wynająłeś detektywa, który urządziłby melodramatyczną scenę, wlokąc mnie z rękami związanymi na plecach, jak złodziejkę - oświadczyła. - Czy mogę wiedzieć, cóż takiego ukradłam, co należy do ciebie, a nie do mnie? Nazwał mnie też zabójczynią. W jakim stopniu odpowiadam za śmierć Sidneya, który upadł i uderzył się w głowę, próbując mnie zniewolić, a potem zmusić do małżeństwa? Żył, kiedy wyjeżdżałam z Candleford. Kazałam go zanieść na górę do

jego pokoju. Osobiście go doglądałam, dopóki nie przybył doktor, po którego sama posłałam. Jednak mimo wszystko przykro mi, że zmarł. Nie życzę śmierci nawet tak marnym kreaturom, jak Sidney Ale nie poczuwam się do odpowiedzialności za jego śmierć. Jeśli chcesz, by sądzono mnie za to morderstwo, nie mogę cię powstrzymać. Ale ostrzegam, że tylko się ośmieszysz w oczach opinii.

- Zawsze byłaś zuchwałą, Saro - powiedział kuzyn. Założył ręce do tyłu i spojrzał na nią groźnie. - Przekonamy się, czy sąd da wiarę słowu hrabiemu Durbury, czy kochance księcia.

- Nudzisz mnie, kuzynie Haroldzie - odparła Jane, siadając na najbliższym krześle z nadzieją że nie widać, jak drżą jej nogi. - Chciałabym się napić herbaty. Zadzwonisz, żeby ją przyniesiono, czy ja mam to zrobić?

Ale w tej chwili rozległo się pukanie do drzwi i milczący pokojowiec poszedł je otworzyć. Do salonu wszedł detektyw z Bow Street. Głośno dyszał, ubranie miał w nieładzie, nos czerwony i spuchnięty. W jednej ręce ścisnął chusteczkę, na której Jane dostrzegła plamy krwi. Pod nosem widoczna była cienka, czerwona linia. Obrzucił Jane oskarżycielskim spojrzeniem.

- Zatrzymałem ją milordzie - oświadczył. - Ale muszę ze wstydem wyznać, że okazała się bardziej podstępna i niebezpieczna, niż się tego spodziewałem. Zaraz ją zwiążę, jeśli takie jest pańskie życzenie, i odstawię do sędziego pokoju, nim ucieknie się do jakiejś kolejnej

sztuczki.

Jane było go prawie żal. Dał z siebie zrobić głupca. Miała nadzieję, że takie przygody, narażające na szwank jego poczucie godności, nie zdarzają mu się zbyt często.

- Zabiorę ją z powrotem do Kornwalii - odparł hrabia. - Tam spotka ją zasłużona kara. Wyjeżdżamy jeszcze dziś wieczorem, gdy tylko zjem obiad.

- Na pana miejscu nie ufałbym jej i nie pozwolił, żeby siedziała obok pana w powozie, milordzie - ostrzegł go detektyw. - Nie zatrzymywałbym się też w przydrożnych zajazdach z obawy, by nie urządziła sceny i nie napuściła na pana bandy głupców, którzy nie widzą prawdy, nawet kiedy mają ją tuż przed nosem. Nie ufałbym jej, że nie zdzieli pana czymś w głowę, tak jak zrobiła to pańskiemu synowi, gdy tylko pan zapadnie w drzemkę.

- Naprawdę zraniłam pańskie uczucia - odezwała się Jane uprzejmie. - Ale uprzedziłam pana, że będę krzyczała.

Spojrzał na nią, nie kryjąc antypatii.

- Na pana miejscu, milordzie, kazałbym jej związać ręce i nogi - oznajmił. - I zakneblować. I wynająłbym strażnika na czas podróży. Znam kobietę, która chętnie podejmie się zadania pilnowania jej. Proszę mi wierzyć, że obecnej tu damie nie udadzą się żadne sztuczki w obecności Berthy Meeker.

- Co to za stek bzdur! - zawołała Jane.

Ale hrabia miał niepewną minę.

- Zawsze była harda - powiedział. - Pozostała nieprzejeđnana pomimo dobroci, jaką jej okazywaliśmy po śmierci jej ojca. Rozumie pan, była jedynaczką i rodzice okropnie ją rozpieścili. Chcę, żeby wróciła do Candleford, gdzie odpowiednio się nią zajmą. Niech pan zatrudni tę strażniczkę, Boden. Ale musi się tu stawić w ciągu dwóch godzin, w przeciwnym razie zrobi się ciemno, nim opuścimy Londyn.

Wcześniej Jane doznała głębokiej ulgi. Wszystko okazało się znacznie łatwiejsze, niż przewidywała. Prawdę mówiąc, aż trudno było jej uwierzyć, że tak długo się bała, co było do niej niepodobne. Nie powinna się ukrywać, bać, co się stanie, jeśli żaden ze świadków nie powie prawdy o tym, co tamtego wieczoru wydarzyło się w Candleford.

Ale teraz znów ogarnął ją strach. Chcieli ją zwięzać i odesłać z powrotem do Kornwalii jak więźnia pod okiem strażniczki. A potem będzie sądzona za morderstwo. Przeszedł ją dreszcz.

- Tymczasem przywiążemy panią do krzesła, żeby mógł pan w spokoju zjeść obiad - powiedział Mick Boden, znów z niechęcią popatrując na Jane. - Pański pokojowiec mi pomoże.

Jane uratował gniew, który w niej wezbrał. Zerwała się na równe nogi.

- Niech pan nie waży ruszyć się z miejsca - poleciła detektywowi tak wyniosłym tonem, że na chwilę znieruchomiał. - Co to za pomysł!

Czy w ten sposób chce się pan zemścić? Straciłam resztki szacunku dla pana i pańskiego rozumu. Kuzynie Haroldzie, z własnej nieprzymuszonej woli udam się z tobą do Kornwalii. Nie pozwolę, żeby mnie tam odstawiono związaną jak pospolitego rzezimieszka.

Ale detektyw znów wyciągnął z kieszeni sznurek, a pokojowiec spojrzął na hrabiego i wyraźnie zmieszany podszedł kilka kroków w kierunku Jane.

- Przywiążcie ją - polecił hrabia i odwrócił się, by zebrać papiery z biurka.

- Bardzo dobrze. - Jane zacisnęła zęby. - Chcesz awantury będziesz miał awanturę.

Ale tym razem nie krzyczała. Hrabia z łatwością przekonałby wszystkich, którzy przysliby jej z pomocą że jest zabójczynią, stawiającą opór przed aresztowaniem. I oczywiście nie miała szans w walce przeciwko dwóm mężczyznom, w razie konieczności dołączyłby do nich jeszcze kuzyn. Za kilka minut znajdzie się z powrotem na krześle, ze związanymi rękami i nogami, a może także z zakneblowanymi ustami. Cóż, nie powstrzyma jej to przed pozostawieniem napastnikom kilku zadrapań i siniaków na pamiętkę. Cały strach gdzieś pierzchł i zastąpiła go dziwna zawziętość.

Natarli na nią jednocześnie, podeszli z dwóch stron i starali się ją złapać. Zaczęła wymachiwać rękami, nogami. Wykręcała się, odpychała napastników łokciami, jednego nawet ugryzła w rękę,

kiedy okazał się na tyle nierozsądny, by zanadto zbliżyć ją do jej twarzy. I nieświadomie używała języka, z którym zdążyła się osłuchać w ciągu kilku ostatnich tygodni.

- Zabierajcie swoje przeklęte łapska i wynoście się do wszystkich diabłów! - krzyczała właśnie, gdy przez wrzawę, towarzyszącą szarpaninie, przebił się czyjś spokojny głos.

- No, no! Czyżbym przeszkodził w jakichś grach i zabawach?

Parkinsonowi udało się już uwiesić jednego ramienia Jane, a detektyw boleśnie wykręcał jej drugą rękę do tyłu. Jane dyszała głośno. Przez włosy, które opadły jej na twarz, niewyraźnie dostrzegła swego wybawcę, opartego o framugę drzwi. Oko, w którym tkwił monokl, było karykaturalnie powiększone.

- Wynoś się - powiedziała. - Mam dość mężczyzn do końca życia. Nie jesteś mi potrzebny. Poradzę sobie bez ciebie.

- Właśnie widzę. - Książę Tresham wypuścił monokl z oka. - Ale cóż to za język, Jane! Gdzie się go nauczyłaś? Czy mogę zapytać, Durbury, dlaczego ci mężczyźni, z których, jak się obawiam, żaden nie jest dżentelmenem, uwiesili się ramion lady Sary Illingsworth? Wydaje mi się, że to osobliwa i niesportowa walka.

Jane dostrzegła panią Jacobs, zaglądnącą z korytarza. Wyglądała na do głębi oburzoną. Jane też czuła oburzenie. Jak to możliwe, że dwaj dorośli mężczyźni, którzy jeszcze przed chwilą byli wystarczająco rozjuszeni, by się z nią siłować, teraz stali potulnie,

jakby czekając na polecenia jednego dżentelmena, zachowującego się z prawdziwie angielską flegmą?

- Dzień dobry, Tresham - powitał go szorstko hrabia. - Jeszcze przed zapadnięciem zmroku kuzynka Sara wyjeżdża razem ze mną z Londynu do Candleford. Pańska obecność tutaj jest całkowicie zbędna.

- Przyszłam tu z własnej nieprzymuszonej woli - oznajmiła Jane. - Wasza książęca mość nie jest już za mnie pod żadnym względem odpowiedzialny.

Oczywiście zlekceważył jej słowa. Zwrócił się do detektywa z Bow Street.

- Proszę puścić młodą damę - powiedział łagodnie. - Widzę, że musi panu niezłe dokuczać ból nosa. Czy to twoja robota, Jane? Moje uznanie. Przykro by mi było, gdybym musiał panu jeszcze podbić oczy, mój dzielny człowieku.

- Proszę posłuchać... - zaczął Mick Boden.

Ale książę znów założył monokl i unióśł brwi. Jane, chociaż ogromnie jej ulżyło, kiedy nagle puszczone jej rękę, patrzyła z pogardą na człowieka, który potrafi rządzić innymi za pomocą monokla i uniesienia brwi.

- Proszę odprawić tego człowieka - polecił książę hrabiemu Durbury. - I swojego służącego. Jeśli ta scysja zwróci uwagę gości i obsługi hotelowej, może będzie pan musiał wyjaśnić, dlaczego

rzekoma ofiara morderstwa żyje, ma się dobrze i przebywa w Candleford.

Jane spojrzała na hrabiego. Aż poczerwieniał ze złości. Ale nic nie powiedział. Nie zaprzeczył. Nie sprzeciwił się temu, co właśnie usłyszał.

- A więc jest tak, jak myślałem - powiedział cicho ksiązę Tresham.

- Niektórym równie nie w smak byłoby ujawnienie, dlaczego przetrzymywał pan pospolitą zbrodniarkę w charakterze swej utrzy...
- zaczął hrabia.

- Na pana miejscu nie kończyłbym tego zdania - poradził Jocelyn.
- Odprawi pan detektywa, Durbury? Czy ja mam to zrobić?

Mick Boden głośno nabrał powietrza w płuca.

- Chciałbym pana powiadomić... - zaczął.

- Czyżby? - spytał ksiązę z doskonałą obojętnością. - Przykro mi, mój dobry człowieku, ale nie życzę sobie słuchać tego, o czym chciałby mnie pan powiadomić. Zechce pan wyjść, zanim zdecyduję się ukarać pana za wykręcenie ręki pani, czego sam przed chwilą byłem świadkiem.

Przez moment wydawało się, że detektyw podejmie rzucone wyzwanie, ale wkrótce schował sznurek do kieszeni i wymaszerował z pokoju z urażoną miną. Pokojowiec hrabiego skwapliwie podążył za nim i cicho zamknął za sobą drzwi.

Jane zwróciła się do hrabiego, oczy jej płonęły gniewem.

- Sidney żyje? - krzyknęła. - I dobrze się ma? A jednak przez cały czas poszukiwałeś mnie jako zabójcy? Pozwoliłeś mi wierzyć, odkąd weszłam do tego pokoju, że umarł? Jak możesz być taki okrutny? Teraz wiem, dlaczego mieliśmy wrócić do Candleford, i nie chciałeś, żebym stanęła przed tutejszym sądem. Wciąż wierzysz, że uda ci się nakłonić mnie do poślubienia Sidneya? Chyba brakuje ci piątej klepki albo myślisz, że mnie jej brakuje.

- Nadal pozostaje sprawa groźnej napaści na Sidneya. Mój syn przez wiele tygodni tkwił na granicy życia i śmierci - odparł hrabia. - A także sprawa kradzieży pewnej kwoty pieniędzy i drogiej bransoletki.

- No, nie! - wykrzyknął Jocelyn, rzucając kapelusz i laskę na krzesło, stojące obok drzwi. - Cieszę się, że moje podejrzenie okazało się słuszne. A więc Jardine nadal przebywa na tym padole łez? Gratuluję, Durbury.

Jane oburzona odwróciła się do niego.

- A więc to było tylko podejrzenie? - spytała. - Domysł? A w ogóle dlaczego jeszcze pan tu jest? Powiedziałam, że nie jest mi pan potrzebny. I nigdy nie będzie. Proszę stąd wyjść.

- Przyszedłem, żeby panią zawieźć do lady Webb - oświadczył książę. Szeroko otwarła oczy.

- Do cioci Harriet? Jest w mieście? Wróciła? Kiwnął głową, a

następnie zwrócił się do jej kuzyna.

- Będzie mi tam bez porównania łatwiej składać wizyty swej narzeczonej niż w Candleford - wyjaśnił.

Jane zaczerpnęła tchu, żeby coś powiedzieć. Jak śmiał! Ale Sidney żył i dobrze się czuł. Ciotka Harriet wróciła do Londynu. Musi do niej pojechać. Już po wszystkim, skończył się koszmar, choć wydawało się jej, że będzie trwał wiecznie. Nie odezwała się.

- Tak, moja droga - powiedział łagodnie Jocelyn, patrząc na nią uważnie.

- Pańskiej narzeczonej? - Hrabia odzyskał panowanie nad sobą. - Słuchaj, Tresham. Lady Sara ma dwadzieścia lat. Póki nie ukończy dwudziestu pięciu lat, nie może nikogo poślubić ani zaręczyć się z żadnym mężczyzną, którego nie zaakceptuję. A pana nie akceptuję. Poza tym cała ta historia z zaręczynami to jedna wielka bzdura. Ludzie pańskiego pokroju nie żenią się ze swoimi kochankami.

Jane zobaczyła, jak Jocelyn zrobił kilka kroków. Po chwili hrabia próbował rozpaczliwie dosięgnąć podłogi, znaleźć coś, na czym mógłby oprzeć ciężar ciała. Jego krawat w ręku Jocelyna zmienił się w całkiem zgrabny stryczek. Twarz hrabiego zrobiła się ciemnopurpurowa.

- Czasem wydaje mi się, że mam kłopoty ze słuchem - powiedział od niechcienia Jocelyn. - Chyba powinienem dać się zbadać lekarzowi, nim ukarzę kogoś za to, co może tylko wydawało mi się,

że powiedział. Ale gdyby się okazało, że nie uda mi się wytrwać w tym dobrym postanowieniu, proponuję, Durbury, żeby w przyszłości mówił pan bardzo wolno i bardzo wyraźnie.

Stopy hrabiego znów dotknęły podłogi, a krawat wrócił do poprzedniej roli, chociaż bardziej zmięty i przekrzywiony niż przedtem.

Jane nie potrafiła się oprzeć czysto kobiecej satysfakcji.

- Potrzebna jest pańska zgoda, nim zacznę czynić przygotowania do ślubu z lady Sarą Illingsworth? - spytał Jocelyn. - W takim razie otrzymam ją, na piśmie, nim wyruszy pan do Kornwalii, co jak sądzę, nastąpi nie później niż jutro rano? - Założył monokl.

- Nie dam się do niczego zmusić - oświadczył hrabia. - Odpowiadam za Sarę. Winien jestem jej zmarłemu ojcu znalezienie dla niej męża bardziej odpowiedniego od pana, Tresham, takiego, z którym będzie szczęśliwa. I niech pan nie zapomina, że napadła i niemal zabiła mojego syna, że okradła mnie z pieniędzy i biżuterii. Musi odpowiedzieć za te czyny w Kornwalii, nawet jeśli tylko przede mną. Jestem jej opiekunem.

- A jednak może wszystkie te oskarżenia powinny być rozpatrzone przez sąd w Londynie, Durbury - powiedział Jocelyn. - Lady Sara niewątpliwie będzie kłopotliwym więźniem podczas długiej podróży do Kornwalii. Pomogę panu niezwłocznie odstawić ją do magistratu. I wtedy modne towarzystwo, spragnione rozrywki w

pełni sezonu, niewątpliwie ucieszy się, widząc, jak dobrze wychowana dama jest oskarżona o napaść na mężczyznę dwa razy od niej większego za pomocą książki. I o zabranie piętnastu funtów swemu opiekunowi, który przez ponad rok nie wypłacał jej należnych pieniędzy na potrzeby osobiste. I o zabranie z sejfu swojej własnej bransoletki, a pozostawienie niewątpliwie kosztownego kompletu biżuterii, który stanie się jej własnością z chwilą zamążpójścia lub ukończenia dwudziestu pięciu lat. Zapewniam pana, że *beau monde* będzie naprawdę ubawiony.

Hrabiemu Durbury zadrgały nozdrza.

- Czy to próba szantażu, Tresham? - spytał.

Jocelyn uniósł brwi.

- Zapewniam pana, Durbury, że gdybym chciał pana szantażować, zdecydowałbym się raczej zagrozić panu, że moja narzeczona oskarży pana o zaniedbanie obowiązku chronienia jej we własnym domu, a pańskiego syna o próbę jej zniewolenia. Jestem pewien, że uda się nakłonić przynajmniej jednego świadka do powiedzenia prawdy. I dodam jeszcze, że gdyby jakimś nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności kiedykolwiek skrzyżowały się drogi Sidneya Jardine'a i moja, w pięć minut po takim spotkaniu pański syn będzie sobie wyciągał zęby z gardła. Może zechce pan mu to przekazać.

Jane mimo woli znów poczuła satysfakcję. Z drugiej strony, pomyślała, księciu nie powinno wszystko przychodzić tak łatwo. To

niesprawiedliwe. Dlaczego nikt nie ma odwagi mu się sprzeciwić? Cała chętność kuzyna Harolda zniknęła, kiedy zrozumiał, że nie uda mu się plan zwabienia jej z powrotem do Kornwalii i szantażem zmuszenia do poślubienia Sidneya. I że niewyrażenie zgody na jej ślub będzie miało o wiele poważniejsze następstwa, niż utrata majątku jej ojca i większości własnego.

Siedziała więc milcząco, nie kryjąc swego oburzenia, że całkowicie zlekceważono jej osobę, jakby jej istnienie nie miało żadnego znaczenia. Hrabia w obecności wezwanych na świadków pani Jacobs i pokojowca udzielił pisemnej zgody na to, by księżę Tresham poślubił lady Sarę Illingsworth.

Potem nie pozostało jej nic innego, jak wygładzić fałdy peleryny, powoli włożyć czepek i rękawiczki, a następnie wyjść z pokoju wraz z panią Jacobs, która wzięła jej torbę, zejść po schodach i wsiąść do czekającego powozu, ozdobionego księżęcym herbem i otoczonego grupką służalczych pochlebców, czekających, żeby się pokłonić księciu Tresham. Pani Jacobs zajęła miejsce obok niej. Gdyby naprawdę można było pęknąć ze złości, pomyślała Jane, niewątpliwie pękłaby. I bardzo dobrze, w ten sposób mogłaby zniszczyć atlasowe poduszki w jego kosztownym powozie.

Księżę wsiadł również i zajął miejsce naprzeciwko niej.

Siedziała sztywno wyprostowana, z uniesioną brodą i wzrokiem utkwionym w widokach za oknem powozu.

- Skorzystam z okazji, że towarzyszy mi pan w drodze do domu lady Webb - powiedziała - żeby jasno postawić pewną sprawę, wasza książę-ca mość, a obecna tu pani Jacobs będzie moim świadkiem. Gdyby był pan jedynym mężczyzną na tym świecie i gdyby mnie pan codziennie nachodził przez milion lat, nie wyjdę za pana za męż. Nie zrobię tego.

- Moja droga lady Saro. - Jego głos był wyniosły i znudzony. - Proszę, żeby miała pani pewien wzgląd na mą dumę. Milion lat? Zapewniam panią, że przestałbym zabiegać o pani rękę po pierwszym tysiącu.

Zacisnęła usta i powstrzymała się przed chęcią odpowiedzi mu równie ciętą uwagą. Nie da mu satysfakcji, nie będzie się z nim kłócić.

Przyszedł jej z pomocą - to prawda. W takiej sytuacji zawsze można było liczyć na księcia Tresham. Opuściła dom bez jego zgody. Była jego utrzymanką. Postanowił, że zachowa się honorowo i się z nią ożeni. Należała do niego.

Ale nie wierzył, że jest jego przyjaciółką.

Nie rozumiał tego, że wyznając mu całą prawdę o sobie, związałyby go ze sobą.

Nie kochał jej. Naturalnie, że nie kochał.

Na szczęście do domu lady Webb jechało się krótko. Ale dopiero kiedy powóz się zatrzymał, Jane pomyślała o ciotce Harriet. Musiała

wiedzieć, że Jane jest w drodze do niej. Czy wiedziała też o innych sprawach? Jak ją przyjmie?

Poznała odpowiedź, gdy tylko lokaj otworzył drzwiczki powozu i rozłożył schodki. Na ganek wyszła lady Webb. Nie zaczekała na nią na progu, tylko zbiegła na sam dół schodów.

- Ciocia Harriet!

Jane prawie nie zauważyła, jak Jocelyn wysiadł z powozu i podał jej rękę. Wydawało jej się, że w jednej chwili znalazła się w ramionach ukochanej przyjaciółki swej matki.

- Saro! - zawołała lady Webb. - Moja droga! Myślałam, że się ciebie nie doczekam. Chyba wydeptałam ścieżkę w dywanie w salonie. Och, moja najdroższa, najdroższa Saro.

- Ciociu Harriet!

Jane nagle zaczęła łkać. Zaprowadzono ją po schodach do jasno oświetlonego holu. Zabrano na górę do salonu i posadzono w eleganckim fotelu przed kominkiem, na którym płonął ogień, wręczono też obszytą koronką chusteczkę, by otarła oczy, nim dotarło do niej, że jest sama z lady Webb.

Księżę wyszedł.

Może na zawsze.

Nie mogła bardziej zdecydowanie go odepchnąć.

No i dobrze.

Chyba nie przeżyła bardziej przygnębiającej chwili w całym

swoim życiu.

To był pracowity ranek. Jocelyn udał się na konną przejażdżkę do parku, gdzie spotkał barona Pottiera i sir Conana Broughama, który rozmawiał już z sekundantami obu braci Forbesów i ustalił, że pojedynki odbędą się w dwa kolejne poranki od dziś za tydzień w Hyde Parku. Jocelyn pomyślał cierpko, że jeśli tak dalej pójdzie, osobiście przywróci modę na rozstrzyganie honorowych sporów w tym właśnie miejscu.

Nie była to przyjemna perspektywa. Dwie kolejne osoby będą miały okazję, by zdmuchnąć płomień jego życia. A przynajmniej na wielebnego Josiaha Forbesa nie działało groźne spojrzenie Treshama.

Dołączył do nich wicehrabia Kimble, a potem Ferdynand, i Jocelyn zdecydowanie odpędził od siebie myśli o pojedynkach.

- Wczoraj wieczorem wieści rozeszły się lotem błyskawicy - powiedział Ferdynand z uśmiechem. - Panna Jane Ingleby okazała się lady Sarą Illingsworth! To sensacja sezonu, Tresham. Wierz mi, że ci, którzy byli na wieczorku w Dudley House i słyszeli, jak śpiewała, chodzili u lady Wardle z dumnie wypiętą piersią. Stary Hardinge próbował przekonywać wszystkich, którzy chcieli go słuchać, że od początku się tego domyślał. Była zbyt dystyngowana, powiedział, żeby być panną Jane Ingleby.

- Gdzie ją znalazłeś, Tresham? - spytał baron Pottier. - I jak

dowiedziałeś się prawdy? Kiedy sobie pomyślę, że widzieliśmy ją kiedy cię odwiedzaliśmy w Dudley House, a żaden z nas niczego nie podejrzewał...

- Czy to prawda, że oczyszczono ją z zarzutów? - spytał sir Conan.

- Wszystko okazało się wielkim nieporozumieniem. - Jocelyn lekceważąco machnął ręką, a potem dotknął szpicrutą runda kapelusza na widok dwóch pań, jadących w przeciwną stronę. - Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Durburym tuż przed jego wyjazdem do Kornwalii. Jardine nie umarł. W pełni wrócił do zdrowia po tym drobnym incydencie. Durbury przyjechał do miasta i wynajął detektywa, żeby odszukał lady Sarę, bo chciał ją powiadomić, że nie ma się czym martwić. Plotki rozeszły się, jak to zwykle bywa z plotkami, za jego plecami.

- A kradzież, Tresham? - spytał baron Pottier.

- Nie było żadnej kradzieży - powiedział Jocelyn. - Wszyscy łatwo dajemy wiarę plotkom. Czasem człowiek aż się zastanawia, czy naprawdę musimy sobie szukać lepszego zajęcia.

Jego przyjaciele wybuchnęli śmiechem, jakby usłyszeli najlepszy żart dnia.

- Ale plotki mają nieprzyjemny zwyczaj krążenia - ciągnął Jocelyn - nim nie znajdzie się coś, co zajmie ich miejsce. Dlatego będę odwiedzał lady Sarę w domu lady Webb i nawet zabiegał o

znajomość z nią.

Baron Pottier wybuchnął głośnym śmiechem.

- No, Tresham, w ten sposób z pewnością wywołasz nowe plotki - zauważył. - Ludzie zaczną mówić, że myślisz o ożenku.

- Właśnie - zgodził się Jocelyn. - Na pewno nikt nie życzyłby sobie, żeby traktowano tę damę jak osobę w jakiś sposób zhańbioną prawda?

- Ja też ją odwiedzę, Tresham - powiedział Ferdynand. - Chcę się jeszcze raz przyjrzeć lady Sarze teraz, kiedy wiem, że jest lady Sarą. To dopiero historia!

- Ja też z przyjemnością złożę jej wizytę - oznajmił wicehrabia.

- Przypuszczam, że moja matka i siostra chętnie ją poznają - dodał sir Conan. - Zabiorę je ze sobą Tresham. Moja matka zna lady Webb.

Jocelyn z ulgą stwierdził, że przyjaciele świetnie go zrozumieli. Kimble i Brougham mieli tę przewagę nad innymi, że znali całą prawdę, ale nawet baron i jego brat uświadamiali sobie, że było coś niestosownego w tym, że księżę przez trzy tygodnie zatrudniał damę w charakterze swojej pielęgniarki. Wszyscy byli gotowi pomóc wprowadzić Jane na salony, uczynić z niej osobę godną szacunku, przyczynić się do zduszenia w zarodku wszelkich wątpliwości co do oskarżeń, jakie przeciwko niej wysunięto.

Nową sensacją która w końcu usunie w cień starą, będzie oczywiście wiadomość o tym, że księżę Tresham zaleca się do

kobiety, która kiedyś była jego pielęgniarką.

Wszystko dobrze się skończy. Nikt z garstki osób, które wiedziały, że lady Sara Illingsworth była jego kochanką nigdy nie piśnie słówkiem na ten temat. Jane nic nie groziło, odzyska dobre imię.

Rozmowa przeszła na wczorajszą bójkę w parku.

Później Jocelyn udał się do Dudley House na śniadanie, postanowiwszy, że zostanie w domu dłużej i przejrzy gazety przed pójściem do klubu White'a. Właśnie wtedy odwiedziła go Angelina. Niezapowiedziana wtargnęła do jadalni.

- Tresham, cóż wy sobie wyobrażacie, ty i Ferdie, by bić się z trzema braćmi Forbesami w parku? - wykrzyknęła. - Byłam cała rozdygotana, kiedy się o tym dowiedziałam. Ale czyż to nie cudowne, że wszystkich trzech trzeba było zanieść do powozu, dwaj byli nieprzytomni, a trzeci miał złamany nos? Jaka szkoda, że nie rozprawiliście się z całą piątką. Byłoby to chwalebne zwycięstwo Dudleyów i przypuszczam, że stać was na to. Podobno dałeś się sprowokować do pojedynkowania się z pozostałymi dwoma. Heyward mówi, że takie wiadomości nie są przeznaczone dla kobiecych uszu, ale nie zaprzeczył, więc uznałam, że to prawda. Ani na chwilę nie zmrużę oka do czasu pojedynków. Z całą pewnością zginiesz i co wtedy zrobisz? A jeśli ich zabijesz, będziesz zmuszony zbiec do Paryża, a Heyward wciąż się upiera, że mnie tam nie

zabierze, wstrętny człowiek, chociaż chętnie zrezygnowałabym z wyjazdu do Brighton. I co to za historia, że ta panna Ingleby to lady Sara Illingsworth?

- Usiądź, Angelino - poprosił Jocelyn, wskazując ręką krzesło, stojące naprzeciwko - i napij się kawy. - Dał znak kamerdynerowi, stojącemu przy bufecie. - I błagam cię, zdejmij ten bardziej niż zwykle odrażający jaskrawozielony kapelusz. Boję się, że jego widok źle wpłynie na moje trawienie.

- Czy to prawda? - spytała. - Powiedz, że tak. Musisz przyznać, że to właśnie historia, jakie my, Dudleyowie, szczególnie lubimy. Zatrudniasz zabójczynię jako swoją pielęgniarkę i przedstawiasz ją wybranym ludziom z towarzystwa jako słowika. To ci dopiero! - Roześmiała się perliście, kiedy Hawkins pochylił się, by nalać jej kawy do filiżanki.

Nie zdjęła kapelusza. Jocelyn przyglądał się jej z niesmakiem.

- Lady Sara Illingsworth zamieszkała teraz u lady Webb - powiedział. - Byłbym ci zobowiązany, gdybyś ją tam odwiedziła, Angelino. Bóg wie dlaczego, jesteś jedyną szanowaną przedstawicielką rodu Dudleyów, prawdopodobnie dlatego, że poślubił cię taki nudziarz jak Heyward i trochę trzyma cię w ryzach, chociaż wszyscy widzą, że nie jest zbyt surowy.

- Heyward to nudziarz? - Roześmiała się wesoło. - To prawda. Przynajmniej w obecności innych ludzi.

Jocelyn zrobił jeszcze bardziej cierpiętniczą minę, bo rumieńce siostry stworzyły straszliwy dysonans z różowymi piórami kapelusza.

- Na pewno pojedę do lady Webb - obiecała. - Heyward zabierze mnie tam jeszcze dziś. Nie mogę się już doczekać, by jeszcze raz się jej przyjrzeć, Tresham. Czy to prawda, że wymachiwała siekierą? Jakie by to było podniecające. Heyward musiałby ryzykować swoje życie w mojej obronie.

- Uderzyła Jardine'a w głowę książką - wyjaśnił oschle - kiedy zachowywał się... niegodnie. I tyle, Angelino. Dżentelmen ten jest zdrów i cały, okazało się też, że niczego nie ukradziono. Właściwie to bardzo nudna historia. Ale lady Sara nie może z tego powodu w najmniejszym stopniu ucierpieć. Potrzebuje przychylności szanowanych ludzi z najwyższych sfer, by zacząć się obracać w najlepszym towarzystwie.

- I lady Webb już się o to postara - powiedziała. - Dlaczego sobie tym zaprzątasz głowę, Tresham? - Ale po dziwnie krótkim dla niej monologu urwała i przez chwilę patrzyła na niego bez ruchu, trzymając filiżanką w powietrzu. Odstawiła ją z powrotem na spodeczek i podjęła przerwana tyradę. - Och, Tresham, ty się nią interesujesz! A to ci dopiero! Nie mogę się doczekać, kiedy powiem o tym Heywardowi. Ale jak na złość poszedł do Izby Lordów i wróci chyba dopiero, żeby zabrać mnie z wizytą. Tresham, ty się zakochałeś.

Jocelyn spojrział na siostrę przez monokl, chociaż oglądany przez szkło jaskrawy kapelusz robił się jeszcze większy niż w rzeczywistości.

- Cieszę się, że tak cię rozbawiłem - odparł - ale „zakochany” i „Tresham” to słowa wzajemnie się wykluczające, o czym powinnaś dobrze wiedzieć. Jednak poślubię lady Sarę. Na pewno ucieszysz się, że tobie pierwszej o tym mówię, Angelino, oczywiście pomijając samą zainteresowaną osobę. Nawiasem mówiąc, nie zgodziła się.

Patrzyła na niego bez słowa i przez chwilę pomyślał, że na dobre odjęło jej mowę.

- Lady Sara powiedziała „nie”? - odezwała się, odzyskując mowę.
- Tobie? Księżciu Tresham? To cudowne. Muszę się przyznać, że ledwo ją zauważyłam, kiedy była twoją pielęgniarką. Wyglądała tak bezbarwnie w tej swojej szarej sukni. Po co ubierać się na szaro, kiedy jest tyle innych kolorów? Byłam pod wrażeniem, kiedy zaśpiewała na twoim wieczorku. I potrafi tańczyć walca. To powinno mi dać do myślenia, ale wyznaję, że zlekceważyłam to. A teraz odmówiła ci swej ręki. Podoba mi się. To musi być kobieta z charakterem. Właśnie taka, jaka jest ci potrzebna. Och, pokocham ją jak siostrę.

- Powiedziała „nie”, Angelino - zauważył cierpko.

Spojrziała na niego z pobłażaniem.

- Jesteś Dudleyem, Tresham - przypomniała mu. - Dudleyowie nie

przyjmują odmowy. Tak jak ja. Zapewniam cię, że Heyward też był zdecydowanie przeciwny poślubieniu mnie przez cały miesiąc po tym, jak zostałam mu przedstawiona. Uważał mnie za niezbyt mądrą lekkomyślną i bardzo gadatliwą. Fakt, że ty i Ferdie jesteście moimi braćmi, też go zniechęcał. Ale w końcu mnie poślubił. Był nawet okropnie przygnębiony, kiedy pierwszy raz poprosił mnie o rękę, a ja powiedziałam „nie”. Bałam się, że pójdzie do domu i palnie sobie w łeb. Jak mógł mi się oprzeć, skoro postanowiłam go oczarować?

- No właśnie! - zgodził się z nią książę.

Jeszcze przez prawie pół godziny musiał znosić jej trajkotanie, zanim w końcu wyszła. Ale uważał, że dobrze spędził ranek. Zadbął o to, by Jane cieszyła się szacunkiem. A napomknąwszy komu trzeba o pewnej sprawie, zapewnił sobie wsparcie potężnych sił, przy pomocy których przypuści atak i złamie jej uparte postanowienia, by za niego nie wyjść.

Zastanawiał się nad tym, dlaczego właściwie chciał przełamać jej opór. Ostatecznie do niczego nie była mu potrzebna. Chodziło oczywiście o ten jej upór. Kiedy Jane Ingleby z nim rozmawiała, zawsze ostatnie słowo należało do niej.

Cóż, z lady Sarą Illingsworth będzie inaczej i już.

Przyłapał się na myśli o tym, w co się ubierze, kiedy będzie jej składał popołudniową wizytę. Zupełnie, jakby był zadurzonym młokosem.

Rozdział 23

Mizernie wyglądasz, Saro - powiedziała lady Webb. - Oczywiście można się tego spodziewać po tym wszystkim, co przeszłaś. Ale sprawimy, że rumieńce szybko wrócą na twoje policzki. Szkoda, że dziś po południu nie możemy się wybrać na spacer albo przejażdżkę. Jest taka śliczna pogoda. Lecz wszyscy wiedzą że dziś jestem w domu i przyjmuję gości. I chociaż może to być irytujące, moja droga, musimy być gotowe ich podjąć.

Jane miała na sobie modną suknię o podwyższonym stanie z muślinu w kwiaty. Była w kufrze z jej rzeczami, który rano dostarczyli Phillip i woźnica księcia Tresham. Włosy uczesała jej pokojówka, oddana wyłącznie do jej dyspozycji. Ale chociaż Jane sprawiała wrażenie gotowej na spotkanie towarzyskie po południu, jedno nie dawało jej spokoju.

- Może lepiej, jeśli nie pokażę się twoim gościom, ciociu Harriet - powiedziała.

Lady Webb, która właśnie wyglądała przez okno, przeszła przez pokój i usiadła w fotelu naprzeciwko Jane.

- Właśnie tego nie wolno ci robić. Chociaż o tym nie rozmawiałyśmy, Saro, doskonale wiem, jak ostatnio żyłaś. To okropne, że czułaś się zmuszona do takiego kroku, ale to już przeszłość. Nikt nie musi o tym wiedzieć. Możesz być całkowicie

spokojna, że Tresham nakaże milczenie każdemu ze swych znajomych, który domyśla się prawdy. I zamierza się z tobą ożenić. Jest dżentelmenem i wie, że cię skompromitował. Nie tylko gotów jest zrobić to, co nakazuje honor, ale niewątpliwie będzie na to nalegał.

- Umie to robić - powiedziała z goryczą Jane. - Ale dobrze wie, że ze mną mu się nie uda.

- Książę Tresham prawdopodobnie cieszy się fatalną opinią w mieście - z westchnieniem przyznała lady Webb. - Chociaż może przesadzam. Nie wiąże się jego osoby z jakimś konkretnym występkiem. Słynie jedynie z hulaszczego trybu życia i skłonności do udziału we wszystkich awanturach. Jest dokładnie taki, jak jego ojciec, a przedtem dziadek.

- Nie! - zaprzeczyła Jane żarliwiej, niż zamierzała. - To nieprawda.

Lady Webb uniosła brwi. Ale nim zdołała cokolwiek dodać, rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł kamerdyner i zapowiedział pierwszych gości - sir Conana Broughama z lady Brougham i panną Chloe Brougham. Kilka minut później pojawili się lord i lady Heyward, która nie kryła, że przyszła specjalnie, by porozmawiać z Jane i zbesztać ją za to, że ukryła swoje prawdziwe nazwisko, gdy mieszkała w Dudley House.

- Byłam okropnie zdziwiona, kiedy Tresham mi o tym powiedział

- oświadczyła. - I nic bardziej mnie nie ucieszyło, jak wieść, że cię odnalazł i przywiózł tutaj, lady Saro. Cóż za pomysł uznać cię za osobę zdolną do zamordowania kogoś siekierą! Na samą myśl wybucham śmiechem, co może poświadczyć Heyward. Przypuszczam, że pan Jardine musiał zachować się wobec pani w niewybaczalny sposób. Spotkałam go raz i odniosłam wrażenie, że jest okropnym grubianinem. To zrozumiałe, że uderzyła go pani książką. A jeśli on zrobił z tego wielką aferę i pobiegł poskarżyć się tacie, to znaczy, że jest zupełnie pozbawiony charakteru. Na pani miejscu jednak zdzieliłabym go siekierą.

- Kochanie, lady Webb od dwóch minut prosi cię, byś usiadła w tamtym fotelu - powiedział lord Heyward, ujmując żonę za łokieć.

Potem pojawiło się jeszcze wielu gości. Przyszło kilku przyjaciół lady Webb i wiele osób, które Jane spotkała w Dudley House przy różnych okazjach - między innymi wicehrabia Kimble, lord Ferdynand Dudley i baron Pottier. Jane nie potrzebowała dużo czasu, by się domyślić, kto ich tu wszystkich wysłał i dlaczego przyszli. Toczyła się wręcz kampania, by przywrócić jej dobre imię. Jane nie tylko to nie ucieszyło, ale nawet rozgniewało. Czy książę naprawdę uważał, że nie potrafi sama, bez jego pomocy, pokierować swoim losem? Bardzo chciała, żeby przyszedł osobiście, wtedy powiedziałaaby mu, co o tym wszystkim myśli.

I rzeczywiście przyszedł.

Pojawił się sam, niezwykle elegancki w niebieskim fraku i kremowych spodniach, tak obcisłych, że pokojowiec niemało musiał się natrudzić, by je na nim dopiąć. W jego sztybletach można się było przejrzeć jak w lustrze. I oczywiście wyglądał zabójczo przystojnie, chociaż Jane sama nie wiedziała, kiedy zaczęła go uważać za przystojnego. A na dodatek niezwykle męsko. I przy tym wszystkim był obrzydliwie wyniosły.

Nienawidziła go z całego serca, ale dobre maniery nie pozwalały jej ani patrzeć na niego gniewnie, ani zażądać, by wyszedł. Ostatecznie nie bawiła u siebie. Była tu takim samym gościem jak on.

Uklonił się lady Webb i wymienił z nią grzeczności. Ukłonił się z daleka Jane - zupełnie jakby była pyłkiem, na który przypadkiem padł jego wzrok, pomyślała oburzona. Uniósł brwi na widok swych krewnych i znajomych, którzy zgromadzili się wokół niej - lady Heyward, lorda Ferdynanda, wicehrabiego Kimble'a. A potem przez całe piętnaście minut rozmawiał z panią Minter i panem Brockledeanem.

Gdy zaanonsowano, że przyszedł, Jane postanowiła nie odezwać się do niego ani słówkiem. Jak śmie nie dać jej szansy zapomnienia o jego istnieniu? Oczywiście chciała również oświadczyć mu, że nie musiał prosić wszystkich, by złożyli jej wizytę i traktowali z należytych szacunkiem. Jak więc śmie nie podchodzić do niej, by mogła go upomnieć i powiedzieć, żeby pilnował własnych spraw?

- Twój nowy karykiel jest naprawdę wspaniały, Ferdie - mówiła lady Heyward. - O wiele bardziej mi się podoba od poprzedniego. Ale pewnie założysz się i zechcesz dowieść jego wyższości nad tamtym. Nie wolno ci tego robić. Weź pod uwagę to, co się stanie z moimi nerwami, jeśli dojdzie do drugiego podobnego wyścigu. Chociaż zawsze mogę słuchać o tym końcowym wirażu, na którym przyspieszyłeś mimo ostróg Treshama i Heywarda, żebyś jechał ostrożnie. Żałuję, że tego nie widziałam na własne oczy. Lady Saro, czy to czasem nie irytujące być kobietą?

Jane zauważyła, że książe Tresham wstał z fotela, jakby zamierzał wyjść. Zwrócił się w stronę grupki osób zebranych wokół niej. Wyraźnie postanowił podejść do niej i zamienić z nią kilka słów. Odwróciła głowę i uśmiechnęła się olśniewająco do jego brata.

- O ile mi wiadomo, słynie pan z umiejętności powożenia, lordzie Ferdynandzie - zauważyła.

Sympatyczny młodzieniec, którego bardzo polubiła, dał się wziąć na jej przynętę.

- Lady Saro, może jutro po południu chciałaby pani przejechać się moim karyklem po parku? - spytał.

- Z największą ochotą - powiedziała uprzejmie, patrząc w ciemne oczy księcia Tresham, który przystanął obok.

Ale jeśli spodziewała się dostrzec niezadowolenie na jego twarzy, to się rozczarowała. Miał nawet czelność wyglądać na lekko

rozbawionego.

- Przyszedłem, żeby się pożegnać - odezwał się i nieznacznie skłonił głowę.

- Ach! - zawołała, wciąż się uśmiechając. - To pan, wasza książęca mość? Zupełnie zapomniałam o pańskiej obecności. - Była to chyba najbardziej kąśliwa uwaga, jaką wypowiedziała publicznie w całym życiu. I była z siebie ogromnie zadowolona.

- Ach! - odpowiedział, patrząc jej prosto w oczy, na tyle cicho, że usłyszała go tylko ona i ci, którzy byli najbliżej. - Nie dziwi mnie to, bo słynę z tego, że unikam składania popołudniowych wizyt. Ale dla pani zrobiłem wyjątek, bo rzadko mam okazję pić herbatę ze swoją pielęgniarką.

‘ Odwrócił się i oddalił, ciesząc się, że tym razem ostatnie słowo należało do niego. Jane nie miała co do tego wątpliwości. Wpatrywała się gniewnie w jego plecy, zapomniawszy o dobrych manierach. Ci, którzy ją otaczali, patrzyli na siebie ze zdumieniem albo udawali głuchych i nagle odczuli potrzebę odchrząknięcia. Lady Heyward trąciła Jane wachlarzem w ramię.

- Wspaniale - pochwaliła ją. - Wspaniale utarła pani nosa Treshamowi. Tak go to zaskoczyło, że posunął się do zwykłej złośliwości. Och, bardzo mi się pani podoba.

Wrócili do rozmowy, a wkrótce potem goście zaczęli się rozchodzić.

- Jeszcze nigdy żaden mój dzień przyjęć nie zgromadził tylu gości
- oświadczyła ze śmiechem lady Webb, kiedy wszyscy wyszli. -
Chyba powinnyśmy za to być wdzięczne księciu Tresham, Saro.

- Cóż, z pewnością jestem mu wdzięczna - powiedziała bardziej
cierpko, niż zamierzała. - Jeśli jeszcze kiedykolwiek się tu pojawi i
poprosi o spotkanie ze mną, ciociu Harriet, nie będzie mnie w domu.

Lady Webb usiadła i baczniej przyjrzała się swej chrześnicy.

- Czy traktował cię aż tak źle, Saro? - spytała.

- Nie - odparła Jane z mocą. - Do niczego mnie nie zmusił, ciociu
Harriet. Złożył mi propozycję, a ja ją przyjąłem. Nalegałem na
pisemną umowę i dotrzymał jej warunków. Nie traktował mnie źle.

Tyle tylko, pomyślała, że sprawił, że go pokochałam. A co gorsza,
polubiłam. A potem odkrył prawdę i zrobił się zimny jak gład. Nie ma
do mnie dość zaufania, by uwierzyć, że gdybym mu wszystko
wyznała, byłabym tak samo bezbronna, jak on. I teraz już sama nie
wiem, co do niego czuję. Wiem tylko, że mnie zostawił i że jestem
okropnie samotna i nieszczęśliwa.

Nie powiedziała tego na głos, ale nie było to konieczne.

- Tyle tylko, że sprawił, iż go pokochałaś - cicho szepnęła lady
Webb.

Jane spojrzała na nią gniewnie, ale nie mogła powstrzymać łez,
które napłynęły jej do oczu.

- Nienawidzę go - oznajmiła.

- Widzę - zgodziła się lady Webb, z lekkim uśmiechem. -
Dlaczego? Możesz mi powiedzieć?

- Jest nieczułym, aroganckim potworem - odparła Jane.

Lady Webb westchnęła.

- Mój Boże - powiedziała. - Naprawdę go kochasz. Nie wiem, czy się tym cieszyć, czy martwić. Ale dość o tym. Przez cały dzień zastanawiałam się, co zrobić, żeby ci pomóc zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Przedstawię cię na dworze, Saro, a następnego dnia wydam u siebie wielki bal na twoją cześć. Jestem przejęta jak mała dziewczynka. To będzie największe wydarzenie sezonu. Jesteś sławna, co zresztą całkiem zrozumiałe. Zacznijmy przygotowania.

Kilka lat temu Jane marzyła o takim balu. Ale teraz mogła myśleć jedynie o tym, że Jocelyn przyszedł z zimną i wyniosłą miną, i że prawie zupełnie ją zlekceważył, a w końcu obraził. Ile dni minęło, odkąd ukończył jej portret, a potem otworzył przed nią serce i płakał, a ona siedziała mu na kolanach?

Wydawało się, że od tamtej pory upłynęła cała wieczność.

Wydawało się, że byli zupełnie innymi ludźmi.

Nienawidziła go.

Sądziła też, że ból, jaki czuje w sercu, nigdy nie minie.

A potem nagle ogarnęła ją panika. Jej portret. Nie zabrała go ze sobą z domu.

Z domu?

Podczas sezonu towarzyskiego cały *beau monde* jeździł konno albo powozami, albo przechadzał się po Hyde Parku późnym popołudniem. Wszyscy ciągnęli tu, by oglądać innych i samemu się pokazać, żeby plotkować i być tematem plotek, prezentować i podglądać ostatnie nowinki mody, flirtować.

Jane miała na sobie niebieską suknię, pelisę i prostą, słomkową budkę, zawiązaną pod brodą szeroką niebieską wstążką. W rękę trzymała parasolkę w słomkowym kolorze, którą pożyczyła jej lady Webb. Siedziała na wysokiej ławeczce w nowym karyklu lorda Ferdynanda Du-dleya. Lord dzierżył lejce, rozmawiał z nią przyjaźnie i przedstawiał licznym osobom, zbliżającym się do nich specjalnie po to, by poznać sławną lady Sarę Illingsworth, której historię znów opowiadano sobie w salonach i klubach.

Była uśmiechnięta i szczęśliwa. Ostatecznie świeciło słońce, znajdowała się w towarzystwie przystojnego, młodego dżentelmena, który starał się ją oczarować. Był też bardzo podobny do brata, co jej wcale nie przeszkadzało.

Ale właśnie myśl o jego bracie nie pozwalała w pełni rozkoszować się przejażdżką. Mimo iż w końcu przestała żyć w poczuciu stałego zagrożenia i wróciła do świata, do którego zawsze należała, niemal pragnęła, by czas cofnął się o tydzień. O tej porze w zeszłym tygodniu byli razem, on ją malował, ona wyszywała. Było im

ze sobą dobrze. Między nimi rodziła się przyjaźń. A nawet miłość.

Wszystko to okazało się iluzją.

Księżę Tresham - teraz nawet w myślach trudno jej było nazywać go Jocelynem - zbliżał się na koniu do powozu lorda Ferdynanda. Towarzyszył mu wicehrabia Kimble. Księżę miał zwykłą ponurą, posępną i arogancką minę. Dotknął szpicrutą runda kapelusza, skłonił głowę i rzucił „dzień dobry”. Wicehrabia uśmiechnął się, uniósł jej dłoń do ust i przez kilka minut zabawiał ją rozmową. Przez ten czas księżę wpatrywał się w nią ponuro.

Jane śmiała się, kręciła parasolką, prowadziła konwersację. Zgodziła się nazajutrz odbyć przejażdżkę po parku z lordem Kimble. Pożegnali się. Jane, chociaż się uśmiechała wesoło, walczyła z uczuciem ucisku w gardle i nieznośnym bólem w piersiach.

Ale nie miała czasu roztrząsać tego, co się wydarzyło. Musiała słuchać, co do niej mówi lord Ferdynand, i rozmawiać z innymi. Kilka minut po odjeździe Jocelyna pojawiła się lady Heyward w powozie i przedstawiła Jane swej teściowej.

- Nie mogę się doczekać balu u lady Webb, na którym pani zadebiutuje - powiedziała. - Dziś otrzymaliśmy zaproszenie. Przypuszczam, że Heyward będzie mi towarzyszył, co nieczęsto mu się zdarza, bo bale go nużą. Czy może to sobie pani wyobrazić, lady Saro, nudzić się tańcem? Ferdie, nie musisz tak okropnie przewracać oczami. Nie rozmawiam z tobą. Wszyscy wiedzą że wolisz się bić niż

tańczyć. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakich przedwczoraj dostałam palpitacji serca na wieść o tym, że ty i Tresham walczyliście z trzema braćmi Forbesami. Chociaż - jak już powiedziałam Treshamowi - zwycięstwo byłoby jeszcze słodsze, gdybyście stawili czoło wszystkim pięciu. Nie wiem, dlaczego dwaj pozostali spokojnie przyglądali się, jak ich bracia dostają cięgi.

- Angie, zamilknij - poradził jej lord Ferdynand.

Ale Jane odwróciła się gwałtownie, by spojrzeć na niego.

- Pan i jego książęca mość walczyliście dwa dni temu? - spytała. - Na pistolety? I zabiliście trzech przeciwników?

- Na pięści, proszę pani. - Był wyraźnie zmieszany. - Dwóch straciło przytomność, trzeciemu złamaliśmy nos. Byłoby rzeczą niehonorową dalej go bić, kiedy leżał na ziemi. Angie, nie powinnaś mówić o takich rzeczach w obecności pań.

Lady Heyward wzniosła oczy do nieba.

- Nie jest też zbyt przyjemne leżeć nocami i nie móc zmrużyć oka z nerwów, ponieważ Tresham ma się spotkać z dwoma pozostałymi braćmi - oświadczyła. - Tym razem użyją pistoletów, a książę niechybnie zginie. Chociaż moim zdaniem pięknie postąpił, godząc się na pojedynek z nimi w dwa kolejne ranki. Nigdy nie słyszałam o czymś takim. Można mieć tylko nadzieję, że przeżyje pierwszy pojedynek, by móc stawić się na drugi.

Jane poczuła, jak cała krew odpływa jej do nóg. Zrobiło jej się

zimno i słabo.

- Angie, to męskie sprawy - uciął ostro lord Ferdynand. - Jeśli nie masz lepszego tematu do rozmowy, proponuję, żebyś zabrała do domu tego ptaszka, który przysiadł na rondzie twojego kapelusza, i dała mu jeść, nim padnie z głodu. I przy okazji podlej te wszystkie kwiaty. Nie rozumiem, jak możesz unieść na głowie cały ten kram. Do widzenia pani - ukłonił się do starszej lady Heyward, dotykając cylindra, i cmoknął na konie.

Jane czuła, że za chwilę zemdleje. Miała w uszach denerwujący szum i mrowienie w dłoniach.

- Jego książęca mość ma stoczyć kolejny pojedynek? - spytała. - A właściwie dwa?

- Lady Saro, proszę sobie nie zaprzętać główki - powiedział wesoło lord Ferdynand. - Chciałbym, żeby pozwolił mi walczyć z jednym z nich, bo przecież to mnie próbowano zabić. Ale on stanowczo się nie zgadza, a jak Tresham coś postanowi, nie ma siły, by go od tego odwieść.

- Och, cóż za skończony głupiec! - krzyknęła Jane. Gniew sprawił, że krew znów zaczęła krążyć jej w żyłach. - A wszystko to w imię honoru!

Lord Ferdynand w sposób uroczy, ale zdecydowany zmienił temat.

Nie jeden, a dwa pojedynki, myślała Jane. W dwa kolejne ranki.

Przecież to niemal pewna śmierć, dwa razy mniejsze szanse przeżycia niż zwykle.

I dobrze mu tak, pomyślała z furją.

Ale jak będzie mogła potem żyć?

Jak będzie mogła żyć w świecie, w którym zabraknie Jocelyna?

Nie przypuszczał, że tak bardzo będzie mu brakowało Jane. Dlatego poszedł do lady Webb i pozwolił się sprowokować do niewybaczalnie grubiańskiego zachowania wobec Jane na oczach innych. Ale ona była zuchwałą i tak uroczym uśmiechała się do Ferdynanda, przyjęła chętnie jego propozycję przejażdżki po parku. Jocelyn miał ogromną ochotę wyzwąć brata na pojedynek. I dlatego pojechał do parku, bo wiedział, że ona tam będzie, najpierw z Ferdynandem, a potem z Kimble'em. Ukłonił się jej i wymienił kilka uprzejmości. Tylko tyle. Z jej chmurnej miny i zaciśniętych ust wywnioskował, że gdyby spróbował powiedzieć coś więcej, doprowadziłby do wybuchu kolejnej awantury - co zrobiłby z największą przyjemnością gdyby byli sami.

I tak ją zdobędzie. Między innymi dlatego, że ona postanowiła go odrzucić. Ale wiedział, że na nic się nie zda normalny sposób postępowania i próba narzucenia jej czegokolwiek siłą. Potrzeba czasu, żeby przyzwyczaiła się do zmiany jaka zaszła w jej życiu.

Musi dać jej czas, żeby zaczęła za nim tęsknić. Bo z pewnością

tak będzie. Kiedy dowiedział się, kim jest naprawdę, w pierwszej chwili pomyślał, że jej współczucie musiało być udawane. Teraz nie był już tego równie pewny. Pamiętał harmonię, jaka panowała w pokoju, który nazwała ich azylem. I na pewno go pożądała. Gorzko żałował swoich dwóch ostatnich wizyt - jednej w nocy, drugiej w dzień. Niedobrze to rozegrał.

Chciał dać jej czas. I sobie też. Czekają go dwa pojedynki, obydwu na pistolety. O dziwo nie potrafił ich traktować z taką obojętnością jak czterech wcześniejszych. Tym razem zdumiewająco ostro uświadamiał sobie, że może zginąć.

Wcześniej fakt ten nie miał dla niego wielkiego znaczenia. A teraz miał po co żyć.

Poznał Jane.

Ale dlaczego tak mu na niej zależy, kiedy grozi mu śmierć, a ona wciąż jest zła i rozgoryczona? Przecież sam nie potrafi spokojnie myśleć o tym, że go oszukała i nie obdarzyła go zaufaniem?

W dniach poprzedzających pierwszy z pojedynków, z wielbnym Josiahem Forbesem, Jocelyn rozmyślnie unikał wszelkich kontaktów z Jane. Poszedł do domu, w którym jeszcze tak niedawno mieszkała, i złapał się na tym, że krąży po ich wspólnym buduarze. Patrzył na niedokończony haft na obrusie, wciąż rozpięty na ramie, i wyobrażał sobie, jak siedzi prosto i wdzięcznie, pochłonięta wyszywaniem. Wziął *Mansfield Park* ze stolika obok fotela, na którym zwykle

siedział. Nie dokończył czytać tej powieści. Zagrał coś jedną ręką na fortepianie, nie siadając na taborecie. I wpatrywał się w jej portret, który sam namalował.

Od Jane biło tyle życia, miłość rozświetlała jej postać na płótnie. Jak mógł w nią zwątpić? Jak mógł potraktować z zimną wyniosłością zamiast wziąć ją w ramiona i zachęcić, by zwierzyła mu się ze wszystkich swych tajemnic, ze wszystkich lęków? Wcale go nie zawiodła. To on zawiódł ją.

Wezwał prawnika do Dudley House i zmienił testament.

Nie dawała mu spokoju myśl, że powinien zrobić coś, czego nie zrobił. Nie wziął jej w ramiona.

Może już nigdy nie będzie mu to dane.

Gdyby mógł jeszcze chociaż raz ją przytulić, pomyślał z dziwną dla siebie egzaltacją umrze jako człowiek szczęśliwy.

Cóż za bzdury, myślał w chwilę potem.

A potem dowiedział się od Angeliny, że Jane ma być na przyjęciu u lady Sangster. Jeszcze nie pokazywała się na publicznych balach, bo nie została do tej pory przedstawiona na dworze, nie odbył się też jej własny bal debutantki. Ale przyjęła zaproszenie na wieczorek. Na który Jocelyn też został zaproszony W przeddzień pierwszego z czekających go pojedynków.

Rozdział 24

Lady Webb zapewniła swoją chrześnicę, że nie ma nic niestosownego w wizycie na wieczorku u lady Sangster. Właściwie powinna jak najczęściej pokazywać się w towarzystwie przed oficjalnym debiutem. Nie wolno stwarzać wrażenia, że ma coś do ukrycia.

Ale wieczorek miał się odbyć w przeddzień pierwszego z pojedynków Jocelyna. Jane nie powiedziała o tym ciotce Harriet, zresztą z nikim o tym nie rozmawiała od spotkania z lordem Ferdynandem. Nie spała i nie jadła, nie mogąc myśleć o niczym innym. Myślała nawet, że powinna udać się do Dudley House i błagać Jocelyna, by skończył z ryzykownymi przedsięwzięciami, ale wiedziała, że na nic się to nie zda. Był mężczyzną i miał specyficzne poczucie honoru.

Poszła na wieczorek, częściowo przez wzgląd na ciotkę Harriet, częściowo przez wzgląd na siebie. Może przynajmniej dziś wieczorem nie będzie myślała o pojedynku, choć noc i rano upłynie jej na czekaniu na wiadomość. Nawet jeśli tym razem Jocelyn wygra, nazajutrz wszystko powtórzy się od nowa. Ubrała się starannie w elegancką suknię ze złotego atłasu, pokojówka kunsztownie upięła jej włosy. Jane zgodziła się nawet, by umiejętnie wtarto jej w policzki odrobinę różu. Chrzestna matka powiedziała, że wygląda ślicznie, ale

jest trochę zbyt blada.

Wieczorek u pani Sangster miał być przyjęciem dla wybranych gości. Według Jane zaproszono jednak bardzo wiele osób. Podwójne drzwi między salonem i pokojem muzycznym rozsunięto, podobnie jak te, które prowadziły do mniejszego saloniku w głębi. We wszystkich trzech pomieszczeniach panował tłok.

Byli tu lord i lady Heyward oraz lord Ferdynand, którzy prowadzili ożywione rozmowy z innymi gośćmi. Jak mogli być tacy spokojni, wiedząc, że rano, a najdalej następnego dnia, ich bratu grozi śmierć? Był też wicehrabia Kimble; uśmiechał się czarująco do młodej damy, z którą rozmawiał. Jak mógł, gdy jeden z jego najbliższych przyjaciół może za kilka godzin polec? Dostrzegł Jane, przeprosił młodą damę i podszedł, by się przywitać.

- Jak zarazy unikam nudnych wieczorków, lady Saro - oświadczył, uśmiechając się do niej uwodzicielskim, niebezpiecznym uśmiechem. - Ale powiedziano mi, że pani tu będzie.

- Czy to znaczy, że na moich barkach spoczywa cały ciężar ożywienia wieczoru? - spytała, lekko uderzając go w ramię wachlarzem. Lady Webb poszła się przywitać z przyjaciółmi.

- Oczywiście. - Podał jej ramię. - Poszukajmy czegoś do picia dla pani i jakiegoś pustego kącika, gdzie będziemy mogli prowadzić słodkie tête-à-tête, dopóki ktoś nie odkryje, że pozbawiłem resztę gości pani towarzystwa.

Był uroczym i zabawnym rozmówcą. Jane wkrótce stwierdziła, że niewinnie z nim flirtuje i często wybucha śmiechem. Ale cały czas zastanawiała się, jak wicehrabia może zajmować się czymkolwiek innym, skoro jego przyjacielowi grozi niebezpieczeństwo, jak ona sama potrafi być tak beztroska.

Wokół nich panował głośny gwar rozmów. Z sąsiedniego pokoju dobiegała muzyka. Jane pomyślała, że zdecydowanie wróciła już do swego dawnego świata. Rozejrzała się wkoło. Rzeczywiście, jej osoba budziła zainteresowanie, naturalnie dyskretne, ale nie ulegało to wątpliwości. Nikt nie ośmielał się spojrzeć na nią krzywo, nikt też nie był zaszokowany, że miała czelność pojawić się na wytwornym spotkaniu przedstawicieli wyższych sfer.

Ale jej wydało się to nic nieznaczącym zwycięstwem.

- Jestem zupełnie zdruzgotany - powiedział lord Kimble. - To mój najlepszy żart, a nie został skwitowany nawet lekkim uśmiechem.

- Och - odparła Jane, wyraźnie skruszona. - Bardzo przepraszam. Może pan powtórzyć?

Uśmiechnął się łagodniej niż zwykle.

- Przekonajmy się, czy muzyka lepiej panią rozerwie - powiedział, znów podając jej ramię. - Wie pani, że wszystko skończy się dobrze.

A więc myślał o tym. I wiedział, że ona wie o pojedynku. I że się denerwuje.

Lord Ferdynand był w pokoju muzycznym wśród gości,

zgrupowanych wokół fortepianu. Uśmiechnął się do Jane, ujął jej dłoń i uniósł do ust.

- Muszę zaprotestować, Kimble - oświadczył. - Za długo cieszyłeś się towarzystwem lady Sary. Teraz moja kolej. - Ujął ją pod ramię i podprowadził do fortepianu.

Jaki jest podobny do swego brata, pomyślała Jane. Tylko szczuplejszy i ma jeszcze dłuższe nogi. I w przeciwieństwie do wiecznie posępnego księcia, jest zawsze pogodny. Przypuszczała, że był niefrasobliwym, szczęśliwym, prostolinijnym młodzieńcem. A może wcale nie. Może odnosiła takie wrażenie tylko dlatego, że miała możliwość dokładnie poznać charakter Jocelyna, kiedy była jego kochanką - i przyjaciółką.

- Więcej tu osób, niż się spodziewałam - stwierdziła.

- Tak. - Uśmiechnął się. - Mam prawie tak małe doświadczenie, jeśli chodzi o wytworne przyjęcia, jak pani, lady Saro. Zazwyczaj unikam ich jak ognia.

- Dlaczego tym razem zdecydował się pan przyjść? - spytała.

- Ponieważ Angie powiedziała, że pani tu będzie.

Prawie to samo powiedział wcześniej wicehrabia Kimble. Czyżby obaj byli nią oczarowani? Czy też obaj świetnie wiedzieli, kim była dla Jocelyna?

- Zaśpiewa pani? - spytał lord Ferdynand. - Czy zrobi to pani, jeśli uda mi się kogoś namówić, by pani akompaniował? Proszę to zrobić

dla mnie. Ma pani najpiękniejszy głos, jaki kiedykolwiek słyszałem.

Zaśpiewała *Uroczą dziewczynę*, akompaniowała jej panna Meighan. Goście zgromadzeni wokół fortepianu słuchali jej z uwagą. Z sąsiednich pomieszczeń doszło jeszcze kilka osób.

Wśród nich był książę Tresham.

Stał w drzwiach salonu. Jane uśmiechała się, dziękując za brawa, które rozległy się po zaśpiewaniu przez nią pieśni. Był jak zwykle elegancki i wcale nie wyglądał na człowieka, który za kilka godzin miał stanąć oko w oko ze śmiercią.

Ich spojrzenia spotkały się na długą chwilę. W pokoju muzycznym rozległy się podniecone szepty. Potem odwróciła wzrok i znów się uśmiechnęła, a obecni wrócili do rozmów, jakby ani na moment ich nie przerwali.

- Do diabła! - mruknął lord Ferdynand, kiedy Jane odeszła od fortepianu, by jej miejsce mogła zająć inna młoda dama. - A co, do stu piorunów, ona tu robi?

Jane zobaczyła lady Oliver, stojącą obok Jocelyna. Uśmiechała się do niego i coś mówiła, a on odpowiadał jej uprzejmie. Ujęła go pod ramię. Lord Ferdynand opanował się.

- Przejdźmy do bufetu - powiedział. - Pozwoli mi pani nałożyć sobie na talerz jakieś smakołyki? Jest pani głodna?

- Jak wilk - uśmiechnęła się do niego olśniewająco i ujęła go pod ramię.

Pięć minut później siedziała przy małym stoliku, przed nią stał pełen talerz, w towarzystwie lorda Ferdynanda i jeszcze czterech osób, z którymi mogła rozmawiać. Później nie potrafiła sobie przypomnieć, co do niej mówiono ani co odpowiadała. Ani też co jadła.

Przyszedł. Jakby pojedynek w ogóle się nie liczył. Jakby mu nie zależało na życiu. I pozwolił, żeby ta kobieta dotykała go i rozmawiała z nim, zamiast głośno i przy wszystkich ją odtrącić. Swym zachowaniem sprawił, że nie tylko wyglądał na winnego, ale również pozbawionego dobrych manier, nie trzymając się z dala od swej rzekomej kochanki, kobiety zamężnej. Czy honor mężczyzny pozwala aż na tyle?

Wraz z lordem Ferdynandem wróciła do salonu. Zastanawiała się, czy nie jest za wcześnie, by odszukać ciotkę Harriet i zaproponować powrót do domu. Ale jak zdoła wytrzymać tutaj jeszcze choćby godzinę, nie mdlejąc albo nie dostając ataku hysterii?

Ktoś stał w drzwiach salonu. Jocelyn. Ujął jej rękę i spojrzał na brata, ale nie powiedział mu ani słowa. Lord Ferdynand też się nie odezwał, tylko opuścił Jane i wszedł do salonu bez niej. Ona również milczała. To była dziwna chwila.

Jocelyn wyszedł z nią do holu i skręcił w lewo, prowadząc ją z dala od oświetlonych pomieszczeń, w których bawili się goście. Znaleźli się w ciemnej wnęce. Stał tak, by Jane znalazła się tyłem

do drzwi, a on tuż przed nią. Nie puścił jej ręki. Jego twarz była ukryta w cieniu. Widziała tylko oczy, wpatrujące się w nią z taką pasją żalem i tęsknotą że mogła tylko bez słowa i ze ściśniętym sercem patrzeć na niego.

Żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Ale cisza była aż ciężka od niewypowiedzianych słów.

Jutro albo pojutrze mogę zginąć.

Możesz zginąć. I zostanę sama.

Może to nasze pożegnanie.

Na zawsze. Jak mogę żyć bez ciebie?

Najdroższa.

Najdroższy.

A potem wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Przywarła do niego, jakby chciała stanowić z nim jedność. Czowała go, czowała jego zapach i słyszała bicie jego serca.

Być może ostatni raz.

Jego usta odnalazły w ciemnościach jej usta. Pocałowali się namiętnie, nie zważając na obecność wielu osób krążących w sąsiednich pokojach. Jane czuła bijące od niego ciepło, smak jego ust, męską siłę, wszystko, co składało się na niego. I liczyło się tylko to, że był Jocelynem, powietrzem, którym oddychała. Ich serca były jednym rytmem, nadał znaczenie jej życiu. I był tutaj, gorący i żywy w jej ramionach.

Nigdy nie pozwoli mu odejść. Nigdy.

Oderwał się od niej, przyglądał przez długą chwilę, a potem wypuścił ją z objęć i odszedł. Nasłuchiwała odgłosu cichnących kroków w holu. Została sama.

Bardziej sama niż kiedykolwiek dotąd w życiu. Bez ruchu wpatrywała się w pogrążony w mroku hol.

Żadne z nich nie powiedziało ani słowa.

- Tutaj pani jest - chwilę później rozległ się miły głos. - Proszę mi pozwolić zaprowadzić się do lady Webb. Czy mam poprosić, by zabrała panią do domu?

Przez kilka chwil nie mogła odpowiedzieć. Ale potem głośno przełknęła ślinę i śmiało wyłoniła się z wnęki.

- Nie, dziękuję, lordzie Ferdynandzie - odparła. - Nie wie pan, czy lady Oliver wciąż tu jest? Mógłby mnie pan do niej zaprowadzić?

Zawahał się.

- Nie sądzę, by miała pani powód się nią przejmować - oznajmił. - Tresham nie...

- Wiem o tym - przerwała mu. - Doskonale o tym wiem. Ale chciałabym z nią pomówić. Najwyższa pora, żeby ktoś to zrobił.

Po chwili wahania podał jej ramię i zaprowadził do salonu.

Lady Oliver miała pewne kłopoty z przyłączeniem się do którejś z grupek. Stała samotnie pośrodku salonu, wachlując się i uśmiechając

z lekką pogardą, jakby chciała okazać, że rozmowa z kimkolwiek jest poniżej jej godności.

- Założę się, że nawet nie została zaproszona - mruknął lord Ferdynand. - Lady Sangster nie zaprosiłaby i jej, i Treshama. Ale jest zbyt grzeczna, by ją wyrzucić. Na pewno chce pani z nią rozmawiać?

- Tak - zapewniła go Jane. - Nie musi pan zostawać. Dziękuję. Bardzo pan uprzejmy.

Uklonił się sztywno lady Oliver, która ze zdumieniem uniosła brwi na widok Jane.

- No proszę - stwierdziła, kiedy lord Ferdynand się oddalił. - Sławna lady Sara Illingsworth we własnej osobie. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

Jane zamierzała zaprowadzić ją do bufetu, ale tu, otoczone gwarem rozmów i dźwiękami muzyki, dobiegającymi z sąsiedniego pomieszczenia, były same jak na bezludnej wyspie.

- Powinna pani powiedzieć prawdę - powiedziała, patrząc lady Oliver prosto w oczy.

Lady Oliver rozłożyła wachlarz i wolno uniosła go do twarzy.

- Prawdę? - spytała. - Jaką prawdę ma pani na myśli?

- Naraziła pani na niebezpieczeństwo życie swego męża i księcia Tresham, ponieważ nie powiedziała pani prawdy - odparła Jane. - Teraz narazi pani życie swych dwóch braci i jeszcze raz księcia. A wszystko dlatego, że nie mówi pani prawdy.

Lady Oliver zbladła, wachlarz znieruchomiał. Najwyraźniej nic nie wiedziała o planowanych pojedynkach. Wiadomość o tym wstrząsnęła nią. Ale najwyraźniej była silna. Opanowała się i znów zaczęła się wachlować.

- To prawdziwe szczęście, że mam braci, gotowych stanąć w obronie mojego honoru, lady Saro - oświadczyła wyniośle. - Czego pani chce? Żeby im przeszkodziła, by uratować pani kochanka? Dla pani będzie lepiej, jeśli polegnie w pojedynku. Oszczędzi to pani upokorzenia, kiedy już się panią znudzi. Tresham zawsze tak postępuje ze swymi kochankami.

Jane spojrzała na nią zimno.

- Nie odwiedzie mnie pani od powiedzenia tego, co mam do powiedzenia, lady Oliver - oświadczyła. - Księżę Tresham nigdy nie był pani kochankiem. Ale zawsze był dżentelmenem. Woli raczej umrzeć niż zarzucić damie kłamstwo i narazić ją na upokorzenie. Zastanawiam się natomiast, czy pani jest damą? Czy pozwoli pani, żeby dżentelmen narażał się na niebezpieczeństwo, a może nawet zginął, bo kłamstwo lepiej służy pani próżności niż prawda?

Lady Oliver roześmiała się.

- Właśnie to pani powiedział? - spytała. - Że nigdy nie był moim kochankiem? I pani mu uwierzyła? Biedna lady Saro. Jest pani taka naiwna. Mogłabym pani opowiedzieć o różnych rzeczach... Ale mniejsza z tym. Nie ma mi pani nic więcej do powiedzenia? W takim

razie pożegnam się. Czekają na mnie przyjaciele.

- Nie zazdroszczę życia, jakie panią czeka, jeśli przez pani kłamstwo ktoś zginie - powiedziała Jane. - Wyrzuty sumienia będą panią prześladowały każdego dnia i każdej nocy. Nawet we śnie nie zdoła pani przed nimi uciec. Ale to chyba niezasłużony komplement, nie ma pani sumienia, jest pani bardziej próżna niż zdemoralizowana. Nie będę pani życzyła dobrej nocy. Mam nadzieję, że nie będzie dobra, że będą panią prześladowały obrazy tego, co się może wydarzyć. Ale mam też nadzieję, że zanim będzie za późno, zrobi pani jedyną rzecz, która przywróci pani szacunek.

Patrzyła, jak lady Oliver ostentacyjnie składa wachlarz i odchodzi do pokoju muzycznego. Odwróciła głowę i zobaczyła lady Angelinę, uwieszoną na ramieniu brata, oraz lady Webb z wicehrabią Kimble. Czekali, by do nich dołączyła.

- Chodź, Saro - powiedziała ciotka Harriet. - Pora wracać do domu. Jestem bardzo zmęczona.

- Rezerwuję dla siebie zaszczyt i przyjemność odprowadzenia obu pań do powozu - oświadczył lord Kimble.

Lady Angelina podeszła i mocno objęła Sarę. Co dziwne, nie odezwała się ani słowem.

W przeciwieństwie do lorda Ferdynanda.

- Lady Saro, pozwolę sobie panią odwiedzić jutro wczesnym rankiem - powiedział.

Żeby powiedzieć, czy Jocelyn żyje, czy zginął.

Jocelyn myślał, że ta noc nigdy się nie skończy. Ale minęła po godzinach niespokojnego snu, pełnego dziwacznych marzeń sennych, przerywanego długimi okresami czuwania. Dziwne, jak inaczej traktował czekający go pojedynek od czterech poprzednich. Nie przypominał sobie, by tamte wywołały w nim taki niepokój. Wcześniej odczuwał jedynie nerwowe podniecenie.

Wstał wcześniej, niż to było konieczne, i napisał długi list, który miał być doręczony w razie, gdyby nie wrócił. Zalepiwszy go i odcisnąwszy swój sygnet w miękkim wosku, uniósł go do ust i na chwilę zamknął oczy. A więc jeszcze raz trzymał ją w ramionach. Ale nie zdobył się na powiedzenie choćby jednego słowa. Bał się, że jeśli to zrobi, nie zapanuje nad sobą. Nie miał wprawy w mówieniu słów, które były potrzebne w takiej chwili. Nie miał w tym żadnego doświadczenia.

Cóż za ironia losu, że znalazł miłość właśnie wtedy, gdy czekał go pojedynek. I jeszcze jeden, jeśli dziś ujdzie z życiem.

Dziwne, że w ogóle znalazł miłość, skoro nie wierzył w jej istnienie. Skoro uważał małżeństwo, nawet z Jane, za pułapkę.

Pociągnął za sznur dzwonka, by wezwać pokojowca.

Jane nie spała. Całą noc leżała z otwartymi oczami, wpatrując się

w baldachim nad łóżkiem. Czuła zawroty głowy i mdłości. W końcu wstała, ubrała się i usiadła skulona we wnęce okiennej. Na zmianę to chłodziła rozpalone czoło, przytykając je do szyby, to owijała się w kaszmirowy szal, by się ogrzać.

Powinna była mówić. Dlaczego milczała, kiedy miała tyle do powiedzenia? Ale знаła odpowiedź. Nie ma słów do wyrażenia najgłębszych porywów serca.

Co będzie, jeśli Jocelyn zginie?

Wzdrygnęła się i mocno zacisnęła zęby, żeby nie zaczęły dzwonić.

Brał udział w czterech pojedynkach i nie odniósł śmiertelnej rany. Z pewnością przeżyje jeszcze dwa. Ale szanse są niewielkie. A lord Ferdynand, który nie stanowił godnego przeciwnika dla Jane, kiedy wzięła go na spytki podczas przejażdżki, nie tylko wyjawiał jej miejsce i czas pojedynku, ale również fakt, że wielebny Josiah Forbes, mimo duchownego stanu, słynie z opanowania i celnego oka.

Rozmyślania przerwało skrobanie do drzwi. Spojrzała na nie przestraszona. Było jeszcze bardzo wcześnie. Drzwi otworzyły się cicho, pokojówka ostrożnie wsunęła głowę i spojrzała w kierunku łóżka.

- Tutaj jestem - powiedziała Jane.

- Milady - odezwała się dziewczyna, patrząc w ciemność sypialni

- najmocniej przepraszam, ale na dole jest jakaś pani, która

koniecznie chce z panią rozmawiać. Zerwała pana Ivy'ego z łóżka, a on obudził mnie. Oświadczyła, że nie wyjdzie, póki z panią nie porozmawia.

Jane zerwała się na równe nogi, w głowie jej się zakręciło.

- Któż to taki? - spytała. Dobrze wiedziała, kim jest gość, ale nie śmiała uwierzyć nadziei. Zresztą było już za późno. Z pewnością za późno.

- Lady Oliver, milady - powiedziała pokojówka.

Jane nie przystanęła przed lustrem, by sprawdzić, jak wygląda. Wybiegła z pokoju i zbiegła po schodach z pośpiechem nielicującym z jej urodzeniem.

Lady Oliver przemierzała hol tam i z powrotem. Uniosła głowę, kiedy Jane pojawiła się na schodach, i podbiegła do niej. W świetle wczesnego poranka, rozpraszającym przez kandelabr, Jane zobaczyła, że jest głęboko poruszona.

- Gdzie oni są? - spytała. - Gdzie mają się spotkać? Wie pani? I kiedy?

- W Hyde Parku - powiedziała Jane. - O szóstej.

- Gdzie dokładnie?

Jane mogła się tylko domyślać, że w tym samym miejscu, co poprzednio. Ale jak wytłumaczyć, gdzie to jest? Hyde Park jest bardzo duży. Pokręciła głową.

- Dlaczego pani pyta? - spytała. - Wybiera się pani tam?

- Tak - powiedziała lady Oliver. - Och, nie ma czasu. Proszę mi powiedzieć, gdzie odbędzie się pojedynek.

- Nie potrafię - wyznała Jane. - Ale mogę pani pokazać. Przyjechała pani powozem?

- Stoi przed domem. - Lady Oliver wskazała ręką. - Proszę pojechać ze mną i zaprowadzić mnie. Szybko! Niech pani biegnie na górę po kapelusz i pelerynę.

- Nie ma czasu - Jane złapała ją za rękę i pociągnęła za sobą. - Musi być już dobrze po piątej. Chodźmy!

Lady Oliver nie trzeba było tego powtarzać. Nim minęła minuta, obie siedziały w powozie, jadącym w kierunku Hyde Parku.

- Gdyby zginął... - lady Oliver przytknęła chusteczkę do oczu.

Nie może zginąć. Po prostu nie może. Jeszcze tyle go czeka w życiu.

Nie może zginąć.

- Zawsze był najlepszym z moich braci - mówiła lady Oliver - i lepiej mnie traktował od pozostałych. Tylko on bawił się ze mną kiedy byłam małą dziewczynką, i pozwalał mi za sobą chodzić. Nie może zginąć. Czy ten przeklęty woźnica nie może jechać szybciej?

W końcu znalazły się w parku, ale powóz nie mógł dojechać do oddalonego miejsca, ukrytego za kępą drzew. Woźnica, głośno poganiany przez swą panią pośpiesznie rozłożył schodki i lady Oliver, nawet o tak wczesnej porze elegancka w mantyli, kapeluszu i

rękawiczkach, wysiadła z powozu. Za nią Jane z gołą głową w porannej sukni, szalu i domowych pantoflach.

- Tędy! - głośno zawołała Jane i zaczęła biec. Właściwie wcale nie była pewna, czy dobrze trafiła. Może to nie to miejsce. A nawet jeśli tak, mogły przybyć za późno. W ciszy, zakłócanej jedynie przez jej zdyszany oddech i łkania lady Oliver, w napięciu nasłuchiwała odgłosu wystrzałów.

Nie, jednak dobrze trafiły. Za kępą drzew ujrzały grupkę mężczyzn. Wszyscy milczeli.

Mógł być tylko jeden powód tej ciszy.

Wielebny Josiah Forbes i książę Tresham, obaj w koszulach, spodniach i sztybletach, zwróciwszy tyłem do siebie, z pistoletami wymierzonymi w niebo, odmierzali krokami wymaganą odległość. Stanęli. Za chwilę odwrócą się i wypalą do siebie.

- Stać! - krzyknęła Jane. - Stać! - Zatrzymała się i przycisnęła obie ręce do ust.

Lady Oliver krzyczała i biegła dalej, potykając się.

Obaj dżentelmeni znieruchomieli. Jocelyn, nie odwracając się ani nie opuszczając pistoletu, od razu dostrzegł Jane. Ich spojrzenia się spotkały. Wielebny Forbes opuścił pistolet, groźnie marszcząc czoło.

- Gertrudo! - zawołał. - Odejdź stąd. To nie miejsce dla dam. Później z tobą porozmawiam.

Lord Oliver, zdenerwowany i zmieszany, wyszedł przed grupkę

widzów i ujął żonę pod ramię. Chciał ją odciągnąć, ale mu się wyrwała.

- Nie! - oświadczyła. - Chcę coś powiedzieć.

Jane, ani na chwilę nie odrywając wzroku od Jocelyna, słuchała jej. Natychmiast zrozumiała, że lady Oliver postanowiła odegrać rolę męczennicy, gotowej poświęcić sławę uwodzicielki dla ratowania życia ukochanego brata. Ale nie to było najważniejsze. W końcu robiła to, co powinna zrobić już dawno, przed pojedyńkiem męża z księciem Tresham. Dziwne, pomyślała nagle Jane. Nigdy nie poznałabym Jocelyna, gdyby lady Oliver postępowała właściwie od początku. Czasem całe życie zależy od nieistotnego drobiazgu.

- Nie możesz pojedyńkować się z Treshamem, Josiah - powiedziała lady Oliver. - Ani Samuel. Nie zrobił nic złego. Nigdy nic nie było między nim a mną. Chciałam, żeby coś było, ale on mnie nie chciał. Chciałam, żeby mężczyźni bili się o mnie - myślałam, że to takie wspaniałe i romantyczne. Ale myliłam się i teraz to przyznaję. Nie wolno ci zabić niewinnego człowieka. Do końca życia miałbyś jego śmierć na sumieniu. I ja też.

- Nawet w takiej chwili bronisz kochanka, Gertrudo? - spytał wolebny Forbes tonem jakim zwykle przemawiał z ambony.

- Dobrze mnie znasz - odparła. - Gdyby to była prawda, nie poniżyłabym się w obecności tylu świadków. Postanowiłam zrobić to, co uważam za słuszne. Jeśli nadal mi nie wierzysz, możesz

porozmawiać z lady Sarą Illingsworth, która przyszła tu ze mną. Była świadkiem, z jaką wzdrgnięciem potraktował mnie Tresham, kiedy odwiedziłam go po pojedynku. Nigdy nie był moim kochankiem. Ale okazał się dżentelmenem i nie zarzucił mi kłamstwa.

Jocelyn, który wciąż stał bez ruchu, nie odrywał wzroku od Jane. Ale nawet z tej odległości widziała, jak uniósł kpiąco brew.

Uświadomiła sobie, że nadal przyciska ręce do ust.

Wielebny Josiah Forbes ruszył w kierunku przeciwnika. W końcu Jocelyn odwrócił się i opuścił pistolet.

- Zdaje się, że się myliłem, Tresham. - Wielebny Forbes wciąż przemawiał tonem kaznodziei. - Winien jestem panu przeprosiny i wycofuję swoje wyzwanie. Jeśli nadal żąda pan satysfakcji, oczywiście możemy kontynuować. Ostatecznie moja rodzina uknuła niehonorowy spisek, wymierzony przeciwko panu. - Jane podejrzewała, że porządnie zganił braci za uszkodzenie karykła lorda Ferdynanda.

- Tamta drobna sprawa już została załatwiona, Forbes - oznajmił Jocelyn, wzdychając lekko. - Jeśli chodzi o nasz pojedynek, zrobił pan to, co ja zrobiłbym dla swojej siostry. - Przełożył pistolet do lewej ręki, a prawą wyciągnął do uścisku.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Kapitan Samuel Forbes też podszedł, by przeprosić księcia i wycofać wyzwanie. Jane powoli opuściła ręce. Tak mocno zaciskała

pięści, że na dłoniach zostały jej wyraźne ślady po paznokciach.

Lady Oliver z gracją osunęła się zemdlna w ramiona męża.

Doszło do pełnego pojednania. Wkrótce Jocelyn został sam i znów spoglądał w kierunku drzew. Uniósł lewą rękę, by powstrzymać przyjaciół, a jednocześnie palcami prawej dłoni władczo nakazał Jane, by do niego podeszła.

Jane czuła jedynie ulgę i wściekłość. Jak śmie tak na nią kiwać! Jakby była psem. Jakby sam nie mógł do niej podejść. Ale podbiegła do niego.

- Ty potworze! - powiedziała niskim i drżącym głosem. - Ty arogancie! Nienawidzę cię! Dziś rano groziła ci śmierć, ale zginąłbyś, nie zamieniwszy ze mną słowa. Nawet wczoraj wieczorem nic nie powiedziałeś. Jeśli potrzebowałabym więcej dowodów, że nie zależy ci na mnie nawet tyle - pstryknęła głośno palcami - teraz mam ich aż nadto. Nie chcę cię nigdy więcej widzieć na oczy. Rozumiesz? Nigdy więcej. Trzymaj się ode mnie z daleka.

Patrzył na nią z wyższością i bez cienia skruchy.

- Przyszła pani tutaj o tak wczesnej porze, do tego w dezabilu, by nakazać mi, żebym trzymał się od pani z daleka, lady Saro? - spytał z szyderczą logiką. - Zlekceważyła pani wszelkie wymogi przyzwoitości, by mi oznajmić, że jestem potworem? Proszę wziąć mnie pod ramię, odprowadzę panią do powozu Olivera. Przypuszczam, że tam zaniesiono drugą damę. Obawiam się, że jeśli

się nie pośpieszymy, w całym tym zamieszaniu zapomną o pani. Wtedy znajdzie się pani sama w obecności dżentelmenów w charakterze przyzwoitek. Lady Sara Illingsworth nie powinna do tego dopuszczać, jej reputacja nadal jest poważnie nadszarpnięta.

Podał jej ramię, ale odwróciła się i ruszyła w kierunku powozu. Jocelyn dogonił ją.

- Domyślam się, że to wszystko pani pomysł? - spytał. - Wypadło bardzo efektownie. Uratowany w ostatniej chwili.

- Źle się pan domyśla - odparła zimno. - Wczoraj wieczorem zaproponowałam lady Oliver, że może pora wyznać prawdę.

- Czyli zawdzięczam pani życie. - Ale stwierdził to tonem wyższości, bez śladu wdzięczności.

- Może pan wrócić do swych przyjaciół - oznajmiła, kiedy zobaczyli powóz i stało się jasne, że bez trudu zdąży do niego dojść, by odjechać razem z zemdloną lady Oliver.

Księżę skłonił się, po czym odwrócił bez słowa. Ale ona przypomniała sobie coś.

- Jocelynie!- zawołała.

Zatrzymał się i spojrział przez ramię, w jego oczach ujrziała dziwny błysk.

- Zostawiłam swoją robótkę - odezwała się głupio, nie potrafiąc nawet teraz zdobyć się na powiedzenie tego, co chciała powiedzieć.

- Przywiozę ją pani - oświadczył. - Nie. Przepraszam. Nie chce

mnie pani nigdy więcej widzieć. Każę ją pani dostarczyć. - Odwrócił się.

- Jocelynie!

Znów obejrzał się przez ramię.

- Zostawiłam portret.

Przez długą chwilę patrzył na nią nim odpowiedział. - Każę go przysłać - powtórzył. I ruszył przed siebie.

Tak, jakby nie było wczorajszego wieczoru. A zresztą cóż takiego się wydarzyło? Tylko ukradkowy pocałunek mężczyzny z dawną kochanką. Jane pobiegła w stronę powozu.

Rozdział 25

Jeszcze tego samego dnia dostarczono jej robótkę, portret i *Mansfield Park*. Wszystko to przyniósł Phillip, ale Jane nie widziała się z nim. Wiedziała jedynie, że to nie Jocelyn. I była z tego zadowolona. Rano zachował się władczo, wyniośle i arogancko. Doszła do wniosku, że tylko sobie wyobraziła czułość i tęsknotę w jego pocałunku poprzedniego wieczoru. Dobrze, że sam nie przyniósł jej rzeczy, bo nie musiała odmówić widzenia się z nim. Nigdy nie chciała nawet słyszeć jego imienia.

Ale następnego ranka, kiedy lady Webb była jeszcze w ubieralni, a kamerdyner przyniósł do pokoju śniadaniowego poranną pocztę, Jane zrozumiała, że nie będzie to łatwe.

- Jest list do pani, milady - powiadomił kamerdyner.

Wyrwała mu list z ręki i spojrzała niespokojnie na nazwisko i adres, wypisane na kopercie. Serce jej zamarło. Nie było to jednak zamaszyste pismo księcia Tresham. I nie od razu dotarło do niej, że zna również ten charakter pisma.

- Dziękuję - powiedziała i przełamała pieczęć.

List, dość długi, był od Charlesa. Nadszedł z Kornwalii.

Hrabia Durbury wrócił do Candleford, pisał Charles, i przywiózł ze sobą wiadomość, że Sara się odnalazła i przebywa teraz w domu lady Webb. Na pewno z ulgą przyjmie wieść, że w Candleford

ogłoszono, iż Sidney Jardine, który ponoć od długiego czasu znajdował się między życiem a śmiercią, w końcu wraca do zdrowia.

Wprost nie potrafię wyrazić swego cierpienia - pisał Charles - że nie było mnie w domu, kiedy to wszystko się wydarzyło, i że nie mogłaś się zwrócić do mnie ze swymi kłopotami. Pojechałbym za tobą do Londynu, ale gdzie miałem Cię szukać? Podobno Durbury wynajął detektywa z Bow Street, ale nawet jemu nie udało się trafić na Twój ślad. Jakie więc szanse miałbym ja?

Jane pomyślała, że mógł chociaż spróbować. Gdyby naprawdę ją kochał, zdołałby ją odnaleźć.

Durbury rozgłasza też inną wiadomość - czytała - chociaż z pewnością nie może to być prawda. Według mnie robi to specjalnie, droga Saro, żeby mnie zranić i przygnębić. Wiesz, jak bardzo gardził słabością, którą nawzajem do siebie czujemy. Mówi, że udzielił zgody księciu Tresham, by mógł starać się o Twoją rękę. Przypuszczam, że wybuchniesz śmiechem, czytając to, Saro. Cóż za pomysł! Tresham i ty! Nigdy nie poznałem go osobiście, ale ma tu opinię największego rozpustnika w Anglii. Mam nadzieję, że nie narzuca Ci się swoją osobą.

Jocelynie, pomyślała, och, Jocelynie.

Wybieram się do Londynu - pisał dalej Charles - gdy tylko załatwię kilka pilnych spraw na miejscu. Przyjadę, by bronić Cię przed awansami każdego mężczyzny, który uzna, że ten nieszczęsny

incydent daje mu prawo do znieważania Cię w jakikolwiek sposób. Przyjadę, żeby zabrać Cię do domu. Jeśli Durbury nie zgodzi się na nasz ślub, pobierzemy się bez jego zgody. Nie jestem człowiekiem majątnym i niemiła jest mi myśl, że zostałabyś pozbawiona swego spadku. Ale stać mnie na to, by zapewnić swojej żonie i dzieciom godziwe życie, a nawet pewien dostatek.

Jane zamknęła oczy i pochyliła głowę nad listem. Lubiła Charlesa. Przez kilka lat próbowała przekonać samą siebie, że to wystarczy, by go poślubić. Ale teraz wiedziała, dlaczego nigdy nie potrafiła go pokochać. Jego uczuciu brakowało ognia. Była to tylko mdła życzliwość. Najwidoczniej nie zdawał sobie sprawy z tego, co wycierpiała w ciągu ostatnich tygodni. Nawet teraz nie pośpieszył, by znaleźć się u jej boku. Miał przecież jakieś pilne sprawy na miejscu.

Jane ogarnęło przygnębienie graniczące niemal z rozpaczą. Złożyła list i położyła go obok talerza. Właściwie nie myślała o Charlesie, odkąd zamieszkała u ciotki Harriet. Wiedziała, że ich małżeństwo jest wykluczone, ale dopiero tego ranka w pełni to sobie uświadomiła. Musi stawić czoło rzeczywistości, a wcale nie była gotowa.

Dopiero teraz dotarło do niej, że jest zupełnie sama.

Ale przecież Charles wybiera się do Londynu.

Musi natychmiast napisać do niego, żeby tego nie robił, i wstała, chociaż nie zjadła jeszcze śniadania. Szkoda czasu i pieniędzy, by

jechał taki kawał drogi. Poza tym łatwiej jej będzie dać mu kosza na piśmie niż podczas spotkania twarzą w twarz.

Minęło kilka dni, zanim uświadomił sobie w pełni, że nie grozi mu rychła śmierć; bracia Forbesowie i lord Oliver czują się usatysfakcjonowani, a lady Oliver wyznała prawdę, by nie dopuścić do pojedynku.

Prawda ta dotarła do niego nagle pewnego ranka, gdy przeglądał w bibliotece sprawozdania z Acton Park. Siedział podparty na łokciach, a kiedy uniósł ręce, zobaczył, że drżą.

Cieszył się, że Michaela Quincy'ego nie było w pobliżu i że tego nie widział.

Było to naprawdę dziwne, podczas żadnego z wcześniejszych pojedynków nie przykładał wagi do tego, że jest człowiekiem śmiertelnym. Może dlatego, że nigdy przedtem nie zależało mu na życiu i nie odczuwał chęci przeżycia go w pełni. Po raz pierwszy lektura suchego, rzeczowego sprawozdania zarządcy wywołała w nim uczucie nieznośnej nostalgii. Zapragnął spojrzeć na dom swego dzieciństwa dorosłymi oczami, włóczyć się po parku i porośniętych lasami wzgórzach, wspominać przeszłość, odkrywać w sobie mężczyznę, jakim się stał.

Chciał tam pojechać z Jane.

Tęsknił za nią. Postanowił, że nie będzie jej niepokoił, póki nie

zostanie przedstawiona na dworze. Zatańczy z nią na jej balu debiutantki, a potem będzie się do niej tak długo zalecał, aż Jane skapituluje, w co w ogóle nie wątpił. Nikt nie może wiecznie sprzeciwiać się jego woli.

Ale do balu został jeszcze tydzień. Nie może czekać tak długo. Za bardzo się bał, że to ona postawi na swoim. Kiedy on będzie czekał, kawalerowie tacy jak Kimble, a nawet jego rodzony brat, nie będą jej odstępować na krok, czarując ją urokiem osobistym, nagradzani olśniewającym uśmiechem, którego jemu tak żałowała. Był wściekły na siebie samego, że jest zazdrosny. Jeśli Jane pokocha kogoś innego, proszę bardzo. Może iść do diabła. Obojętne mu to. Przez jakiś czas bawił się wyobrażaniem sobie, jak walczy jednocześnie z Kimble'em i Ferdynandem na szpady. Trzymając jedną w każdym ręku.

Ze sztyletem w zębach, pomyślał drwiąco, i czarną opaską na oku.

- A niech to lichy! - krzyknął w pustej bibliotece, waląc pięścią w stół.- Nienawidzę jej.

Jeszcze tego samego popołudnia pojawił się u lady Webb, ale nie poszedł za kamerdynerem do salonu, gdzie przyjmowano gości. Poprosił o rozmowę na osobności i zaprowadzono go do saloniku na parterze.

Wiedział, że lady Webb mu nie sprzyja. Oczywiście, była na tyle dobrze wychowana, że nie okazywała otwarcie niechęci. Ale doskonale rozumiał, dlaczego nie czuje do niego sympatii. Nie starał

się zyskać dobrej opinii szanowanych dam jej pokroju. Wprost przeciwnie. Nie lubiła go, ale dobrze rozumiała, co oznaczają dla jej chrzestnej córki oświadczyzny.

- Jeśli panu odmówi - oznajmiła, nim poprosiła Jane, by zeszła na dół - w pełni ją poprę. Nie pozwolę, by ją pan więcej nagabywał.

Uklonił się sztywno.

Jane pojawiła się po chwili.

- Och - powiedziała, zamknąwszy drzwi za sobą, ale z rękę na gałce. - A więc to pan?

- Tak było, kiedy ostatni raz spoglądałem w lustro - odparł, kłaniając się jej dwornie. - A kogo się pani spodziewała?

- Myślałam, że może to Charles. Zmarszczył czoło i spojrzał na nią gniewnie.

- Charles? - Nagle zapomniał o wszystkich swych dobrych postanowieniach. - Ma pani na myśli tego fajtłapę z Kornwalii? Ciamajdę, która sobie wyobraża, że panią poślubi? Jest w mieście?

Zacisnęła usta w charakterystyczny dla siebie sposób.

- Sir Charles Fortescue nie jest ani fajtłapą ani ciamajdą - powiedziała. - Zawsze był moim najlepszym przyjacielem. I przyjedzie, gdy tylko będzie mógł.

- Gdy tylko będzie mógł - powtórzył. - A gdzie się podziewał przez ostatni miesiąc? Nie zauważyłem, żeby biegał po Londynie, szukając pani, ani wyrwał panią ze szponów wuja czy kuzyna, czy

kim tam u licha jest dla pani Durbury.

- Gdzie miałyby mnie szukać? - spytała. - Jeśli nie znaleźli mnie detektywi z Bow Street, jakie szanse miałyby Charles, wasza książęca mość?

- Ja bym panią odnalazł. - Spojrzał na nią spod zmrużonych powiek. - Gdybym ja pani szukał, lady Saro, cały świat byłby za mały, by się ukryć.

- Proszę tak do mnie nie mówić - powiedziała. - Mam na imię Jane. Na chwilę zapomniał o sir Charlesie Fortescue, fajtlapie i ciamajdzie.

- Tak - zgodził się. - Rzeczywiście. A ja nie jestem „jego książęcą mością”, Jane, tylko Jocelynem.

- Tak. - Oblizła zeschnięte wargi.

- Czemu stoisz taka zalękniona i trzymasz kurczowo gałkę u drzwi? - spytał. - Boisz się, że rzucę się na ciebie i zabawię na swój niegodziwy sposób?

Pokręciła głową i weszła do pokoju. - Nie boję się ciebie.

- A powinnaś. - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, jej suknię z jasnożółtego muślinu i lśniące włosy. - Brakowało mi ciebie. - Ale nie mógł sobie pozwolić na otwarte przyznanie się do słabości. - Oczywiście w sypialni.

- Oczywiście - powiedziała cierpko. - A gdzieżby indziej? Po co tu przyszedłeś, Jocelynie? Nadal uważasz, że honor nakazuje ci

oświadczyć mi się, ponieważ jestem lady Sarą Illingsworth, a nie Jane Ingleby? Obrażasz mnie. Czy nazwisko znaczy więcej niż człowiek? Nawet by ci się nie śniło poślubić Jane Ingleby.

- Zawsze twierdziłaś, że znasz moje myśli, Jane - stwierdził. - Czyżbyś znała również moje sny?

- Nie poślubiłbyś Jane Ingleby - upierała się. - Dlaczego chcesz poślubić mnie? Ponieważ tak postąpiłby dżentelmen, który woli narazić się na śmierć, walcząc w pojedynku, niż zarzucić damie kłamstwo? Nie chcę za męża idealnego dżentelmena, Jocelynie. Wolę rozpustnika.

Nie udało jej się wyprowadzić go z równowagi, a nawet dzięki temu zyskał nad nią przewagę.

- Naprawdę, Jane? - Jego głos zabrzmiał niemal czule. - Dlaczego?

- Ponieważ w rozpustniku jest jakaś spontaniczność, bezbronność, człowieczeństwo, pewna... och, jakiego słowa mi brakuje? - Kreśliła jedną ręką koła w powietrzu.

- Pasja?- odpowiedział.

- No właśnie. - Patrzyła na niego gniewnie niebieskimi oczami. - Wolę, żebyś się ze mną sprzeczał i kłócił, znieważał mnie i rozkazywał, czytał i malował, zapominał o mnie i o całym świecie, kiedy oddajesz się grze na fortepianie. Wolę tamtego mężczyznę, chociaż jest taki wstrętny. Tamten człowiek był pełen pasji. Nie

pozwolę, żebyś udawał przede mną dżentelmena, Jocelynie. Nigdy.

Powstrzymał się od uśmiechu. Ale jeszcze nie śmiał mieć nadziei. Zastanawiał się, czy Jane zdaje sobie sprawę z tego, jak sugestywne są jej słowa. Chyba nie. Wciąż była zagniewana.

- Nie pozwolisz? - Podszedł do niej. - W takim razie lepiej będzie, jeśli cię pocałuję. Udowodnię ci, do jakiego stopnia nie jestem dżentelmenem.

- Zbliź się o krok - oświadczyła mu - a spoliczkuję cię.

Ale, oczywiście, sama się nie cofnęła, by zwiększyć odległość między nimi. Zrobił dwa kroki, aż znaleźli się niemal tuż przy sobie.

- Proszę, Jane. - Jego głos znów zabrzmiał jak pieszczota. - Pozwól mi się pocałować.

- Dlaczego miałabym to zrobić? - Oczy błyszczały jej od łez, ale nie odwróciła wzroku. I nie był pewien, czy były to łzy gniewu czy miłości. - Dlaczego miałabym pozwolić ci się pocałować? Ostatnim razem sprawiłeś, że uwierzyłam, iż ci na mnie zależy, chociaż nie powiedziałeś ani słowa. A następnego ranka kiwnąłeś na mnie palcem, jak na psa, którego się woła do nogi, zachowywałeś się zimno i arogancko. Dlaczego miałabym ci pozwolić się pocałować, kiedy wcale cię nie obchodzę?

- Wcale? - spytał. - Nie, Jane. Obchodzisz mnie bardzo.

- Odejdź - powiedziała. - Bawisz się ze mną. Wiem, że mam ci za co dziękować. Gdyby nie ty, byłabym teraz w Kornwalii, walcząc z

Sidneyem i hrabią Durbury. Ale nie jestem wcale pewna, czy nie pomogłeś mi wyłącznie ze względu na własną dumę. Nie było cię, kiedy naprawdę byłeś mi potrzebny, żebym mogła ci się zwierzyć. Nie...

Wyciągnął rękę i położył jej palec na ustach. Urwała gwałtownie.

- Pozwól mi coś powiedzieć. Podczas tamtego tygodnia bardzo się do siebie zbliżyliśmy, Jane. Stałaś mi się bliższa niż ktokolwiek. Rozmawialiśmy ze sobą i wiele czasu spędzaliśmy razem. Dzieliliśmy się myślami i uczuciami. Staliśmy się przyjaciółmi i kochankami. Kimś więcej niż przyjaciółmi. Kimś więcej niż kochankami. Przekonałaś mnie bez prawienia mi kazań, że aby być w pełni człowiekiem, muszę wybaczyć sobie i swemu ojcu to, co wydarzyło się dawno. Przekonałaś mnie, że bycie mężczyzną nie oznacza rezygnacji z delikatności i wrażliwości. Nauczyłaś mnie znów czuć, kazałaś mi się zmierzyć z moją przeszłością przypomnieć sobie, że w moim dzieciństwie były również radosne chwile. A dokonałaś tego wszystkiego przez samą swoją obecność.

Odsunęła głowę, ale nie pozwolił jej przemówić. Jeszcze nie. Ujął ją pod brodę.

- Powiedziałaś mi, że zwierzyłabyś mi się tak, jak ja zwierzyłem się tobie, gdybym wcześniej nie dowiedział się prawdy. Powinienem był ci uwierzyć, Jane. I nawet kiedy poznałem prawdę, powinienem zareagować zupełnie inaczej - przyjść do ciebie, wziąć cię w ramiona,

tak jak ty to zrobiłaś poprzedniej nocy, powiedzieć ci, o czym się dowiedziałem, i poprosić, żebyś mi wszystko wyznała, żebyś mi zaufała, zdała się na mnie. Wiem, jak ci trudno wracać do niektórych wydarzeń z naszego życia. Sam zrozumiałem dopiero wczoraj, że powinienem być znacznie bardziej wrażliwy. Zawiodłem siebie samego, Jane. I, do diabła, zawiodłem ciebie.

- Nie mów tak - odparła. - Nie mogę z tobą walczyć, kiedy tak mówisz.

- Nie walcz ze mną - poprosił. - Wybacz mi.

Patrzyła mu prosto w oczy, jakby chciała ocenić jego szczerość. Nigdy nie widział jej tak bezbronnej. Nawet nie próbowała ukrywać pragnienia, by mu uwierzyć.

- Jane, dowiodłaś mi, że miłość istnieje - powiedział łagodnie.

Dwie łzy potoczyły się po jej policzkach. Otarł je, ujął jej twarz w obie dłonie, a potem pochylił się, by ją ucałować w oba policzki.

- Myślałam, że z-zginiesz - zaszlochała niespodziewanie. - Myślałam, że przyjedziemy za późno, że usłyszę strzał, a potem zobaczę cię martwego. Czuję to tutaj. - Dotknęła serca. - Miałam złe przeczucia. Pragnęłam znaleźć się przy tobie, powiedzieć to wszystko, czego nigdy nie powiedziałam, to, co... co... och, dlaczego nigdy nie mogę znaleźć chusteczki wtedy, kiedy jest mi potrzebna? - Przesuwała dłonią po sukni pozbawionej kieszeni, nieelegancko pociągając nosem.

Wręczył ją dużą, białą chustkę.

- Ale zdążyłaś - przypomniał - i powiedziałaś wszystko. Przekonajmy się, czy dokładnie zapamiętałem. Wstrętny człowiek? Arogant? Uparty osioł? Że mnie nienawidzisz? Że już nigdy mam się do ciebie nie zbliżać? Czy o czymś zapomniałem?

Wydmuchała nos i teraz nie wiedziała, co zrobić z chustką. Wziął ją i schował do kieszeni.

- Umarłabym, gdybyś zginął - powiedziała, a Jocelyn stwierdził z satysfakcją że Jane znów zaczyna ogarniać gniew. - Wstrętny, przebrzydły człowiek. Jeśli jeszcze kiedykolwiek dopuścisz do sytuacji, by sprowokować kogoś do wyzwania cię na pojedynek, zabiję cię własnymi rękami.

- Naprawdę, najdroższa? - spytał.

Zacisnęła usta.

- Postanowiłeś sobie, że mnie zdobędziesz, prawda? To wszystko podstęp?

- Nie wiesz, co przeżywam, Jane. Okropnie się boję, że mi odmówisz. I wiem, że jeśli to zrobisz, nie zmienisz zdania. Zlituj się nade mną. Jeszcze nigdy nie byłem w takiej sytuacji. Zawsze stawiałem na swoim.

Ale patrzyła na niego z taką samą miną co przedtem.

- O co chodzi? - spytał, ale lekko pokręciła głową. - Jane, chcę pojechać do domu. Chcę pojechać do Acton - z tobą i mieć nasze

własne wspomnienia i zwyczaje. Myślisz, że znasz moje sny. Ale właśnie o tym śnię. Czy zechcesz je dzielić ze mną?

Jeszcze mocniej zacisnęła usta.

- Dlaczego przestałaś ze mną rozmawiać? - Założył ręce do tyłu i lekko pochylił głowę do przodu. - O co chodzi, Jane?

- Liczysz się tylko ty prawda? Tylko to, czego ty pragniesz. O czym ty śnisz. A ja? Czy w ogóle zależy ci na mnie?

- Powiedz mi, czego chcesz, Jane - poprosił. - Chcesz, żebym sobie poszedł? Naprawdę? Powiedz, czy tego chcesz, ale spokojnie, nie w uniesieniu, żebym wiedział, że naprawdę tak myślisz. Powiedz, żebym sobie poszedł, a zrobię to.

Nie bał się tak nawet wtedy, gdy stał naprzeciw wycelowanego w siebie pistoletu.

- Będę miała dziecko - zawołała. - Nie mam wyboru.

Cofnął się, jakby go spoliczkowała. Wielki Boże! Od jak dawna o tym wie? Czy kiedykolwiek zamierzała mu powiedzieć? Czy kiedykolwiek zwierzy mu się, zaufa mu, przebaczy?

Patrzyła na niego gniewnie w ciszy, która zapadła po tych słowach. Tak mocno zacisnął ręce, że aż poczuł ból.

- Ach tak - powiedział w końcu cicho. - Cóż, to zmienia wszystko, Jane.

Rozdział 26

Lady Webb otworzyła drzwi do ubieralni Jane i weszła do środka. Ubrana w granatową suknię, w turbanie z piórami na głowie, stanowiła całkowite przeciwieństwo Jane, która wyglądała niesłychanie eterycznie w modnej, głęboko wyciętej sukni z białej koronki na spodzie z białego atłasu. Srebrna nić połyskiwała wzdłuż koronkowego rąbka, podwyższony stan przewiązany był szarfą, krótkie rękawki też zdobiły koronki. Całości dopełniały długie, białe rękawiczki i srebrne pantofelki, a we włosach lśniła wąska, biała wstążka ze srebrzystym połyskiem.

- Saro, moja droga, naprawdę jesteś mi córką, której nigdy nie miałam - zawołała lady Webb. - Jaka jestem szczęśliwa! Tak bardzo chciałabym, żeby twoja biedna matka mogła cię zobaczyć w najważniejszym dniu twojego życia. Wyglądasz prześlicznie.

Jane krytycznie przyglądała się swemu odbiciu w dużym lustrze. Odwróciła się do matki chrzestnej.

- Dokładnie to samo powiedziałaś wczoraj, kiedy musiałam włożyć okropną ciężką niemodną suknię dworską. Nie rozumiem, dlaczego królowa nalega, by przedstawiane jej dziewczęta męczyły się w niewygodnych strojach - odparła. - Dziś o wiele bardziej się sobie podobam.

- Każda młoda dama musi zostać przedstawiona na dworze -

pouczyła ją lady Webb. - Twój bal debutantki to twoje własne, triumfalne wkroczenie w świat.

- Przypuszczasz, że to będzie triumf?

Jane wzięła wachlarz z toaletki. Czuła lekki niepokój na myśl o czekającym ją wieczorze. Przez cały dzień panował rwetes i zamieszanie przygotowań. Odkąd wróciła z porannego spaceru z pokojówką ze zdumieniem obserwowała, jak sala balowa zmienia się na jej oczach. Ozdobiono ją białymi i srebrnymi wstążkami, kokardami i kwiatami, jedyną żywą barwą była zieleń liści i asparagusów. Wielkie żyrandole opuszczono, wypolerowano i umieszczono w nich setki nowych świec. Późnym popołudniem pojawiła się orkiestra i rozstawiła instrumenty na podwyższeniu. Z kredensów wyciągnięto najlepszą porcelanę, kryształ i srebra, by o północy podać na nich wystawną kolację.

- Naturalnie, że tak - oświadczyła lady Webb, podchodząc do Jane. Objęła ją, ale ostrożnie, by nie pognieść toalety. - Czy może być inaczej? Przecież jesteś lady Sarą Illingsworth, córką zmarłego hrabiego Durbury i jego dziedziczką. Jesteś śliczna jak królewna z bajki. I już masz licznych wielbicieli.

Jane uśmiechnęła się ponuro.

- Możesz wybierać wśród najlepszych kawalerów - zapewniła ją jej chrzestna matka. - Na przykład wicehrabia Kimble wyraźnie jest tobą zainteresowany i uważam, że gotów jest ci się oświadczyć. Nie

musisz godzić się na zaloty Treshama - jeśli w ogóle zamierza się do ciebie zalecać. Przyszedł i złożył ci uczciwą propozycję - przynajmniej mam nadzieję, że była uczciwa. Ale wybór należy do ciebie, Saro.

- Ciociu Harriet - powiedziała Jane z wyrzutem.

- Dobrze, ani słowa więcej na ten temat - zapewniła ją pośpiesznie lady Webb. - Już powiedziałam dość, a może nawet za dużo. Chodź, musimy zejść do sali balowej. Wkrótce zaczną się schodzić goście. Cyryl i Dorothy już na nas czekają.

Lord Landsowne był bratem lady Webb. Zwróciła się do niego i do bratowej, by pomogli jej pełnić honory domu. Lord Landsowne miał poprosić Jane do pierwszego tańca.

Już po południu sala balowa wyglądała niezwykle okazale. Teraz wprost zapierała dech w piersiach. Zapalone świece rzucały złote refleksy na białą i srebrną dekorację, ich płomienie odbijały się w lustrach.

Jane pomyślała, że przypomina salę weselną. Ale tego wieczoru miała zostać wprowadzona w świat. I wszystko musi dobrze pójść. Nic nie może tego zepsuć. Ciocia Harriet poświęciła tyle czasu i energii - a także sporo pieniędzy - by wczorajszy i dzisiejszy dzień wypadły idealnie, a jej chrześnica zapamiętała je do końca życia.

- Denerwujesz się, Saro? - spytała lady Landsowne.

Jane odwróciła się do niej z oczami błyszczącymi od łez.

- Tylko dlatego, że chcę, by ze względu na ciocię Harriet wszystko przebiegło jak należy - odparła.

- Muszę powiedzieć, że wyglądasz ślicznie jak obrazek, moja droga - oświadczył lord Landsowne. - Teraz, jeśli tylko uda mi się ukryć, że mam dwie lewe nogi... - Roześmiał się wesoło.

Jane zwróciła się do lady Webb, która przyglądała się jej z macierzyńską troską.

- Bardzo ci za wszystko dziękuję, ciociu Harriet - powiedziała. - Nawet moja mama nie zorganizowałaby tego lepiej.

- Moja droga, cóż mogę na to odrzec? - Lady Webb miała podejrzenie zamglony wzrok.

Może dobrze, że akurat pojawili się pierwsi goście. Wszyscy czworo pośpieszyli, by ich powitać w drzwiach sali balowej.

Następna godzina upłynęła na przedstawianiu Jane - w końcu, bo miała już dwadzieścia lat - osobom z towarzystwa. Wśród twarzy zupełnie jej obcych były też znajome. Niektóre osoby znała już bardzo dobrze. Na przykład przystojnego i czarującego wicehrabiego Kimble'a, który zdaniem cioci Harriet był konkurentem do jej ręki, sympatycznego sir Conana Broughama i jeszcze kilku przyjaciół Jocelyna, którzy odwiedzali go w Dudley House, kiedy Jane tam pracowała. I lorda Ferdynanda Dudleya, pełnego chłopięcego uroku. Pochylił się, by ucałować jej dłoń, uniósł ją do ust i uśmiechnął się wesoło. Przyszli też lord i lady Heyward. Lord Heyward uklonił się

grzecznie, powiedział to, co należało, i przeszedłby do sali balowej, gdyby jego żona nie miała innych planów.

- Och, Saro! - zawołała, ściskając Jane tak mocno, że mogło to niekorzystnie wpłynąć na wygląd ich toalet. - Naprawdę wyglądasz prześlicznie. Tak ci zazdroszczę, że możesz ubierać się na biało. Ja wyglądam w tym kolorze jak śmierć i muszę nosić żywsze kolory. Chociaż Tresham i Ferdie wiecznie krytykują mój gust, przebrzydłe wstręciuchy Czy Tresham przyjdzie dziś wieczorem? Nie chciał mi powiedzieć, kiedy spotkałam go po południu w parku. Czyżbyście się przemówili? Jak cudownie, że potrafisz się z nim kłócić. Nikt wcześniej nie odważył się mu sprzeciwić. Mam nadzieję, że nie przebaczysz mu zbyt łatwo, tylko każesz mu cierpieć. Ale jutro, sama rozumiesz...

Lord Heyward mocno ujął ją pod łokieć.

- Chodź, moja droga - powiedział do żony. - Kolejka będzie się ciągnęła przez całe schody, hol i kończyła na chodniku, jeśli będziemy tu dłużej stali i rozmawiali.

- Pokłóciłaś się z księciem, Saro? - spytała lady Webb, kiedy odeszli. - Tak mało mówiłaś o jego ostatniej wizycie w zeszłym tygodniu. Nie wiesz, czy zamierza przyjść dziś wieczorem?

Ale rzeczywiście kolejka osób, czekających na prezentację, była długa. Nie było czasu na rozmowy.

Przyszedł. Rozumie się, że przyszedł. Spóźnił się, ale nie za

bardzo. Jane i lady Webb nadal stały w drzwiach sali balowej z lordem i lady Landsowne, w środku panował gwar, a członkowie orkiestry stroili instrumenty. Miał na sobie czarny, obcisły frak, spodnie z szarego jedwabiu, wyszywaną srebrną nicią kamizelkę, śnieżnobiałą koszulę, koronkową chustę, pończochy i czarne trzewiki do tańca. Wyglądał oficjalnie, jak wymagała tego okazja, i wyniośle kłaniał się wkoło.

- Lady Saro - mruknął, kiedy podszedł do Jane. Wziął monokl w palce, ale nie założył go na oko. Obrzucił ją baczny spojrzeniem od stóp do głów. - No, no. Wyglądasz prawie jak panna młoda.

Co za okropny człowiek! Bardzo dobrze wiedział, że debiutantki muszą obowiązkowo ubierać się na białe.

- Wasza książęca mość - powiedziała cicho, ale z naciskiem, by się zemścić na nim za to, że zwrócił się do niej „lady Saro”, i dygnęła.

Nie zatrzymał się dłużej, tylko przeszedł do sali balowej. Jane zmusiła się, by o nim nie myśleć. Nie było to łatwe, ale konieczne. Dzisiejszy wieczór był bardziej dla cioci Harriet niż dla niej.

Pięć minut później lord Landsowne wyprowadził ją na środek parkietu, by zatańczyć z nią wiązanek starych angielskich tańców, otwierających bal. Jane w pełni delectowała się tą chwilą. Po raz pierwszy miała zatańczyć na wielkim londyńskim balu, i do tego na swoim własnym. Taniec był żywy i obfitował w wiele skomplikowanych figur. Nim się skończył, policzki jej się zaróżowiły

i śmiała się głośno. Inne pary dołączyły do nich. Prawdę mówiąc, nie ulegało wątpliwości, iż jutro ciocia Harriet będzie mogła narzekać na prawdziwy ścisk.

Jocelyn nie tańczył. Jane nie patrzyła na niego, ale cały czas czuła jego obecność. Stał samotnie pod ścianą patrząc na nią. Kiedy umilkła muzyka, lord Landsowne odprowadził Jane do lady Webb. Gdy podeszło do niej kilku kawalerów, by prosić do następnego tańca, wśród nich lord Ferdynand, zobaczyła, jak Jocelyn odwraca się i opuszcza salę balową.

Jocelyn krążył po pokojach. Wyraz ten najpełniej oddawał istotę jego zachowania. Nawet on zdał sobie z tego sprawę, kiedy przeszedł z sali balowej do gabinetu, gdzie grano w karty, potem do jadalni, gdzie podawano napoje i przekąski, w końcu na galerię, łączącą wszystkie trzy pomieszczenia, i znów na salę balową. Nie potrafił nigdzie dłużej zabawić, chociaż Pottier zaprosił go, by pograł z nim i jeszcze kilkoma dżentelmenami w karty, a lady Webb zaproponowała, że przyprowadzi mu partnerkę do tańca. Musiał jeszcze zamienić kilka słów z Ferdynandem. I z Angeliną.

- Nie wiem, po co w ogóle przyszedłeś, Tresh - oświadczył brat księcia z wyraźną dezaprobatą kiedy wpadli na siebie na galerii. Ferdynand szedł coś przekąsić, a Jocelyn trzeci raz miał zajrzeć do gabinetu. - Odkąd przyszedłeś, krążysz z ponurą i wyniosłą miną. Jeśli pojawiłeś się tutaj, by zepsuć jej wieczór, to wiedz, że na to nie

pozwolę.

Jocelyn spojrział na swego brata z niekłamany podziwem. Po chwili założył monokl na oko.

- Wciąż masz tego samego pokojowca, Ferdynandzie? - spytał. - Nadal próbuje poderżnąć ci gardło przy goleniu? Jesteś odważniejszy ode mnie, drogi przyjacielu.

Ferdynand zmarszczył czoło i dotknął palcem małej ranki na brodzie z prawej strony, a Jocelyn znów udał się w kierunku gabinetu.

Angelina była trochę bardziej gadatliwa - ale czy kiedykolwiek była inna? Była pełna uznania dla Jane, że wygląda na taką szczęśliwą chociaż nie ulegało dla niej wątpliwości, że Tresham musiał się z nią pokłócić. Miała nadzieję, że Jane da mu porządną nauzkę i nigdy nie wybaczy tego, co jej powiedział i czym ją obraził. A on nie byłby jej bratem, gdyby natychmiast nie zawrócił Jane w głowie, nie oświadczył się jej i pozwolił choć przez chwilę wahać.

- Właśnie do tego sprowokowałam Heywarda - pochwaliła się. Zaczęła się wachlować, jej brat patrzył na nią z cierpiętniczą miną.

- Zastanawiam się, Angelino, czy w ogóle odróżniasz kolory - odezwał się. - To jedyne wytłumaczenie, jakie mi przychodzi do głowy, kiedy patrzę na czerwone i różowe pióra w twoich włosach. Od ich widoku aż bolą zęby.

Udała, że go nie słyszy.

- Nim zakończy się sezon, weźmiesz ślub z lady Sarą w kościele

Świętego Jerzego przy Hannover Square - oświadczyła. - W obecności całej śmietanki towarzyskiej. Nalegam na to. Sama wszystko urzędę.

- Niech Bóg broni - mruknął, ukłonił się grzecznie i ruszył do sali balowej.

Była najwyższa pora. Kotylion już się kończył. Następny miał być walc. Jocelyn stał blisko drzwi i patrzył, jak Brougham odprowadza zaróżowioną i uśmiechniętą Jane do lady Webb. Wokół zebrała się grupka tych, którzy mieli nadzieję zatańczyć z nią następny taniec. Wyglądało na to, że zwyciężył Kimble. Uśmiechał się i mówił coś do Jane. Jocelyn podszedł do nich.

- O ile się nie mylę, ten taniec należy do mnie - powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Niestety, spóźniłeś się - odparł nonszalancko Kimble. - Ja byłem pierwszy, Tresham.

Jocelyn uniósł brwi, palce zacisnął na monoklu i spojrzał na przyjaciela z wyniosłą miną.

- Gratuluję, przyjacielu - oświadczył. - Ale ten taniec należy do mnie. Oczywiście, jeśli uważasz inaczej...

- Wasza książęca mość - zaczęła Jane raczej zmieszana niż rozgniewana. Jocelyn założył monokl na oko i spojrzał w jej stronę. Zauważył, że świadkowie tej sceny znieruchomieli, jakby spodziewali się, że w każ-dej chwili dojdzie do bójki, i bali się, że mogą zostać w

nią wciągnieci.

- Wzięłeś udział w tylu pojedynkach, że starczy ich co najmniej na dziesięć lat. - Powiedział Kimble - a poza tym nie mam ochoty patrzeć na zły koniec twojego pistoletu, nawet jeśli bardzo dobrze wiem, że gdy do tego dojdzie, strzelisz w powietrze.

Uklonił się, mrugnął zuchwale do Jane, po czym oddalił się.

- Nie mogę zatańczyć z Wasza książęca mość - Jane upomniała Jocelyna - to jest mój debiut i nie dostałam jeszcze zgody od żadnej z patronek z Almacka na tańczenie walca na oficjalnym balu.

- Bzdury ! - odpowiedział - to jest twój bal i możesz tańczyć, jeśli tylko chcesz, prawda ?

Lady Webb, która mogłaby zaprzeczyć, nawet nie drgnęła. Decyzja należała do Jane. Czy miała wystarczająco odwagi ? Jocelyn patrzył jej prosto w oczy...

- Dobrze - powiedziała kładąc dłoń na jego ramieniu - Oczywiście zatańczę.

Ruszyli w stronę parkietu, Jocelyn zauważył, że odprowadzają ich ciekawskie spojrzenia większości, jeśli nie wszystkich gości. Zdał sobie sprawę, że on i Jane byli najnowszą sensacją, pomimo jego wysiłków by tak się nie stało. A teraz prowadził ją do walca wbrew przyjętym zasadom.

Nie dbał o to, co zebrani myśleli o nim, ale Jane owszem. To był jej debiutancki bal, który Lady Webb przygotowywała dla niej z takim zaangażowaniem. Wpatrywał się w nią gdy brał ją w ramiona.

Jak mógł zachować się jak gentleman, postępować tak jak powinien prawdziwy gentleman, udawać, że ona dla niego nic nie znaczyła ? Jak mógł ukrywać uczucia, którymi darzył tą kobietę ? Wystarczył jej dotyk, taki subtelny... Opamiętał się, przytrzymał ją w przepisowej odległości i zmusił się do stłumienia ognia, który pojawił się w jego spojrzeniu.

- To było dość okropne co powiedziałaś podczas powitania - powiedziała.

- Lady Sara ? - spytał - ale przecież to prawda. Zachowałem się odpowiednio. Poza tym, zemściłaś się bez mrugnięcia, Jane.

- Nie to - powiedziała - Ta druga rzecz.

- O tym, że wyglądasz jak panna młoda? - spytał - Bo tak jest. Piękna biała koronka, satyna i zarumieniona twarz.

- To rumieńce, tańczyłam.

- Ze wszystkimi swoimi lojalnymi i wytrwałymi wielbicielami. - zgodził się.

- Zazdrosny?

Jocelyn uniósł brwi nie racząc odpowiedzieć. Zamiast tego przyciągnął ją bardziej do siebie. Skandalicznie blisko. Wręcz wyczuwał plotkarskie szepty i pomruki dobiegające zza lornetek, wachlarzy i urękawicznionych rąk. Jane nie zaprotestowała.

Nie powiedzieli nic więcej. Orkiestra grała natchnionego walca, a parkiet był większy niż pokój w Dudley House, gdzie tańczyli razem po raz ostatni.

Prowadził ją po obwodzie parkietu, okręcając ją w rytm walca,

patrząc jej przez cały czas w oczy, ich ciała niemal się dotykały.

Nie trzeba było słów. Rozmawiali wystarczająco dużo w ciągu minionych tygodni ich znajomości. Wystarczająco, by móc prowadzić cichą dyskusję nie otwierając ust. Pomimo dobrych intencji, jego oczy wyrażały całą miłość, nie bacząc na ciekawskich, którzy mogli im się przyglądać. Jane zacisnęła usta, ale ani na chwilę nie odwróciła wzroku. Nie zepsujesz tego wieczoru, mówiły jej oczy.

Ze względu na Lady Webb nie zamierzał. Jane mogła być w centrum plotek, że tańczyła z nim, ale on na pewno nie zmusi jej, by spojrzała na niego tak, jak on patrzył na nią. Ani tym bardziej nie przywiedzie do kłótni. W końcu jednak jej oczy powiedziały i inne rzeczy. Bardziej wyraziste niż sama zdawała sobie z tego sprawę.

- Tak więc, Jane - rzekł, kiedy walc zbliżał się do końca - jaka jest twoja ocena? Czy jest to najszczęśliwszy dzień w twoim życiu ?

- Oczywiście - odpowiedziała uśmiechając się delikatnie - Jak mógłby nie być? Jesteś szczęśliwy ?

- Bynajmniej - odparł Jocelyn. Zauważył mężczyznę stojącego przy Lady Webb, kiedy odprowadzał Jane w kierunku matki chrzestnej. Młody mężczyzna, który był ubrany zgodnie z najnowszą modą, jednak bez śladu elegancji czy stylu. Wyglądał na kogoś, kto mieszka prawie wyłącznie na wsi. Niedołęga i wiejski prostak, jeśli jego przypuszczenia nie odbiegały daleko od prawdy.

Niespodziewanie szybko jego podejrzenia się potwierdziły, kiedy Jane spojrzała w stronę Lady Webb, dłoń oparta na jego

ramieniu zeszywniała, a Jane przyspieszyła kroku.

- Charles! - zawołała, wyciągając obie dłonie do prowincjusza, który wgapił się w Jocelyna tak, jakby miał wielką ochotę rozerwać go na kawałeczki.

- Tak, Saro - odpowiedział młodzieniec, przenosząc w końcu wzrok na kobietę, która ponoć była miłością jego życia, biorąc w dłonie jej ręce - Przyjechałem, jesteś w końcu bezpieczna.

- Przyjechałem - Charles powtórzył - Zauważyłem, Saro, że ten mężczyzna jest dość napastliwy.

Jane wyciągnęła do niego dłoń i poprowadziła w kierunku bocznego pokoju. To prawda, Jocelyn zachowywał się dość irytująco. Przybrał pozę księcia Tresham, zanim zdążyła przedstawić sobie obu panów, wielce znudzony przykładał monokl do oka. A kiedy ich przedstawiła, odezwał się z lekką arogancją.

- Doprawdy? - rzekł patrząc ponad Charlesem - Faworyt Lady Sary, jak mniemam? Jej wierny rycerz, który przygalopował jej na ratunek, kiedy była w paszczy smoka ?

Charles przełknął ślinę z niemal widocznym oburzeniem, ale nie mógł wymyślić niczego w odpowiedzi, poza tym, że nie był w domu przez dłuższy czas, a kiedy tylko wrócił dowiedział się, że nawet detektyw z Bow Street nie był w stanie jej odnaleźć.

- Rzeczywiście - zgodził się Jocelyn i głośno westchnął. Skinął głową w kierunku Jane i Lady Webb, po czym oddalił się.

Wbrew sobie, Jane miała wielką ochotę roześmiać się. Nie

czuła nic poza konsternacją i smutkiem widząc Charlesa w Sali bankietowej ciotki Harriet. Z pewnością musiał otrzymać jej list przed opuszczeniem Kornwalii. A mimo wszystko przyjechał.

Tak, przyjechałeś - powiedziała - ale dlaczego skoro napisałam byś nie przyjeżdżał ?

- Jak mogłem nie przyjechać? - odpowiedział pytaniem.

- A jednak - powiedziała cicho, biorąc szklankę lemoniady, którą jej podał - nie przyjechałeś, kiedy potrzebowałam cię najbardziej, Charles. Oh, tak wiem - uniosła dłoń, kiedy próbował jej przerwać - nie widziałeś sensu by przyjeżdżać, kiedy nie wiedziałeś nawet gdzie szukać. Rozsądniej było zostać w domu.

- Dokładnie - zgodził się - Przyjechałem teraz, kiedy mogę zrobić coś pożytecznego. Jestem zadowolony, że Lady Webb zorganizowała bal dla ciebie. Jak najbardziej na miejscu jest, aby Lady Sara Ilingsworth została przedstawiona towarzystwu. Niestety jednak złożyło się, że takie wydarzenie jak to, wystawia cię każdemu rozpustnikowi i łowcy fortun, który zapragnie z tobą zatańczyć.

- Lista gości została przygotowana przez ciotkę Harriet - wyjaśniła Jane - I każdy partner, z którym dzisiaj tańczyłam został zaakceptowany przez nią. Obrażasz ją, mówiąc takie rzeczy Charles.

- Tak więc - powiedział Charles - tańczyłaś z księciem Tresham, Saro, a on pozwalał sobie na wyrażanie oczami niestosownych rzeczy. Poza tym, nie miał żadnego powodu, by tańczyć z tobą.

Zobaczysz, spowoduje, że nazwą cię łatwą. Wiem, że miał swój udział w odnalezieniu cię i przywiezieniu tu, dlatego sędzę, że Lady Webb nie miała po prostu innego wyjścia, jak zaprosić go. Ale nie należy go zachęcać. Mężczyzna taki jak on, nie ma honorowych zamiarów, wobec żadnej szanującej się kobiety, wierz mi.

Jane przytaknęła i upiła łyk swojego napoju - Charles - powiedziała - nie będę się z tobą kłóciła. Zawsze byliśmy przyjaciółmi i jestem wdzięczna, że martwiłeś się na tyle, by pokonać tak długą drogę, ale nie możesz osądzać ludzi, których nigdy wcześniej nie spotkałeś.

- Jego reputacja mówi sama za siebie - opowiedział - wybac mi Saro, ale jesteś niedoświadczona i mieszkałaś z dala od miejsc takich jak Londyn. Rozumiem, doświadczenie dzisiejszej nocy są ekscytujące dla ciebie. Musisz jednak pamiętać o swoich korzeniach. Twoje miejsce jest na wsi, nie będziesz szczęśliwa nigdzie indziej.

- Tak - zgodziła się - masz rację.

- Jedź więc ze mną - zaczął namawiać Charles - jutro, pojutrze, albo w przyszłym tygodniu. Tylko jedź.

- Oh, Charles - powiedziała - bardzo chciałabym żebyś przeczytał list, który ci wysłałam. Nie mogę wrócić do Kornwalii. Ta część mojego życia jest zamknięta. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi, ale tam...

- On nie jest dla ciebie, Saro - przerwał jej gwałtownie Charles - Wierz mi, on nie jest dla ciebie. Jedyne co może ci dać, to

nieszczęście.

- To jest dokładnie to, co ja mogę dać tobie, Charles - powiedziała delikatnie - Bardzo cię lubię, lecz cię nie Kocham.

- Miłość to coś, co powstaje między dwójką poślubionych osób - powiedział - Sympatia wystarczy na początek.

- To nie jest ani czas, ani miejsce Charles - powiedziała Jane kładąc dłoń na jego ramieniu - Właśnie straciłam turę tańców. Jeśli nie wrócimy do Sali balowej, stracę następną, a nie zniósłabym tego.

- Porozmawiamy jutro zatem - odpowiedział.

Och, jak bardzo chciałam, aby on nie był przyjechał do Londynu - myślała w czasie, gdy Charles odprowadzał ją do Sali, ale nie odezwała się ani słowem.

Później, kiedy siedziała na kolacji przy jednym z długich stołów w jadalni, w towarzystwie przyjaciół i znajomych, Charles wszedł by zająć wolne miejsce naprzeciw jej. Jane uśmiechnęła się do niego i przedstawiła ludziom siedzącym obok. Milczał w czasie, gdy pozostała część śmiała się i rozmawiała na różne tematy.

Baron Pottier ogłosił zamiar przeniesienia się do Brighton na czas lata, zaraz po zakończeniu Sezonu. Było to miejsce, gdzie Księżę Regent wyjeżdżał, a połowa towarzystwa podążała za nim.

- Czy pani również tam będzie, Lady Saro? - spytał Lord Pottier.

- Och, nie, myślę, że nie - odpowiedziała Jane - wolałabym spędzić lato na wsi.

Wicehrabia Kimble, siedzący obok Jane, wziął jej dłoń i uniósł

do ust - Ale Brighton będzie puste bez ciebie - powiedział, z błyskiem w oku - Może po prostu porwę cię i zawiozę tam ?

- Och nie, nie zrobisz tego - Lady Heyward odpowiedziała śmiejąc się - Jeśli ktokolwiek porwie ją, to zrobię to ja z pomocą Heywarda. Nie żeby wyraził zgodę, aby zrobić coś tak niebezpiecznego i niegodnego, oczywiście. Z pomocą Ferdiego, zatem. Porwiemy Lady Sarę i Treshama i zawieziemy ich do St. Georges'a na wielkie wesele. Prawda Ferdie?

Lord Ferdynand siedzący naprzeciwko, obok Charlesa, wyszczerzył zęby w uśmiechu - Będę potrzebował pomocy połowy pułku prawdziwie niezwycięzonych żołnierzy, Angie, jeśli będę chciał zniewolić Treshama.

Wicehrabia Kimble skinął dobrodusznie - Alas - powiedział - nie zapominaj o mnie, bo moje serce zostanie złamane madam.

Jane zaśmiała się do niego i rozmowa z pewnością przeszłaby na inny temat, ale Charles, prawdopodobnie nie wyczuwając żartobliwego tonu rozmowy, zdecydował się zabrać głos.

- Tak, jak powiedziała Lady Sara - zwrócił się do grupy - wróci na wieś na czas lata. Być może nawet wcześniej.

- Oh, tak, - zgodziła się z uśmiechem Lady Heyward, - zaraz po ślubie. Teraz naprawdę Ferdie...

- Lady Sara wróci do Kornwalii. Ze mną. - powiedział Charles z naciskiem, który spowodował, że oczy wszystkich siedzących przy stole zwróciły się w jego stronę - Już dawno temu to ustaliliśmy.

- Charles! - powiedziała ostro Jane, zanim zwróciła się do

pozostałych, - Byliśmy przyjaciółmi i sąsiadami przez całe życie.

- Myślę, że Tresham miałby coś do powiedzenia na temat tego „ustalania” - powiedział baron Pottier - Czy naprawdę wybiera się pani do Kornwalii, Lady Saro? Nie chciałaby pani zostać?

- Myślę, że będę w stanie obronić swoją narzeczoną przed jakąkolwiek impertynencją z tej strony - odpowiedział Charles.

- Charles, proszę.. - wyszeptała Jane.

- Jest pan w błędzie, sir - powiedziała wesoło Lady Heyward - Lady Sara, zamierza wyjść za mąż za mojego brata, pomimo, że pokłócili się i zatańczyli tylko raz dzisiejszego wieczora...

- Uspokój się, Angie - powiedział Lord Ferdynand - Lady wygląda na zażenowaną. Zmieńmy temat. Porozmawiajmy o pogodzie.

Ale Charles był niepohamowany. Wstał, przewracając swoje krzesło, co przyciągnęło uwagę stłoczonych w jadalni biesiadników. Szum rozmów wyraźnie przycichł.

- Lady Sara Illingsworth nie będzie obiektem żartów londyńskich gburów ani minuty dłużej - powiedział drżącym głosem - Zabiorę ją do domu, gdzie jej miejsce. Nie do Kandlefort, ale do domu.

Jane zamknęła oczy z upokorzenia, ale najpierw dostrzegła stojącą w cieniu drzwi postać. Musiał wychodzić, ale nadal stał trzymając monokl w jednej dłoni i patrzył na Charlesa.

- Panie Fortescue - Lady Lansdowne poprosiła z końca ich stołu - czy mamy rozumieć, że ogłasza pan zaręczyny z Sarą?

Oczy Jane spotkały się z oczami Jocelyna nadal stojącego w

drzwiach.

- Charles! - powiedziała głośno.

- Tak, madam - odpowiedział Charles wznosząc głos mówiąc do zebranych, tak by usłyszał go każdy z obecnych na Balu - Mam honor ogłosić moje zaręczyny z Lady Sarą Illingsworth, mam nadzieję, że każdy będzie życzył nam szczęścia.

W Sali zapanowała cisza. Lecz gdy Jocelyn zaczął iść w ich kierunku znów podniósł się gwar.

- Nie, nie, nie - powiedział, w każdym calu Książę Tresham - Założę się, że Lady Sara nie wyraziła zgody, a nie jest to w dobrym tonie, Fortescue, aby ogłaszać taką rzecz, dopóki przyszła panna młoda nie zgodzi się.

- Oczywiście, że się zgodziła - powiedział Charles powściągliwie
- Uzgod..

- Czy tak, Jane ?- wskazał księżę monoklem w jej stronę - Jak to nie ładnie z twojej strony, moja kochana.

Jane usłyszała kobiecy szept, w reakcji na użyte przez księcia słowa. Jocelyn był zadowolony z siebie, podczas gdy Jane miała nadzieję, że pojawi się gdzieś czarna dziura i ją połknie.

- Ona nie jest twoją kochaną - zaprzeczył Charles - I całe szczęście..

- Ależ oczywiście, że jest - powiedział Jocelyn, zbliżając się i opuszczając monokl - i muszę ostro zaprotestować przeciwko twojemu wyimaginowanemu narzeczeństwu, mój drogi kolego. Widzisz, mimo, że doceniam twoje zaniepokojenie jej szczęściem,

nie mogę wyrazić zgody, abyś poślubił moją żonę.

Ponownie dało się słyszeć komentarze, ale ucichły pod wpływem chóru uciszających głosów. Nikt nie chciał stracić jednego słowa z dramatu, który się właśnie rozgrywał. Z pewnością będzie opowiadany na salonach i w klubach przez kolejne dni a nawet tygodnie.

- Co? - Charles zbladł, co Jane zauważyła jednym rzutem oka. - Czy to prawda Saro?

Sara skinęła głową niemal niedostrzegalnie.

Charles przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, znów podniosły się głosy i ponownie zostały uciszone szeptanymi upomnieniami, po czym odwrócił się i bez słowa opuścił pokój, poszturchując księcia podczas mijania go.

- Chodź Jane - powiedział Jocelyn, wyciągając dłoń w jej kierunku. Podeszła do niego na niepewnych nogach. Uśmiechał się, nigdy dotąd nie widziała u niego takiego uśmiechu - otwartego, ciepłego, promiennego.

- Panie i panowie - powiedział biorąc w dłoń jej dłoń - pozwólcie mi proszę, przedstawić państwu moją żonę, księżnę Tresham. Madam? - zwrócił się w kierunku Lady Webb - proszę wybaczyć, że zostałem zmuszony do wyjawienia wcześniej tego sekretu. Jane nalegała, aby nic nie zepsuło wczorajszego i dzisiejszego dnia, ponieważ z takim oddaniem zaplanowała pani jej wejście w towarzystwo. Co oczywiście musiało być zmienione z powodu zamężnego stanu Jane. Zgodziłem się zatem, że opóźnimy

ogłoszenie naszego małżeństwa do jutra.

Położył dłoń Jane na swoim ramieniu i przykrył własną dłonią, zanim rozejrzał się po zebranych gościach, aż w końcu jego wzrok spoczął na bracie i siostrze i ponownie przemówił.

- Wzięliśmy ślub na mocy specjalnego pozwolenia dziś rano. Mieliśmy skromne wesele, tak jak tego oboje pragnęliśmy. Przyrzekliśmy sobie przy świadkach, moim sekretarzu i służącej jej wysokości. - Uśmiechnął się do Jane, ponownie tym ciepłym, cudownym, bezbronnym uśmiechem, po czym podniósł jej dłoń do ust. Na to oświadczenie podniosła się wrzawa.

- Moja kochana - wymruczał - w sumie jestem dość mocno zdeterminowany, aby mieć swoją pannę młodą w moim domu i w moim łóżku, w naszą noc poślubną, w czasie który pozostanie gdy bal się skończy. Wiesz, że nie jestem świętym.

- Nigdy nie chciałam świętego - powiedziała - Jedyne, czego chciałam, to byłeś ty, Jocelyn.

Zwrócił się w jej stronę, jego oczy płonęły, z całą mocą wypełniającego go uczucia wyszeptał jej do ucha - Moja miłości, moje życie. Moja Jane. W końcu i na zawsze, moja żona.

To był tylko moment - długi jak wieczność - w którym uśmiechnęła się do niego promiennie i zdała sobie sprawę, że to była prawda. Była żoną Jocelyna, jej miłości, jej pragnienia, jej pokrewnej duszy. Była szczęśliwsza niż ktokolwiek powinien być. On był jej mężem.

I nie było więcej żadnego powodu, by to ukrywać.

Ciotka Harriet zaczęła obejmować ją, wycierać łzy, łajać ją i śmiać się. Lady Heyward złapała ją w swoje ramiona i mówiła coś przez minutę. Lord Ferdynand uśmiechał się szeroko do niej i obcałowywał jej policzki, nazywając ją siostrą. Wicehrabia Kimble udawał, że ma złamane serce i również całował ją w policzki. Przyjaciele Jocelyna po kolei potrząsali jego ręką i klepali po ramieniu. Jego siostra płakała w jego garnitur pomimo jego protestów i zapewniała, że jej nerwy tego nie zniosą i że nigdy nie była bardziej szczęśliwa w swoim życiu, że zorganizuje wielkie wesele w następnym tygodniu i niech tylko Heyward spróbuje ją powstrzymać.

Goście przechodząc z powrotem do Sali balowej gratulowali nowo poślubionej parze, kłaniali się, dygali, ściskali dłonie, brali w ramiona i całowali. Wznowienie tańców zostało z oczywistych powodów opóźnione.

W końcu znaleźli się sami w jadalni z Lady Webb, lordem i Lady Lansdowne, Lordem i Lady Heyward i lordem Ferdynandem. Jocelyn wyjął błyszczącą obrączkę, która od rana spoczywała w kieszeni jego kamizelki, podniósł lewą dłoń Jane i wsunął ją na jej serdeczny palec.

- Z tą obrączką, moja miłość. - powiedział i schylił głowę, by pocałować Jane na oczach świadków. Spojrzał na Lady Webb - Madam, czy sądzi pani, że moglibyśmy skłonić orkiestrę by zagrała kolejnego walca?

- Oczywiście - odpowiedziała ciotka Harriet.

Tak więc, tańczyli znów - sami przez pierwsze pięć minut, otoczeni przez tłum gości.

- Powtarzam - powiedział Jocelyn, gdy muzyka się rozległa, wolny, spokojny walc - wyglądasz prawie jak panna młoda Jane. W zasadzie, wyglądasz dokładnie jak panna młoda. Moja.

- A sala balowa wygląda jakby była przygotowana na wesele. - powiedziała, powracając do niego wzrokiem po spojrzeniu na salę - Nasze.

I wtedy Jocelyn zrobił coś prawdziwie skandalicznego. Schylił głowę i pocałował ją mocno. Podniósł głowę, uśmiechnął się przekornie i pocałował ponownie, tym razem delikatnie, a potem znowu z całym oczekiwaniem i nadzieją i miłością, jaką Jane wiedziała, że jest w jego sercu i w jej.

- Ona nigdy nie okiełzna niebezpiecznego księcia Tresham - czyjś niezidentyfikowany głos rozległ się w czasie, gdy Jocelyn wirował w walcu z Jane.

- A dlaczego miałyby tego chcieć? - odpowiedział inny kobiecy głos.ⁱ

-----KONIEC-----

ⁱ Niniejszy fragment, wyróżniony inną czcionką został przetłumaczony przez Magdikę, wszystkie prawa zastrzeżone